

Peterson Holly

Nianieki czyli facet do dziecka

Z angielskiego przełożyła  
*Magdalena Słysz*

*Rickowi,  
który jest istotą mojego życia*

Książka jest fikcją literacką. Występujące w niej postaci, nazwiska, zdarzenia, dialogi, cała akcja są wytworem wyobraźni autorki i zostały wykorzystane do celów narracyjnych. Wszelkie podobieństwo do rzeczywistych osób czy firm, a także faktów jest czysto przypadkowe.

## Start maszyny!

Jeśli chcesz zobaczyć bogatych ludzi, którzy naprawdę zadają szyku, jedź pod szkołę dla chłopców St. Henry's o trzeciej po południu w dowolny dzień tygodnia. Nic bardziej nie podkreśla bogactwa niż znalezienie się w otoczeniu innych bogaczy, być może nawet bogatszych niż oni. Odwożenie dzieci do szkoły i odbieranie ich stamtąd staje się sensem życia. To okazja, żeby zaznaczyć swoje terytorium, zademonstrować swoje zabawki i pokazać innym rodzicom, jakie zajmują miejsce w rankingu pierwszej setki najzamożniejszych z najzamożniejszych na całym globie.

Gdy pospiesznie jechałam na rozgrywany po lekcjach mecz syna, przez ostatni odcinek drogi towarzyszyła mi kawalkada czarnych suwów, minivanów i prowadzonych przez szoferów limuzyn. Znowu zerwałam się z zebrania w pracy, ale tego dnia nic nie mogło mnie zatrzymać. Przed szkołą, na ulicy zabudowanej eleganckimi rezydencjami i wysadzanym szpalerem miłorzębów, zebrał się już spory tłumek. Ruszyłam ku niemu i zanurzyłam się w morzu rodziców: tatusiów w garniturach, którzy szczykali do telefonów, i mamusi w olśniewających okularach przeciwsłonecznych, o opalonych ramionach, często z wystrojonymi młodszymi pociechami przy boku. Te dzieci odgrywały ważną rolę w uprawianej przez rodziców, niekończącej się grze pozorów, gdy tak kroczyły w swoich

szpanerskich mundurkach szkolnych, między lekcją francuskiego a lekcją gry na wiolonczeli, oglądane i oceniane jak bydło na targu.

Potentat branży kosmetycznej, siedzący przed szkołą na tylnym siedzeniu limuzyny za do połowy opuszczoną przyciemnioną szybą, właśnie czytał artykuł o sobie w piśmie plotkarskim. Gdy kończył lekturę, usadowiona przy nim jego czteroletnia córeczka oglądała *Barbie z Wróżkolandii* z DVD na małym ekranie, umieszczonym pod sufitem samochodu. Niania, w wykrochmalonym białym uniformie, która zajmowała przedni fotel, czekała cierpliwie na sygnał od pracodawcy, by udać się do szkoły po jego syna.

Kilka metrów dalej z tylnego siedzenia wypasionego srebrnego mercedesa S600 wyłonił się dziewięciocentymetrowy obcas, obciążony zieloną skórą jaszczurki, który dotknął chodnika. Szofer błysnął w moim kierunku żółtymi światłami. Zobaczyłam też brązową tweedową spódnicę opinającą kształtne udo i wreszcie całą trzydziestoparoletnią kobietę, odgarniającą włosy w miodowym kolorze, podczas gdy szofer pędził jak szalony, żeby podać jej ramię.

- Jamie! Jamie! - zawołała Ingrid Harris, machając wymanikiowaną dłonią. Dziesiątki wielkich złotych bransoletek zabrzęczały, zsuwając się po jej przedramieniu.

Próbowałam osłonić oczy przed ich porażającym blaskiem.

- Ingrid! Proszę, uwielbiam cię, ale nie. Muszę iść na mecz Dylana!

- Dzwonię do ciebie i dzwonię!

Zanurkowałam w tłum, wiedząc, że Ingrid pobiegnie za mną.

- Jamie! Proszę! Poczekaj! - Dopadła mnie, pozostawiając szoferowi zmaganie się z jej synami, którzy ryczeli w samochodzie. Wypuściła z płuc powietrze, jakby zmęczyło ją pokonanie tych czterech metrów od mercedesa do krawężnika.

- Ufff! - Należy pamiętać, że mowa o ludziach, którzy, na ile się tylko da, unikają styczności z chodnikiem. - Dzięki Bogu, że byłaś wczoraj wieczorem w domu!

- Nie ma sprawy. Zawsze do usług.

- Henry jest ci bardzo wdzięczny - powiedziała. Potężny szofer płynnym półkolistym ruchem przeniósł jej młodszych synów z foteli samochodowych na krawężnik i postawił ostrożnie, jakby wkładał jajka do koszyka.

- Cztery tabletki nasenne! Henry wybierał się na pięciodniowe polowanie z klientami, wylot do Argentyny miał o dwudziestej drugiej, wpadł więc w szal!

- Jamie! - Usłyszałam głos osoby, którą bardzo lubiłam, mojej przyjaciółki Kathryn Fitzgerald. Kathryn dojeżdżała z Tribeki i miała na sobie džinsy oraz francuskie tenisówki. Podobnie jak ja, nie należała to tych, którzy wychowali się na Upper East Side i nigdy w życiu samodzielnie nie dotknęli klamki u drzwi.

- Pospieszmy się. Zajmijmy miejsca z przodu.

Gdy weszliśmy na marmurowe schody, pod szkołę zajechał biały cadillac Escalade. Na milę było widać, że w środku siedzą pociechy co najmniej wysoko postawionego dyrektora. Samochód zatrzymał się, a wtedy szofer o wyglądzie arystokraty, w meloniku jak Oddjob\*, obszedł go i otworzył drzwi czwórce dzieciaków McAllisterów, które wysypały się z wozu w towarzystwie czterech filipińskich niań - każda trzymała jednego z maluchów za rękę.

Wszystkie cztery nianie ubrane były w białe spodnie, białe buty na gumowych podeszwach i koszulki z Dorą the Explorer\*\*; całe były oblepione paskami plastrów opatrunkowych. Gdy ta liczna gromadka wkraczała na schody, wyglądała jak stonoga pełznąca po marmurowych stopniach.

Pięć po trzeciej szkołę otwarto i rodzice, grzecznie, ale stanowczo, zaczęli napierać wzajemnie na siebie, aby dostać się do środka. Pokonując cztery odcinki schodów do sali gim

\* Oddjob - słynny „kapelusznik”, bohater filmu z serii o Jamesie Bondzie, grany przez Harolda Sakatę (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

\*\* Bohaterka gier komputerowych.

nastycznej, słyszałam echo chłopięcych głosów i skrzypienie tenisówek. Drużyna czwartoklasistów St. Henry's wybiegła już na rozgrzewkę w swoich biało-niebieskich strojach. Zlustrowałam pośpiesznie salę w poszukiwaniu Dylana, ale nie zauważyłam go. Spojrzałam więc na tłum po prawej stronie. Mamusie i tatusiowie uczniów zaczęli zbierać się po jednej stronie trybun. Między nimi znajdowali się braciszki i siostrzyczki zawodników pod opieką niań, które reprezentowały chyba wszystkie kraje zrzeszone w ONZ. Ale ani śladu Dylana. W końcu wypatrzyłam go, skulonego na ławce przy szatni. Miał wciąż na sobie spodnie khaki i białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Jego niebieska bluza leżała na sąsiedniej ławce. Kiedy mnie zobaczył, zmrużył oczy i odwrócił wzrok. Mój mąż Phillip robił taką samą minę, gdy był zły albo czuł się wystawiony do wiatru.

- Dylan! Jestem tutaj!
- Spóźniłaś się, mamó.
- Wcale nie, kochanie.
- Och, kilka mam przyszło wcześniej niż ty.
- No wiesz?! Przed szkołą jest kolejka, szeroka na cztery osoby, nie mogłam jej ominąć. Za mną idzie jeszcze mnóstwo innych mam.
- Wszystko jedno. - Umknął spojrzeniem w bok.
- Kotku, gdzie twój strój?
- W plecaku. - Niemal czułam opór bijący z całej postaci mojego syna.

Usiadłam na ławce.

- Pora się przebrać.
- Nie chcę się przebierać. Podszedł do nas trener Robertson.
- Wie pani co? - Machnął rękami ze zniecierpliwieniem. - Nie zamierzam go zmuszać za każdym razem. Mówiłem mu, że nie zdąży na mecz, ale przecież go nie przebiorę. Jeśli chce pani znać prawdę, to zachowuje on się po prostu śmiesznie...
- Nie ma w tym nic śmiesznego. Rozumie pan? - Ten facet nie potrafił się dogadać z Dylanem. Odciągnęłam go na

bok. - Rozmawialiśmy już o tym. Dylan denerwuje się przed meczem. Ma dopiero dziewięć lat. To jego pierwszy rok w drużynie.

Na trenerze moje słowa nie zrobiły żadnego wrażenia. Odszedł. Otoczyłam synka ramieniem.

- Kochanie, nie przepadam za trenerem Robertsonem, ale on ma rację. Czas się przebrać.

- On mnie nie lubi.

- Ależ lubi, lubi wszystkich chłopców i nawet jeśli jest szorstki, chce, żebyś grał w drużynie.

- Ale ja nie chcę.

- Nawet dla mnie?

Dylan spojrzał na mnie i pokiwał głową. Miał wielkie piwne oczy, wyraziste rysy i wiecznie zmierzwiłone ciemne włosy. Uśmiech na jego ustach pojawiał się częściej niż w oczach.

- Dylan!!! Pospiesz się!!! - Napatoczył się Douglas Wood, niezdolny piegowaty bachor o grubym tyłku, ostrzyżony na jeża. - Co z tobą?

- Nic.

- Nie grasz?

- Gram.

- To dlaczego jeszcze się nie przebrałeś?

- Bo rozmawiam z mamą. To jej wina.

*Trener* Robertson, zły, że Douglas opuścił rozgrzewkę i że mój syn odmawia udziału w meczu, podszedł do nas, biorąc się pod boki.

- Chodź, mały. Już czas.

Wziął plecak Dylana i pociągnął mojego syna za rękę ku szatni. Dylan przewrócił oczami i powłókł się za nim niechętnie, wlokąc za sobą swój strój sportowy. Ja zaś poszłam na trybuny, z bólem w sercu.

Kathryn, która zajęła mi tymczasem miejsce na trybunach, machała do mnie z piątego rzędu sektora dla kibiców szkoły St. Henry's. Jej bliźniacy chodzili do klasy Dylana, a córka



była jeszcze w przedszkolu. Chłopcy, Louis i Nicky, podczas rozgrzewki walczyli właśnie o piłkę i trener Robertson, pochyliwszy się, zagwizdał im prawie do ucha, dając znak, żeby skończyli zabawę. Zobaczyłam, że Kathryn wstaje i przygląda się ich sprzeczce. Jej długi jasny koński ogon opadał na wysłużoną zamszową kurtkę. Kiedy ominąwszy ze dwadzieścia osób, znalazłam się przy niej, usiadła i ścisnęła mnie za kolano.

- No to zdążyliśmy na czas - powiedziała z uśmiechem.

- Co ty powiesz? - Ze znużeniem oparłam głowę na splecionych dłoniach.

Tymczasem do sali niczym horda najeźdźców wpadła drużyna szkoły męskiej Wilmington. Widziałam, że mój syn trzyma się niepewnie za plecami innych zawodników. Jego spoceni koledzy z drużyny biegali z jednego końca boiska na drugi, wszyscy w ostatnich ulotnych latach dzieciństwa, tuż przed wejściem w niezdarny, niszczyielski okres młodzieńczy. Rzadko podawali piłkę do Dylana, głównie dlatego, że unikał jakiegokolwiek kontaktu wzrokowego i biegał na obrzeżach zespołu, bezpieczny poza akcją na boisku. Ze swoją szczupłą sylwetką i kościstymi kolanami nie poruszał się z gracją, przypominał raczej drobiącą żyrafę.

- Dylan kiepsko sobie radzi na boisku - westchnęłam. Kathryn spojrzała na mnie.

- Żaden z nich nie gra dobrze. Spójrz tylko, z trudem trafiają do kosza. Jeszcze nie mają dość siły.

- Może i racja. Po prostu on jest w gorszej formie.

- Przecież nie zdarza mu się to zawsze, tylko czasami - odparła.

Barbara Fisher, która siedziała w rzędzie przed nami, odwróciła się. Miała na sobie obcisłe dzinsy, białą, sztywno wy-krochmaloną bluzkę z kołnierzykiem sterczącym wbrew prawu ciężenia i wydziergany na drutach sweter w kolorze fuksji, który wyglądał na drogi. Była opalona i tak smukła jak rzeźba Giacomettiego.

- O, zapracowana jak pszczołka mamusia przyszła na mecz - powiedziała.

Zachnęłam się.

- Mecz mojego syna to dla mnie ważna sprawa. - Spojrzałam ponad jej głową na grających chłopców.

Barbara przesunęła głowę, żeby zasłonić mi widok i uczyniła kolejną uwagę:

- Rozmawialiśmy na zebraniu komitetu rodzicielskiego, jak ci musi być ciężko z tym, że nie możesz brać udziału w zajęciach Dylana.

Była irytująca.

- Lubię pracować - odparłam. - Jeśli zaś ty wolisz zajmować się domem, potrafię to zrozumieć. To pewnie znacznie przyjemniejsze życie.

- Nie robisz tego dla pieniędzy, oczywiście. Phillip to ostatnio bardzo wzięty prawnik. - Mówiła szeptem, tak jej się przynajmniej wydawało, ale wszyscy wokół słyszeli naszą rozmowę. - Chcę przez to powiedzieć, że twój wkład finansowy do budżetu domowego nie może odgrywać znaczącej roli.

Przewróciłam oczami i spojrzałam na Kathryn.

- Zarabiam całkiem nieźle, Barbaro. Ale, rzeczywiście, nie pracuję tylko dla pieniędzy. To, czym się zajmuję, sprawia mi przyjemność. Powiedzmy też, że lubię wyzwania. A teraz chcę się skupić na meczu, bo Dylan być może też ma swoje ambicje i chciałby, żebym obserwowała, jak gra.

- No to się skup.

Kathryn uszczypnęła mnie w ramię trochę za mocno, bo nie znosiła Barbary jeszcze bardziej niż ja. Podskoczyłam z bólu i walnęłam ją w ramię.

Szepnęła mi do ucha:

- Dziwne, że Barbara nie znalazła okazji, by wspomnieć o nowym samolocie. Gdybyś przeoczyła nowinę, to wiedz, że w ten weekend dostarczono Aaronowi najnowszą zabawkę w postaci odrzutowego falcona dwa tysiące.

- Na pewno me ominie mnie sprawozdanie z tego wydarzenia - odpowiedziałam, patrząc na boisko.

Dylan próbował zablokować rzut, ale zawodnik przeciwników obiegł go w drodze do kosza i zdobył punkt. Rozległ się gwizdek. Rozgrzewka dobiegła końca. Chłopcy zebrali się po swojej stronie boiska.

- Wiesz, co jest nie do zniesienia? - szeptem zapytała Kathryn.

- Wiele rzeczy.

- Oni nie mogą powiedzieć po prostu: „Wyjeżdżamy na weekend o trzeciej”, co oznaczałoby, że wyruszają po południu, samochodem, jachtem, lotem liniowym, wszystko jedno czym. - Zbliżyła się do mnie.

- Nie, chcę ci dać jasno do zrozumienia, że lecą prywatnym samolotem. Nagle więc zaczynają mówić jak piloci: „Och, wyjeżdżamy na weekend, start maszyny piętnasta zero zero”. - Pokręciła głową i skrzywiła się. - Jakby w ogóle mnie obchodziło, co oni robią.

Kiedy przez małżeństwo weszłam do tego środowiska, ja, dziewczyna z klasy średniej, rodem ze środkowych Stanów, naturalnie, czułam się onieśmielona wśród sąsiadów z Upper East Side. Moi rodzice, zdecydowani zwolennicy sportowego trybu życia, często przypominali mi, żebym zachowywała dystans wobec nowych znajomych. U nas, w Minneapolis, łatwiej było osiągnąć szczęście, to przez duże S. Chociaż ze względu na męża próbowałam się przystosować, nie zdołałam przyzwycząić się do ludzi, którzy w rozmowie rzucali nazwisko swojego pilota, jakby mówili o sprzątacze: „Pomyślałam, że wyskoczmy na obiad do Cape, więc poprosiłam Richarda, żeby był gotowy punkt trzecia”.

Mój syn siedział na ławce z jakimiś dziesięcioma kolegami z drużyny, gdy trener Robertson rzucił w powietrze piłkę dla pierwszego składu. Na szczęście Dylan był podniecony meczem. Mówił coś do chłopca siedzącego przy nim i wskazywał boisko. Nareszcie trochę się odprężyłam i mogłam odetchnąć.

Dwie minuty później od mojego ramienia odbił się plasti-

kowy kubek i wylądował u Kathryn na kolanach. Obie obejrzałyśmy się.

- Bardzo przepraszam! - powiedziała z wyraźnym obcym akcentem niania z Filipin. Gromada McAllisterów usiłowała wcisnąć się do rzędu krzeseł za nami. Dwoje młodszych dzieci ryczało jak osły. Coś takiego zawsze wkurzało Kathryn. Nieobce jej było niegrzeczne zachowanie dzieci, ale nie mogła znieść braku szacunku, jaki wykazywali rozbisurmanieni smarkacze z Park Avenue wobec swoich nianiek.

Odwróciła się do mnie.

- Biedne kobiety! Co one muszą znosić. Zrobię to. I to zaraz. Zapytam je, czy obowiązuje je określony strój w konkretne dni tygodnia. Zobaczymy, co powiedzą. No wiesz, czy na przykład w poniedziałki muszą nosić bluzeczki ze Sponge Bobem, we wtorki z Dorą i tak dalej.

- Przestań, Kathryn. Proszę. Kogo to obchodzi?

- Co takiego?! Ty, taka ciekawska, nie chciałabyś wiedzieć? - Kathryn się uśmiechnęła. - Następnym razem, gdy będziesz u Sherrie na przyjęciu urodzinowym, wślizgnij się do kuchni i podejdź do biurka przy telefonie. Leży tam opracowany regulamin domowy dla służby, taki z zakładkami w różnych kolorach, który Sherrie kazała przepisać na maszynie sekretarce Rogera. Zawiera instrukcje na wszelkie ewentualności, jakie tylko jesteś w stanie sobie wyobrazić.

- Jakie na przykład?

- Myślałam, że to cię nie interesuje.

- No dobrze, może trochę.

- Jest tam wszystko. Harmonogramy dla służby z poszczególnych zachodzących na siebie zmian: pierwszej - od szóstej rano do drugiej po południu, drugiej - od dziewiątej do piątej, i trzeciej - od czwartej do północy. Godziny spacerów dla tych, którzy wyprowadzają koty i psy, i w ogóle się nimi zajmują. Zalecenia, jak należy składać i wieszac poszczególne części garderoby dzieci. Jak układać ich rękawiczki i szaliki na jesień i na zimę, z uwzględnieniem strojów sportowych. W jakiej kolejności wieszac kostiumy księżnej w cedrowej

garderobie, gdy już zostaną odprasowane - tak, dobrze słyszałaś - odprasowane. Jakiej użyć zastawy na śniadanie, lunch, obiad, zależnie od pory roku: na przykład latem w muszelki, na Święto Dziękczynienia w liście, na Boże Narodzenie w girlandy. Nie pamiętam nawet połowy z tego wszystkiego - ciągnęła Kathryn. - To bezcenna rzecz.

- Wiesz, co jest jeszcze dziwniejsze? - zapytałam. - Że chciałabym, leżąc pod kołdrą w ciepłym łóżku, z kubkiem gorącej herbaty, przed zaśnięciem przeczytać od deski do deski ten nienormalny regulamin.

Po trzydziestu minutach gra nabrała tempa. Drużyna Wilmington zdobyła punkt, a wtedy jej kibice zerwali się z miejsc i zaczęli wiwatować. Wskoczyłam na ławkę, żeby lepiej widzieć, i niemal wpadłam na Barbarę Fisher. Wilmington znowu odebrał piłkę drużynie szkolnej St. Henry's. Mój Dylan, po raz pierwszy zgrany z zespołem, desperacko usiłował zablokować atak, podczas gdy przeciwnicy podawali sobie piłkę wokół linii rzutu. Zbliżał się koniec pierwszej połowy meczu. Wilmington miał jednopunktową przewagę. Jeden z zawodników wykonał śmiały manewr, żeby zdobyć następny punkt, ale piłka odbiła się od obręczy. Przeciwnicy przejęli ją i znów próbowali trafić do kosza. Tym razem odbiła się od dolnego rogu tablicy z prędkością stu kilometrów na godzinę. Prosto na Dylana. On jednak złapał ją cudem, co kompletnie go oszołomiło. Stał jak skamieniały, lustrując wzrokiem dystans dzielący go od kosza po przeciwnej stronie boiska, te kilometry, które miałby pokonać. Wówczas w obronie drużyny przeciwnej zrobiła się luka i Dylan rzucił się do biegu. Tłum kibicował mu głośno. Spojrzałam na zegar: 07, 06, 05, 04. Wszyscy odliczaliśmy sekundy do gwizdka. Dylan znalazł się bezpośrednio pod koszem. O Boże, proszę Cię! Zdobyć tego punktu zmieniliby cały jego świat.

Rzut był czysty. Dylan spojrzał na mnie. Potem na kolegów z drużyny, którzy pędzili ku niemu. Obejrzał się w stronę kosza.

- Rzucaj, Dylan, rzucaj!!!

No dalej, kochanie! Stać cię na to. Wbiłam paznokcie w ramię Kathryn. Dylan chwycił piłkę w obie ręce, przycisnął ją do siebie i szlochając, upadł na podłogę. Rozległ się gwizdek, sygnalizujący koniec pierwszej połowy. W sali zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na mojego synka, który zamienił się w istną kupkę nieszczęścia.

## Poranne nudności

- Co mówił dziś? - Mój mąż Phillip pochylał się nagi nad umywalką, grubym białym ręcznikiem ścierając z ucha krem do golenia.

- Mówi, że nic mu nie jest, ale wiem, że to nieprawda. - Stałam na wpółubrana przy mojej umywalce, metr od niego, wsadzając do pojemnika szczoteczkę z tuszem do rzęs. - Po prostu wiem. Kiepsko z nim.

- Razem pomożemy mu się z tym uporać - odpowiedział spokojnie. Myślał, że przesadzam, byłam tego pewna.

- Nie chce o tym rozmawiać, a przecież zawsze mówi mi o wszystkim. Zawsze. Szczególnie wieczorem, przed pójściem do łóżka.

- Przesunęłam palcami po kurzych łapkach w kącikach oczu.

- Przy okazji, wiem, o czym teraz myślisz, ale pamiętaj, że wyglądasz szczupło i bardzo młodo jak na trzydzieści sześć lat. Poza tym nie dziwię się Dylanowi, że nie chce jeszcze raz przez to przechodzić. Daj mu parę dni. Nie martw się, poradzi sobie - dodał mój mąż.

- To był okropny moment, Phillipie, opowiadałam ci wieczorem.

- Czwarta klasa to nie przelewki, ale on wyjdzie na prostą, zapewniam cię. Już ja się o to zatroszczę.

- Miło z twojej strony, że starasz się mnie uspokoić, ale nie rozumiesz wszystkiego.

- Ależ rozumiem! Dzieciak odczuwał bardzo silną presję -ciągnął Phillip. - I nie wytrzymał jej. Daj jednak spokój, bo tylko pogorszysz sprawę.

Poklepał mnie po pupie i ruszył w stronę garderoby. Przy drzwiach odwrócił się i mrugnął do mnie z zadowoloną, pewną siebie miną.

- Skończmy z Dylanem. Coś ci pokażę.

Wiedziałam co. Koszule. Z całych sił próbowałam się przestroić.

Phillip zniknął w sypialni i zawołał:

- Zemdlejesz, gdy zobaczysz, co w końcu przysłali!

Koszule ułożone były w dużym granatowym pudle stojącym na łóżku. Phillip czekał na nie bardziej niecierpliwie niż dziecko na gwiazdkę. Kiedy wróciłam do sypialni, wyjmował pierwszy z tych szytych na miarę cudów, dwieście pięćdziesiąt dolarów sztuka, i starannie odklejał taśmę, która przytrzymywała czerwoną bibułę. Bibuła była gruba i droga, miękka i aksamitna po jednej stronie, a po drugiej błyszcząca i gładka. Szeleściła głośno, gdy ją rozdzierał, odsłaniając koszulę w szerokie białe i żółte paski, wybitnie w stylu brytyjskiej arystokracji i dokładnie taką samą, jakie nosili inni znani nam prawnicy.

Tego rana jednak koszule mało mnie interesowały. Poszłam do kuchni.

- Jamie! Chodź tutaj! Nawet ci jeszcze nie...

- Minutkę! Wróciłam z gazetą pod pachą, mieszając kawę.

- Dzieci wstają. Masz dwie minuty na swoją małą prezentację - oznajmiłam.

- To za mało!

Usiadłam w fotelu stojącym w kącie i zaczęłam czytać nagłówki.

- Tylko spójrz na tę! - Phillip, bardzo z siebie zadowolony, wciągnął koszulę w żółte paski na swoją wysoką sylwetkę - metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. Kilka wilgotnych jas-



nych kosmyków opadło z tyłu na kołnierzyk, więc przeczesał dłonią faliste włosy i przyglądał je. Roześmiał się pod nosem i zapinając guziki, zanucił jakąś wesołą melodię.

- Bardzo ci w niej do twarzy, Phillipie. Ładny materiał. Dobry wybór.

Wróciłam do gazet i kątem oka zobaczyłam, że Phillip idzie lekkim krokiem do mahoniowej garderoby i grzebie w srebrnym pucharze, który zdobył w regatach żeglarskich jako uczeń szkoły średniej. Wyjął z niego trzy pary spinek do mankietów i ułożył je na biurku - był to rytuał, którego przestrzegał z pietyzmem, odkąd zaczął dobrze zarabiać i mógł sobie pozwolić na więcej niż jedną parę przyzwoitych spinek. Wybrał swoje ulubione - złote sztangi od Tiffany'ego z ciężarkami z granatowego lazurytu.

- Dobrze, kochanie. - Rzuciłam gazety i skierowałam się do drzwi. - To już wszystko? Nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym...

Phillip ni stąd, ni zowąd się zachmurzył.

- Cholera!

Najwyraźniej z nową koszulą było coś nie tak. Usiłował przepchnąć spinki przez dziurki, które jednak okazały się trochę za małe. To odkrycie wytrąciło go z równowagi, mówiąc łagodnie.

Zdjął koszulę i zmrużył oczy.

Do pokoju, trąc oczy, weszła nasza pięcioletnia córeczka Gracie. Objęła ojca za szczupłe udo.

- Maleńka, nie teraz. Tatuś bardzo cię kocha, ale nie teraz. Ruchem ręki skierował małą do mnie, a ja wzięłam ją na ręce.

Phillip znowu podszedł do łóżka, już nie takim luzackim krokiem, i wyjął następną koszulę, tym razem w lawendowe paski. Przystanął i zaczerpnął głęboko powietrza jak byk przed natarciem na korridorze. Wyciągnął wykrochmaloną koszulę przed siebie i przechylił na bok głowę, jakby to miało mu pomóc zachować pogodę ducha. Stojąc tak w niebieskich bokserkach, białym podkoszulku i grafitowych skarpetkach,

włożył nowiutką koszulę i znowu spróbował precyzyjnie przycisnąć spinki przez dziurki. I tym razem nie przeszły. Tymczasem do pokoju wbiegła Gussie, nasz wheaten terrier, przysiadła na tylnych łapach i przekrzywiła łeb tak samo jak przed chwilą Phillip.

- Nie, Gussie. Idź stąd!

Pies przechylił łeb w drugą stronę, ale reszta jego ciała nawet nie drgnęła.

Oparłam się o drzwi z Gracie w ramionach, zagryzając wargę.

Prawnicy w trzecim pokoleniu - Exeter, Harvard i jeszcze raz Harvard - nie mają zbyt wielkiego przygotowania psychologicznego, by radzić sobie z drobnymi rozczarowaniami, jakie niesie życie. A już zwłaszcza ci pokroju Phillipa, którzy urodzili się i dorastali przy Park Avenue. Wychowywały ich nianie, jedzenie przyrządzali dla nich kucharze, drzwi bezszelestnie otwierali przed nimi odźwierni. Tacy faceci w jednej chwili potrafią bez zmrużenia oka wygrać dla klienta trzysta milionów dolarów albo je stracić, ale nie daj Boże, żeby po przyjęciu nie zastali kierowcy tam, gdzie powinien czekać. Gdy coś wytrąci mojego męża z równowagi, jego reakcja, wykraczająca poza przyjęte normy, jest niewspółmierna do wagi problemu. Przeważnie najmniej znaczące zdarzenia powodują wręcz sejsmiczną eksplozję.

Tego poranka tak właśnie się stało. Była to jedna z tych sytuacji, do których nie stosowały się także surowe zasady mojego męża dotyczące przekleństw.

- Pieprzony pan Ho, zasrany uniżony żółtek, przyjeżdża tu z Hongkongu, po dwóch cholernych przymiarkach zdiera ze mnie majątek za dziesięć cholernych, szytych na miarę koszul, a nie potrafi wyciąć dwóch cholernych dziurek w mankietach? Za dwieście pięćdziesiąt dolarów nie może zrobić odpowiednich dziurek?! - Phillip wpadł z powrotem do garderoby.

Ułożyłam Gracie pod kołdrą w naszym łóżku; leżała tam ze ściągniętą buzią, spoglądając oczami wielkimi jak spodki.

Już w wieku pięciu lat zdawała sobie sprawę, że tatuś to wielkie dziecko. Wiedziała też, że jeśli piśnie w tej chwili choć słówko, on nie przyjmie tego dobrze. Do pokoju przydreptał Michael, nasz dwuletni syn, i wyciągnął rączki, sygnalizując, że chciałby do mamy. Położyłam go obok Gracie i ucałowałam w główkę.

Mocując się z suwakiem z tyłu bluzki, czekałam, wiedząc, że za chwilę...

- Jamieeeeeeeeeeeee!

Kiedy Phillip mi się oświadczył, powiedział, że chciałby mieć za żonę kobietę robiącą karierę zawodową, mającą poza prowadzeniem domu inne zainteresowania. Zaznaczył, że jest nowoczesnym mężczyzną, który nie będzie żądał od żony, aby zaspokajała jego ziemskie potrzeby. Dziesięć lat później najwyraźniej wyznawał już inny pogląd.

Nastawiłam dzieciom kasetę z *Pinky Dinky Doo* i spokojnie skierowałam się w stronę gabinetu, z którego teraz dochodził głos Phillipa, zastanawiając się jednocześnie, ile kobiet w całej Ameryce musi w tej chwili zażegnawać poranny atak furii męża, powstały z powodu absolutnej błahostki.

- Ile razy mam powtarzać Carolinie, żeby nie ruszała niczego na moim biurku? Bądź tak uprzejma i przypomnij jej, że straci pracę, jeśli jeszcze raz weźmie stąd nożyczki.

- Kochanie, nie zapominajmy, że problem stanowią tylko spinki do mankietów. Jestem pewna, że Carolina nie wzięła tych nożyczek, musiałeś je położyć...

- Przepraszam, kochanie. - Pocałował mnie w czoło i uściskał za rękę.  
- Zawsze wkładam je do tego skórzanego etui, żeby mieć je pod ręką, kiedy będą potrzebne. Te pieprzone głupie żółtki. Pieprzony pan Ho!

- Phillipie, tylko spokojnie. Nie nazywaj Chińczyków głupimi żółtkami. Wiem, że tak nie myślisz. Przestań. To bardzo obraźliwe. Przyniosę ci inną koszulę.

- Nie chcę innej koszuli, Jamie! Chcę znaleźć małe nożyczki, najlepiej do paznokci, żeby powiększyć te zasrane dziurki.

- Phillipie, jeśli to zrobisz, zniszczysz ją. - Wydobyłam z szafy świeżutką, wyprasowaną koszulę.

Na jej widok zaniknął oczy i mocno wciągnął powietrze przez nos.

- Nie mogę już patrzeć na te stare koszule! Gwałtownym ruchem wysunął szuflady biurka i wywrócił

zawartość każdej z nich, zanim znalazł małe srebrne nożyczki do paznokci. Potem przez dwie minuty obserwowałam, jak mój mąż - wspólnik prestiżowej kancelarii prawniczej - zмага się z drogą egipską bawełną.

Spinka przeleciała bez trudu przez dziurkę i wylądowała na podłodze.

- Niech to szlag! Teraz ta pieprzona dziurka jest za duża!

Dylan wybrał sobie niezbyt szczęśliwy moment, by wkroczyć na scenę. Nie miał pojęcia, co się dzieje, i nie obchodziło go.

- Tato, słyszałem. Powiedziałeś słowo na „p”, więc jesteś mi winien dolara. Mama nie pomoże mi odrobić matmy. Nie zna się nawet na procentach. - Rzucił ojcu podręcznik matematyki dla czwartej klasy. - Ty musisz mi pomóc.

Ubrany był do szkoły w niebieską bluzę, krawat w paski, spodnie khaki i mokasyny na gumowych podeszwach. Chociaż próbował przylizać włosy na czubku głowy za pomocą wody, wciąż z tyłu sterczał mu kogucik. Wyciągnęłam ręce, żeby przytulić synka, ale wyrwał mi się.

- Nie teraz, Dylan. - Phillip studiował powiększone dziurki i wciąż manipulował przy nich nożyczkami. - Mam tu poważniejszy problem.

- Phillipie, mówiłam, że zniszczysz sobie całkiem nową...

- Daj... mi... zrobić... to, co... muszę, żeby... zdążyć... na... spotkanie... z klientem... i... zarobić... na... życie...

- Mama mówi, że zapomniała, jak się mnoży ułamki.

- Dylan, to nie jest dobra pora, żeby prosić o pomoc przy pracy domowej, którą powinienes być odrobić wczoraj. - Phillip starał się mówić łagodnie, ale głos miał ostry i napięty. Potem zreflektował się i złagodził ton. Usiadł przy biurku, żeby

znaleźć się na poziomie wzroku syna. Synku, wiem, że miałeś wczoraj przykre przejścia z drużyną podczas meczu i...

- Nie miałem.

Phillip spojrział na niego pytająco; zeszłego wieczoru zbyt późno wrócił do domu, żeby porozmawiać z synem.

- Nie zdarzyło się... eee... nic nieprzyjemnego podczas gry?

- Nie.

- Dobra. Zostawmy mecz i pogadajmy o matematyce.

- Jeśli cię to interesuje, nie chcę rozmawiać o meczu. Bo to nie jest ważne. Ważna jest praca domowa, a ja nie mogłem sobie z nią poradzić. - Dylan założył ręce na piersi i z urażoną miną wbił wzrok w podłogę.

- Rozumiem. - Phillip naprawdę starał się ogarnąć sytuację. - Dlatego chcę z tobą porozmawiać też o matematyce. Jak to się stało, że nie odrobiłeś pracy domowej wieczorem? Byłeś zdołowany po meczu?

- Przecież już mówiłem! Nie byłem zdołowany! Mecz nie ma znaczenia! Porozmawiajmy o tym, dlaczego nie możesz pomóc mi w matmie. Tata Alexandra zawsze odrabia z nim lekcje i przyjeżdża po niego do szkoły tandemem.

- Tata Alexandra jest skrzypkiem, i Alexander mieszka w norze.

- Phillipie, proszę! Pora dorosnąć. Chodź ze mną. - Chwyciłam go za rękę, zaciągnęłam do garderoby i zamknęłam drzwi.

Puścił do mnie oko. Splotłam ramiona przed sobą. On tymczasem położył mi rozcapierzone ręce na pupie i przyciągnął mnie. Zaczął całować moją szyję.

- Tak ładnie pachniesz, czystością. Uwielbiam zapach twojego szamponu - szepnął.

Nie myłam tego rana włosów.

- Powinieneś posłuchać z boku, co dzisiaj wygadywałeś.

- Przepraszam. To przez to spotkanie z klientem. Denerwuję się. A teraz jeszcze ty na mnie działasz.

Trzepnęłam go w rękę.

- Nie możesz nazywać Chińczyków głupimi żółtkami, i to przy dzieciach. Przede wszystkim to obraźliwe, a poza tym, gdyby to usłyszały...

- Masz rację.

- I jeśli nawet Alexander mieszka w jakiejś klitce, nie możesz tego faktu używać jako argumentu przeciwko jego ojcu, który jest zresztą skrzypkiem światowej sławy. Do diabła, jak to twoim zdaniem zabrzmiało?!

- To było niewłaściwe.

- Co ty sobie w ogóle myślisz? Doprowadzasz mnie do szału!

Usiłował rozpiąć mi suwak bluzki.

- To ty doprowadzasz mnie do szału. - Gmerał mi po plecach, na wysokości łopatek.

Gracie zaczęła walić do drzwi.

- Mamusiu!

- Przestań! - Wbrew sobie zaczęłam się śmiać. - Nie mogę. Mamy już troje dzieci. Niepotrzebne nam czwarte. To wszystko przez te dziurki w mankietach, no nie? Możesz dać spokój?

- Kocham cię. Przepraszam. Masz rację. Ale te koszule kosztowały mnie kupę forsy i można by...

- Proszę cię.

- Dobra. Zacznijmy od nowa. Otworzył drzwi, szarmancko przepuścił mnie przodem i wzięwszy Gracie pod pachę jak tłumoczek, zaniósł ją z powrotem do swojego gabinetu.

Dylan patrzył przez okno, wciąż naburmuszony. Phillip usiadł przy biurku i skupił się na synu.

- Dylan, wiem, że praca domowa była trudna. Myślę, że gdybyś dał mi więcej czasu i nie zwracał się do mnie z tym akurat wtedy, gdy spieszę się do pracy...

- Nie było cię wczoraj; poprosiłbym cię o pomoc wieczorem, gdybyś był w domu.

- Przykro mi. - Phillip wziął Dylana za rękę i próbował spojrzeć mu w oczy. Ale mały się odwrócił.

- Jesteś już dużym chłopcem, na tyle dużym, żeby samodzielnie odrabiać lekcje, bez pomocy matki czy ojca. Jeśli potrzebujesz korepetycji, możemy się nad tym zastanowić, ale teraz dochodzi siódma trzydzieści, na mnie czeka samochód, a ty musisz zdążyć do szkoły.

Dylan w skrajnej frustracji rzucił się na kanapę.

- O raaany!

Leżał na plecach, z rozrzuconymi nogami, zasłaniając oczy ramieniem. Był za duży na to, by płakać, ale wiedziałam, że jest bliski łez. Zdawałam sobie jednak sprawę, że gdybym podeszła i przytuliła go, straciłby kruchą równowagę i rozkleił-by się. Trzymałam się więc z boku.

- Wszystkim kolegom z klasy tatusiowie pomagają w matmie, bo żadna mama tego nie potrafi. To nie w porządku, że ty mi nie pomagasz.

- Nie spędzasz za dużo czasu przy Xboksie? - Phillip spojrzał na mnie. - Jamie, musimy zacząć kontrolować, ile czasu chłopak siedzi przy konsolach, bo to zbyt...

- Tato, to przecież ty kupiłeś mi Madden '07!

- Dylan nie gra na komputerze, dopóki nie odrobi lekcji. Zna zasady - wyjaśniłam. - Wiesz, dziś byłoby dobrze złagodzić nieco reguły w związku...

- Dylan - odezwał się Phillip łagodnie, usiadłszy na brzegu kanapy. - Rzecz w tym, że tatuś czasami nie wszystko jest w stanie zrozumieć. Kocham cię bardzo, jestem z ciebie dumny i wykombinuję trochę czasu dziś wieczorem, żeby ci pomóc. - Poglądził Dylana po nosie. — Dobra?

- Uhm. - Dylan uśmiechnął się blado.

W drzwiach gabinetu stanęła Gracie z małymi plastikowymi nożyczkami Barbie i bez słowa wyciągnęła je ku ojcu.

Phillip spojrzał na nią. Potem na mnie. I roześmiał się głośno.

- Dziękuję ci, kochanie.

Przyciągnął Gracie i zwichrzył jej włosy. Potem wziął na ręce Dylana i uściskał go mocno. Za każdym razem, gdy byłam już niemal przekonana, że Phillip to prawdziwy potwór,

on robił coś, co sprawiało, że znowu stawał mi się bliski. W chwilach szczerości mówiłam mojej przyjaciółce Kathryn, że czasami mam ochotę go porzucić. Bywał niemożliwy, oddalaliśmy się od siebie, a tu nagle zachowywał się odpowiedzialnie, jak przystało na ojca, i wtedy myślałam, że jednak warto zadawać sobie trud, aby wszystko w rodzinie grało.

- Dylan, razem jakoś sobie z tym poradzimy - zapewnił teraz.

Potem zwrócił się do mnie:

- Daj mi tę starą koszulę. Jestem już spóźniony. Zadzwoń w moim imieniu do pana Ho i powiedz mu, że ma dwadzieścia cztery godziny na poprawki we wszystkich dziesięciu koszulach. Gdybym ja z nim próbował rozmawiać, zrobiłbym z niego miazgę.

Zjeżdżaliśmy razem windą, z pętającymi się wszędzie plecakami, telefonami komórkowymi i marynarkami: mój mąż, Dylan, Gracie, mały Michael, Carolina - gospodyni, Gussie - nasz terier, i Yvette - niania. To, że Phillip wyszedł na prostą po aferze z dziurkami w mankietach, nie znaczyło, że zamierza poświęcić nam więcej uwagi. Ubrany w służbowy garnitur, w błyszczących czarnych butach, przygotowywał się na spotkanie z klientem i z powodzeniem ignorował otaczający go chaos. Trzymając pod pachą gruby plik złożonych gazet i wkładając słuchawkę telefonu komórkowego do ucha, kciukiem zaczął wybierać numer swojej poczty głosowej.

Podniosłam Gracie jedną ręką, a drugą wsunęłam spinkę we włosy. Yvette, dumna ze swoich zadbanych podopiecznych, codziennie ubierała dwójkę młodszych dzieci jak w niedzielę do kościoła na Jamajce. Ale ponieważ była z nami od czasu, gdy urodził się Dylan, nie ingerowałam w jej poczynania. Gracie miała na sobie czerwoną bawełnianą sukienkę, czerwone lakierki i białą kokardę wielkości boeinga 767 na skroni.

- Mamusiu, ty mnie odbierzesz czy Yvette? - zaczęła marudzić. - Nigdy po mnie nie przyjeżdżasz.



- Dzisiaj to niemożliwe, bo wiesz, że we wtorki mamusia pracuje, maleńka. Muszę iść do pracy na cały dzień. Ale przecież pamiętasz, że staram się odbierać cię w poniedziałki i piątki.

„Staram się” to było ważne w tym kontekście; chociaż byłam zatrudniona w stacji telewizyjnej na niepełnym etacie, czas pracy miałam nienormowany i gdy wybuchała jakaś sensacja, musiałam zostawać dłużej. Dzieci źle znosiły ten brak regularności. Delikatna buzia Gracie ściągnęła się w dobrze mi znanym wyrazie. Przeczesałam ręką włosy córeczki i pocałowałam ją w czoło.

- Kocham cię - szepnęłam.

Dylan miał plecak większy niż on sam. Obrócił go, żeby wyszukać tamagotchi na kółku od kluczy i niczym szalony naukowiec zaczął przebierać palcami po przyciskach, jak jego tata po klawiaturze telefonu komórkowego.

- Nie zdążę na konferencję o trzeciej. - Phillip nawet w windzie odpowiadał na wiadomości głosowe, gdy tylko je przesłuchał. - Zadzwoń do mojej sekretarki, Hank, ona zaproponuje inny termin. A teraz zreferuję ci sprawę Tysis Logic...

- Phillipie, proszę, czy nie możesz z tym poczekać? To takie nieuprzejme.

Phillip przymknął oczy, poklepał mnie po głowie, a potem położył mi palec na ustach. Miałam ochotę go odgryźć.

- To będzie pasztet z trzech następujących powodów... Zaczniemy od podziału akcji. Nie mamy nawet wystarczającej liczby udziałów dopuszczonych do sprzedaży...

Michael, siedzący w wózku, chwycił mnie za spódnicę, wsunął paluszki pod jej obrąbek i oderwał go na długości kilku centymetrów.

Carolina skróciła smycz Gussie, gdy winda zatrzymała się na czwartym piętrze. Phillip spojrzał na nią groźnie; najwyraźniej jeszcze nie doszedł do siebie po poszukiwaniach nożyczek.

Drzwi windy otworzyły się; stał za nimi siwowłosy, siedemdziesięcioośmioletni mężczyzna z pasiastą muszką i w be-

zowym garniturze. Pan Greeley, nadęty staruszek z Nantucket, mieszkający pod 4B. Niedawno przeszedł na emeryturę, ale wciąż ubierał się w garnitur, gdy wychodził rano na kawę i po gazety. Jakoś zebrał się na odwagę i wkroczył do zatłoczonej windy, a wtedy Gussie zaczęła się wyrywać i obniuchiwać jego pachwinę, jakby odkryła norę królika. Carolina szarpnęła smycz i pies stanął na tylnych łapach, opierając się przednimi o drzwi. Phillip wciąż omawiał przez telefon plan bitwy. Skinęłam głową panu Greeleyowi z przepraszającym uśmiechem i błagalnym spojrzeniem w oczach. On jednak skupił się na podświetlanych numerach pięt, demonstracyjnie ignorując nas wszystkich. W ciągu dwóch lat, odkąd zamieszkaliśmy w tym budynku, ani razu nie odpowiedział mi uśmiechem, nieznacznie skłaniał jedynie głowę.

Drzwi otworzyły się znowu i wysypaliśmy się na wyłożony marmurem korytarz. Ściskając w ręce swoją pękatą aktówkę Dunhilla, Phillip machnął nam na pożegnanie i popędził przed siebie, głębiej wpychając słuchawkę do ucha. Spotkanie, na które tak się spieszył, zaczęło się przed pięcioma minutami.

- Kocham was! - zawołał, nie odwracając się.

Odźwierny Eddie zaproponował, że coś mu poniesie, ale Phillip nie zwrócił na to uwagi i pobiegł do samochodu. Gdy lexus ruszał, widziałam już tylko „Wall Street Journal”, rozpościerający się przed twarzą mojego męża.

Kawalkada wozów Yassera Arafata nie mogłaby się równać z naszą. Gdy samochód Phillipa zniknął z pola widzenia, pod markizę zajechał olbrzymim granatowym suburbanem mój kierowca Luis, przemiły, czterdziestoletni Ekwadorczyk, który pracował u nas w garażu i znał po angielsku ze cztery słowa. Jedyne, co tak naprawdę o nim wiedziałam, to fakt, że ma dwoje dzieci i żonę w Queens. Za pięćdziesiąt dolarów dziennie - wyłącznie w gotówce - pomagał mi podrzucić Dylana na ósmą i Gracie na ósmą trzydzieści. Trzy dni w tygodniu czekał, aż wrócę do domu, przebiorę się i pobawię z Michaeliem, a potem zawoził mnie na dziesiątą do pracy

w telewizji. Mam świadomość, że za dwieście pięćdziesiąt dolarów tygodniowo w Minneapolis moja matka mogłaby nas wykarmić, popłacić wszystkie rachunki i jeszcze coś by jej zostało.

Eddie pomógł mi posadzić Gracie w foteliku samochodowym, podczas gdy Dylan gramolił się na miejsce obok niej, przejeżdżając jej po buzi swoim plecakiem.

- Dylan! Zabierz to! - wrzasnęła.

Pocałowałam Micheala, a on wyciągnął do mnie rączki i desperacko próbował zerwać paski przytrzymujące go za ramionka w wózku. W tej samej chwili Yvette pomachała mu przed buzią laleczką Elmo i mały się uśmiechnął.

W lusterku wstecznym zobaczyłam, że na zwalniane przez nas miejsce zajeżdża van z psiego przedszkola. Na karoserii samochodu widniał napis „Rozpieszczone Psisko”. Drzwi same otworzyły się przed Gussie i Carolinie udało się cmoknąć ją w czoło, zanim suka zniknęła w środku, by przywitać się z obślinionymi kumplami.

Przymknęłam oczy, gdy przez dwadzieścia przecznic jechaliśmy Park Avenue do szkoły Dylana, zadowolona, że nie mam kontaktu wzrokowego z nikim. Luis nie odzywał się, jak zwykle, szczyrzył tylko zęby w ciepłym latynoskim uśmiechu, lawirując między taksówkami oraz samochodami dostawczymi.

Gracie była jeszcze na tyle mała, że jazda samochodem usypiała ją, wetknęła więc kciuk do buzi i gdy walczyła z sennością, powieki trzepotały jej jak skrzydła motyla. Palce Dylana śmigały po klawiaturze Game Boya; wiedział, że pozwolę mu grać, jeśli ściszy dźwięk.

- Gracie, zrywaj się! Maaamo! Poczułam ból głowy.

- Co się dzieje?!

- Gracie specjalnie kopnęła mnie w rękę, żebym stracił ostatnie sekundy, i teraz spadłem na poziom trzeci!

- Nieprawda! - zawyła Gracie, nagle rozbudzona.

- Dylan, proszę - powiedziałam błagalnie.
- Dlaczego bierzesz jej stronę?! - wykrzyknął.
- Nie biorę niczyjej strony, ale ona ma tylko pięć lat i myślę, że mógłbyś mieć to na względzie. Rozmawialiśmy już o tym.
- Ale ona zachowała się wrednie, mamó. Przez nią przegrałem.

Rzucił Game Boya na podłogę i z oczami pełnymi łez zaczął wyglądać przez okno. Może to nie był dobry pomysł, żeby przestał chodzić do doktora Bernsteina. Nie znosił wizyt u psychiatry, twierdził, że lekarze niczym innym się nie zajmują, tylko grają w monopol i budują modele samolotów. Czułam, że zmuszanie go do tego to coś w rodzaju napiętnowania, ponieważ nie postawiono mu nawet diagnozy, jak choćby zespół nadpobudliwości psychoruchowej. Poza tym nie chciałam pogarszać jego stanu, który początkowo objawiał się tylko smutkiem i utratą pewności siebie, spowodowanymi prawdopodobnie nieobecnością ojca, a może także nadmiarem zajęć mamy, choć przykro mi to mówić.

Spojrzałam przez ramię na syna i jego Game Boya na podłodze. Doktor Bernstein mówił, że ważne jest okazywanie Dylanowi empatii, zrozumienia dla jego uczuć.

- Przykro mi, Dylan. To musi być naprawdę frustrujące. Zwłaszcza że byłeś tak bliski wygranej.

Nie odpowiedział.

- Pospiesz się, musimy porozmawiać. - Moja koreańska koleżanka, Abby Chong, dostrzegła mnie po drugiej stronie zatłoczonego pokoju redakcyjnego, gdy pozostali dziennikarze zakończyli transmisję z lądowania wahadłowca. Ruszyłam wzdłuż szeregu boksów, rzucając „dzień dobry” dwudziestu paru asystentom, których większość wyglądała, jakby nie spali od kilku dni. Ominęłam stojące przed boksami przenośne przeglądarki wideo ze stosami kaset na wierzchu, gotowymi lada chwila runąć. Uszy wypełniała mi znajoma kakofonia dzwonek telefonicznych, stukotu klawiatur komputerów i dźwięku odtwarzanych jednocześnie materiałów telewizyjnych i radiowych. Abby chwyciła mnie za łokieć i pociągnęła do drzwi mojego gabinetu. Zdążyłam jeszcze złapać z kupki trzy gazety.

- Wylałaś mi kawę! - Obrzuciłam spojrzeniem kilka kropel na mojej nowej bluzce.

- Przepraszam - odparła. - Jestem zmęczona, wykończona nerwowo. Poza tym masz poważniejsze problemy niż plamy od kawy.

- Serio? Takie jak twoje problemy z papieżem?

- Nie. Nasz zwariowany prezenter już dał sobie spokój z tym pomysłem. Teraz Goodman chce wywiadu z Madonną.

- Jak to się stało, że od wyłącznego wywiadu z papieżem przeszedł do wyłącznego wywiadu z Madonną?

- Za sprawą krzyża. Pamiętasz tę aferę z ukrzyżowaniem podczas jej koncertu jakiś czas temu? Goodman wczorajszego wieczoru poszedł na przyjęcie. Usiadł obok kogoś, kto wmówił mu, że Madonna przemówiłaby do widowni w wieku od osiemnastego do czterdziestego dziewiątego roku życia. Goodman uznał, że byłaby bardziej kontrowersyjna niż papież. Tylko że później musieliśmy tu siedzieć do czwartej rano i robić research. Chciał czegoś „świeżego”. Wszystko musiało być „świeże”. Zażyczył sobie biblijnych cytatów na temat papieża, żeby mógł napisać do niego list i przytoczyć je. Powiedziałam mu, że nie ma nic takiego, na co zareagował: „Przecież to papież, na miłość boską! Znajdź mi je!”.

- Ja nie będę pracować przy Madonnie. Nie zajmuję się produkcją materiałów o znanych osobistościach. Nie mam tego w umowie.

- Kiedy się dowiesz, w co wdepnęłaś, zrozumiesz, że nikt następnej umowy z tobą nie podpisze.

Pomyślałam, że przesadza. Abby brała się w garść w trakcie nadawania programu, ale poza tymi chwilami była strzeżeniem człowieka, tak jak teraz. Ciemne włosy miała spięte na czubku głowy jak szamanka i była w jaskrawofioletowym kostiumie, który wyglądał na niej po prostu okropnie. Wciągnęła mnie do gabinetu i zniknęła za sobą drzwi.

- Usiądź - powiedziała, krążąc po pokoju.

- A przeszkadzałyby ci, gdybym zdjęła płaszcz?

- Nie. Tylko pospiesz się.

- Daj mi dwie minutki, dobra? - Powiesiłam płaszcz na wieszaku za drzwiami, postawiłam kubek z kawą na biurku, usiadłam i wyjęłam z torebki rożek z żurawiną. - No dobrze, Abby. Co cię tym razem tak rozstroilo?

Oparła na biurku wyprostowane ramiona. Bez wstępów i owijania w bawełnę zdradziła fatalne wieści:

- Theresa Boudreaux udzieliła wywiadu Kathy Seebright. Nagrały go w poniedziałek w nieznanym miejscu. Ma być nadany w czwartek w „News Hour”. Drudge już go zapowiedział na swojej stronie internetowej.

Usiadła, podrzucając bezwiednie lewym kolaniem. Walnęłam czołem o blat biurka.

- Masz przechlapane - dobiła mnie. - Nie można tego inaczej nazwać. Goodman o niczym nie wiedział, ale nasz nieustraszony szef wezwał go piętnaście minut temu, żeby przekazać mu nowinę. A więc góra już jest na bieżąco.

Z wysiłkiem uniosłam głowę.

- Czy Goodman mnie szukał?

- Nie wiem. Próbowałam zadzwonić do ciebie na komórkę, ale włączyła się poczta głosowa.

Wydobyłam telefon z torby, ciągnąc za przewód słuchawki. Był wyłączony od poprzedniego wieczoru, zapomniałam go włączyć. Sześć wiadomości. Wstawiłam aparat do ładowarki na biurku. Zrobiło mi się niedobrze. Sytuacji nie poprawił fakt, że łyknęłam na pusty żołądek garść witamin. Rozerwałam rozek z żurawinami, wydłubałam z niego kilka owoców i ustawiłam w szeregu, gorączkowo obmyślając następny ruch.

- Poczekaj chwilę, to wykombinuję, jak zażegnać tę katastrofę.

- Czekam.

Z ramionami założonymi na piersi opadła na oparcie krzesła. Abby była bardzo ładną kobietą ze swoimi prostymi włosami i kremową azjatycką cerą, nie wyglądała na czterdzieści dwa lata. Była szefową researcherów i podczas programów na żywo zawsze siedziała poza zasięgiem kamery, półtora metra od naszego prezentera, Joego Goodmana. Na konsoli, którą miała przed sobą, znajdowały się tysiące fiszek z wszelkimi faktami i danymi, jakich „ważny” dziennikarz mógł potrzebować w każdej chwili - typ czołgu powszechnie używanego podczas wojny irackiej, liczba pasażerów zabitych w katastrofie lotu 103 Pan Am, życiorysy takich historycznych postaci jak Kato Kaelin\* czy Robert Kardashian\*\*.

\*Kato Kaelin (ur. 1959) - aktor amerykański, świadek w procesie O. J. Simpsona.

\*\*Robert Kardashian (ur. 1944) - adwokat, obrońca O. J. Simpsona.

Wymieniłam kilka pomysłów:

- Mogłabym od razu przeprosić Goodmana, zanim mnie zaatakuje. Takie działania wyprzedzające zawsze są skuteczne. - Głęboki oddech.

- Mogłabym przesłuchać wiadomości i sprawdzić, czy prawnik Boudreaux nie wspomniał przypadkiem, że jego klientka prowadzi też rozmowy z inną stacją. W piątek obiecał mi wywiad. Nic dziwnego, że nie odpowiadał na moje telefony przez cały weekend. - Przesunęłam na bok piramidę kaset wideo, żeby zrobić miejsce na biurku, ale zsunęły się na podłogę jak lawina.

- Myślałam, że ten wywiad jest już twój. - Abby starała się mi pomóc. - Naprawdę, zwłaszcza po tych twoich uwodzicielskich podchodach w zeszłym tygodniu, byłam pewna, że już go zaklepałaś. Goodman będzie tu za piętnaście minut. Na wszelki wypadek lepiej odsłuchaj te swoje wiadomości, chociaż...

- Chociaż co? - Chociaż nie da się zaprzeczyć, że straciłam materiał roku na rzecz promiennej blondyny Kathy Seebright, ulubienicy Ameryki. Jako ludzie z branży, wiedzieliśmy jednak, że ta dziennikarka o słodziutkim uśmiechu jest w stanie odgryźć facetowi jaja i wypluć mu je prosto w twarz. -Po co w piątek powiedziałam Goodmanowi, że sprawa jest załatwiona?! Powinnam była wiedzieć, że dopóki nie zacznie się nagranie, wszystko może się zdarzyć.

Abby wzruszyła ramionami. Nawet ona nie wiedziała, że w piątek wcześniej urwałam się z pracy, żeby zawieźć córeczkę na lekcję baletu. Wszyscy pewnie sądzili, że załatwiam sprawę wywiadu.

Czasami seksowne kobiety zachowują się jak idiotki, bo to pomaga im osiągnąć to, czego chcą. Theresa Boudreaux reprezentowała właśnie taki typ: zuchwała kelnerka, podająca w barze wafle, która miała diabła za skórą. Jednak, na nieszczęście dla wysoko postawionego urzędnika państwowego, była na tyle sprytna, by pójść do Radio Shack i za dziewięć dolarów kupić urządzenie do nagrywania rozmów telefonicznych. Potem użyła go, żeby zarejestrować swoje świńskie roz-



mowy z kongresmanem Hueyem Hartleyem, wpływowym, świętoszkowatym, żonatym od trzydziestu lat politykiem ze zdecydowanie prorepublikańskiego stanu Missisipi. Kiedy redaktorzy wiadomości telewizyjnych tracą możliwość uzyskania wywiadu na taki temat, potrafią być naprawdę wkurzeni i niebezpieczni. Producenci telewizyjni nazywają ich potworami niezależnie od tego, czy taki wywiad przejdzie im koło nosa, czy nie. Należy się ich bać nawet wtedy, gdy próbują być mili. A tego dnia nikt dla mnie nie mógł być miły.

Przez chwilę myślałam, że wylecę z pracy. Na swoją obronę miałam tylko to, że w moim przekonaniu zaklepałam już ten wywiad. Chwyciłam telefon komórkowy.

Jako czwarty rzeczywiście nagrał mi się prawnik Theresy Boudreaux - dzwonił o dziesiątej wieczorem. Co za kanalia! Gdy Seebright miała już w ręku taśmę z wywiadem, uznał, że powinien poinformować mnie o zmianie planów.

„Jamie, tu Leon Rosenberg. Jeszcze raz dziękuję ci za piątkowe kwiaty. Żonie bardzo się podobały. Eee... Musimy omówić zmiany w związku z tym, co planowaliśmy. Theresa Boudreaux ma pewne obawy. Zadzwoń do mnie jeszcze dziś. Masz wszystkie moje telefony”.

Zadzwoniłam do Leona do pracy, kipiąc ze złości. Odebrała ta jego irytująca asystentka, Sunny. Nigdy nie wiedziała, gdzie jest szef i jak go znaleźć, i zawsze kazała mi czekać, aż „sprawdzi”. I tym razem trzymała mnie na linii całe dwie minuty.

- Przykro mi, pani Whitfield. Nie bardzo wiem, gdzie jest teraz pan Rosenberg, więc nie mogę pani połączyć. Coś mu przekazać?

- Tak. Proszę zanotować dosłownie: „Słyszałam już o Seebright. Wal się. Jamie Whitfield”.

- Nie sądzę, żeby to nadawało się do zanotowania.

- Pan Rosenberg nie będzie zdziwiony. Uzna to za jak najbardziej stosowne, zważywszy na sytuację. Proszę przekazać mu tę wiadomość.

- Rozłączyłam się.

- To na pewno zwróci jego uwagę. - Charles Worthington

skinął z aprobatą głową, wchodząc do mojego pokoju, po czym zajął miejsce na kanapie i wziął gazetę. Był współproducentem, który wykonywał śledczą robotę przy programach Joego Goodmana. Ten trzydziestopięcioletni jasnoskóry Afro-amerykanin, który z łatwością mógłby uchodzić za białego, wychował się w Luizjanie, wśród czarnej elity kreolskiej. Był niski, szczupły i zawsze nieskazitelnie ubrany. Mówił kojącym głosem, z dyskretnym południowym akcentem. Pracowaliśmy razem od dziesięciu lat, razem nabieraliśmy szlifów w tej branży. Często nazywałam go moim biurowym mężem, mimo że był gejem.

Trzydzieści sekund później zadzwonił telefon.

- Tak, Leon?

- Jamie, naprawdę. Zachowałam się nieuprzejmie. To tylko moja sekretarka, cała jest roztrzęsiona. I bardzo zażenowana.

- Nieuprzejmie? Nieuprzejmie? Czemu nie użyjesz słowa „nieetycznie”? „Nieprofesjonalnie”? „Nielojalnie”? - Charles zerwał się z kanapy, zaciskając dłonie w pięści i zagrzewając mnie do walki. - Powiedziałaś, że jesteśmy umówieni. Ile listów napisałam do tej twojej cwanej sexy klientki? Ile razy ściągałam wielkiego redaktora Goodmana, żeby próbował jej rozmiękłych naleśników? A ty co robisz? Umawiasz się na wywiad z Kathy Seebright i jeszcze tego samego dnia kręcisz reklamę obcisłych džinsów Theresy Boudreaux? Dlaczego wybrała akurat wywiad z kobietą redaktorem? Coś tu nie gra.

- Takie wampy jak Theresa zawsze wolą rozmawiać z dziennikarzami płci męskiej, którzy nie mogą skoncentrować się na pytaniach, bo dyskretnie starają się ukryć wypukłość w spodniach.

- Jamie, spróbuj się uspokoić. Tak to jest z telewizją. Theresa uznała w ostatniej chwili, że Kathy będzie jej zadawać łagodniejsze pytania. Przestraszyła się tego waszego prowadzącego. Naprawdę ma opinię ostrego gościa.

- Jestem pewna, że to była wyłącznie jej decyzja, Leon. Nie miałeś na to żadnego wpływu. - Przewróciłam oczami, patrząc na Abby i Charlesa.

- Posłuchaj - powiedział Leon. - Obiecuję, że ci to zrekompensuję. Mam dokumenty sądowe z procesu O. J. Simpsona, które nie widziały światła dziennego, a byłyby prawdziwą sensacją dla takiej małej stacji telewizyjnej jak wasza, i mogę...

Rozłączyłam się.

- Czym się tłumaczył?

- Tym, czym zawsze z nim przegrywamy: że Seebright sprawia wrażenie łagodniejszej niż Joe Goodman.

Jak mogłam dopuścić do tego, by ten wywiad mi umknął, chociaż mieliśmy go już w ręku?! Dlaczego nie przedsięwzięłam dodatkowych środków, żeby Theresa Boudreaux nam nie związała? A przede wszystkim dlaczego tak nam zależy na tym wywiadzie? Tylko dlatego, że Hartley był kontrowersyjnym, prorodzinnym politykiem, z czwórką dzieci? Czy jego nieprzyzwoite zachowanie zasługiwało w ogóle na takie zainteresowanie mediów? Absolutnie tak.

Hartley nie był zagorzałym chrześcijańskim konserwatystą, ale z powodu swoich zajadłych wypowiedzi antygejowskich i prorodzinnych wyróżnił się jako jeden z najbardziej wygadanych polityków z południa. Mający jakieś czterdzieści kilogramów nadwagi i prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, zwykle kręcił się wokół mównicy, żeby górować nad publiką, z zaciśniętymi szczękami, wymachując pięścią. Jego wydatne usta z wysuniętą dolną wargą okolone były siwawymi wąsami i kozią bródką. Miał jasnoniebieskie oczy i stale spoconą łysinę, która odbijała światła reflektorów. Pomógł swojej partii wygrać w 2004 roku wybory do władz federalnych Missisipi i do Białego Domu, wspierając dążenia, żeby w dwudziestu czterech stanach przeprowadzić referendum przeciwko zalegalizowaniu małżeństw gejowskich. Na wybory prezydenckie sprowadził autokarami najbardziej zachowawczych katolików, co okazało się kluczowym czynnikiem dla zwycięstwa republikanów. Tendencje anty gejowskie zamierzał wykorzystać także przed wyborami 2008 roku, optując za poddaniem pod głosowanie w trzydziestu paru stanach starych praw prze-

ciwko stosunkom homoseksualnym, dawno usuniętych z kodeksów.

Zanim udałam się do gabinetu szefa produkcji, Erika Jamesa, próbowałam pogodzić się z rozmiarami mojej porażki, co powstrzymałoby mnie od dyskusji. Jakiegokolwiek polemiki nie były dobrym pomysłem, kiedy Erik wpadał we wściekłość. Siedział właśnie za biurkiem i kończył rozmowę telefoniczną, gdy wprowadziła mnie do niego asystentka. Spojrzałam na dziesiątki nagród Emmy, które stały na półce. Erik pracował dla NBS już prawie dwadzieścia lat, początkowo jako producent niedzielnych programów informacyjnych, a potem wystartował z tą bonanzą, przynoszącą mnóstwo nagród, jaką był *Newsnight with Joe Goodman*.

Po chwili odłożył słuchawkę i popatrzył na mnie. Potem zaczął tyradę:

- Grasz o dużą stawkę.

- Ale ja nie chciałam...

- A nie masz opanowanych procedur. - Wstał z fotela, obszedł biurko i przeszedł do ataku. Liczący metr sześćdziesiąt wzrostu Erik miał brzuch jak kobieta w ciąży dwa tygodnie po terminie porodu. Chociaż stał w bezpiecznej odległości, prawie mnie nim szturchał. - Spieprzyłaś sprawę!

- Wcale nie!

- Tak! - Machnął rękami w powietrzu jak King Kong. Wtedy odpięła mu się jedna z szelek i z furią zaczął manipulować dłonią na plecach, żeby ją uchwycić. Teraz był naprawdę wkurzony.

- Erik, Leon Rosenberg zapewnił mnie...

- Nie obchodzi mnie, o czym cię zapewnił! Ile razy to robiłaś? Wydaje ci się, że co to jest? Zakupy? - To było poniżej pasa. Nie tylko byłam jedyną producentką *Newsnight*, mającą bogatego męża, ale od ponad dziesięciu lat urabiałam sobie ręce po łokcie dla tego faceta i załatwiłam mu więcej sensacyjnych materiałów niż którykolwiek inny członek zespołu.

- To naprawdę niesprawiedliwe. Wiesz, że zrobiłam wszystko, aby zdobyć tę historię.

Wydał nozdrza.

- Z tego, co mi wiadomo, nie zdobyłaś dla mnie żadnej historii. Tylko, kurwa, ciągle jesteś zdziwiona.

- Ja... ja...

Prychnął z pogardą. Potem sięgnął ręką do wielkiego szklanego słoja, który stał na jego biurku, i wyjął z niego garść żelek.

- Wynoś się stąd - wymamrotał i kilka kropli jego zielonej śliny wylądowało na mojej bluzce, tuż przy plamach od kawy.

Batalia została na razie zakończona. Wiedziałam, że następnego dnia rano jako zespół zaczniemy pod innym kątem rozpracowywać sprawę Theresy Boudreaux. Nie pierwszy raz przez to przechodziłam. Wprawdzie porażka była przygnębiająca, ale nie pozwoliłam, aby mnie dobiła. Musieliśmy po prostu zdobyć jakieś informacje i relacjonować całą tę historię. Wszystkie brukowce w kraju publikowały na okładkach zdjęcia Theresy, wiele z pytaniem: „Hartleyowi staje serce?”. Prawicowe programy radiowe głosiły swoje niegasnące poparcie dla tego polityka, jednocześnie miażdżąc członków liberalnej elity pracującej w mediach.

W końcu, jak się okazało, w rozmowie z Kathy Seebright Theresa nie ujawniła niczego nowego; potwierdziła jedynie, że знаła Hartleya, że byli ze sobą „blisko”. Wyszło na to, że moi szefowie i ja biliśmy tylko pianę. Ale takie awantury o nic to codzienność w branży informacji telewizyjnych.

Znalazłszy się znowu we własnym gabinecie, starannie pomalowałam usta szminką, jakby próbując odzyskać kontrolę nad dopiero co rozpoczętym dniem. Z puderniczką w rękę przystanęłam na chwilę przy oknie i spojrzałam na Hudson. Zaczęły się piętzyć kłopoty: kłapa zawodowa, nieznośny mąż, Dylan i jego problemy. Na zegarku była jedenasta - Dylan miał gimnastykę przed lunchem, może ćwiczenia popra-

wiły mu trochę humor. Prosił mnie, żebym odwołała jego spotkania z kolegami w tym tygodniu. Najwyraźniej z powodu upokorzenia podczas meczu miał ochotę po lekcjach zaszyć się w domu i wpaść w trans przy budowie robotów z klocków lego. Powiedziałam mu jednak, że niczego nie odwołam, bo uważałam, że kontakty z kolegami dobrze mu zrobią. Nie bardzo wiedziałam, jak z nim postępować, wydawało mi się, że najlepiej działać zgodnie z rutyną i nie pozwolić, by zamknął się w sobie. Kiedy wpadam w dołek, jem kity katy. Gdy zębami rozrywałam opakowanie batonika, zadzwonił telefon.

- Kochanie, to ja. - W tle usłyszałam klaksony i pisk hamulców.
- Tak?
- Chciałbym cię przeprosić.
- Dobra. Słucham.
- Przepraszam za rano. Przepraszam, że byłem trudny. -Przejechało coś na sygnale.
- Trudny?
- Przepraszam, że byłem nieznośny.
- Tak to trzeba nazwać. - Ugryzłam kawałek batonika.
- Wiem. Dlatego dzwonię. Kocham cię.
- W porządku. - Chyba mogłam mu przebaczyć.
- I chcę ci powiedzieć, że będziesz mnie kochać jeszcze bardziej niż dotąd.
- Naprawdę? A to z jakiego powodu?
- Otóż mój sukces z Hadlow Holdings przyniósł dodatkowe efekty.
- Dużo ci zawdzięczają.
- I dają mi w zamian niemało.
- Dobra. Co to takiego?
- Pytanie powinno brzmieć: co z tego będzie miała moja żona?
- Phillip, nie mam pojęcia. Nie chodzi o forszę, więc o co? Jak mogą ci się zrewanżować?
- Właśnie o to samo mnie zapytali.
- No i...?

- Co byś powiedziała na pomoc Azyłowi dla Młodzieży? Moja działalność charytatywna. Wspierałam przybrane dzieci i byłam w zarządzie od dziesięciu lat. Organizacja bankrutowała, szła wręcz na dno; już prawie nie mogła służyć zdesperowanym dzieciakom. Łzy napłynęły mi do oczu.

- To nieprawda...

- Prawda.

- Jaka to będzie pomoc?

- Duża.

- Jak duża?

- Zamierzają dokonywać regularnych wpłat na konto.

- Nie mogę uwierzyć, że zrobiłeś coś takiego. To wszystko zmieni.

- Wiem. Dlatego tak o to zabiegałem.

- Nie wiem nawet, co powiedzieć.

- Nic nie musisz mówić.

- Dziękuję ci, Phillipie. To zdumiewające. Nie wspomniałeś, że myślisz o czymś takim.

- Przekazujesz im sporo pieniędzy i poświęcasz wiele swojego czasu. Ja chciałem dać im coś bardziej konkretnego. Wiem, ile to dla ciebie znaczy.

- Bardzo wiele.

- Wiem.

- Ja też cię kocham.

- Sprawa druga: chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła przed moim wylotem do Cleveland.

- A w ogóle, gdzie jesteś? - zapytałam. - Ledwie cię słyszę przy tych wszystkich klaksonach. Na Times Square?

- Jestem w biegu. Odbierzesz dzieci?

- Tylko Gracie. Nie mogę zapomnieć, jaką miała minę dziś rano. Odbiorę ją z zajęć, ale poprosiłam Yvette, żeby przejęła ją ode mnie pod domem. Potem znowu pędzę do pracy.

- Świetnie. Chciałbym, żebyś przed odebraniem Gracie wpadła na chwilę do domu.

- Nie będę miała czasu.

- To bardzo ważne. - Phillip nagle zaczął mówić jak dyrektor angielskiej szkoły z internatem. - Zależy mi na tym, żebyś pojechała do domu, poszła do mojego gabinetu, włączyła mój komputer i zanotowała szyfr do mojego nowego sejfu. Na ekranie automatycznie pojawi się pytanie o hasło.

- Czy to nie może poczekać?

- Proszę, żebyś zrobiła, co ci mówię, na miłość boską!

- Nie, nie będę robić, co mi mówisz. Od rana wszystko mi się wali i mam mnóstwo roboty. Uwierz mi, to nie jest dobry dzień, żeby zrywać się z pracy. Nie potrafię wyrazić, ile dla mnie znaczy ta pomoc dla naszej organizacji. Wiesz o tym. Ale nie mogę spełnić twojej prośby.

- Kochanie, to nie jest prośba. To coś, co musisz dla mnie zrobić. Wyjeżdżam na trzy dni i przed wylotem chcę wiedzieć, że to zostanie załatwione.

- To naprawdę takie ważne?

- Tak, moja piękna. - Nadał swojemu głosowi czarujące brzmienie. - Owszem. Kocham cię. Proszę. Będę ci ogromnie wdzięczny.

Pomyślałam, że może uda mi się wpaść do domu po odebraniu Gracie, tak by nikt w pracy nie zauważył, że wyszłam.

- Dobra, pospiesz się. Jakie to hasło? Żadnej odpowiedzi.

- Phillipie, zrobię to dla ciebie, ale też jestem w pędzie. Jakie jest hasło do twojego domowego komputera? A w ogóle nie mogłeś o tym pomyśleć rano?

- Rano nie mogłem się skupić. Przez Dylana, oczywiście. Westchnęłam, stukając długopisem o podkładkę.

- Miałeś podać hasło...

- Eee...

. - Jakie to hasło?!

- Hasło brzmi: „cipcia”.

- - Co takiego? Chyba żartujesz! Brak odpowiedzi.

- Phillipie, twoje hasło to „cipcia”? Beznadziejne! Czy takiego samego używasz w pracy? W takiej sztywniackiej fir-



nie prawniczej jak twoja? A co będzie, jeśli wasz informatyk wejdzie na twoje konto?

- Miałbym przejmować się informatykiem?

- Nie mogę uwierzyć, że chcesz, abym wystukała słowo „cipcia” na klawiaturze.

- Przepraszam cię, ale tak. To hasło osobiste. Nikt poza mną go nie zna, a na moje nieszczęście teraz poznałaś je ty. Jestem dupkiem, masz prawo mnie zabić. Ale kiedy już przyjedziesz do domu, wejdź do mojego gabinetu i wystukaj „cipcia” na klawiaturze mojego komputera. Znajdź nowy szyfr do sejfu, jest w folderze pod tytułem „zajęcia dzieci”. To czterdzieści osiem, sześćdziesiąt dwa i coś jeszcze...

- I co dalej?

- Na moim biurku, w kasetce na pocztę, pod jakimiś bankowymi papierami albo po prostu na stosie dokumentów po prawej stronie zobaczysz teczkę z napisem „Ridgefield”. Chciałbym, żebyś włożyła ją do sejfu.

- Po co?

- Carolina.

- Co Carolina?

- Po pierwsze, sprawa nożyczek do paznokci. Po drugie, podczas odkurzania kładzie na blacie biurka gazety do wyrzucenia, a potem razem z nimi niechcący zgarnia ważne dokumenty i wszystko wywala. Mnóstwo papierów mi ginie. A nie mogę ryzykować, że przypadnie i to.

- Proszę! Zaczynasz popadać w paranoję. Mogę do niej zadzwonić i powiedzieć, żeby nie ruszyła niczego na twoim biurku.

- Codziennie jej powtarzam, żeby nie dotykała nożyczek do paznokci, spinek do krawata ani mojego ulubionego pióra Mont Blanc i codziennie nie mogę znaleźć żadnej z tych rzeczy. Ona po prostu nie słucha, co się do niej mówi.

- Wiesz, że mężowie są bardziej absorbujący niż dzieci? -Opadłam na biurko jak zwiędła skórka od banana.

- Nie prosiłbym cię o coś takiego, ale w tej epoce nigdy nie wiadomo.

- Nie wiadomo co?

- Nic nie wiadomo! To epoka informacji! Można ukraść wszystko z kosza na śmieci, ze skrzynki pocztowej, z komputera. - Phillip popadł teraz w chłodny ton osoby wszystko wiedzącej. - Pochodzę z trzypokoleniowej rodziny prawników, jestem przygotowany do podejmowania przezornych decyzji i mam w tym doświadczenie. To właśnie przejaw przezorności. Jadę na lotnisko Newark i nie mogę już wpaść na East Side. A chcę wiedzieć, że sprawa została załatwiona.

- Dlaczego nie mogę tego zrobić wieczorem, po powrocie do domu? Phillip stracił cierpliwość.

- Po raz ostatni bardzo cię proszę: przestań zadawać tyle pytań. Bardzo byś mi pomogła, gdybyś choć raz, choć ten jeden raz, zrobiła to, co ci mówię.

Chrząknęłam znacząco, pojechałam do domu i zrobiłam... nie całkiem to, co mi polecił.

## Wszyscy to wiedzą

W południe w Nowym Jorku padał deszcz.

- *Qui?* - Maître wystawił swój wielki francuski nos przez szparę w masywnych lakierowanych drzwiach koloru czekolady.

- Przyszłam... eee... na lunch?

- *Avec?*

- Moknę tu na dworze. Z Susannah, to znaczy...

- *Qui?*

- Z Susannah Briarcliff, na pewno pan...

Drzwi się otworzyły. Jean-François Perrier spojrzał na mnie, jakbym była powietrzem. Pokazałam mu na migi, że jestem umówiona z moją przyjaciółką Susannah, która siedziała w głębi, i uśmiechnęłam się głupio, patrząc żałośnie w jego głębokie niebieskie oczy. Machnął ręką i przywołał pomocnika kelnera, żeby zaprowadził mnie na miejsce. Najwyraźniej obowiązywała tu zasada „minimum kontaktu”. Francesca, selekcjonerka, zlustrowała mnie od góry do dołu i stwierdziła, że raczej nie jestem z „tych”. Jednocześnie jednak uznała, że może bez przeszkód dokończyć dietetyczną colę przy barze, zamiast zająć się moim płaszczem. Zdegustowana, strząsnęłam z parasola krople deszczu.

„La Pierre Noire” nie ma szyldu nad wejściem, nie ogłasza też swojego numeru telefonu. To ekskluzywna knajpka jednej z najdziwniejszej braci na świecie: gatunku bardzo bogatych istot ludzkich, które zamieszkują Grid, szczególny kwartał

miasta, rozciągający się od Seventieth do Seventy-ninth Street na osi północ - południe i od Park Avenue do Fifth Avenue na osi wschód - zachód.

Biada mieszkańcowi West Side, który przechodząc obok, wzięłby to miejsce za normalnie działającą restaurację, dostępną dla szerokiej klienteli. Szybko przekonałby się, że nie jest tu mile widziany, chociaż wolnych miejsc nie brakuje. Przez okno widać luksusowe aksamitne kanapy, otaczające małe mahoniowe stoliki. Między nimi przeciska się trzydziestu kilku przystojnych kelnerów, ubranych w dżinsy i wy-krochmalone żółte koszule z kołnierzykami.

Moje najlepsze przyjaciółki nie muszą, jak Susannah Briarcliff, umawiać się w knajpach na lunch, żeby żyć. Większość ich pracuje. Jednak Susannah to jedna z niewielu mieszkanek Grid, dla której schodzę z utartych ścieżek. Łatwo zapomnieć, że pod całym tym jej niesamowitym bogactwem i oszałamiającymi genami kryje się całkiem zabawna dziewczyna. Jeśli ktoś chciałby ją zobaczyć, to na zasadzie szukania Waldo\* wystarczy zajrzeć do jakiegokolwiek czasopisma, które publikuje zdjęcia z imprez - w „Harper's Bazaar”, „Vogue'u”, w dziale „Style” „New York Timesa”. Susannah ma dwoje dzieci, trzy psy, siedmioro służących i jeden z największych apartamentów w mieście. A wszystko to dzięki temu, że należy do jednej z największych amerykańskich dynastii, zajmującej się handlem nieruchomościami. Ma metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, szczupłą wysportowaną sylwetkę i krótkie blond włosy ostrzyżone na Meg Ryan. Jest żoną redaktora naczelnego „New York Timesa”, dzięki czemu odstaje od większości mieszkanek East Side, które mają za mężów pozbawionych polotu bankowców. Chociaż nie należy do kategorii moich najlepszych przyjaciół - jak Kathryn z centrum, Abby i Charles z pracy, którym należy się ten tytuł - również jest mi bliska.

\*Waldo - bohater serii książeczek dla dzieci *Where 's Waldo?* i programów telewizyjnych.

Zajęłam miejsce na pluszowej kanapie obok niej.

- Jamie. Dobrze wyglądasz. Naprawdę dobrze.

- Nie wiem, czy jestem odpowiednio ubrana...

- Przestań.

Dwanaście z piętnastu stolików było zajętych przez młode nowojorskie snobki w swetrach z futrzanymi kołnierkami i gejowskich organizatorów przyjęć, przeważnie szarlatanów, którzy liczą sobie trzysta pięćdziesiąt dolarów za godzinę, a zajmują się głównie dobozem kieliszków do wody w kolorze fuksji na obiad w stylu arabskim dla dwunastu osób. Albo obcasów w cętki geparda do prostego czarnego kostiumu. Gdyby któraś z tych damulek kupiła coś powszechnie rozpoznawalnego jako hit sezonu, musiałaby to spalić przed końcem roku. Jeśli jakaś bluzka czy koszula pojawi się na łamach „Vogue'a”, dla nich jest już *passé*. Przyjrzałam się moim dżinsom, białej bluzce i zwykłemu czarnemu jedwabnemu żakietowi. Kiedy opowiedziałam mamie o kobietach z mojego otoczenia - i o ogarniającym mnie czasami poczuciu, że nie mogę się z nimi równać - zganiła mnie za to. „Jak zamierzasz osiągnąć to, czego chcesz, jeżeli cały czas porównujesz się z innymi? Nie skupiaj się na tym, co błędnie oceniasz jako swoje niedostatki”.

W drzwiach stanęła Ingrid Harris z czteroletnią córeczką, Vanessą, i jej nianią. Jean-François potknął się w swoich masywnych francuskich mokasynach, tak gwał, aby ją przywitać.

- *Chérie!* - Buzi, buzi.

Pstryknął palcami i Francesca odczocho zdjęła szal z ramion Ingrid. Potem odpięła sprzączki płaszczka przeciwdeszczowego Vanessy, odsłaniając różowe tutu pod spodem. Niania tymczasem stała z tyłu i sama rozbierała się z płaszczem, przyzwyczajona do tej procedury.

Ingrid wyglądała świetnie, była bardzo atrakcyjna ze swoimi szeroko rozstawionymi brązowymi oczami łani i długimi wycieniowanymi włosami, które odgarnęła do tyłu, przytrzymując je okularami przeciwsłonecznymi w stylu Jackie O. Lepiej niż ktokolwiek zdawała sobie sprawę, że zbyt nabożny

stosunek do mody mówi o człowieku wszystko. Ubrana była w wytarte džinsy i jasnozielony żakiet Chanel za cztery tysiące dolarów, który wyglądał, jakby został wyciągnięty z dna szafy. Nieważne, co się wkłada, ważne, jak się to nosi; nie można dawać po sobie poznać, że jest się dumnym z nowego drogiego i modnego żakietu, który ma się na sobie. Tak zachowują się tylko „oni”.

- Miło cię widzieć, Jamie - powiedziała Ingrid. - Cześć, Susannah.

Susannah odpowiedziała wymuszonym uśmiechem, ale nie odezwała się, ani nawet nie uniosła głowy. Ze skupieniem maczała pieczywo w oliwie o aromacie rozmarynu i mieszała słomką pellegrino.

Zapadła niezręczna cisza. Przerwałam ją.

- Ingrid, nie mogę uwierzyć, że zaledwie miesiąc temu urodziłaś dziecko. Ta twoja figura, wyglądasz świetnie!

Ingrid ruchem głowy odrzuciła jedwabistą karmelową grzywę.

- Powiedziałam im, co mają robić, żeby szybko doprowadzić mnie do formy, i miałam rację, chociaż wszyscy się oburzali.

Susannah zachichotała.

- To, co zrobiłaś, nie było normalne. Przykro mi to mówić, ale większość lekarzy musiałaby się sprzeciwić.

Ingrid, wcale niespieszona, oparła ręce na biodrach.

- To może być nienormalne dla ciebie, po tych twoich dwóch całkowicie naturalnych porodach. Ale ja nie pochodzę ze szczepu zaprawionych w bojach pierwszych osadników, jak ty. Jestem z tych, którzy nie wierzą w sens dobrowolnego skazywania się na dyskomfort.

- To nie znaczy...

- A to znaczy, że nikt by nie zmusił mnie do naturalnego porodu. Powiedziałam to mojemu lekarzowi, gdy tylko poinformował mnie, że jestem w ciąży. Oświadczyłam: „Doktorze Shecter, to wspaniała wiadomość, ale musi pan wiedzieć, że nie zamierzam rodzić siłami natury”.

Myślałam, że Susannah ją zabije.. Ingrid ciągnęła dalej:

- To zbyt męczące. Wyjawiłam mu moje motto: „Nie interesuje mnie coś, czego nie można zrobić na obcasach”. Powiedziałam mu, że to nie dla mnie. I zażądałam cesarskiego cięcia.

- Jak to przyjął? - zapytała Susannah.

- Odparł: „Droga pani, coś pani powiem. Będzie pani rodzić naturalnie, czy się to pani podoba, czy nie”. A ja na to: „Nie, proszę posłuchać. To ja powiem panu coś, co najwyraźniej do pana nie dociera: nie życzę sobie naturalnego porodu”.

- I co zrobiłaś?

- Poszłam do innego lekarza, który zrozumiał, o co mi chodzi, i zgodził się na cesarskie cięcie. Zdecydował, że przeprowadzimy je w trzydziestym dziewiątym tygodniu ciąży.

Susannah przewróciła oczami.

- Ale ten lekarz z kolei nie chciał obiecać, że da mi ogólne znieczulenie. - Ingrid postukała obcasem i ze zniecierpliwieniem splotła ramiona przed sobą. - Więc zwróciłam się do East Side Presbyterian i powiedziałam, że mają je u mnie zastosować!

- I zgodzili się? - zapytała Susannah z niedowierzaniem. - Bez konkretnej przyczyny natury medycznej?

- Cóż, moja droga, rzeczywiście protestowali, ale nakłoniłam Henry'ego, żeby przyznał ordynatorowi oddziału położniczego członkostwo w klubie golfowym „Atlantic”, i nie mieli wyjścia.

Susannah odkaszlnęła w serwetkę, jakby zaraz miała z wymiotować. Mimo ekscentrycznego zachowania Ingrid podziwiałam ją za to, że zawsze osiąga to, czego chce, i nigdy nie boi się tego zażądać.

- Dlatego zresztą przyszłam tutaj, Jamie - kontynuowała Ingrid. - Dostałaś mojego e-maila na temat aukcji?

- Tak.

- W tym roku, na szczęście, nie organizują jej już w tej obrzydliwej galerii w West Village. Oświadczyłam, że jeśli to

zrobią, nie będę przewodniczyć tej imprezie. Powiedziałam komitetowi organizacyjnemu: „Proszę państwa, pomyślcie o tłumach, które się zjawia. Bogaci ludzie nie lubią opuszczać Upper East Side!“. Nie lubimy także udawać, że jesteśmy biedni i tacy trendy. Mam rację? Bo przecież nie jesteśmy. Więc robią to w Doubles. Miło i dla was blisko.

- Nie jestem pewna, czy będę mogła przyjść.

- Nawet jeśli nie będziesz mogła, chcielibyśmy, żeby wasz prezenter pozwolił nam wystawić na licytację wizytę w studiu podczas nagrywania *Newsnight with Joe Goodman*. Znasz go dobrze, prawda? To znaczy pracujesz przy produkcji jego programu, odkąd cię znam.

- Owszem, to mój szef... aleja... nie wiem, czy wypada...

- Och, Jamie, prooszę. Co jest dla ciebie ważniejsze: chwila kłopotliwej rozmowy z szefem czy szansa na leczenie kogoś cierpiącego na alzheimera? To co, mogę na ciebie liczyć?

- Muszę to uzgodnić z jego...

- Coś ci powiem. A może wysłałabym mu miły liścik na mojej osobistej papeterii, wspominając, że się przyjaźnimy i że bardzo by mi zależało...

- Ingrid, nie sądzę, aby dobrze to przyjął. Już lepiej sama go spytam.

- Świetnie, o to właśnie mi chodzi. Zapytaj go. Przechytrzyła mnie i dobrze o tym wiedziała. Musiałam się więc uśmiechnąć.

- A przy okazji... - szepnęła, unosząc świeżo nawoskowane brwi, i spojrzała znacząco na moje stopy.

Popatrzyłam na moje czarne sandały, sądząc, że wdepnęłam w jakieś nieczystości na chodniku.

- Te buty - poinstruowała mnie z troską. - Są wieczorowe. A mamy dopiero południe, na miłość boską!

Gdy podano nam główne dania - Susannah zamówiła pularkę z duszoną endywią, a ja trzykolorową sałatę z grillowanymi krewetkami - przeszłam do tematu, który wciąż mnie dręczył.



- Martwię się o Dylana. Podczas meczu w koszykówkę przeżył coś w rodzaju załamania.

- Słyszałam o tym.

- Tak?

- Uhm. Pozycja embrionalna zamiast rzutu do kosza?

- O nie! Myślisz, że wszystkie dzieci już o tym mówią?

- Tak.

- Naprawdę? O Boże! - Zasłoniłam twarz serwetką. Susannah odsunęła ją.

- To chyba był naprawdę dramatyczny moment.

- Rozplakał się potem w moich ramionach. Był taki zawstydzony.

Pogładziła mnie po ramieniu.

- To było coś w rodzaju tremy.

- Boję się, że to coś więcej. Nie wiem, czy to normalne, czy nie, ale wydaje mi się, że z powodu ciągłej nieobecności Phillipa mały zaczyna mieć poważne problemy z samooceną. Był kompletnie załamany w zeszłym tygodniu, gdy Phillip nie zabrał go na bejsbolowe przyjęcie urodzinowe w sobotę. Płakał jak małe dziecko, rozrzucał zabawki po całym pokoju, rozsypał karty z bejsbolistami po podłodze. A potem jeszcze ta historia na meczu koszykówki.

- Chodzi nadal do tego psychiatry?

- Przestał. Błagał mnie, żeby go do tego nie zmuszać. Szczerze mówiąc, te wizyty chyba mu nie pomagały. Czuł się, jakby było z nim coś nie tak. A przecież ma się dobrze, nic mu nie dolega. Nie chcę robić z niego jakiegoś depresyjnego dzieciaka. Coś się z nim dzieje, ale to wciąż mój wspaniały synek, który entuzjazmuje się swoimi klockami lego, dużo czyta i dobrze radzi sobie w szkole.

- A co drogi Phillip ma do powiedzenia na ten temat? -Susannah uwielbiała mojego męża; mieli ze sobą dużo wspólnego, oboje pochodzili z tej samej sfery, z sielskiej krainy anglosaskich protestantów.

- Kto to wie? - Wzruszyłam ramionami.

- Co to znaczy?

- Phillip niepokoi się o Dylana. Oczywiście, że tak. Ale jest... no wiesz, ostatnio mamy niewiele czasu na rozmowy.

Susannah pogroziła mi palcem.

- Pamiętasz, co ci radziłam? Pokiwałam głową. Pochyliła się ku mnie.

- I robisz to? - . Uniosłam ręce w geście świadczącym, że chyba nie. Postukała palcami o stół.

- Mówiłam ci to setki razy. Rób mężowi laskę. Jak najczęściej rób mu laskę.

Chociaż uwielbiałam Susannah, czasami trudno mi było się z nią porozumieć, bo było w niej coś, co sprawiało, że czułam się wobec niej gorsza. Zaczynając choćby od tego, że z samego rana robiła swojemu mężowi laskę.

Tym razem poklepała mnie po ręce.

- Nie zapominaj, co ci powiedziałam.

- Wiesz co? Nie zawsze mam ochotę robić mężowi laskę.

- A myślisz, że ja mam? Ale to trwa tylko dziesięć minut i masz z głowy, a on jest tak zadowolony, że skacze pod sufit. To sposób na uratowanie każdego małżeństwa. Wierz mi. Szkoda, że nie mogę wystąpić u Oprah i tego rozgłosić; zapobiegłabym masie rozwodów. To dobry tytuł programu: „Zawsze rób mężowi laskę”.

- A jak często to robisz? Tylko nie przesadzaj. Uniosła głowę i zawahała się przez chwilę.

- Cztery razy w tygodniu.

- To dużo.

- I zawsze ja inicjuję zabawę, w tym cała rzecz. Poza tym musisz to robić z sercem. To drugi warunek.

- Z sercem? To znaczy jak?

- Jakbyś o niczym bardziej nie marzyła. Oni to uwielbiają.

- Dobra, nawet gdybym miała na to ochotę, gdybym w dzień powszedni z samego rana nie marzyła o niczym innym, co jest raczej niemożliwe, Phillipa po prostu nie ma.

- Wyjeżdża częściej niż kiedyś?

- Nie ma go ze trzy dni w tygodniu. A kiedy jest w mieście, często wychodzi z klientami na kolację.

Susannah porzuciła swój ulubiony temat, czyli kwestię robienia laski, i westchnęła.

- To spory problem dla dziewięciolatka. Nieobecny ojciec... Dzieciaki tego nie lubią.

Oj tak.

- Kiedy zamieszkałam w tej okolicy, poznałam te wszystkie matki z East Side, które zatrudniają tabun pełnoetatowych służących. Nie bierz tego do siebie, Susannah, po prostu nigdy wcześniej nie zetknęłam się z czymś takim. Niania do każdego dziecka, sprzątaczkę do porządków, kucharkę do przyrządzania posiłków, kierowcę do wożenia, zarządcę do prowadzenia całego gospodarstwa domowego. - Susannah pokiwała głową. Zatrudniała te wszystkie osoby oraz jeszcze inne. - Słyszałam, że wynajmuje się nawet facetów, którzy urządzają awantury chłopcom pod nieobecność ojców bankierów, zajętych zbijaniem forsy. To mnie zaszokowało: żeby zatrudnić faceta pełniącego rolę ojca! Zarzekałam się, że nigdy nie będę jedną z matek, które wynajmują zastępczych tatusiów dla dziecka.

Susannah uśmiechnęła się.

- No i...?

- I w końcu zaczęłam się zastanawiać. Jestem w takiej, a nie innej sytuacji, mam szczęście, że wiodę nieprzyzwoicie zamożne życie, i może rzeczywiście powinnam zatrudnić faceta, który zajmowałby się Dylanem. No wiesz, jakiegoś studenta college'u, który odbierałby Dylana ze szkoły, grał z nim w piłkę w parku, rozmawiał o samochodach i tak dalej. Czyżbym stała się jedną z tych okropnych kobiet, które nie potrafią sobie poradzić nawet z własnym synem? To czyste wariactwo. - Ta rozmowa trochę mnie zdenerwowała. Nadziałam wielką krewetkę na widelec i wsadziłam ją do ust.

- To nie byłby jakiś tam facet, ty głupia - powiedziała Susannah.

- Owszem, byłby. Właśnie że tak. Poddaję się. Jestem taka jak ty. Boże, dopomóż mi.

- To nie byłby zwykły facet - podkreśliła raz jeszcze. - Tylko nianiek. Czyli męska niańka. Wszyscy to wiedzą.

Wszyscy prócz mnie.

- Nianiek? Tak ich nazywacie? Żarty sobie ze mnie robisz?

- Daj sobie spokój z tym psychiatrą. Mówię ci, zatrudnij niańka! Po to właśnie są, zajmują się chłopcami w zastępstwie ich ojców, gdy ci liżą tyłki klientom w Pittsburgu.

- Więc mój wychowywany w mieście syn mógłby pod opieką niańka chodzić do parku, łapać owady i robić wszystko to, co robią dzieci ze wsi?

- Ależ tak! Nianiek Jessiki Baker co czwartek zabiera jej trzech synów do sieci sportowych fast-foodów na Times Square. Chciałabyś chodzić do sportowych fast-foodów na Times Square? Nie. Twoja gospodyni albo niania też by nie poszły, a gdyby nawet, siedziałyby w kącie i robiłyby miny. Wiesz, kto jeszcze zatrudniał w lecie niańko w?

- Kto?

- Rodzina Kennedych. Wszyscy ci ich kuzyni mieli niańków, którzy zajmowali się nimi w Hyannis. Niańkowie od żeglarstwa. Niańkowie od gry w piłkę nożną. Tylko nie nazywało się ich tak. Mówiono o nich „guwernerzy”. - Zaśmiałam się. Susannah ciągnęła dalej: - Tak, moja droga, nianiek to odpowiedź na twoje modlitwy. Nie zwalniam niani ani gospodyni, bo zapewniam cię, że taki facet nie będzie mył okien ani gotował obiadu. Ale zacznij poszukiwania odpowiedniego kandydata już dzisiejszego popołudnia. Twój mały nadąsany Dylan będzie zachwycony. Pomyśl o niańku jak o starszym kuzynie, o którym wszyscy marzyliśmy, ale o kuzynie mającym cierpliwość, jaką można uzyskać tylko za pieniądze.

Czy jest tu nianiek?

Recepcjonistka w pracy powiadomiła mnie telefonicznie:

- Nathaniel Clarkson do ciebie. Byłam pełna nadziei.

- Niech poczeka. Wyjdę po niego. Dzięki, Deborah. Wybiegłam z gabinetu i w korytarzu omal nie wpadłam na

Charlesa.

- Hej! Jest godzina jedenasta - powiedział. - Od kilku godzin cisza w eterze. Możesz zwolnić, mała.

- Przepraszam. Muszę się z kimś spotkać. Nie chciałabym, żeby się tu zgubił. Wpadnę potem do ciebie.

- Z kim masz spotkanie?

- To właściwie nie spotkanie. Rozmowa w sprawie pracy. -Potem szepnęłam, osłaniając rękami usta: - Szukam niańka.

- Bardzo profesjonalnie, że robisz to w pracy - rzucił przez ramię, odchodząc.

Nie obchodziło mnie, czy postępuję profesjonalnie, czy nie. Kogo to interesuje, czym się akurat zajmuję? Wszyscy byli w gorączce w związku z programem. Postanowiłam umawiać się na rozmowy kwalifikacyjne z ewentualnymi niańkami w zaciszu mojego gabinetu, bo dwaj pierwsi faceci, z którymi się spotkałam w domu, wprawdzie mogli pochwalić się dobrymi referencjami, ale wyglądali jakoś dziwnie: jeden miał tłuste włosy i zbyt podciągnięte w kroczu dresowe spodnie, a drugi ani razu się nie uśmiechnął. Poprzez agencję pośred-

nictwa pracy dla służby domowej, weryfikując starannie kandydatów przez cały zeszły tydzień, spotkałam się już chyba z pół tuzina młodych mężczyzn, którzy byli zainteresowani popołudniową opieką nad Dylanem: bezrobotni aktorzy albo kelnerzy, muzycy poszukujący dodatkowego zarobku, trenerzy liczący, że dorobią sobie po godzinach pracy. Ale ze wszystkimi było coś nie tak. Okazywali się albo zbyt gadatliwi, albo zbyt milczący, każdemu z nich brakowało doświadczenia z takimi dziećmi jak mój syn. Szukałam kogoś, kto nie pozwoliłby Dylanowi manipulować sobą ani zniknąć w przestrzeni kosmicznej.

Nathaniel na podstawie dokumentów wydawał się dobrym kandydatem, miał niezły życiorys: ukończył renomowaną szkołę publiczną w centrum ze średnią ocen 3.0. Nie podjął jeszcze nauki w college'u, ale w wieku dwudziestu lat uczył w szkole społecznej w Harlemie. Zadzwoiłam do jej dyrektora, okazało się, że Nathaniel był lubiany i pracowity.

W recepcji czekał na mnie czarny chłopak w za dużej bluzie dresowej z kapturem, która zakrywała mu dłonie i część twarzy. Pod kapturem miał bandanę związaną z tyłu głowy.

- Ty musisz być...

Wyciągnął rękę.

- Nathaniel - oznajmił.

- Chodź ze mną - powiedziałam, starając się, by zabrzmiało jak najżyczliwiej.

Poszliśmy do mojego pokoju. Chłopak nie zsunął kaptura, więc ledwie widziałam jego oczy.

Otworzyłam teczkę z dokumentami niańków i usiłowałam myśleć w sposób otwarty: może było to idealne antidotum na bolączki Dylana, może właśnie potrzebował niańka w typie wyluzowanego kumpla, który by stanowił przeciwwagę dla jego wewnętrznych zahamowań, może ja potrzebowałam kogoś takiego, żeby się wyluzować. Z dokumentów Nathaniela wiedziałam, że facet ma ukryte talenty, potrafi sprawić, że dzieciaki się otwierają. Co jednak, u licha, mogłam wiedzieć

o męskich niańkach? Nigdy wcześniej żadnego z nich nie zatrudniałam. Jeszcze raz zerknęłam w życiorys.

- A więc trenujesz drużynę w Harlemie?

Wciąż miał pochyloną głowę.

- Uhm.

- Koszykówka czy jeszcze jakieś inne dziedziny sportu?

- I to, i to.

- I to, i to? Koszykówka i coś jeszcze?

- Uhm.

- Przepraszam, ale nie rozumiem, co znaczy: i to, i to. Koszykówka i jakaś inna gra czy w ogóle inne dziedziny sportu?

- Tylko koszykówka i czasami bejsbol. - Nadal nie unosił głowy.

W drzwiach stanął Charles, zlustrował wzrokiem Nathaniela i spojrzał na mnie, jakbym według niego była niepoczytalna. Potem wszedł do środka, najwyraźniej po to, żeby mnie wkurzyć i podgrzać atmosferę.

- O, cześć. Nie wiedziałem, że odwalasz pracę reporterską w biurze. - Usadowił się na kanapie.

Westchnęłam i spojrzałam na niego znacząco.

- Charles, to jest Nathaniel. Nathaniel, Charles to mój kolega, wpadł tylko na chwilę. A teraz, Charles, muszę cię prosić, żebyś wyszedł, bo to spotkanie ma charakter poufny. - Posłałam mu fałszywy uśmiech, sugerujący, żeby się odpieprzył. Odpowiedział tym samym i opuścił pokój.

Dwadzieścia minut później, gdy już odprowadziłam Nathaniela do wyjścia, Charles pojawił się znowu. Kiedy nie miał roboty, lubił przychodzić do mojego pokoju i drażnić się ze mną. Próbowałam go zignorować i nie przerywałam pisania na komputerze, patrząc w monitor.

On jednak usiadł przede mną i oparł się łokciami o biurko, zmuszając mnie, żebym na niego spojrzała.

- Masz nie po kolei w głowie, Jamie.

- O co ci chodzi? - warknęłam.

- Myślisz, że Phillip pozwoli ci zatrudnić chłopaka, który wygląda jak jakiś pieprzony dealer narkotyków?

- Charles! Nie bądź rasistą. To dobry dzieciak, naprawdę ciężko pracuje, a jego szef...

- Chrzanienie. - Rozparł się na krześle, zakładając ręce za głowę. - Przecież nie zatrudnisz do opieki nad dzieckiem twardego chłopaka z przedmieścia.

- Jak możesz tak mówić?

- Słuchaj, to moja pokrewna dusza. Chciałbym, żeby dostał tę pracę. Ale mówię ci, musiałaś postradać zmysły. To nie wypali w tym twoim cholernym eleganckim apartamencie, z mężem sztywniakiem i tym całym...

- Byłby odpowiedni dla Dylana. To naprawdę dobry chłopak, bystry. Wprawdzie nie mówił wiele o sobie, ale czuję, że taki jest. Sprowadziłby Dylana na ziemię - odpowiedziałam, choć bez wielkiego przekonania.

- Myślisz stereotypowo, Jamie. Chcesz zatrudnić czarnego chłopaka z przedmieścia, żeby twój syn nie wyrósł na zepsutego bachora? Jakby tylko Murzyn mógł coś tu pomóc?

Ukryłam twarz w dłoniach. Może Charles ma rację. Nathaniel odzywał się tylko monosylabami i prawie nie patrzył mi w oczy. Najwyraźniej zaczynałam popadać w desperację. Trenerzy, z którymi się spotkałam i których gotowa byłam zatrudnić, przeważnie pracowali na pełny etat i popołudniami mieli zajęcia ze swoimi drużynami. Nathaniel jako jedyny z nich był osiągalny.

Spojrzałam na Charlesa.

- Ale potrzebny mi jest jakiś facet.

- To jasne. - Charles nie był wielkim fanem Phillipa.

- Charles, mówię poważnie. Potrzebny mi jest dorosły, odpowiedzialny mężczyzna, przynajmniej na popołudnia, który zabierałby Dylana do parku. Nie potężnie zbudowana Jamajka jak Yvette, która nawet nie potrafi kopnąć piłki. - Zasłoniłam rękami twarz.

- Dzwonili do mnie ze szkoły. Znowu.

- Znowu ból brzucha?

- Uhm. Pięć minut przed zajęciami z wychowania fizycznego Dylan poszedł do pielęgniarki szkolnej. Teraz problem



dotyczy już nie tylko koszykówki, ale także dodgeballu i piłki nożnej. Przed koszykówką przynajmniej brał udział w gimnastyce.

- To zmusz go do tego! Nie jestem ojcem, ale widzę, że cackacie się z dziećmi, i w ten sposób tylko je psujecie. Moja mama potrafiła nam przyłożyć. I nie byliśmy wcale biedni, więc nie wmówisz mi, że takie rzeczy dzieją się tylko w czarnych gettach. Na pewno nie tolerowałyby żadnych fochów.

- Ja się staram...

- Więc o co chodzi? Dlaczego Dylan wciąż siedzi u pielęgniarki? Dlaczego pozwala mu się na to?

- Charles, to wszystko tylko wydaje się proste. Nie można zmusić dziecka, żeby...

- Można, do diabła!

- Ale on nie zechce wyjść z gabinetu pielęgniarki! Teraz musi przyjść psychiatra i asystent nauczyciela wychowania fizycznego, który nie może tam zostać, bo jest w połowie lekcji. Poza tym Dylan nie zechce współpracować, spojrzy na nich i powie, że nie czuje się dobrze i nie może grać. Nauczyciele rozmawiają z nim po lekcjach. Potem dzwonią do mnie. Phillip i ja idziemy na rozmowę. Phillip, który zawsze chce prezentować jednolity front rodzicielski wobec władz szkolnych, znajduje czas w grafiku, żeby przyjechać na spotkanie, ale nie zadaje sobie trudu, żeby zjawić się na mecz. Co mam w takiej sytuacji zrobić?

- Musisz być twardsza. W tym właśnie problem. Powinnaś być dla chłopca surowsza, a wtedy nie będzie miał gdzie szukać ucieczki i jakoś sobie sam poradzi.

- Jestem surowa, ale muszę pamiętać, że Dylan czasami wpada w dołek i wtedy szczególnie potrzebuje mojej miłości, poza tym musi mieć poczucie bezpieczeństwa i możliwość wypłakania się przede mną. Robi to, ale jeśli zacznę odgrywać rolę dowódcy wojskowego, przestanie do mnie przychodzić ze swoimi problemami. Phillip nie ma z nim takiego kontaktu jak ja; stara się reagować w sytuacjach kryzysowych, ale nie może się do niego przebić. I chociaż wciąż mi powtarza,

żebym się nie przejmowała, w głębi duszy jest zawiedziony, że ma takie skomplikowane dziecko.

- A co z drużyną koszykówki?

- Zmuszam Dy lana, żeby chodził na zajęcia, i jestem w tym względzie stanowcza, tak jak mi radzisz, ale trener twierdzi, że Dylan nie podchodzi do rzutu, drybluje i biega w kółko. No, coś w tym rodzaju. Ale teraz chodzi także o lekcje gimnastyki. Posłuchaj, znam mojego syna. Wiem, czego potrzebuje. Chcę znaleźć faceta, który każdego popołudnia dałby mu w kość, tak jak twoja mama, ale w Central Parku.

Charles sięgnął przez biurko i ujął mnie za rękę.

- Znajdziesz właściwego gościa, ale nie wśród tych, z którymi się do tej pory spotykałaś. Wiesz o tym.

Tydzień później, w pogodny dzień babiego lata, nie posunąwszy się ani o krok w moich poszukiwaniach, wracałam przez park do pracy po służbowym lunchu. Właśnie rozmawiałam przez telefon z Abby, zdenerwowaną ostatnim żądaniem Goodmana.

- Ja go zabiję! - krzyczała do słuchawki. - Dosłownie. Już to sobie nawet wyobrażałam rano w metrze.

- Och, Abby! Co znowu?

- Znasz Ariel LaBomba? Tę gorącą Latynoskę, która zapowiada pogodę w *Good Morning New York*

- Chyba tak, ale nie jestem pewna.

- Żadna z niej rewelacja, możesz mi wierzyć. Robi jednak też te kawałki przygodowo-podróżnicze i Goodman chce je mieć na zamknięcie programu. Uważa, że dziewczyna jest gotowa, żeby przejść z telewizji lokalnej do stacji ogólnokrajowej.

- No dobra, ale co w tym niezwykłego? Na pewno jest ładna.

- Posłuchaj tylko. Otóż Goodman spotyka się z nią dziś po południu i chce, żeby zeszła na dół i czekała na nią przed budynkiem.

- Nie w holu? A jego asystentka nie może tego zrobić?

- Goodman podobno ma większe zaufanie do mnie. I chce, żebym poszła z nią wzdłuż ulicy do drugiego wejścia...

Zaśmiałam się.

- Chyba wiem, co będzie dalej.

- No właśnie! Chodzi o to, żebyśmy przeszły obok tej reklamy na przystanku, która ukazuje go prowadzącego program na zgliszcach World Trade Center.

- Abby, poczekał...

- Nienawidzę tej reklamy. Ale jego zdaniem wygląda jak Iwo Jima.

W tym momencie na Wielkim Trawniku natknęłam się na scenę rodem z *Alicji w krainie czarów*; jakieś trzydziścioro dzieci rozkładało na ziemi wielką płachtę we wzór szachownicy. Dzieci były dziwnie przebrane: za konia szachowego, królów i królowe, pionów... Czy to było jakieś przedstawienie? Reżyser - sympatycznie wyglądający facet w spodniach khaki, koszulce z Cassiusem Clayem i czapce bejsbolówce - właśnie ustawiał je na miejscach. Może prowadził próbę jakiegoś festiwalu na wolnym powietrzu? Nie dziwiłam się - to przecież Nowy Jork, serce Central Parku, dokąd ściągają najróżniejsi ekscentrycy.

I nagle zrozumiałam: była to gra w szachy z udziałem ludzi zamiast figur. Nie mogłam się doczekać, aż podejść bliżej.

- ...Jamie, uwierzyłybyś w tę historię z ajaxem? - Przez słuchawkę dotarł do mnie głos Abby.

- Jaką historię z ajaxem?

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Dał stażystce, oczywiście tej długonogiej wydrze, pięć dolców, kazał jej zdobyć skądś ajax do mycia szyb i przetrzeć tę reklamę na przystanku.

Nie mogłam oderwać wzroku od dzieci na trawniku.

- Halo?! - krzyczała Abby. - Wyobrażasz sobie? Specjalnie umyć ajaxem szybę na przystanku! Mogłabyś wkurzyć się razem ze mną! Jesteś jakaś roztargniona!

- Rzeczywiście, Abby, masz rację. Oddzwonię do ciebie.

Obserwowałam reżysera.

- Chyba pierwsze powinny ruszyć się pionki - powiedział.

Dwoje dzieci po przeciwnych stronach zrobiło na szachownicy krok do przodu.

- Nie, nie, nie! - zawołał przez złożone w trąbkę dłonie. - Nie możecie przesuwac się jednocześnie! Czy Charlie z wami tego nie omawiał?

Mógł mieć od dwudziestu sześciu do trzydziestu dwóch lat, był wysoki i mocno zbudowany. Chodził z wyprostowanymi plecami, co przydawało mu pewności siebie. Kwadratową otwartą twarz otaczały dość długie brązowe włosy, odsunięte za uszy. Niebieskie oczy były bystre i pełne ciepła. Nie nazwałabym go klasycznie przystojnym, ale był zdecydowanie atrakcyjny.

- Czy Charlie nie nauczył was podstawowych reguł gry? I on uważa się za nauczyciela? Grę otwierają pionki stojące przed królową, a nie te na brzegach szachownicy.

Dzieci, śmiejące się już i rozbawione, wróciły do szeregów, a zamiast nich do przodu wystąpiły pionki przed każdą z królowych.

Do chłopaka podeszły dwie chichoczące nastolatki, które stały w pobliżu, ale poza szachownicą. Zauważyłam, że jedna z nich przykłada rękę do serca i wpatruje się ukradkiem w reżysera. Druga pochyliła się i szepnęła jej coś do ucha, a potem pchnęła ją ku niemu. Od tego faceta wręcz bił blask i one chciały znaleźć się w jego kręgu.

- Co dalej, dzieci?

Mały chłopczyk z wielkim końskim łbem z papier-mâché, który zasłaniał górną połowę jego ciała, uniósł rękę.

- Teraz ja robię ruch, ja!

- Dlaczego?

- Nie wiem.

Drugi z koni zgłosił się do odpowiedzi.

- Ty! W czerwonej czapce. Alex, prawda?

- Ja wiem! Bo pan chce, żeby skoczki już na początku

zdołyły kontrolę nad środkiem szachownicy i zaatakowały przeciwnika.

- Taaak! - krzyknął reżyser. Sięgnął do kieszeni i rzucił chłopcu batonik czekoladowy. - Wy też chcecie na początku wykonać ruch koniem?

Czwórka dzieciaków zawołała:

- Nie!

- No to kto ma być następny?

- Laufry! - wrzasnął przejęty chłopiec. - Trzeba usunąć z drogi laufry, żeby można było ruszyć wieżę i chronić króla! - Reżyser wyjął z torebki garść cukierków i rzucił je temu małemu. Stojące obok niego dzieci zaczęły wpadać na siebie, usiłując pozbierać cukierki z ziemi.

„Dobra - pomyślałam. - Ten facet najwyraźniej umie postępować z dziećmi. Nie bardzo podoba mi się to zagranie z cukierkami, ale jest stanowczy, a przy tym nieupierdliwy, więc może"...

Stałam obok niego i czekałam na przerwę w zabawie, żeby go zagadnąć. W końcu przestał wydawać polecenia i dał dzieciom czas, żeby same obmyśliły następny ruch.

- Mogę o coś pana zapytać?

- Jasne. - Odwrócił się do mnie i uśmiechnął przelotnie, ale jego wzrok natychmiast powrócił do dzieci.

- Czym się pan zajmuje?

- To gra w szachy, w której rolę figur pełnią dzieci.

- Zorientowałam się...

- Przepraszam na chwilę. Co ty sobie myślisz, mały? Podeszedł do jednego z chłopców, wziął go pod pachy i postawił na sąsiednim polu.

- Tobie nie należą się słodycze! - Wyjął dzieciakowi z buzi lizaka i wyrzucił przez ramię.

Pozostałe maluchy zaczęły gwizdać i śmiać się.

- Więc... - zaczęłam od nowa, kiedy wrócił. - Pracuje pan w szkole? Zignorował mnie.

- Jason, tak się nazywasz, mały? Co ty tam robisz?

- To znaczy, czy te dzieci...?

- Jeśli przesuniesz tak laufra, gra będzie skończona, kolego. Chyba zwariowałaś! Zastanów się.

Dobra. Był zajęty. Oczekałam dwie minuty i spróbowałam znowu:

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale jestem bardzo ciekawa, czy to zajęcia szkolne.

Tym razem zaszczylił mnie spojrzeniem.

- Naprawdę to panią interesuje?

- Tak.

- Nie, to nie zajęcia szkolne. To grupa z obozu letniego dla dzieci o szczególnych potrzebach albo znajdujących się w szczególnym położeniu.

- Szczególnym położeniu?

- W bardzo trudnej sytuacji życiowej.

- A dlaczego akurat szachy?

- Chyba dlatego, że to trudna gra. Dzięki niej mogą poczuć się sprytni. Umie pani grać w szachy, zna się pani na dzieciach?

- Mam syna, dziewięcioletniego.

- Gra w szachy?

- Uczą ich tego w szkole, ale on jakoś nie złapał bakcyła.

- Może pani powinna mu tego bakcyła zaszczylić. - Uśmiechnął się. Uśmiechem o mocy paru dobrych kilowatów. - Bingo!

- Jest pan także nauczycielem? - Byłam podekscytowana. Miałam wrażenie, że znalazłam wreszcie osobę, której szukałam. - Pracuje pan na stałe w tym zawodzie?

- W ogóle nie jestem nauczycielem.

Cholera! Myślałam, że to zawodowiec. Może to jednak nie ten, którego szukałam.

- Zrobiłem sobie przerwę, dopóki nie wyklarują mi się plany na przyszłość.

Skinał ręką na dzieci.

- Dobra. Ty z głupawym uśmiechem. - Spuścił gumę balonową na głowę dziewczynki. - Ty dowodzisz białymi,

a Walter czarnymi. Wszyscy możecie kwestionować ruchy tych dwojga, ale to ich zdanie jest decydujące!

Kiedy zobaczył, że nie odeszłam, zatrzymał się, oparł dłonie na bramie parku i spojrzał mi w oczy.

- Po prostu zastępuję kumpla. To mój kolega z pokoju, który uczy w szkole publicznej, a w lecie jest wychowawcą na obozach dla dzieci. Nie mam takiego doświadczenia pedagogicznego jak on. - Wziął z ziemi stos ubrań i uśmiechnął się. - Przepraszam panią... - Mimo wszystko naprawdę dobrze sobie ze smarkaczami radził.

Jedno z dzieci zeszło z szachownicy i odwróciło się tyłem do grających. Wtuliło głowę w ramiona. Pan reżyser próbował okryć je jedną z bluz, ale mały się wyrwał. Chłopak wsunął mu więc cukierek za koszulę, ale dziecko wcale się nie roześmiało. Rzucił więc ubranie na ziemię i odciągawszy zdenerwowanego chłopca na bok, wdał się z nim w rozmowę.

Nie mogłam nic na to poradzić, że zauważyłam jego niewiarygodnie jedrny tyłek w wytartych džinsach. Postawiłam na ziemi torbę z gazetami i czekałam.

Pan reżyser uniósł daszek bejsbolówki, którą dzieciak miał na głowie.

- Darren, daj spokój.

Ujął małego za ramiona i próbował go namówić, żeby dołączył do grupy. Darren jednak wolno pokręcił głową i naciągnął czapkę na oczy. Reżyser tym razem mu ją strącił. Darren wcale nie uznał tego za śmieszne. Włożył czapkę z powrotem, wciskając ją bardzo mocno. Coś wyraźnie było nie tak.

Reżyser przyklęknął, zajrzał pod daszek bejsbolówki małego i zaczął intensywnie ssać lizaka, jakby to miało pomóc mu się skupić.

- Powiedz, człowieku, o co chodzi. Darren pokręcił głową.

- Russell! Zastąp mnie.

Russell, starszy chłopiec stojący z boku, machnął w odpowiedzi ręką. Reżyser jedną ręką objął Darrena, a drugą położył mu na

przedramieniu i zaprowadził go na ławkę trzy metry dalej. Chłopiec, wyglądający na jakieś jedenaście lat, wierzchem dłoni otarł policzek. Nie mogłam oderwać oczu od tej sceny. Minęło parę minut i odniosłam wrażenie, że reżyser, gestykulując wymownie, zdołał porozumieć się z małym. Darren zaczął się śmiać, a ten znowu stracił mu czapkę z głowy; tym razem obaj zachichotali. Potem chłopiec wrócił do gry i zajął swoje miejsce na szachownicy.

„Dobra - pomyślałam. - Facet nie wygląda na psychopatę. Nic nie wskazuje na to. Najwyraźniej dzieci go lubią. Spróbuję więc jeszcze raz”.

- Przepraszam...

Spojrzał na mnie z uprzejmym wyrazem twarzy. Byłam pewna, że nie pochodzi z Nowego Jorku.

- Pani ciągle czeka? - Uśmiechnął się.

- Tak, czekam. Mam pytanie.

- Chce pani wziąć udział w zabawie? - Uniósł brew.

- Nie... To znaczy tak. Mój syn mógłby wziąć w niej udział.

- Obawiam się, że grupa jest już na to zbyt ze sobą zżyta. Spotykają się przez całe lato...

- Nie, nie, nie chodzi o to. Tak się zastanawiałam... - odparłam. - Ma pan stałą pracę?

- Tak, jestem głównym doradcą finansowym Citigroup. To dział inwestycji bankowych.

Zaśmiałam się głośno.

- Poważnie? To pana zawód?

- Nie.

- Ma pan pracę?

- A czy wyglądam na kogoś, kto by miał?

- A chciałby pan mieć?

- Zamierza mi pani złożyć jakąś propozycję?

- Może. Wie pan, kto jest nianiekiem?

- Co takiego?

- O Boże, przepraszam pana. Zacznę od początku. Nazywam się Jamie Whitfield. - Wyjęłam wizytówkę i podałam



mu ją. - Pracuję w NBS News. Mam troje dzieci. Mieszkam w pobliżu. Czy często pracuje pan z dziećmi w jakimkolwiek charakterze?

Wciąż zerkał na grupkę podopiecznych.

- Nie, raczej nie.

- Nie pracuje pan z dziećmi? Nie lubi pan tego?

- Mogę się tego podjąć. Nie grozi im z mojej strony niebezpieczeństwo, najwyżej będą miały wysoki poziom cukru, to wszystko.

Sprawiał wrażenie faceta, któremu Dylan nie wcisnąłby kitu i który mógł zmienić stan rzeczy. Może jednak miał trochę wolnego czasu. Przecież autentyczny nauczyciel poprosił go o zastępstwo w zabawie z taką grupą jak ta...

- A jak się pan nazywa? I jeśli nie weźmie mi pan tego za złe, mam jeszcze jedno pytanie...

- Jestem Peter Bailey.

Nie wiedziałam, jak przejść do rzeczy, więc powiedziałam wprost:

- Mam panu do zaoferowania naprawdę dobrą pracę za niezłe pieniądze. Na popołudnia i wieczory.

- W porządku, może jestem zainteresowany naprawdę dobrą pracą za niezłe pieniądze. Co by to było?

Zaczerpnęłam powietrza.

- To skomplikowane. - Potrzebowałam chwili, żeby obmyślić strategię marketingową.

- Rozumiem.

- Mam syna, dziewięcioletniego, który... Jak by tu powiedzieć? Który jest w dołku. Może nawet przeżywa depresję.

- Kliniczną? - Teraz słuchał mnie uważnie.

- Nie, nie postawiono dotąd diagnozy medycznej, ale chłopiec miewa napady lęku. Z tego powodu nie może brać udziału w zajęciach sportowych.

- A w jaki sposób mógłbym mu pomóc?

- No, nie wiem, może te szachy...

- Umiem grać w szachy, ale nie uczę tego. Chociaż może

za te niezłe pieniądze byłby ze mnie dobry nauczyciel. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Nie chodzi o samą naukę gry w szachy, ale... o coś w tym rodzaju.

- Aha.

Usłyszałam dzwonek telefonu w torebce. Wyłączając go, zobaczyłam, że dzwoni Goodman. Może potrzebuje więcej ajaxu do mycia szyb.

- Musi pan wracać do dzieci, a i ja powinnam być już gdzie indziej. Ma pan moją wizytówkę. Gdyby był pan tak uprzejmy, proszę do mnie zadzwonić jutro rano, wtedy powiem panu więcej.

- Jasne. Zadzwonię. Miło było panią poznać. Zatrzymałam się jeszcze na chwilę.

- Mogę jeszcze o coś zapytać? Skinął głową.

- Jak jedna osoba zdołała zapanować nad grupą trzydziściorga dwojga dzieci w wielkich łbach z papier-mâché i przyprowadzić je do Central Parku?

- Ależ to nie moja zasługa. Miałem ich pomoc. - Odwrócił się do dzieci.

Wracając na West Side, nie mogłam powściągnąć uśmiechu.

Pora na rozmowę bez owijania w bawełnę

- Więc! - Nie miałam pojęcia, co powiedzieć.

Peter Bailey patrzył na mnie wyczekująco. Siedział na krześle po przeciwnej stronie biurka, ubrany w spodnie khaki i białą koszulę zapinaną na guziki. Jego milczenie nagle wydało mi się deprymujące. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego czuję się tak nieswojo, skoro to ja zatrudniam jego.

- Dziękuję, że pan zadzwonił - powiedziałam.

- To ja dziękuję, że pani mnie do tego upoważniła.

- Więc...

- Tak?

- Dotarł pan tu bez problemów?

- Ten budynek stoi przy jednym z największych skrzyżowań na Manhattanie. Nietrudno znaleźć Avenue of the Americas i Fifty-seventh Street.

- Tak, rzeczywiście. Ja...

- Fajnie zobaczyć redakcję programu informacyjnego od kulis.

Obrzucił spojrzeniem setki kaset wideo stojących na półkach w moim gabinecie, z których każda miała na grzbiecie wypisany dużymi literami temat i tytuł programu. Po obu stronach biurka wisiały na ścianie dwa kolorowe plakaty: jeden reklamujący dawny program nadawany z siedziby CIA, a drugi relację z któregoś „przełomowego” spotkania na Zachodnim Brzegu Jordanu.

- Za pulpitem prezentera panuje spory rozgardiasz.
- Nie tutaj. - Obok mnie leżały cztery gazety porządnie ułożone od największej do najmniejszej, a przybory biurowe spoczywały starannie posegregowane w czarnych drucianych koszykach na regale obok: markery, karteczki samoprzylepne we wszystkich kolorach, bloczki i notatniki, małe pudełka z szufladkami na różnego rodzaju spinacze i klipsy.
- Długo pracuje pani dla Joego Goodmana? - zapytał.
- Dziesięć lat. Od samego początku. Miałam dwadzieścia sześć lat, kiedy zaczynałam.
- Jaki on jest?
- Wspaniały umysł, człowiek, który wszystko robi z pasją. Powiedzmy, że jest wymagający. - Nie chciałam mówić kandydatowi na niańka, że Goodman to stuknięty, zrzędlivy i zazwyczaj niewdzięczny typ.
- Uhm, wydaje się dość zapatrzony w siebie. - Peter wskazał olbrzymie zdjęcia Goodmana, wiszące wzdłuż korytarza przed moim pokojem: jedno przedstawiało naszego nieustraszonego prezentera w kamizelce kuloodpornej i hełmie ONZ przed wozem opancerzonym, drugie ukazywało go z Borysem Jelcynem na czołgu, a jeszcze inne - w otoczeniu kamer i reflektorów podczas rozmowy z Lauren Bacall, która śmiała się z odrzuconą do tyłu głową, jakby zadał jej najbardziej błyskotliwe pytanie na świecie.
- Ogląda pan nasz program? - Raczej nie.
- Większość ludzi przynajmniej udawałaby, że tak.
- Przypuszczam, że dużo pracuje pan na komputerze. Czytałam w pańskim CV, że opracowuje pan program internetowy. To chyba nie zajmuje panu całego czasu?
- Godziny pracy mam ruchome. Piszę program internetowy - nazywam go „domowy pomocnik” - który zmieni, mam nadzieję, sposób komunikowania się uczniów szkół publicznych z nauczycielami. Pomoże im współpracować przy zadawanych pracach.
- Coraz bardziej lubiłam tego faceta. Nie wiedziałam, czy

program, o którym mówi, to tylko jakaś mrzonka, czy też ma ręce i nogi, ale chłopak mimo pozornego luzu wydawał się poważny i pewny siebie.

- Brzmi to ciekawie.

- Uhm. Kto wie? Niektórzy mówią, że ten program może nawet okazać się dochodowy, jeśli szkoły się nim zainteresują.

- Wszystko wskazuje na to, że ma pan dość absorbujące zajęcie. A jeśli tak, to obawiam się, że...

- Program to nie zajęcie. To idea. Wierzę, że w pewnym momencie coś z niego będzie, ale prawdą jest, że jeszcze daleka droga do tego.

Zadzwoił telefon.

- Przepraszam na chwilę... Jamie Whitfield. Nie powinnam była podnosić słuchawki.

- Och, dzięki Bogu, że cię złapałam.

- Kto mówi?

- To ja, Christina. - Christina Patten. Jeden z ptasich mózdzków wszech czasów i przewodnicząca komitetu rodzicielskiego przedszkolnej grupy Gracie.

- Christina, jestem w trakcie...

- Przepraszam, Jamie, mam tylko jedno, naprawdę ważne pytanie. To znaczy, jeśli chodzi o skalę, to może nie kluczowe, ale jedno z tych, na które trzeba znać odpowiedź.

Przytrzymując słuchawkę ramieniem, niezdarnie sięgnęłam do lodówki za biurkiem, wyjęłam dwie małe butelki wody Evian i jedną z nich podałam Peterowi. Umknęło mi, co mówiła Christina, ale pomyślałam, że świat się od tego nie zawali.

- ...bo w końcu jesteś producentką, prawda? Więc powinnaś się na tym znać. Jestem pewna, że świetna z ciebie organizatorka. Dlatego dzwonię do ciebie w tej sprawie.

- Christina, nie chciałabym być niegrzeczna, ale to nie jest najodpowiedniejsza...

- Już mówię, o co chodzi. Czy twoim zdaniem powinnam, podać średnie, deserowe talerze na Dzień Dziadka, czy duże, obiadowe?

To musiał być żart.

- To znaczy, czy według ciebie goście będą nakładać na talerze sałatkę owocową i babeczki? Czy sałatkę owocową, babeczki i rogaliki? Bo jeśli sądzisz, że rogaliki też, to będę musiała wystawić duże. A jeśli nie, to nie chciałabym, żeby talerze wyglądały na puste, nawet gdyby były już na nich babeczki i owoce.

- Christina, to nie inwazja na Normandię. Wiem, że się starasz, ale po prostu zdaj się na intuicję i...

- Duży talerz tylko z babeczkami i sałatką owocową? To chyba nie jest dobry pomysł, myślę, że to będzie wyglądało smutno. Tak podpowiada mi intuicja.

- Zgadzam się. Będzie wyglądało smutno. Weź duże talerze. Taka jest moja opinia.

- Jesteś pewna? Bo... - Jak najbardziej. I naprawdę muszę już kończyć!

- Spojrzałam na Petera. - Przepraszam, to tylko domowe absurdy.

- Niezbyt zręczna uwaga w rozmowie z ewentualnym niańkiem o zbyt wysokich kwalifikacjach, który miał rozwiązać problemy w moim domu.

Zegar cyfrowy na biurku pokazał następną minutę. Peter siedział nieruchomo w fotelu, po czym nachylił się ku mnie. Zaskrzypiało skórzane obicie fotela.

- O co właściwie pani chodzi?

Zawahałam się. Nauczyłam się od Goodmana, że najpierw należy telefonicznie zwabić delikwenta na rozmowę. Potem się go obezwładnia, wyjaśniając, czego się od niego oczekuje. Nie chciałam stracić tego faceta tylko dlatego, że przez telefon uraczyłam go niewydarzoną rozmową w sprawie posady.

„Dobra, Jamie. Pozbieraj się”. Zaczerpnęłam głęboko powietrza.

- Rzecz w tym, że mam dziecko, właściwie troje, jak już mówiłam. Dylan ma pięć lat, Gracie pięć, a Michael dopiero dwa. Chodzi o Dylana, o którym również panu wspominałam.

- Pamiętam.

- Jest ostatnio trochę nieswój. Jego ojca stale nie ma w domu, a ja... chociaż pracuję tu tylko trzy dni w tygodniu, czasami muszę załatwiać dodatkowe sprawy i również nie ma mnie popołudniami przez cały tydzień. Od czasu do czasu muszę też dokądś wyjechać. Mój syn tymczasem potrzebuje opiekuna, który pomógłby mu się pozbierać. Mali chłopcy uwielbiają starszych od siebie facetów, którzy okazują im zainteresowanie.

- Wiem.

- Dylan umie trochę grać w szachy, bardzo lubi czytać i rysować, ale ze sportem jest już gorzej i...

- Chciałaby pani, żebym popracował z nim nad szachami? Wymieniła pani bardzo wysoką sumę przez telefon. To dużo forsy jak na naukę gry w szachy.

- Chodzi raczej o to, żeby przychodził pan do nas popołudniami, zaraz po lekcjach Dylana, czyli po trzeciej, i zajmował się nim.

- Jak to „zajmował się nim”?

- No wie pan. To dziewięciolatek. Żeby pan z nim pracował.

- Ma pani na myśli odrabianie lekcji?

- Tak, oczywiście. Ale nie tylko. Dylan potrzebuje kogoś, kto by się z nim bawił. - Jednocześnie myślałam w głębi ducha: „Po prostu mu pomóż, spraw, żeby zaczął znowu lubić siebie”. Nagle poczułam pieczenie oczu, i czym prędzej wzięłam teczkę z CV Petera, żeby ukryć twarz. - Mam na myśli to, że jest pan informatykiem i uczył pan narciarstwa. Pracował pan w wydawnictwie publikującym podręczniki. To rodzinna firma? Zmieniłam temat.

Do tej pory podczas rozmowy dowiedziałam się następujących rzeczy: facet ma dwadzieścia dziewięć lat, w grudniu skończy trzydzieści. Wychowywał się na przedmieściach Denver, studiował przez cztery lata w Boulder, a potem zaczął pracować, głównie dla ojca, w małej firmie wydawniczej. Stopień magistra informatyki uzyskał na studiach wieczorowych.

Kiedy zapytałam o szczegóły przedsięwzięcia związanego z „domowym pomocnikiem”, dostrzegłam, jaka to pomysłowa koncepcja. Mówił o niej z wielkim zapałem i chociaż, szczerze mówiąc, trochę się pogubiłam, nie przestałam słuchać z uwagą. Przeniósł się do Nowego Jorku, bo zaczął testować program w systemie tutejszych szkół publicznych. Ale, jak w wypadku wielu dobrze zapowiadających się internetowych przedsięwzięć, po początkowych sukcesach pojawiły się trudności. Miał przed sobą jeszcze kilka tygodni ciężkiej pracy. Musiał też spłacić pożyczki zaciągnięte na studia magisterskie.

Zaczęłam rozumieć, dlaczego ten facet nie zajął się tradycyjną karierą; był człowiekiem przedsiębiorczym, trochę ryzykantem. Co oznaczały jego długie, lekko kręcone włosy? Był gogusiem z gór, zapalonym narciarzem, który po studiach zbyt lubił szusować po stokach, czy kimś, kto po prostu nie miał ochoty piąć się po szczeblach kariery? Nie mogłam go rozgryźć, choć z uwagą słuchałam każdego jego słowa. Gdy mówił, przyglądałam się jego wystającym kościom policzkowym i wielkim niebieskim oczom. Wyglądał na kogoś, kto radzi sobie w każdej sytuacji, choć wyczuwałam, że praca biurowa nie jest jego mocną stroną. Miałam wrażenie, że to człowiek odpowiedzialny i godny zaufania, jeśli nawet trochę zawalił na odcinku kariery zawodowej.

Potem opowiedziałam mu o Dy lanie wszystko, co przychodziło mi do głowy, o tym, jak załamał się na meczu koszykówki, jak zaczął unikać niektórych kolegów ze szkoły, i o moich obawach, że sytuacja może się pogorszyć.

- A co z jego ojcem, jeśli wolno spytać? Mają dobry kontakt?

- Oczywiście.

- Czy gra z nim w szachy? Co robią razem?

Phillip nie bawił się z Dylanem od czasu, gdy ten skończył trzy lata.

- Cóż, w weekendy jemy wspólnie lunch albo mąż zabiera Dylana do kina. Phillipowi bardzo zależy, by mały dużo



czytał, więc kładą się na kanapie i czytają o inżynierii lotniczej czy czymś takim. Wie pan, Phillip jest prawnikiem, przez większość dni w tygodniu nie ma go w domu. Widuje się z dziećmi przy śniadaniu i wieczorem, gdy kładą się spać, raz czy dwa razy w tygodniu.

- Chodzą razem w weekendy na przykład do parku? Phillip nie cierpiał placów zabaw. I nie należał do ludzi,

którzy lubią przechadzać się po parkach, podziwiając przyrodę.

- O tak, czasami, ale nie zdarza się to regularnie.

- Mieszkacie parę kroków od parku, macie dziewięcioletniego syna i nie chodzicie z nim na spacer? - Uśmiechnął się. - To znaczy nie krytykuję tego, tylko trochę się dziwię...

- Dylan często chodzi do parku z kolegami, czy raczej chodził.

- Dobra, ale nie z...

- Fakt. Nie z ojcem. W każdym razie niezbyt często. -Zaczęłam się zastanawiać, czy Peter kiedykolwiek miał do czynienia z prawnikiem z Grid. Próbowałam sobie wyobrazić, co w tej chwili myśli - coś o zepsutych dzieciakach i o tym, że rodzice tacy jak ja i Phillip wywołują zamęt w ich życiu? -A pan gdzie mieszka, jeśli to nie zbyt osobiste pytanie?

- Mieszkam z dwoma innymi facetami w lofcie na Brooklynie, a dokładnie w Red Hook. Zna pani te okolice?

- Tak, znam Brooklyn. Uśmiechnął się szeroko.

- Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić pani w Red Hook. Odpowiedziałam uśmiechem. Jego bezpośredniość wydała mi się ujmująca. Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy poczułam, że się odprężam.

- Tak się składa, że wielu moich przyjaciół mieszka na Brooklynie.

Nie wyglądał na przekonanego. Robotniczo-artystowski Red Hook i snobistyczne, yuppiesowskie Brooklyn Heights -gdzie rzeczywiście miałam znajomych - to dwa światy.

- A czym się zajmują koledzy, z którymi pan mieszka?

- Jeden napisał powieść, która zdobyła świetne recenzje,

ale pracował jako barman, bo nawet dobre książki nie przynoszą pieniędzy. Potem znalazł posadę we wziętej agencji literackiej InkWell Management. Drugi jest nauczycielem w szkolnictwie publicznym. To ten, którego zastępuję. Pomaga mi zresztą przy pisaniu programu.

- Każdy z nich ma wyraźnie wytyczoną drogę zawodową.

- Chyba tak. Ale pani oferuje znacznie więcej pieniędzy, niż oni zarabiają.

- Czy pensja jest dla pana ważniejsza niż kariera?

- Ja też podążam wytyczoną drogą zawodową. Czy pani usiłuje mnie przekonać, żebym nie brał tej roboty?

Weszłam w skórę twardego reportera.

- Dobra, pogadajmy bez ogródek. - Pociągnęłam łyk wody. - Mieszka pan w najmodniejszym ostatnio rejonie Brooklynu, nawet ja to wiem. Jest pan przystojny, bystry i wykształcony. Oczywiście, że nie próbuję pana zniechęcić, ale muszę wiedzieć, jak zapatruje się pan na pracę u kogoś w domu, podczas gdy pańscy koledzy zdobywają kwalifikacje jako nauczyciele i agenci literaccy. Czy to nie byłoby...

- Nie byłoby czym?

- Ma pan prawie trzydzieści lat. Naprawdę interesuje pana taka praca? - Skrzyżowałam palce pod biurkiem. - Opiekuna do dziecka? - Okropnie się czułam, mówiąc coś takiego, uświadamiając mu, że on, facet po studiach, ubiega się o pracę niańka przy Park Avenue. Nie chciałam jednak, żeby po tygodniu pracy zrezygnował z niej, uświadomiwszy sobie, na co się zgodził. - Nie twierdzę, że to nie jest poważne zajęcie; niektórzy uważają pracę z dziećmi za wyzwanie... Słyszał pan kiedykolwiek określenie „nianiek”?

- Nie. Ale teraz, gdy je pani powtarza, wiem, o co chodzi. - Zaśmiałam się. - Przypominam sobie. Britney Spears zatrudnia kogoś takiego.

- Hmm. Dla niej to raczej ochroniarz. Myślę, że słowo „nianiek” brzmi trochę...

- Jak?

Pomyślałam „pejoratywnie”, ale nie powiedziałam tego.

Nachylił się ku mnie.

- Mnie się wydaje, że to słowo brzmi zabawnie.

- Więc to określenie panu nie przeszkadza?

- Przede wszystkim nie chcę być garniturowcem.

- Ale pracował pan w biurze?

- Z niewielkim powodzeniem.

- Jak w Denver Educational Alliance? Nie przedstawił pan referencji stamtąd.

- Pracowałem u nich przez czternaście miesięcy podczas studiów, ale nie zobaczy pani referencji stamtąd.

- Może mi pan powiedzieć dlaczego?

- Z chęcią. Wykonują wspaniałą robotę, ale założyciel firmy to bierno-agresywny facet, który lubi dokopać kolegom, i szczerze mówiąc, powiedziałem mu to wprost.

- Powiedział mu pan, że jest „bierno-agresywny“?

Co wobec tego myślał o mnie? Niepozbita matka z Park Avenue, która próbuje łapać kilka srok za ogon, ale nie bardzo jej się to udaje.

- Nie tymi słowami. No, może użyłem tego określenia, ale zachowałem się z pełnym szacunkiem. Proszę posłuchać, ktoś musiał mu to powiedzieć. Ten facet był kompletnym czubkiem. Któregoś dnia na spotkaniu, jak zwykle, chciał wkopać koleżankę, której praca była bez zarzutu. Nie mogłem tego znieść. Tak czy siak, powiedziałem mu dokładnie to, co myśleli o nim wszyscy.

- To robi wrażenie.

- Wie pani co? Wcale nie mówię tego, żeby zrobić na pani wrażenie, tylko po to, aby pokazać, że nie podoba mi się to całe szambo związane z hierarchią służbową. Dlatego lubię dzieci. Bo dzieci mówią wprost, o co im chodzi. Od samego początku. I jeśli się ich słucha, wykazują wrodzone poczucie przyzwoitości, które bardzo mi odpowiada.

- Rozumiem.

- Poza tym lubię pracować jako wolny strzelec. Powiem szczerze, że pani propozycja brzmi interesująco. Nie mogę sobie teraz pozwolić na zajęcie pełnoetatowe, a posada u pani

dawałaby mi możliwość pracy nad moim projektem przedpołudniami, gdy nie będę Dylanowi potrzebny. Zakładam, że gdy Dylan położy się spać, będę mógł wrócić do domu, tak?

- Tak. Carolina mieszka z nami, więc zawsze będzie mogła pana zastąpić.

- A pozostałe dzieci?

- Od czasu do czasu może pan być mi potrzebny do pomocy przy nich. W rodzinie z trójką dzieci trudno skupić się na jednym.

- Pewnie tak, ale nie mam zbyt wielkiego doświadczenia z małymi dziećmi.

- Stale będzie przy nich niania. Czasami mogę pana potrzebować także przedpołudniami, głównie po to, żeby odwiózł pan albo odebrał dzieci, gdy będę miała jakieś służbowe sprawy.

- Oczywiście, jeśli tylko będę mógł. To zależy, jak pójdzie mi praca nad programem. Jak często to się może zdarzać?

- Parę razy w tygodniu.

- Dobrze. Jeśli tylko dam radę.

Coraz bardziej odnosiłam wrażenie, że facet nie jest stworzony do pracy w sektorze usług.

- Jest pan pewien, że moja propozycja odpowiada panu?

- Słowo harcerza. - Uniósł dwa palce. - Proszę posłuchać, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, mój projekt powinien wypalić w ciągu osiemnastu-dwudziestu czterech miesięcy. A do tego czasu Dylan wróci do formy i będzie chodził jak w zegarku.

Zaśmiałam się.

- To brzmi jak zobowiązanie. Lubi pan Nowy Jork?

- Tak. Są tu moi sponsorzy. I fundusze na rozwój techniczny... - Opuścił głowę. - Poza tym musiałem wyjechać... ze względu na sytuację w domu.

- Czy chodzi o coś, o czym powinnam wiedzieć?

- Nie. To nic ważnego. - Spojrzał na mnie z lekko przewrotnym uśmiechem. - Przepraszam. Sprawy osobiste.

Charles prześwietlił jego przeszłość, sprawdził, czy nie był karany, i nic nie znalazł. Nie chciałam zaś być wścibska.

- Mam pewien problem - powiedział Peter.

- To rozmowa kwalifikacyjna. Jeszcze nie powinien pan mieć problemów.

Uśmiechnął się.

- Powiedziała pani, że taty Dylana prawie nie ma. Może pani kupić mój czas i uwagę, ale to nie to samo co obecność ojca. Nie chciałbym już od pierwszego dnia rozczarować pani ani męża. Dylan od razu się domyśli, że mam mu zastąpić ojca. Jak pani zdaniem poczuje się w związku z tym?

Przewidywałam taką reakcję Dylana. Czułam jednak, że Peter spodoba się małemu, który dzięki jego obecności szybko zapomni o przykrych sprawach.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wpadło coś jaskrawożółtego, w odcieniu kanarkowym. Zdyszana Abby, w nowiutkim kostiumie, wyglądała jak agent wynajmu samochodów.

- Nie uwierzysz! Pojawiła się kolejna taśma Theresy Boudreaux!

O rany. Może miałam szansę odkupienia.

- Wiedziałam, że to jeszcze nie koniec. Po prostu wiedziałam! Jesteś pewna? Skąd to wiesz?

- Od Charlesa.

Nadszedł Charles, który oparł się o drzwi. Zmierzył wzrokiem Petera, potem mnie, bo, jak się zdaje, nie bardzo miał ochotę omawiać sprawy zawodowe przy kolejnym kandydacie na niańka.

Peter położył dłonie na podłokietnikach fotela, gotów wstać.

- Peter, przepraszam cię. Mamy ważną sprawę. Przed moim pokojem stoi krzesło.

Wychodząc, lekko skinął głową Abby i Charlesowi, po czym zamknął za sobą drzwi. Charles gwizdnał.

- Niezły tyłek.

- Proszę cię! Jesteśmy w pracy.

- Rzeczywiście, postępujesz bardzo profesjonalnie, umawiając się w pracy na rozmowy z tymi twoimi niańkami.

Zignorowałam tę uwagę.

- Czego się dowiedziałeś?

- Że te nowe taśmy zupełnie przebijają tamte. - Charles klasnął w dłonie. - Poza tym te poprzednie, które Boudreaux dała ludziom Seebright, były do kitu. Niewiele dało się z nich zrozumieć, a te to już jest coś.

- To nie ma sensu. Jeśli ma się coś do powiedzenia, ujawnia się to podczas pierwszego wywiadu.

- Może ona lubi rozgłos, tylko się wycofała. Może miała skrupuły, których potem się pozbyła.

- Och, daj spokój. O skrupułach nie ma mowy.

- Faktem jest, że historia się rozwija. Może Boudreaux chce osiągnąć coś więcej? Podpisać umowę na książkę czy sprzedać prawa do ekranizacji tej afery?

Charles przysiadł na brzegu kanapy.

- Możesz dzięki tej sprawie wyjechać na sam szczyt i wywalić drzwi ABS. Masz swoje pięć minut, mała!

Erik i Goodman ledwie się do mnie odzywali od czasu, gdy Theresa wystąpiła u konkurencji, nawet jeśli nie ujawniła żadnych rewelacji.

- Nasza filia w Jackson w Missisipi próbuje zdobyć te nowe taśmy; reporterzy lokalnych gazet wprost uganiają się za nimi - ciągnął Charles. - Na razie jednak nikt ich nie ma. Dyrektor stacji dzwonił do Goodmana, żeby zapytać, czy ten mógłby użyć swoich wpływów i uzyskać coś bezpośrednio od Theresy Boudreaux. Chyba wiedział, że mieliśmy przeprowadzić z nią wywiad, tylko że zawaliliśmy sprawę. Czy raczej ty zawaliłaś.

- Dzięki, że mi przypomniałeś. Co twoim zdaniem jest na tych taśmach? Co ta kobieta kombinuje?

Abby wrzasnęła:

- Może byś po prostu zadzwoniła do Leona Rosenberga, zamiast zadawać głupie pytania, na które nie znamy odpowiedzi?!

Wybrałam numer, pamiętając, że podczas ostatniej rozmowy z nim rzuciłam słuchawkę. Odezwała się, oczywiście, ta jego niezdolna sekretarka.

- Tu Jamie Whitfield z wiadomości wieczornych NBS. Chciałabym rozmawiać z Leonem.

- Dzień dobry, pani Whitfield. Muszę sprawdzić, czy...

- Proszę mi nie mówić, że pani „sprawdzi”, czy on jest, bo wiem, że tak. Dlatego dzwonię. Pojawiły się nowe sensacyjne fakty w związku z panią Boudreaux.

- Wiemy o tym, ale niestety przed panią dzwoniło już ze dwudziestu dziennikarzy. Moim zdaniem sprawiedliwie by było...

Staralam się mówić uprzejmie:

- Mogłaby pani przekazać Leonowi Rosenbergowi, że osobiście go uduszę, jeśli nie podniesie słuchawki?

- Nie ma potrzeby tak się denerwować, pani Whitfield. Zapiszę pani nazwisko na liście dzwoniących...

- Tym mnie pani nie zbędzie. - Wstałam i zaczęłam mówić do telefonu tak lodowatym głosem, jak tylko potrafiłam. - Stoi przede mną nasz redaktor Joe Goodman i zespół prawników NBS, którzy zniszczą waszą kancelarię, ujawniając wasze nieetyczne praktyki. Osobiście dopilnuję, by wymienili panią z nazwiska, Sunny Wilson.

Brak odpowiedzi. I po pięciu sekundach:

- Witaj, Jamie. - Usłyszałam w słuchawce głos Rosenberga. - Nie ma potrzeby za każdym razem wprawiać w dygot mojej sekretarki. Robi dokładnie to, co jej poleciłem. Naprawdę chcecie się do nas dobrać?

- Nie. - Musiałam się roześmiać. - Oczywiście, że nie.

- Jezu, tym razem przestraszyłaś nawet mnie.

- Przykro mi, Leon. I naprawdę chcę cię przeprosić za to, że rzuciłam słuchawkę podczas naszej ostatniej rozmowy. To było niegrzeczne i bezsensowne. Jak mogę ci to wynagrodzić? Wiesz, wszyscy w NBS uważamy, że odwalasz kawał dobrej roboty. I zdajemy sobie sprawę, że ciężko pracujesz, by chronić swoich klientów.

- Przestań chrzanić, Jamie. Wiem, że jestem ci coś winien. Zawsze gram fair, zwłaszcza gdy chodzi o tak ładne kobiety jak ty. - Co za świnia! - Oczywiście, pamiętam też, że jesteś producentką Joego Goodmana.

Przewróciłam oczami.

- Dobra. Co masz dla mnie?

Cisza. Czyżby znów prowadził jakieś gierki? Czy w ogóle miał coś do zaproponowania? Naprawdę istniały jakieś nowe taśmy?

- I nie zapomnij - dodałam - o tym świetnym ujęciu z tobą w garniturze Brioni, gdy wychodziłeś ze swoją klientką z tej jej knajpki. Inne sieci pokazały tylko ją. Ale nie NBS. NBS nie tylko pokazała cię w tym garniturze, ale wymieniła też twoje nazwisko. - Przedrzeźniając głęboki głos Goodmana, powiedziałam: „Widzimy Boudreaux z jej wpływowym prawnikiem, Leonem Rosenbergiem, jak wychodzą z kawiarni w Pearl w Missisipi, gdzie kobieta pracuje”. Goodman uważał, że ten fragment nie jest konieczny, ale ja pomyślałam, że będziesz zadowolony, gdy to zobaczysz. Oczywiście, nie liczyłam, że przypieczętuje to naszą umowę na wywiad z Theresą.

- Rozumiem. Wszystko jasne. Mam wobec ciebie dług wdzięczności.

- Świetnie się składa, bo ja też tak uważam.

- Dlaczego po prostu nie padniesz na kolana i nie zrobisz błagalnej miny?

Cmoknęłam głośno do słuchawki. Charles, w geście solidarności ze mną, przeciągnął palcem po szyi. Znów przerwa w rozmowie.

- Czekam, Leon.

- Nikt nie podsłuchuje na linii?

- Zapewniam cię, że nie. Przepraszam na chwilę.

Spojrzałam na Abby i Charlesa, zmrużyłam oczy, skrzyżowałam palce u rąk, a potem nogi w kostkach. Charles obrócił się i podniósł drugą słuchawkę, wyłączając mikrofon. Abby była tak podniecona, że mogłaby wskoczyć na sufit jak Spider Man.



Na migi odliczyliśmy z Charlesem trzy-dwa-jeden, żeby mógł bezszelestnie podłączyć się do rozmowy. Nie pierwszy raz bawiliśmy się w coś takiego; robiliśmy to setki razy.

Leon w końcu odezwał się ściszym głosem:

- Są jeszcze inne taśmy.
- Z rozmów Theresy Boudreaux z Hueyem Hartleyem?
- Uhm.

Pokazałam Abby uniesione kciuki. Brwi Charlesa uniosły się i opadły jak u Groucho Marxa. Leon ciągnął dalej:

- I jak dotąd, nikt oprócz mnie ich nie przesłuchał. Abby podała mi karteczkę z napisem: „Niech potwierdzi, że są coś warte”.

- A są coś warte?

- Przy nich tamte nadane w programie Seebright brzmią jak rozmowy podczas herbatki u Teletubisiów.

Kolejna kartka: „Zapytaj, co konkretnie jest na tych taśmach”.

- Potrzebuję więcej szczegółów, Leon. Jesteśmy poważną stacją informacyjną. Nie mogę byle czym zawracać Goodmanowi głowy.

- Dobra. Ale nie jesteście poważną stacją informacyjną, skoro tak bardzo interesujecie się Therese Boudreaux. Opanuj się, ślicznotko.

- Czekam, Leon. Wciąż cisza.

- Leon?

Odpowiedział wreszcie:

- Co byś powiedziała na to, że kongresman lubi od tyłu?

- Lubi wchodzić od tyłu do kawiarni? - zapytałam. Charles pokręcił głową, przyłożył rękę do czoła i położył się na kanapie.

Abby pytała bezgłośnie:

- Co? Co?

- Może nie dałem ci tych pierwszych kaset, bo jesteś niekumata, jak te wszystkie ładne panienki. Czy nie powinnaś

zapowiadać prognozy pogody, zamiast być producentką? Myślałaś o tym kiedyś?

- Chodzi o tylne drzwi jej domu? - Wciąż nie mogłam zrozumieć, o czym on mówi.

Charles usiadł i zaczął machać rękami, kręcąc przy tym energicznie głową.

Leon odpowiedział powoli:

- Nie. O seks na pieska. Od tyłu. Dosłownie, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Na pieska - powtórzyłam w zaskakująco rzeczowy sposób. Zaczęłam krążyć po pokoju, zataczając małe kółka, żeby to wszystko ogarnąć.

Abby wytrzeszczyła oczy; po jej nabrzmiąłych żyłach na szyi widać było, jak jest napięta i zaintrygowana.

- Leon, poczekaj chwilę.

Spojrzałam na Charlesa. Skinął głową i dał mi znak, żebym zachowała spokój. Podczas jednej z moich podróży, by spotkać się z Theresą, poszłam na nabożeństwo poranne, w którym brał udział także Huey Hartley. Pamiętam, że przemawiał jak pastor, wygłaszając kazanie na dworze podczas burzy: „Homoseksualiści nie będą już stawiani na piedestale przez elity tego kraju. Bóg stworzył Adama i Ewę, nie Adama i Steve'a! Podczas gdy liberalne media dążą do tego, by zapewnić zbrodnicom prawo do małżeństwa, gdy dokonują ataku na rodzinę, nienarodzone dzieci, dziesięć przykazań, a nawet szopki bożonarodzeniowe, ja i wy, dobrzy mieszkańcy Missisipi, nawrócimy nasz wielki naród!”.

Odzyskałam równowagę.

- Żonaty były minister, założyciel chrześcijańskiej sieci telewizyjnej PBTG, obecnie kongresman zasiadający w Izbie Reprezentantów z ramienia prorepublikańskiego stanu USA, Huey Hartley, ojciec czworga dzieci, mówi na taśmie swojej kochance kelnerce, że lubi seks na pieska?

Spojrzałam na fotel, gdzie jeszcze przed chwilą siedziała Abby. Musiała chyba wylądować na podłodze. Przechyliłam się nad biurkiem i przekonałam się, że się nie mylę.

- Jamie, nie tylko na pieska. Przytrzymaj się czegoś, gdy spróbuję bardziej obrazowo wyjaśnić, o co chodzi, takiej niedorozwiniętej umysłowo panience jak ty. Ten nieszczęsny skurwysyn dosłownie mówi, że lubi wsadzać w tyłek. Najchętniej w słodki południowy tyłeczek Theresy. Opowiada o tym, jak następnym razem weźmie ją od tyłu. I jak mu się podobało, gdy ostatni raz brał ją od tyłu.

- Leon, nie mówisz poważnie.

- Ależ tak.

- Nabierasz mnie, prawda? Dosłownie mówi, że „wsadzi jej w tyłek”?

Abby na podłodze wydała orgazmiczny jęk.

- Uhm.

Podrapałam się po głowie.

- Hartley stoi na czele ruchu, który dąży do tego, aby przed wyborami prezydenckimi w dwa tysiące ósmym roku poddać pod głosowanie prawodawstwo wymierzone przeciwko stosunkom homoseksualnym...

- Owszem.

- I sam uprawia seks analny. Leon się zaśmiał.

- A tak. Nie mylisz się.

- Taki obrońca rodziny, zawsze z żoną przy boku, blondynką tapirowaną na lata pięćdziesiąte, i czwórka dzieci...

- Uhm.

- Co za świętoszko waty bufon! Pamiętasz, jak wystąpił w programie swojej stacji, perorując, że rodzina to, rodzina tamto...?

- Uhm.

- Taki dobry mąż i ojciec.

- Uhm.

- I Boudreaux jest gotowa opowiedzieć o tym wszystkim? To znaczy o tym świńskim seksie?

- Uhm.

Pokręciłam głową.

- Dobra, Leon. - Musiałam się roześmiać. - Teraz rozu-

niem, co miałeś na myśli, mówiąc, że nie jesteśmy poważną stacją telewizyjną. Staram się, ale nie potrafię bez drgnienia powieki powiedzieć ci, że absolutnie się co do nas mylisz. Leon roześmiał się także.

- On o tym mówi i mówi. Naprawdę. A ona jest gotowa wszystko potwierdzić przed kamerą. Opowiedzieć ze szczegółami, co robili. I Goodman ma to jak na tacy.

Odłożyłam słuchawkę, padłam na kolana i zamknęłam oczy, wypowiadając w duchu modlitwę dziękczynną, bo ja, Jamie Whitfield, właśnie zdobyłam materiał, który pod względem oglądalności przebije rozgrywki o Superpuchar. Może była to najbardziej skandaliczna afera, jaką kiedykolwiek zajmowała się poważna stacja telewizyjna, ale, o rany, nawet nie marzyłam o czymś takim!

Jakieś pięć minut później, gdy Charles i Abby wyszli, usłyszałam pukanie do drzwi. Peter.

Wsadził głowę do środka.

- Czy już... załatwiłaś tę sprawę, którą miałaś załatwić?

- Strasznie cię przepraszam! - Obiegłam biurko i zaprosiłam go znowu do pokoju. - Tak mi wstyd z powodu złych manier. Ale pochłonęła mnie zupełnie niewiarygodna historia!

Sprawa miała wrażenie, jakby rozumiał mój stan umysłu.

- Musi być ciekawa, niezależnie od tego, czego dotyczy.

- Nie wiem, czy „ciekawa” to odpowiednie słowo. Raczej, jak powiedziałam, niewiarygodna. Jeśli ją usłyszysz, może wybaczysz mi, że byłam nieuprzejma.

- Dobra. Więc jestem zainteresowany tą pracą. O mój Boże!

- Naprawdę?

## Nianiek debiutuje

Przysiadłam na brzegu łóżku Dylana, odgarniając mu włosy z czoła.

- Mam dla ciebie niespodziankę. Spojrzał na mnie.

- Jaką?

- Zgadnij.

- Wygrałaś w toto-lotka?

- Nie.

- Odchodzisz z pracy?

- Dylan!

- No co?

- Przecież spędzam z tobą dużo czasu.

- Wcale nie.

- Kochanie, wiesz, że muszę chodzić do pracy, ale przecież to tylko parę dni w tygodniu. Codziennie jadamy razem obiady...

- Nieprawda. Wciąż pracujesz.

- Dobra. Przyznaję, że dużo pracuję. Ale mówiłam ci, że załatwiam jeden z najważniejszych materiałów, jakie kiedykolwiek mi się trafiły. Chcę to zrobić dobrze. Chcę być dumna z mojej pracy.

Westchnął ciężko i odwrócił się twarzą do ściany.

- Dylan, kocham cię i to, że jestem twoją mamą, to wciąż najważniejsza sprawa w moim życiu.

Naciągnął kołdrę na głowę.

- Wiesz co? Nie będziemy wdawać się w dyskusję na ten temat. Wiem, jak trudno mieć mamusię, która tak dużo pracuje. Zdaję sobie sprawę, że wolałbyś, abym więcej przebywała w domu. Ale obiecuję ci, że w ciągu kilku tygodni wszystko się zmieni. Mam dla ciebie wiadomość. Coś, co cię uraduje.

Dylan, zaintrygowany, odwrócił się na plecy. Wyłączyłam światło i wyciągnęłam się obok niego, opierając głowę na ręce. Pogładziłam dłonią jego czoło i odgarnęłam mu włosy -był to nasz rytuał przed snem.

- Telefon komórkowy? Miałbym własny telefon komórkowy? Powiedziałaś, że muszę zaczekać, aż...

- Nie, nic z tych rzeczy. To nie przedmiot. Tylko osoba.  
-Przesunęłam palcem wskazującym i kciukiem po jego brwiach. Przymknął oczy, rozmarzony i już udobruchany.

- Powiedz coś więcej.

- Będiesz miał nowego przyjaciela, kogoś, kto dostarczy ci rozrywki.

Usiadł, przerażony.

- O raaany! Mówiłaś, że nie będę już musiał spotykać się z doktorem Bernsteinem! Nie chcę chodzić do żadnego lekarza od głowy. To takie głupie.

- Wcale nie o to chodzi, Dylan.

- To ktoś ze szkoły?

- Nie, nie!

- Ktoś od wychowania fizycznego? Od...

- Dylan, kładź się. - Pchnęłam go za ramiona, żeby położył się z powrotem. - Nigdy nie zgadniesz, więc ci powiem.

- Dobra.

- On nazywa się Peter Bailey. Będiesz miał własnego przyjaciela w domu, i to przez cały czas. To znaczy od zakończenia lekcji do pójścia spać. Będzie tu czekał na ciebie jutro po szkole.

- Będzie moją opiekunką?

- Kimś więcej.

- Ile ma lat?

- Dwadzieścia dziewięć. Pochodzi z Kolorado. Jest świetnym narciarzem i chyba też snowboardzistą. Uwielbia grać w szachy, pisze szachowy program komputerowy i inne, które mają uprzyjemnić uczniom średnich klas odrabianie lekcji. I jest supercool. Naprawdę cool. Ma długie włosy.

Na moim synku wszystko to nie zrobiło wrażenia. A myślałam, że będzie zachwycony perspektywą wszystkiego, co mógłby robić z Peterem, i ucieszy się, że nie chodzi o kolejnego „doktora Bernsteina”. Oczywiście, z perspektywy czasu wiem, że tak chciałam sobie wyobrazić wejście Petera do naszej rodziny.

Dodałam z nieco wymuszonym entuzjazmem:

- Najważniejsze, że będziesz miał z nim zabawę! Będzie cię odbierał ze szkoły, zawoził na zajęcia sportowe, wszędzie, dokądkolwiek tylko zechcesz! Nawet na treningi bejsbolu w Chelsea Pierś.

Wciąż cisza.

- Kochanie, nie cieszysz się na treningi bejsbolu? No, co z tobą?

Dylan, nie otwierając oczu, wzruszył ramionami. Serce mi się krajało. Myślałam, że sprawię radość mojemu małemu Kłapouchemu, a tylko go zasmuciłam. Czekałam aż do tej chwili, by mu o tym powiedzieć, bo chciałam, żeby zasnął uszczęśliwiony. Jemu tymczasem zaczęły drżeć wargi.

Spróbowałam jeszcze raz.

- Chodzisz na treningi bejsbolu tylko podczas przyjęć urodzinowych. Mówię ci, ten chłopak będzie cię tam zabierał nawet w dni powszednie!

Usiadł. Potem włączył światło i spojrzał na mnie spod zmrużonych powiek.

- To wszystko dlatego, że tatusia nigdy nie ma w domu? Dzieci są bystrzejsze, niż można by przypuszczać.

- Nieźle. - Następnego popołudnia Peter Bailey podał mi swój płaszcz, a ja sięgnęłam po wieszak.

- Ta szafa jest większa niż moja łazienka - rzekł.

Zerknął za róg, do salonu.

- Mnie też to mieszkanie wciąż wydaje się duże. Wprowadziliśmy się przed kilkoma miesiącami. Ale jak zobaczysz, żyjemy na luzie.

Powiedziałam Peterowi, żeby ubrał się w strój swobodny, więc zjawił się w dwukolorowych spodniach snowboardowych z bocznymi kieszeniami na suwaki. Pod wysłużoną flanelową koszulą miał koszulkę bawełnianą z logo Burtona na piersi. Był w brązowych zamszowych butach Pумы.

Zdjął czapkę bejsbolową, a ja wciągnęłam powietrze z wrażenia.

- Ach, to... - Wskazał strup wielkości mandarynki na czole. - Dlatego noszę czapkę. Wieczorem spadłem z deskorolki. Wiem, że nie najlepiej to wygląda. Przepraszam.

Pokręciłam głową.

- Nie ma sprawy. Dylan uzna, że to jest cool.

Peter był roślejszy, niż mi się wydawało. Poczulałam się dziwnie w środku dnia w domu z dorosłym mężczyzną o głębokim głosie. Zatrudniłam go jako pomoc do dziecka? Faceta po studiach? Był znacznie wyższy ode mnie. Jak mogłam pełnić wobec niego rolę szefowej? Miałam stanąć na palcach i wydać mu polecenie, żeby pozbierał zabawki? Ogarnęła mnie panika.

- Peter, bardzo się cieszę, że jesteś.

- Nie wyglądasz na szczególnie uradowaną.

- Jestem. Będzie świetnie. Po prostu świetnie!

Przez żółte jedwabne zasłony do salonu wpadało wczesno-popołudniowe światło, oświetlając stos książek na stoliku do kawy i dwa duże plastikowe pojemniki, które na nich stały. Gestem zaprosiłam Petera, żeby usiadł na niewielkim antycznym fotelu, podczas gdy sama zajęłam miejsce na kanapie obok.

- Napijesz się czegoś?

Ciekawa byłam, czy poprosi o coś męskiego, na przykład coronę.

- Chętnie.



Zerwałam się jak oparzona.

- Poproszę ginger ale. A jeśli nie masz, może być cola.

Wyjęłam trochę lodu z maszyny i wrzuciłam do kryształowej szklanki. Chwileczkę... Czy przypadkiem nie pomyliły mi się role? Peter przecież nie był gościem; pracował u mnie.

On tymczasem oglądał plastikowe pojemniki. Jeden miał etykietę „Leki dla dzieci”, a drugi: „Leki domowe”. Przy stoliku stało kartonowe pudło z napisem „Pierwsza pomoc w razie zagrożenia”. Skompletowałam te zestawy owej strasznej jesieni po 11 września. Leżała tam również teczka z dwiema kopiami najważniejszych numerów telefonicznych i adresów, codziennym planem zajęć całej trójki dzieci - oddzielnie szkolnych i dodatkowych: sportowych i kulturalnych. Moja matka była bibliotekarką w szkole średniej, więc wychowałam się w domu, gdzie system dziesiętny Deweya stosowano nawet do urządzenia garażu. To jej wina, że czasami bywałam niepoprawną pedantką.

Słyszałam tykanie zegara na kominku, podczas gdy Peter siedział ze skupionym, uprzejmym wyrazem twarzy.

- Może ci wyjaśnię, jak tu wszystko funkcjonuje...

- Co funkcjonuje?

- No wiesz, cały dom. Jak jest zorganizowany.

- Masz na myśli organizację pracy, jak w małej firmie?

- Nie. Chodzi mi raczej o rozkład dnia.

- Jest tu podręcznik dla służby?

- Bardzo zabawne. Nie, choć rzeczywiście zatrudniamy nianię Yvette i gospodynię Carolinę. Obie to wspaniałe kobiety, ale potrwa kilka dni, zanim się do ciebie przyzwyczają.

- Nie ma problemu. Gdzie one są? - Wstał.

- Poczekaj! Może jeszcze... omówimy parę spraw... To znaczy, jeśli ci to odpowiada. A w ogóle jak się masz? Dobrze się u nas czujesz?

- Tak, ale jestem tu dopiero od siedmiu minut. Jak na razie, czuję się świetnie. - Uśmiechnął się. - A ty, wszystko z tobą w porządku?

Czy mój niepokój był tak widoczny? Nerwowo przerzuciłam papiery, wciąż mając poczucie, że nie wiem, jak rozmawiać z tym dorosłym mężczyzną, nie traktując go z góry. Nie chciałam też, żeby odniósł wrażenie, iż traktuję go protekcjonalnie. A potem pomyślałam, jakie to seksistowskie, że dużo łatwiej wchodziłam w rolę szefowej wobec kobiet w moim domu - w każdym razie tak mi się wydawało - niż wobec faceta.

- Dylan chodzi do St. Henry's School przy Eighty-eighth i Park. W poniedziałki ma zajęcia sportowe na Randall's Island. Grupa nazywa się „Poszukiwacze Przygód”. Zabierają dzieci autobusami, a potem odstawiają do domu, ale czasami przywożą je rodzice, gdy chcą obejrzeć mecz. Mógłbyś odwozić tam Dylana. Potrafisz?

- Eee... prowadzenie wozu...

- Nie umiesz prowadzić?!

- Może mnie nauczysz?

- Ja?

- Żartowałem. Umiem prowadzić.

- Naprawdę? Ojej, to świetnie. - Pomyślałam, że muszę zacząć zachowywać się normalnie. To było śmieszne. - Dobra, sama jestem sobie winna... Chodziło mi o to, czy już kiedyś jeździłeś suburbanem? Jednym z tych wielkich, z trzema rzędami foteli? Po mieście?

- Jak myślisz, ilu trzydziestoletnich facetów pochodzących z gór Kolorado nie umie prowadzić suwa?

- Niewielu. Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Niepotrzebnie się denerwujesz. Poradziłem sobie całkiem sam z ponad trzydziestką dzieciaków, więc poradzę sobie i z jednym.

- Naprawdę?

- Uhm.

- Super. - Zabrzmiało to tak, jakbym chwaliła trzylatka. Poczułam, że oblewam się rumieńcem. - W piątki natomiast Dylan ma lekcje gry na wiolonczeli, ale dopiero o piątej. W świetnej szkole muzycznej przy Ninety-fifth Street. Do-

wiedziono, że młodzież, która uczyła się w dzieciństwie muzyki, o czterdzieści procent lepiej radzi sobie na studiach medycznych, wiedziałeś o tym?

- Co ty powiesz?

- Tak. Ma to jakiś związek z łączeniem dźwięków w mózgu. Adres szkoły jest w teczce. We wtorki z kolei są zajęcia ze stolarki, które pomagają Dylanowi w geometrii, służą wyrabianiu zdolności motorycznych i uczą realizacji projektu od początku do końca. W środy i czwartki, od trzeciej trzydzieści do piątej trzydzieści, a nawet do szóstej, możecie we dwóch, to mi absolutnie odpowiada...

- Hola, hola. - Peter wyglądał na zaniepokojonego.

- Słucham?

- Powoli. Tylko nie wdawajmy się w teorie dotyczące geometrii. Czy wszystkie dni masz tak dokładnie zaplanowane?

- Owszem.

- Mogę spytać po co?

- Cóż, oboje z Phillipem pracujemy. Mieszkamy w Nowym Jorku, a tu tak się żyje. - Peter spojrzał na mnie z dezaprobatą, co uznałam za przekroczenie pewnej granicy. Ciągnęłam jednak dalej, żeby pokazać, kto tu rządzi. - Więc w środy i czwartki możecie robić, co chcecie. Mógłbyś... zabierać go dokądś. Na Times Square jest na przykład restauracja marsjańska z wideo...

- Znam ciekawsze miejsca.

- Naprawdę? Jakie? - Zapytałam takim tonem, jakbym nie miała do Petera zaufania, jakby zamierzał zabrać mojego syna na metę kokainistów.

- Wolalbym na początku zabrać go do parku, może pograć trochę w kosza...

- On ostatnio ma niechętny stosunek do koszykówki.

- Wiem. Wiem.

- Jeśli o to chodzi, będziesz musiał postępować z nim delikatnie.

- A ty będziesz musiała mi zaufać. Mówiłem ci już, że źle znoszę układy hierarchiczne.

O Jezu! Ten facet nie tylko nie zapowiada się na perłę w dziedzinie usług, ale i nie potrafi wykonywać poleceń?

- Rozmawiamy o moim synu.

- I zamierzam postępować tak, jak sobie życzysz. Ale postaraj się zaufać mi. Pamiętaj, dobrze radzę sobie z dziećmi i umiem prowadzić wóz. - Próbował się uśmiechnąć.

W głębi mojej torby drugi raz zadzwonił telefon. Poprzedni dzwonek zignorowałam, ale na tę rozmowę czekałam. Na wyświetlaczu zobaczyłam bowiem nazwę firmy prawniczej Leona Rosenberga.

- Peter, przepraszam na chwilę. Podniosłam klapkę telefonu.

- Tak, Leon?

- Uzgodniłem wszystko na sto procent! - krzyknął.

Wyobraziłam go sobie, jak siedzi rozparty w fotelu, pogryzając nieodłączne cygaro, i niczym boss mafijny strzepuje popiół z jednego ze swoich ohydnych garniturów ze zbyt lśniącego materiału w grube białe paski. Stacje telewizyjne ogarnęła prawdziwa gorączka na punkcie Theresy i prawie o niczym innym nie mówiły. W rozmaitych rozmowach typu talk-show zastanawiano się nad przyszłością polityczną Hartleya, nadawane w godzinach największej oglądalności programy publicystyczne prezentowały środowisko Theresy - choć dziennikarze nie mogli dotrzeć do niej bezpośrednio - a agencyjne audycje informacyjne rozdmuchiwały tę historię, jak tylko się dało. Na razie jednak żadne z mediów nie było w stanie ujawnić czegoś więcej w związku z tą historią, bo dwoje jej głównych bohaterów milczało.

- Co najważniejsze, Theresa wie, że ty wiesz, co jest na tych taśmach, i potwierdzi to przed kamerami - mówił Leon. - To znaczy całą tę sprawę okołodupną.

Goodman i ja negocjowaliśmy z Rosenbergiem warunki wywiadu: gdzie się odbędzie, ile z nagranych rozmów telefonicznych wykorzystamy i przede wszystkim to, że Theresa będzie musiała nazwać po imieniu rodzaj seksu, jaki uprawiała z Hartleyem, co Leon właśnie potwierdził.

- A co do innych szczegółów - dodał - Theresa jest gotowa zacząć całą jazdę w tym tygodniu.

W tym momencie Peter otworzył pojemnik z zestawem leków domowych i wyjął trzy plastikowe torebki: z jodkiem sodowym, cipro\* i tamiflu\*\* w ilościach, które wystarczyłyby na całe życie. Zaczął czytać przeznaczoną dla Yvette i Caroliny laminowaną kartkę, którą włożyłam do środka, na temat tego, jak należy postępować w razie wybuchu bombowego, kontaktu z węglikiem czy ptasiej grypy.

- To świetnie, Leon - zapewniłam.

- Chociaż miała nadzieję na wielkomiejskie luksusy, zdaje sobie sprawę, że może liczyć tylko na pokrycie kosztów pokoju hotelowego i dietę w wysokości osiemdziesięciu pięciu dolarów dziennie przez dwa dni pobytu w Nowym Jorku. Zależy jej jednak, żeby dobrze wyglądać. Chce, żebyście opłacili jej dzień w spa, wizytę u kosmetyczki, pedicure, manicure i tak dalej.

Usunęłam z zasięgu rąk Petera dragi pojemnik z lekami i odstawiłam go na podłogę pod nogami. Znajdowały się w nim strzykawki ze środkiem antyalergicznym, inhalatory dla astmatyków i benadryl\*\*\* - nie dla moich dzieci, tylko dla pociech sąsiadów, które przychodziły się do nas pobawić. Można by odnieść wrażenie, że połowa potomstwa naszych przyjaciół była uczulona na orzechy, a ich mamy zupełnie się tym nie przejmowały. Czasami nawet zapomniały nas o tym uprzedzić. Domyślałam się, że Peter uważa mnie za kompletną neurotyczkę. No, nie jestem przecież nią!

- Leon, proszę cię, powiedz jej wyraźnie, że nie jesteśmy jakąś tam agencją informacyjną ani brytyjskim tabloidem. To dział wiadomości poważnej stacji telewizyjnej. Pokryjemy koszty fryzjera i makijażu, ale na tym koniec. Nie możemy płacić za wywiady ani finansować takich usług jak zabieg

\*Ciproflaxin - antybiotyk zalecany przeciwko węglikowi.

\*\*Lek przeciwko grypie.

\*\*\*Lek antyhistaminowy przeciwko alergii.

u kosmetyczki osobom, które zapraszamy do programu. Musimy przestrzegać zasad polityki informacyjnej. Leon zarechotał i walnął czymś ciężkim o biurko.

- Przestań się mądrzyć przez chwilę i posłuchaj sama siebie, słonko. - Zaśmiał się znowu. - Ho, ho, ho! Strasznie to wszystko napuszone jak ten pieprzony Walter Cronkite, ale ty i ja wiemy, że tak naprawdę interesuje was tylko ten seks od tyłu.

Mrugnęłam do Petera, dając mu znak, że rozmowa jeszcze chwilę potrwa. Wstał, oparł się o parapet i wyjrzał na Park Avenue, a potem ruszył w kierunku drugiego końca salonu, skąd przez rozsuwane drzwi wchodziło się do gabinetu Phil-lipa. Sięgnąwszy ku jednej z półek, które stały po obu stronach wejścia, wyjął *Jak wychowywać dzieci w zamożnym środowisku*, podręcznik, który Phillip czytał, gdy byłam w ciąży z Dy lanem. Wpadłam w panikę, ale że Peter znajdował się po drugiej stronie pokoju, nie mogłam mu wyrwać książki.

- Posłuchaj, Leon. Mówimy o facecie, który stał na czele chrześcijańskiej stacji telewizyjnej, ojcu czwórki dzieci, żonatym od trzydziestu lat z kobietą będącą sobowtórem June Cleaver\*, polityku, który nie przestaje mówić o roli rodziny, o koalicji chrześcijańskiej i wciąż promuje Promise Keepers\*\*. W tej sprawie jest więc trochę hipokryzji. Ale masz rację, jej przejawy w... sferze seksu szczególnie nas interesują. Zwłaszcza, o ironio, w zestawieniu z prawami przeciwko stosunkom homoseksualnym, o które ten człowiek walczy. To smakowity kąsek. Nie zaprzeczam. Pamiętaj jednak, że zależało nam na tej historii, zanim jeszcze pojawiła się ta ostatnia ciekawostka.

\* June Cleaver - bohaterka amerykańskiego serialu telewizyjnego *Leave It to Beaver*, reprezentująca typ dobrej matki i zawsze pogodnej gospodyni domowej.

\*\*Promise Keepers - międzynarodowa organizacja chrześcijańska zrzeszająca mężczyzn, która propaguje ideę tradycyjnej rodziny z kobietą podporządkowaną mężowi.

- Ciekawostka warta dwadzieścia pięć milionów dolarów, kochanie.
- Owszem. I skończmy na tym.
- Dobra, kotku, skoro mamy kończyć, to jeszcze jedna sprawa.

Westchnęłam głęboko i specjalnie do słuchawki, czekając, aż Leon wyartykułuje następne życzenie. Powiedziałam do Petera ruchem warg:

- Bardzo cię przepraszam!

Pokręcił głową i równie bezdźwięcznie odpowiedział:

- Nie przejmuj się. - Zamknął książkę i podszedł do pudła stojącego przy stoliku do kawy.

- I Goodman, oczywiście, pamięta, że ma wspomnieć ojej prawniku...

Peter zajął teraz do zestawu „Pierwsza pomoc”. Wyjął stamtąd ulotkę Homeland Security\*, na którą zerknął i którą potem schował z powrotem. Następnie wyjął maskę gazową, wyciągnął ją z plastikowej torebki i zaczął czytać instrukcję obsługi.

- Dobrze, Leon, wymienimy cię z nazwiska i możemy nawet pokazać cię w tej sekwencji, którą lubisz, nie tej, gdy wiało i miałeś włosy jak Don King\*\*...

Peter naciągnął na twarz maskę gazową. Potem wyjął pomarańczowy kombinezon, chroniący przed promieniowaniem radioaktywnym, spojrzął na metkę, przyłożył go do siebie i przytrzymał, przyciskając podbródkiem do szyi.

Trzasnęły drzwi frontowe. Była dopiero druga po południu. Wiedziałam, że Carolina jest w kuchni. Yvette wyszła do parku z dwójką młodszych dzieci, a Dylan nie wrócił jeszcze ze szkoły. Nikt zazwyczaj nie wchodził do mieszkania, nie dzwoniąc wcześniej ani nie pukając. Wyciągnęłam głowę

\* Agencja federalna, której głównym zadaniem jest zapobieganie atakom terrorystycznym i zabezpieczanie przed nimi mieszkańców USA.

\*\* Don King - amerykański promotor boksu zawodowego, znany z charakterystycznej fryzury.

w stronę holu, podczas gdy Leon zaczął wyjaśniać, którą dokładnie taśmę z jego udziałem mamy wykorzystać.

Przez hol przeleciał płaszcz Phillipa. Cholera! Dopiero po lunchu, a Phillip już wrócił? Wiedziałam, że nigdzie nie wyjeżdżał, jak dotąd zresztą nigdy nie zdarzyło mu się wpaść do domu w środku dnia bez wcześniejszego telefonu. Wszedł do salonu z jakimś mężczyzną, którego nigdy wcześniej nie widziałam, i natknął się na Petera, który w masce gazowej przymierzał pomarańczowy kombinezon.

- Jamie, na miłość boską, co tu się...

Peter zdjął maskę. Teraz on z kolei zamienił się w Dona Kinga. Uprzejmie wyciągnął rękę do Phillipa.

- Nie, nie! - zawołałam do niego.

Peter znieruchomiał i rzucił mi spojrzenie w stylu: Co, do licha, proszę pani? Chciałem się tylko przedstawić. W słuchawce usłyszałam:

- Nie masz tego ujęcia, kotku? Tego, o którym mówię?

- Ależ nie! To nie było do ciebie. Mam je, Leon. Wiem dokładnie, o co ci chodzi. Ja tylko... - Machnęłam ręką, dając Peterowi znak, żeby usiadł, i wskazałam mu krzesło. - Chcesz mieć przygładzone włosy jak na tym materiale, na którym jesteś w trenczu, żółtym jedwabnym szaliku i pasujących do niego jedwabnych skarpetkach, a nie jak na tym, na którym masz czuprynę jak wielki frisbee. Pamiętam. Czy to wszystko?

Phillip z dezaprobatą pokręcił głową i ruszył holem ze swoim gościem. Potem drzwi jego gabinetu się zamknęły.

- Dobrze, Leon. Dzięki za potwierdzenie w sprawie Theresy. Do widzenia.

Odłożyłam słuchawkę i wzięłam głęboki oddech.

- Przepraszam - powiedział Peter. - Chciałem być uprzejmy...

- Nie. To ja przepraszam. To znowu sprawa tego sensacyjnego materiału, poza tym zamierzałam cię przedstawić mężowi w spokojniejszych okolicznościach.

- Rozumiem.

- Przepraszam, że znowu przerywam rozmowę, Peter. -



Wstałam. - Muszę do niego zajrzeć. Wybacz na moment. -Przeszłam na palcach przez salon i przyłożyłam ucho do rozsuwanych drzwi.

- Szlag by to trafił, Alan! Zabrałem te dokumenty do domu, żeby nie trzymać ich w biurze. Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Więc gdzie są? Jeśli je tu trzymałeś, lepiej, żeby się znalazły.

Jaki Alan? Zapukałam i usłyszałam, że lampa spada na podłogę. Drzwi się uchylły i mój zazwyczaj spokojny mąż wystawił głowę przez szparę.

- Tak?

- Phillipie, jest druga po południu w dzień powszedni. Nie uprzedziłeś mnie, że wrócisz tak wcześnie. Co tu robisz? Kto jest z tobą?

- Nieważne.

- Słyszałam, że rozmawiasz z jakimś Alanem.

- Atak.

- No właśnie. Z Alanem. - Wciąż brak wyjaśnienia ze strony mojego męża. - Dlaczego tak dziwnie się zachowujesz? Jesteśmy w domu.

- Dlaczego ty zachowujesz się tak dziwnie? O co chodzi z tym facetem, który przymierza kombinezon?

- Później ci wyjaśnię. Dlaczego wróciłeś o tej porze?

- Z powodu pewnych dokumentów, które muszę znaleźć. W gabinecie.

- I ten Alan ci w tym pomaga?

- Tak. Pomaga mi. Właśnie tak. Czy już skończyłaś? Przepraszam cię, kochanie, ale naprawdę jestem zdenerwowany. Mogłabyś zostawić nas samych? I wspaniale by było, gdybyś nam przyniosła dwie kole dietetyczne. Z plasterkami cytryny. Naciętymi i nasadzonymi na brzeg szklanek. Nie wrzucaj ich do coli.

- Jak długo tu będziecie?

- Do wieczora. Ale nie mów dzieciom, że jestem, bo będą nam przeszkadzać. Powinienem skończyć do ósmej. - Wy-

starczająco dużo czasu, żeby Dylan poznał Petera i spędził z nim trochę czasu. Zanim mój mąż wyjdzie z gabinetu, Petera już nie będzie.

Phillip schował głowę i zasunął mahoniowe drzwi. Rozległ się szcęk obracanego w zamku klucza. Zgodnie z zapowiedzią, mój mąż przez kilka godzin nie wystawił nosa z gabinetu. Nie dostał też dietetycznej coli.

- Obiecuję, że choćby nawet nastąpił atak węglikiem, już nie wstanę i nie odbiorę telefonu - powiedziałam do Petera.

- Nie ma sprawy. - Wziął torebkę z cipro. - Jesteś dobrze przygotowana.

- Szczerze mówiąc, przeżyłam małe załamanie po jedenastym wrześniu. Gdy się mieszka w tym mieście z dziećmi, przychodzą człowiekowi do głowy okropne myśli.

- Rozumiem.

- Wracając do Dylana, to niezwykle bystry chłopiec. Ale też przemądrzały. Potrafi powiedzieć coś, co kompletnie zbije cię z tropu. Nie lubi się poddawać.

- To tak jak ja.

- Ten mecz koszykówki naprawdę go dobił. ;

- Wielka sprawa - mecz.

- Dla ciebie czy dla niego?

Staralam się zachować spokój. Bezpośredni sposób bycia Petera urzekał mnie i denerwował jednocześnie.

- Dylan stał się nieśmiały, bardziej, niżbym sobie tego życzyła. Ma prawie dziesięć lat, ale wciąż potrzebuje kogoś, kto pottrzymałby go za rękę. Nie lubi być nakłaniany do czegoś, na co nie jest gotowy.

- Ty go nakłaniasz?

- Nie, jego ojciec.

- Pozwalasz mu na to?

O rany! Facet wpadł w mentorski ton. Byłam trochę speszona, ale i ujęta jego chęcią dotarcia do sedna sprawy.

- To kwestia jego poczucia własnej wartości. Szczerze mówiąc, Phillip wywiera na Dylana presję, ale za mało przebywa w domu, żeby potem egzekwować to, co chce mu na-

rzucić. To znaczy uwielbia syna, ale bardzo, bardzo ciężko pracuje.

- Czy mógłbym porozmawiać z panem Whitfieldem? Przedstawiłabyś mnie później, kiedy nie będziesz rozmawiać przez telefon. A ja będę bez maski gazowej. - Uśmiechnął się. - Albo po prostu zadzwonię do niego za parę dni. Chciałbym dowiedzieć się, jak ocenia Dylana.

Zacząłam gorączkowo zastanawiać się, czy powiedzieć Peterowi, że mój mąż nie ma pojęcia, iż zatrudniłam opiekuna.

- To bezcelowe.

- Aha.

- Zdecydowanie bezcelowe - uściśliłam. Peter nagle się połapał, w czym rzecz.

- On o mnie nie wie, prawda? Usiłowałam opanować uśmiech.

- Ależ wie...

- Na pewno?

- Cóż...

- Rozumiem. Zamierzasz niebawem mu powiedzieć? -Opadł na oparcie sofy z rękami założonymi za głowę.

- Oczywiście, że mu powiem. Tylko muszę go na tę wiadomość przygotować. On... on... na pewno będzie przychylnie nastawiony do tego pomysłu. Posłuchaj, obiecaj mi, że nie zachowasz się jak wobec tego faceta w dawnej pracy. Wiem, że postępuję właściwie. Gdy Dylan zacznie robić postępy, Phillip przyjmie cię z otwartymi ramionami. Przekonają go efekty.

- Kapuję.

Mieliśmy trzy sypialnie: jedna należała do Dylana, druga -do Gracie i Michaela, a trzecia - do nas; wszystkie zajmowały róg na tyłach mieszkania. Do naszej sypialni przylegała garderoba Phillipa i jego gabinet. Każdy z tych pokoi urządzony był prosto i funkcjonalnie: jasne kolory, brązowe dywaniki i zasłony z granatowymi albo brązowymi lamówkami. Carolina spała w pokoiku za kuchnią, którego specjalnie Peterowi

nie pokazałam. Wstyd mi było, że jest taki mały, choć starałam się, żeby wyglądał wesoło. Kiedy wychodziliśmy z pokoju Michaela i Gracie, zauważyłam, że Peter zwrócił uwagę na świeżo wyprasowane zasłony i jasnozielone tapety.

- Przypomina mi to pokój, w którym mieszkałem jako dziecko - powiedział.

- Naprawdę?

- Nie. - Zaśmiał się i poklepał mnie po ramieniu, najwyraźniej po to, żebym się odprężyła. - Ale mieszkanie mi się podoba. Bez obrazy, ale myślałem, że będzie bardziej...

- Bardziej jakie?

- Sztywniackie.

- Nie jesteśmy sztywniakami! - Zastanowiłam się chwilę. - Mój mąż bywa czasami trochę oficjalny.

- On i ja na pewno znajdziemy wspólny język. O matko! Nie miał pojęcia, o czym mówi.

Domowy zapach sosu pomidorowego, który przygotowywała Carolina, ściągnął nas do kuchni, jasnego pomieszczenia w kolorze zielonego jabłka, gdzie moja rodzina spędzała chyba najwięcej czasu. Na ławie w części śniadaniowej leżały miękkie poduszki w zielone i żółte paski. Poczęstowałam Petera chipsami z otwartej torby, która stała na blacie, a on natychmiast zanurzył jednego z nich w sosie bulgocącym na kuchence. Carolina, która dostrzegła to z korytarza, zrobiła taką minę, jakby zaraz miała zdzielić go patelnią w łeb. Dzień wcześniej uprzedziłam ją i Yvette, że oprócz nich będzie pracował w domu trzydziestoletni mężczyzna. Kiedy wychodziłam z kuchni, zauważyłam, że Carolina rzuciła Yvette spojrzenie „ona *muy loca*”\*.

- Peter, to jest Carolina Martinez. Pracuje bardzo ciężko, opiekując się nami i dziećmi. - Zaczęłam szukać odpowiednich słów, żeby nawiązać do śladów po chipsach i sosie pomidorowym na jego brodzie.

- Carolinie bardzo zależy na tym, żeby to, co gotuje, było dobre. - Tylko tyle udało mi się wy-

\*Ona *muy loca* (hiszp.) - ona postradała zmysły.

myślić. - Carolino, to jest Peter Bailey.. Zajmuje się dziećmi i bardzo się cieszy, że będzie nam pomagał.

Peter strzepnął okruszki z brody, wytarł rękę o spodnie i wyciągnął ją do Caroliny. Ona głośno odstawiała koszyk z praniem na blat i chłodno podała mu wiotką dłoń. Wręczyła mu serwetkę i jednocześnie rzuciła niechętnie spojrzenie. Peter jednak nie wyglądał na zrażonego.

- Sos jest pyszny. Nie mogłem się oprzeć. Popatrzyła na niego podejrzliwie.

- I cieszę się, że tego nie zrobiłem. Najlepszy sos, jaki jadłem. W całym moim życiu. - Zwrócił się do mnie: - Hej, pani Whitfield, czy obiady są wliczone w pensję? Bo jeśli ona zawsze gotuje, byłoby to super. - Uśmiechnął się i uścisnął Caroline w ramię.

Instynktownie mu się wyrwała, ale jej spojrzenie złagodniało. W ciągu dwudziestu sekund ten facet zdołał udobruchać Caroline, a była to sztuka, której ja do tej pory nie opanowałam.

## 8

Nianie są znacznie prostsze w obsłudze niż niańkowie

- Dylan, patrz Peterowi w oczy, kiedy się z nim witasz, zwłaszcza podczas pierwszego spotkania - zwróciłam uwagę synkowi.

- Pani Whitfield, czy ja mogę się tym zająć? - włączył się Peter. - Dzieci nie zawsze chcą być uprzejme.

Dylan prawie się nie odzywał, patrzył w podłogę, podczas gdy Peter próbował wszystkiego, by mały poczuł się swobodnie. W końcu poszli do pokoju Dylana, ale po kilku minutach Peter wyłonił się z niego, mówiąc, że musimy trochę zwolnić tempo.

Następnego popołudnia przyjechał wcześniej i znowu przeszliśmy do części jadalnej. Powiedziałam:

- Zeszłego wieczoru odbyłam z Dylanem długą rozmowę, był bardzo zdenerwowany.

- Z mojego powodu.

Usiłowałam uśmiechnąć się uspokajająco.

- Tak.

- Myślę, że w jego wieku zachowywałbym się tak samo, gdybym był w jego sytuacji, co poniekąd się zdarzyło.

- Naprawdę?

- Okoliczności wprawdzie inne, ale również był twardy, wymagający ojciec, wciąż niedostępny. I nadopiekuńcza mama.

- Nie wydaje mi się, że bym była nadopiekuńcza. Staram się po prostu pomóc. - Czy to miał być zarzut? Szkoda, że nie potrafiłam powiedzieć: „Posłuchaj, pracujesz dla mnie. Płacę ci. Masz odnosić się do mnie z szacunkiem. Jasne?”.

- Spodziewałem się tego. Wiedziałem, że pomyśli, że chcę zastąpić mu tatę, i będzie rozstrojony. Przykro mi to mówić, ale tak właśnie przypuszczałem.

Zacząłam się zastanawiać, czy wszyscy niańkowie są tacy nieznośni. Czy to ja byłam na haju, czy też on zachowywał się w parku tak niewiarygodnie czarująco? Wobec Caroliny wykazał się sprytem i nawet domyślił się, że nie powiedziałam o nim Phillipowi; obie te rzeczy uznałam za przejaw dużej inteligencji emocjonalnej. Ale ludzie o dużej inteligencji emocjonalnej mogą być irytujący z powodu tej swojej wszechwiedzy.

- Posłuchaj, Dylan nie jest zły na ciebie, tylko przykro mu, że ojca bez przerwy nie ma.

- Więc tym bardziej musimy postępować delikatnie -orzekł Peter. - Macie komputer, z którego mógłbym korzystać?

- Oczywiście. W pokoju zabaw na końcu holu, obok sypialni Dylana. Możesz tam iść.

- To trochę potrwa. Zrozum, proszę, że jeśli w tym pierwszym tygodniu nie będę się bawił z Dylanem na czworakach, to nie znaczy, że nie pracuję, by dojść do tego.

Była to pierwsza stosowna uwaga, jaką wygłosił Peter, odkąd się u nas zjawiał. Nagle znowu zamienił się w tego magnetyzującego faceta z parku, który kierował trzydziestką dzieci jak marionetkami.

Zgodnie z obietnicą Peter nie wywierał presji na Dylana. Przez resztę tygodnia przychodził do nas, czytał gazety przy stole kuchennym, a potem szedł do pokoju zabaw, żeby popracować nad swoim programem komputerowym. Dylan od czasu do czasu także tam zaglądał i grał na podłodze w gry wideo. Nie byli przecież po przeciwnych stronach mura berlińskiego - Peter z rzadka wypowiadał do niego kilka słów,

ale przeważnie ignorował małego. Mój uparty Dylan odmawiał wszelkiej współpracy.

Na początku drugiego tygodnia Peter zaczął okazywać wyraźne zainteresowanie Gracie. Miała znacznie weselsze usposobienie, była bardziej otwarta niż Dylan i ze wszystkimi od razu nawiązywała kontakt. Peter brał ją na kolana i pokazywał jej najróżniejsze strony internetowe dla dzieci, zwracając uwagę na gry i piosenki, a także wchodził z nią na stronę Disnejowskiej „Księżniczki”, którą uwielbiała. Gracie zaś zaciągnęła go do swojego pokoju, żeby pokazać mu różne akcesoria z wizerunkiem Księżniczki, podczas gdy Dylan, oczywiście, udawał, że wcale go to nie obchodzi. Po czterech dniach herbatek dla lalek w różowych tutu wszyscy dostaliby szału, ale Peter zachowywał stoicki spokój. Dylan cały czas trzymał się z boku, jednym okiem obserwując każdy jego ruch.

W końcu w drugi piątek po południu Peter, jak mi relacjonował, zwrócił się do Dylana, który leżąc na brzuchu podparty na łokciach, bawił się modelem samochodu.

- Kolego, umieram z nudów. Nie wytrzymam już ani minuty z Pocahontas. Nie poszedłbyś do parku pograć w piłkę? -zapytał wprost.

- Nie, dziękuję.

- Dobra. Nie ma problemu.

Wtedy Peter zajął się z kolei Michaeliem. Zabrał go z sypialni piszczącego i chichoczącego, posadził sobie na ramionach - wszystko na oczach Dylana - i zaczął śpiewać hymny kibiców drużyn piłkarskich, biegając z małym po mieszkaniu, podczas gdy zaniepokojona Yvette człapała za nim.

- Oddaj mi dziecko! - Musiała zdzielić go ścierką po głowie, żeby się uspokoił. Dylan uwielbiał, jak ktoś się z nianią drażnił, bo przeważnie była flegmatyczna, i uśmiechnął się z za swojego samochodzika.

Michael i Gracie zaczęły walczyć ze sobą o Petera. Pulchny Michael, bezpośredni i zaborczy, objął go za kolana i odepchnął Gracie.



- Ja pierwsza zawołałam Petera! Yvette! Ja pierwsza go zawołałam! - wrzasnęła Gracie.

Dylan zakrył rękami uszy.

- Uh! Hej, wy! Zamknijcie się! Yvette pacnęła Dylana po nogach.

- Nie mów tak brzydko!

- To niech oni przestaną! Mam lekcje do odrobienia. A Peter pracuje na komputerze! Jesteśmy zajęci! - zawołał Dylan do rodzeństwa. - Peter nie może się teraz z wami bawić.

- Może! - krzyknęła Gracie.

Michael ugryzł ją w rękę, aż zawyła z bólu.

- Yvette, mogłabyś ich zabrać? - poprosił Dylan. - Naprawdę nam przeszkadzają.

Yvette, silna jak wół, wzięła oboje dzieci pod pachę i wychodząc, uśmiechnęła się do Petera. Ten zamknął za nią drzwi.

- Dzięki za wybawienie. Chcesz, żebym ci pokazał fantastyczny ruch w szachach, dzięki któremu za każdym razem skopiesz tyłek przeciwnikowi?

- Jasne. Czemu nie?

\* \* \*

Wkrótce zorientowałam się, że podjęłam właściwą decyzję, sprowadzając do nas Petera. Byłam bardzo szczęśliwa, gdy Dylan zaczął okazywać zadowolenie z towarzystwa dorosłego kolegi. Wieczorami opowiadał, jak Peter odbiera go ze szkoły, i przestał nosić swoją ulubioną koszulkę polo, bo dowiedział się od niego, że to nie jest cool. Któregoś dnia po szkole przekazał mi za jego pośrednictwem, że zrobił dziesięć pompek z rzędu. Podobało mi się, że Peter tak się zaangażował, że tak szybko nawiązał kontakt z moim synem. Obserwując ich obu razem, czułam się bezpieczna, miałam wrażenie, że od czasu do czasu mogę sobie odpuścić i zdać się na kogoś.

Gdy już poczuliśmy się ze sobą swobodnie, Peter zaczął

się ze mną regularnie przekomarzać, co ja oczywiście uwielbiałam. Wychodziłam na przykład z jakąś życzliwą radą w rodzaju:

- Dylan nie ma żadnych zajęć we wtorek. Może byście poszli do pracowni ceramicznej i pomalowali tam świnkę skarbonkę z gliny? Potem się ją wypala i odbiera po tygodniu już całą błyszczącą.

Peter patrzył na mnie z niezmierną pogardą.

- Mielibyśmy zajmować się malowaniem świnki skarbonki? Wydaje ci się, że to jest cool?

- Dylan czasami robi to na przyjęciach urodzinowych.

- Tylko dlatego, że bogate mamy nie mają wyobraźni.

- I oczywiście mnie też do nich zaliczasz?

- Broń Boże - odpowiadał sarkastycznie.

- Słusznie. - Zdecydowanie lubiłam tego faceta i mówiłam sobie, że to dlatego, iż pomaga mojemu synowi. Nie miało to nic wspólnego z tym, że uśmiechał się, kiedy tylko wchodziłam do pokoju. Ani z tym, że świetnie nam się rozmawiało, nawet gdy nie było w pobliżu Dylana. I na pewno nie z tym, że doskonale wyglądał w bojówkach.

- Dzieci lubią zajęcia z garncarstwa, Peter. Nie zapominaj, że Dylan to dopiero dziewięciolatek.

- Może i tak, ale to nie jest cool, więc nie będziemy się tym zajmować.

- Co więc zamierzasz robić?

- Dylanowi bardzo się podoba na promie „Staten Island”.

- Naprawdę?

- No. Pojechaliśmy tam metrem. Rejs jest bezpłatny. Trwa dwadzieścia pięć minut. Dylan był zachwycony. Popłynęliśmy w tę i z powrotem. Chciałabyś wybrać się z nami?

- Nie mam czasu.

- Miałabyś lepszą zabawę, niż myślisz.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Uśmiechnęłam się, rozbawiona.

- Pojedź z nami, to się przekonasz.

- Nie, chyba nie. - Ale miałam ochotę.

Zorientowałam się, że wyczuł moje wahanie, a może nawet to, że chętnie wybrałabym się z nimi, ale nie nalegał.

- W tym tygodniu może zabiorę go na lotnisko La Guardia.

- Zamierzasz chodzić z nim po lotnisku i obserwować startujące samoloty?

- Nie, nie wejdziemy na teren lotniska. Jest takie miejsce w Queens, tuż obok jednego z pasów startowych. Gdy się tam człowiek położy, samoloty przelatują mu prawie nad głową.

- Weźcie zatyczki do uszu i koc. «

- Nie bierzemy żadnego koca. To byłby obciach.

- Z włosów zrobi mu się kołtun!

- Umyjemy je po powrocie do domu.

Ktoregoś wieczoru w trzecim tygodniu pobytu Petera u nas, gdy on i Dylan grali w szachy na stole kuchennym, a Carolina podawała kolację, bez uprzedzenia pojawił się Phillip. Miał podwinięte rękawy koszuli i rozluźniony krawat, poza tym sprawiał wrażenie nieobecnego i przygnębnego. Przeszedł obok nas, kierując się ku lodówce. Oho! Peter głośno przełknął ślinę.

- Kochanie, samolot wcześniej wylądował? - spytałam. Peter przezornie wstał od stołu.

- Nie. Spotkanie odwołane - odpowiedział Phillip krótko. Usiadł na ławie z dziećmi i wziął skrzydełko kurczaka z talerza Micheala. - Carolino, zrób coś i dla mnie. Przygotuj mi kanapkę z szynką, z musztardą po jednej stronie i majonezem po drugiej. Wezmę ją do gabinetu na tacy, razem z mrożoną herbata, a potem będę musiał wrócić do biura.

Normalnie o tej porze dzieci wrzeszczałyby na siebie albo walczyły o to, kto dostanie kubek ze skreconą w spiralę słomką. Jednak tego wieczoru wyczuły, że ojciec jest zdenerwowany, i mądrze postanowiły popijać mleko w ciszy.

Gracie spojrzała na rozluźniony krawat Phillipa i jego wymiętą koszulę.

- Dlaczego wyglądasz tak nieporządnie? - zapytała.

Phillip zaśmiał się, sięgnął po następne skrzydełko kurczaka i posmarował je keczupem z plastikowej tacki ze sceną z *Pięknej i bestii*.

- Jestem zmęczony i wyglądam nieporządnie, bo ciężko pracuję, żebyście mogli do woli sobie kupować te wszystkie skrzydełka kurczaka i keczup.

Przesunął się na ławie, żeby wziąć Michaela na kolana i usadowić się między dwójką starszych dzieci. Objął ramionami Gracie i Dylana, przyciągając ich do siebie.

- Kocham was najbardziej na świecie. Po prostu stęskniłem się za wami. Wpadłem do domu, bo chciałem posiedzieć z wami przy kolacji!

Potem wyjął telefon komórkowy z tylnej kieszeni i ponad głowę Gracie spojrzął na wyświetlacz, zrecznie przewijając kciukiem listę połączeń.

Usłyszałam, że drzwi pokoju zabaw zamykają się cicho, i poczułam ulgę, że Peter zrozumiał sytuację pod tytułem „Trudny mąż w domu”. Dylan zerwał się z ławy, żeby pokazać Phillipowi swoje nowe magnetyczne szachy. Kiedy Phillip postawił sobie za zadanie nauczyć dzieci grać w coś takiego jak szachy, robił to całkiem dobrze. Było mi tylko przykro, że nie może - albo nie chce - poświęcić temu więcej czasu.

- Zagrasz ze mną w szachy po kolacji? - zapytał Dylan. -Poznałem kilka nowych ruchów.

- Może, ale nie obiecuję, bo muszę sprawdzić parę rzeczy...

Phillip znowu skupił się na telefonie, przesuwał i naciskając kółko z boku.

Nie zawsze był tak pochłonięty pracą ani nie miewał ataków wściekłości z powodu spinek do mankietów, ale już wcześniej - musiałam spojrzeć prawdzie w oczy - pojawiały się pewne sygnały ostrzegawcze, które wolałam ignorować, gdy się w nim zakochałam.

Poznaliśmy się w Memphis podczas wspólnej podróży służbowej. Był rok 1992; w Europie Wschodniej dokonały się

przemiany ustrojowe, w Los Angeles wybuchły zamieszki w związku z Rodneyem Kingiem\*, a Dan Quayle wygłupił się, błędnie literując słowo „ziemniak”\*\* . Miałam dwadzieścia dwa lata i właśnie zaczynałam wdrażać program analityczny u Smitha Barneya\*\*\*, podjąwszy po college'u pracę na Wall Street, bo niemądrze próbowałam zadowolić ojca, z zawodu księgowego. Od czasów szkoły średniej byłam wręcz uzależniona od polityki i podczas letnich wakacji odbyłam w Minnesocie staże zarówno w biurach republikanów, jak i demokratów. Jeśli chodzi o poglądy, lokowałam się wtedy - i lokuję nadal - pośrodku, celowo więc pracowałam po obu stronach barykady. Marzyłam wówczas tylko o tym, żeby zatrudnić się w administracji rządowej w Nowym Jorku, może w biurze burmistrza. Wciąż jednak starałam się skorzystać jak najwięcej z posady w banku, którą załatwiłam sobie w Georgetown.

Phillip i ja pracowaliśmy nad tą samą pierwszą ofertą publiczną wielkiej firmy dystrybucyjnej w Memphis, ale zanim można było sporządzić umowę, na miejsce musiała polecieć grupa bankierów i prawników.

Znajdowałam się wtedy na najniższym szczeblu hierarchii i przesiadywałam długo w noc, przetwarzając dane. Phillip był pewnym siebie młodszym wspólnikiem w dużej firmie prawniczej, z której trzej wyżsi rangą prawnicy również brali udział w tej podróży. W naradzie uczestniczyło nas ośmioro, a ja byłam jedyną kobietą w tym gronie. Podczas drugiego spotkania, gdy reszta z nas zagrzebana była po kolana w dokumentach excelowskich, Phillip, spóźniony pół godziny, wpadł z plikiem raportów w dłoniach.

\* Rodney King (1965) - taksówkarz, który w sposób brutalny został aresztowany przez policję Los Angeles. Jego zatrzymanie, uznane za przejaw rasizmu, wywołało poważne rozruchy.

\*\*Krytykując amerykańskie podręczniki, Dan Quayle stwierdził, że podają niewłaściwą pisownię słowa „ziemniak” -*poiato* zamiast *potatoe*, a tymczasem to on się mylił.

\*\*\*Salomon Smith Barney - jeden z najpoważniejszych w świecie banków inwestycyjnych.

Nie przeprosił za spóźnienie, nie spytał, czy może nam przerwać, tylko oświadczył arogancko:

- Wszystko do tej pory było zawracaniem dupy. Całą noc siedziałem nad raportami i chciałbym, żebyście wysłuchali uważnie, co odkryłem.

Następnie wyjaśnił, że zawaliliśmy analizy i zmarnowaliśmy czas. Nie powstrzymał go bynajmniej fakt, że to szef skierował nas na tę właśnie trajektorię. Krytyka była, być może, niestosowna, ale za Phillipem przemawiał fakt, że miał rację. Jego wystąpienie i postawa samca alfa zrobiły na mnie duże wrażenie. Nie byłam jeszcze na tyle wyrobiona, by zdawać sobie sprawę, że pewność siebie, jaką demonstrował Phillip, wynikała z poczucia, że ma do niej pełne prawo.

Gdy tak stał, wymachując raportami, przyjrzałam się jego jasnym włosom, które opadały mu na uszy i dotykały z tyłu kołnierzyka. Miał na sobie świetnie skrojony garnitur, a mankiety koszuli starannie wysunięte spod rękawów marynarki i opierające się na nadgarstkach. Ci wszyscy sztywni bankierzy i prawnicy na ogół nie nosili długich włosów. Chcieli przy klientach z korporacji wyglądać tak profesjonalnie, jak to tylko możliwe, ale ten facet najwyraźniej przed nikim się nie płaszczył. Miał co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu, smukłą sylwetkę i długie, szczupłe nogi. Zauważyłam zarys mięśni jego ud, gdy obchodził stół, rozdając każdemu z nas dokumenty.

Spojrzał na mojego szefa, Kevina Kramera, i powiedział:

- Dobra, moi drodzy, zmiana taktyki. Oto, jak będziemy pracować od tej chwili. Jeśli zajrzycie do prospektu...

Pomyślałam wtedy - pamiętam - że ten facet może nawet mieć coś do jedzenia w lodówce. Ujęły mnie jego niebieskie oczy i wydatne kości policzkowe. Przypominał mi tych długowłosych szykownych chłopaków w obciętych dzinsach, którzy rzucali frisbee na trawniku przed budynkiem szkoły średniej u nas w Minneapolis i których jasne włosy na torsach błyszczały od potu, gdy jechali dokądś na podbój.

Trzeciego, ostatniego wieczoru pracowaliśmy aż do pół-

nocy, kiedy Phillip zaproponował naszej czwórce, żebyśmy poszli na drinka do baru hotelu Peabody, najstarszego tego typu przybytku w Memphis. Usiadł przy mnie na kanapie, nie okazując zainteresowania mną i zwracając się do moich szefów, Kevina i Donalda, którzy zajmowali miejsca po drugiej stronie stolika. W wyłożonej dębową boazerią sali panował mrok, a na każdym stoliku migotały świece w kolorowych szklanych wazach. Potężny barman w rozpiętej pod szyją koszuli smokingowej rozmawiał z kimś miejscowym w czarnym kowbojskim kapeluszu.

Czułam się trochę onieśmielona w obecności Phillipa, ale byłam oczarowana jego błyskotliwością. Przebywanie z nim w towarzystwie moich nudnych, nadętych szefów bankierów nie było wcale zabawne. Kevina i Donalda nie interesowało nic poza robieniem forsy.

Kevin spojrzał na Rossa Perota z CNN, który pojawił się na ekranie telewizora zamontowanego wysoko na ścianie.

- Dacie wiarę, co ten facet wygaduje? Chce wprowadzić tu system trójpartyjny? W wielkich Stanach Zjednoczonych Ameryki? Od razu może dać sobie z tym spokój!

Miałam nadzieję, że nie widać po mnie pogardy, jaką poczułam, słysząc tę naiwną opinię polityczną.

- System trójpartyjny to nic niezwykłego.

- Słucham? - Zwrócił się do mnie z szeroko otwartymi oczami, jakby mówił do małego dziecka. Złożył ręce i oparł je o blat stołu. - W tym kraju tu masz demokratów. - Przełożył dłonie na drugą stronę. - A tu republikanów. Dwie partie. Zgadza się?

- Tak, Kevin, zgadza się. Czy słyszałeś jednak o czymś takim jak partia Bull Moose?

Oczywiście, nie słyszał.

- Uhm, nic wielkiego. Tak jak partia Teddy'ego Roosevelta - powiedziałam, rozgryzając kostkę lodu.

- Dobra, mądrało, czasami coś takiego się zdarza. Ale to nie zmienia mojego punktu widzenia. - Mruknął coś, wziął garść orzechów nerkowca i przerzucił je w ręce jak kości do gry.

Teraz przyszła kolej na mnie. Miałam zabawę. Poklepałam go po ręce.

- A, i jeszcze dixiekraci. No wiesz, Strom Thurmond, kolejny marginalny polityk.

Roger spojrział na mnie spod zmrużonych powiek.

- Wielkie halo! Dwa takie wypadki w historii.

- No, trochę więcej. - Mimo wysiłków nie zdołałam ukryć satysfakcji, że mogę mu dokopać. - George Wallace w sześćdziesiątym ósmym i siedemdziesiątym drugim oraz John Anderson w osiemdziesiątym.

Wszyscy trzej panowie osłupieli. Phillip wybuchnął śmiechem i położył rękę na oparciu kanapy, na której siedzieliśmy. Wciągnęłam w nozdrza jego zapach samca alfa.

- Kevin, może ona dla ciebie pracuje, ale właśnie cię załatwiła.

- Taaa. A kto twoim zdaniem ją zatrudnił? Ja! Wiedziałem, że coś ma w sobie.

Na tym temat się zakończył. Kevin i Donald zaczęli dyskutować o przewadze pierwszej oferty publicznej nad dokapitalizowaniem firmy. Phillip zamieszał palcem kostki lodu w swoim johnnim walkerze, oblizał go i położył dłoń na moim karku. Szepnął mi do ucha:

- Nie będziesz inwestorem bankowym przez resztę życia.

- Co takiego? Dostrzegłeś jakieś błędy w mojej pracy?

- I to nie tylko z powodu swojej pasji - szeptał dalej. - Jesteś na to o wiele za interesująca.

Przez resztę wieczoru znowu mnie ignorował, ledwie pożegnał się ze mną i poszedł do swojego pokoju.

Byłam zdruzgotana. Następnego ranka on poleciał do Houston, a ja wróciłam do mojego małego mieszkania przy East Thirtieth Street w Murray Hill. Pamiętam, że oparłam się o nędzne harmonijkowe drzwi maleńkiej kuchni, absolutnie przekonana, że nie spotkam już nikogo, w kim mogłabym się zakochać. Przez ostatnich osiemnaście miesięcy chodziłam z redaktorem czasopisma, kobieciarzem, który oszukiwał mnie i wyleciał z pracy, bo był dziwadłem. Wiedziałam,



że to prawdziwy nieudacznik, a mimo to miałam złamane serce. Ten olśniewający Phillip, na punkcie którego zaczęłam w Memphis mieć obsesję, był poza moim zasięgiem. Nowy Jork to najsmutniejsze miasto na świecie, kiedy jest się zagubionym singlem i nienawidzi swojej pracy.

Mimo to próbowałam go zdobyć. W ciągu następnych dwóch tygodni wysłałam mu trzy odręczne notatki, przypięte do projektów umowy, desperacko wymyślając powody, dla których musiałby do mnie zadzwonić. Bezskutecznie jednak. Zamiast do mnie Phillip dzwonił do mojego szefa. Czasami w drodze do domu zatrzymywałam się przed wejściem do jego firmy prawniczej, która znajdowała się dwie przecznice od mojego banku. Ani razu jednak nie wypatrzyłam go w tłumie szarych garniturów płynących chodnikami po obu stronach Wall Street.

Pięć tygodni później, około szóstej po południu ciepłego jesiennego dnia, próbowałam złapać taksówkę w centrum, gdy przy krawężniku zatrzymało się stare srebrne bmw kabriolet. Wiedziałam już wtedy, że jeśli chce się być naprawdę modnym, nie można mieć nowych rzeczy.

- Podwieźć cię, bankierko? Serce podeszło mi do gardła.

- Chyba mówiłeś, że nie powinnam pracować w bankowości.

- Bo nie powinnaś. I wiesz o tym. Podrzucić cię dokądś? Jego marynarka i krawat leżały na tylnym siedzeniu. Dwa górne guziki koszuli były rozpięte. Miał złote okulary przeciwsłoneczne Ray-Bana, które pasowały do jasnych pasm w jego włosach.

- Jesteś pewien? - Nie mogłam uwierzyć, że coś takiego mi się zdarzyło.

- Oczywiście, że tak.

Cztery miesiące później leżałam przed kominkiem na wytartym aubussonie, z głową opartą na gobelinowej poduszce, w przedwojennym, dwupokojowym mieszkaniu Phillipa w małym budynku przy Seventy-first między Park a Madison.

Całowaliśmy się od godziny. Phillip uwielbiał się całować; nigdy dotąd nie spotkałam faceta, który nie spieszył się z przejściem do następnego etapu. Choć w tamtym czasie uprawialiśmy seks jak króliki.

Phillip wstał, żeby przynieść mi następny kieliszek wina, a ja patrzyłam na jego gołe plecy, gdy szedł holem. Stawiał płynne, wyważone, pewne kroki. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że zakochał się we mnie, niskiej brunetce z drobno-mieszczańskiej klasy średniej, zamiast w jakiejś blond bogini z country klubu. Martwiłam się, co będzie, gdy przyjadą moi rodzice i zechcą obejrzeć jakiś Disneyowski film muzyczny czy wybrać się na objazd po mieście piętrowymi autobusami.

Phillip usiadł przy mnie ze skrzyżowanymi nogami i położył sobie moją dłoń na kolanie. Jego stare spodnie khaki były tak wysłużone, że w dotyku przypominały flanelę.

- Wiesz, co myślę? Że powinnaś rzucić tę swoją pracę.

- I z czego będę się utrzymywać?

- Nie sugeruję, żebyś w ogóle nie pracowała, jednak potrzebna ci zmiana. Powinnaś zająć się czymś innym, dopóki jesteś młoda. Dopóki jeszcze możesz zacząć od nowa.

- Bardzo trudno przekwalifikować się.

- Pomogę ci. A przynajmniej będę cię wspierał. Popatrz na to. - Wskazał stos gazet leżących przy mnie na podłodze. - Interesujesz się wiadomościami. Żyjesz nimi. To twoja pasja. Wiesz dużo o polityce, orientujesz się w sprawach zagranicznych, chociaż nie pracujesz w tej branży. Po jaką cholere ślęczysz nad dokumentami w Excelu, dotyczącymi jakiejś pierwszej oferty publicznej, skoro mogłabyś pracować nad czymś, co cię naprawdę zajmuje?

- Próbowałam. Opowiadałam ci już o tym. Bardzo trudno zdobyć taką pracę. Nie wystarczy tylko stwierdzić, że chciałoby się zająć dziennikarstwem czy polityką.

- Ależ tak! Masz teraz wyższe kwalifikacje. Świetnie nadawałabyś się do pracy w dziale ekonomicznym „New York Timesa”. Pisywałaś przecież artykuły do gazety uczelnianej w college'u i poznałaś dobrze Wall Street.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Trzeba przepracować ze trzy lata w jakimś prowincjonalnym szmatławcu jak „South Florida Sun-Sentinel”, zanim w ogóle pozwolą ci przekroczyć próg redakcji któregoś z nowojorskich dzienników. Musiałabym najpierw przenieść się na jakieś zadupie i napisać kilka kawałków, które by zamieścili w lokalnej gazecie.

- Dobra. - Urwał. - To nie ma sensu. - Zastanawiał się przez chwilę. - A co powiesz na wiadomości telewizyjne? Zatrudnij się jako researcher w CNBC albo w jednej z tych nowych stacji kablowych; znasz się na biznesie, więc wezmą cię od razu. - Przełożył kolano nad moim brzuchem i oparł się na łokciach. Jego twarz znalazła się tuż przy mojej, i głaskając mnie po włosach, powiedział: - Uda ci się. Będę przy tobie na każdym etapie drogi, która cię tam zaprowadzi.

- Naprawdę?

- Ufasz mi?

Zaufałam. Na tym polega paradoks życia z Phillipem. Zawsze tak było. Jest jak zepsute dziecko, które dostaje ataków wściekłości z byle powodu, ale jeśli masz przed sobą jakieś zadanie do wykonania, nie znajdziesz nikogo, kto by ci służył większym wsparciem. I dlatego po dziesięciu latach małżeństwa wciąż z nim byłam. Zawsze potrafił dopiąć swego. Nie cierpiałam jego obsesji na punkcie pieniędzy, która nasilała się z upływem lat. Bez przerwy porównywał się z bogatszymi sąsiadami, tym czy innym, który miał samolot czy większe mieszkanie. Sprawiał wrażenie, jakby nie doceniał, że jesteśmy szczęśliwi; jego wybujała pewność siebie powinna mu pomóc wznieść się ponad drobiazgi, ale tak nie było. Za jej sprawą żywił raczej przekonanie, że należy mu się coś więcej, że powinien być jeszcze bogatszy.

Jednak miałam z nim troje dzieci, co również stanowiło element równania. Starał się być dla nich dobrym ojcem. Wciąż mnie kochał. Dlatego uznałam, że muszę się postarać, aby nam się udało.

\*

- Carolino! Gdzie moja kanapka?

- Na kontuarze, Phillipie - powiedziałam.

- Przepraszam. - Rozłożył ją, żeby sprawdzić, czy zawiera dość majonezu i musztardy. - Hej, Dylan, kto to był ten facet, który wcześniej siedział przy stole?

Phillip nie skojarzył Petera z mężczyzną oglądającym pomarańczowy kombinezon, którego widział przed paroma tygodniami.

- To Peter - odparł Dylan. - Ktoś w rodzaju trenera. Carolina szcęknęła naczyniami przy zlewie, starając się

sprawiać wrażenie zbyt zajętej na to, by podsłuchiwać. Phillip spojrział na mnie podejrzliwie.

- Dlaczego trener jadł z dziećmi kolację? Odwiózł Dylana po zajęciach?

- Kochanie, właśnie wyjaśniałam to dzieciom. - Przysiadłam na brzegu stołu, starając się zachowywać jak gdyby nigdy nic. - Yvette ma popołudniami dużo roboty z tym, żeby wszystkich wyprawić na zajęcia dodatkowe. Peter ją trochę odciąża, zwłaszcza jeśli chodzi o Dy lana. A przed kolacją chłopcy będą się mogli chwilę pobawić.

- Brzmi to nieźle, prawda, Dylan? - zapytał Phillip z niebezpieczną nutą w głosie.

Dylan wyczuł, że ojciec nie jest dokładnie wtajemniczony w sprawę niania. I natychmiast to wykorzystał.

- Jasne. Dlaczego nie? I jest przecież naprawdę dobry z matmy.

Nie dość, że wbił ojcu nóż w serce, to jeszcze go obrócił.

Phillip wyglądał na autentycznie zranionego, ale jakoś nie był w stanie ani się odciąć, ani powiedzieć Dylanowi nic pojednawczego. Wstał więc, wziął tacę z kanapką, górą chipsów i butelką soku oraz srebrnym kompletem złożonym z solniczki i pieprzniczki, lnianą podkładką pod talerz i pasującymi do niej lnianymi serwetkami. Wciąż trzymając pod pachą dokumenty, ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się w pół kroku i obrócił na pięcie tak szybko, że butelka omal nie spadła na podłogę.

- Jamie, możesz przyjść do mnie do gabinetu? Chciałbym z tobą porozmawiać.

Jasna cholera!

Phillip opadł na oparcie fotela przy biurku i potarł dłońmi oczy. Patrząc na mnie pustym wzrokiem, przeciągnął palcami po twarzy. W wieku czterdziestu dwóch lat był wciąż uderzająco przystojny, nawet bardziej niż po trzydziestce, ale tego wieczoru wydawał się zmęczony i blady. Złożył ręce i oparł je na przeponie.

- Wierz mi, Jamie, mam w pracy spore problemy, na których powinienem się skupić. Jestem jednak ciekawy, dlaczego do naszego gospodarstwa domowego dołączył jakiś trener.

Usiadłam na krześle obitym miękkim czerwonym materiałem w turecki wzór i położyłam stopy na otomanie. Pod ścianami w gabinecie Phillipa stały zielone regały z oprawionymi w skórę książkami prawniczymi. Ich ścianki ozdobione były mosiężnymi kinkietami, które rzucały miękkie światło na wytarte brązowe grzbiety woluminów. Był to najbardziej luksusowy pokój w całym mieszkaniu i nic dziwnego, że mój mąż go uwielbiał. Na środku ściany po mojej lewej stronie zamontowany był telewizor z płaskim ekranem. Po mojej prawej stronie stało biurko Phillipa, zavalone teczkami i dokumentami, które piętrzyły się również na podłodze. Ja także zaczęłam pocierać palcami czoło i przesunęłam nimi po twarzy. Nie miałam ochoty rozmawiać o niańkach.

- Co się stało, że ostatnio wcześniej wracasz do domu?

- Pytałem cię o tego trenera, Jamie.

- A ja pytam cię o pracę.

- Jamie, co to za trener?

- Ach, on...

- Tak. On.

- Chłopak z Kolorado, którego poznałam przypadkiem i pomyślałam, że od czasu do czasu mógłby nam pomagać trochę przy dzieciach.

- Jak często?

- No... - Zamilkłam na dłuższą chwilę. - Codziennie.

- Co takiego?! - Phillip oparł dłonie na swoim wielkim biurku i spojrzał na mnie. - Przez trzy lata Yvette i Carolina jakoś sobie radziły i nagle pewnego dnia zatrudniasz na pełny wymiar godzin kolejną osobę, nic mi o tym nie mówiąc? Myślisz, że śpię na pieniądzach?

- Powinieneś być dumny z tego, ile zarabiasz, z tego, że stałeś się wspólnikiem w firmie i że stać nas było na kupno tego wielkiego mieszkania.

- Nie jest wcale takie wielkie.

- Owszem, jest.

- Nie mamy nawet jadalni.

- Biedny chłopiec.

Wzruszył ramionami.

- A żebyś wiedziała, że biedny.

- O mój Boże. Proszę, tylko nie zaczynajmy od nowa. Jeszcze bardziej poluzował węzeł windsorski przy krawacie.

- Posłuchaj. Nie mówię, że jestem biedny w porównaniu z ludźmi z jakiegoś cholernego miasteczka na prowincji. Mam na myśli ludzi stąd.

- Wskazał w kierunku podłogi. - Tych, którzy stanowią część mojego życia. Mojego świata. O tym mówię i o to mi chodzi. Rozumiesz?

- Bardzo dobrze nam się powodzi, Phillipie.

- Nie, wcale nie. Dwadzieścia lat w renomowanej firmie prawniczej, a pod koniec roku nie starcza mi na spłatę trzech kart kredytowych. - Podwinął rękawy. - Pięćdziesiąt tysięcy dolców na dwie szkoły, sto osiemdziesiąt na czynsz i hipotekę, sto tysięcy na hipotekę domu na wsi i na naprawy, kolejne sto tysięcy na Yvette i Caroline, a ty jeszcze chcesz dodać kogoś do listy płac. - Opuszczając gabinet i idąc do sypialni, zawołał: - Utrzymanie, ubrania, urlop i wychodzę na zero! Poniżej zera. Żadnych oszczędności. Do dupy z czymś takim.

Phillip dorastał w czasach, gdy biali protestanci anglosaskiego pochodzenia, z których się wywodził, stanowili prawdziwą elitę. Gdy był dzieckiem, sprzedawał przekąski w swo-

im country clubie. Chodził do tej samej szkoły z internatem co jego ojciec i dziadek, a w college'u, tak jak oni, należał do Ivy League. Potem zatrudnił się w znanej i szanowanej firmie prawniczej. Wszystko robił jak należy. Owszem, jego dobre pochodzenie wciąż coś znaczyło przy Park Avenue, ale po okresie gospodarczej prosperity lat dziewięćdziesiątych i gwałtownego rozwoju Internetu, w realiach życia po 11 września, hierarchia społeczna zmieniła się. I teraz w naszym środowisku pieniądze przebijały korzenie. Phillip zarabiał półtora miliona dolarów rocznie, ale w Grid, jak twierdził, były to nędzne pieniądze. A najgorsze, że miał rację.

Prawie każdy tutejszy bankowiec wyciągał kilka, kilkanaście milionów rocznie, niektórzy nawet dziesiątki. Phillip widział, jak faceci w jego wieku kierują korporacjami, budują trzeci dom w którymś z kurortów narciarskich, wynajmują odrzutowce, niektórzy nawet kupują je na własność. I zastanawiał się, co zrobił nie tak. Dlaczego tamtych stać na to wszystko? Jak to się dzieje, że on urabia sobie ręce po łokcie i wciąż nie ma forsy pod koniec roku? Ludzie bogaci nie są bogatsi z powodu ulg podatkowych; dochodzą do dużych pieniędzy głównie dlatego, że nigdy nie czują się dość bogaci.

Zauważyłam, że mój mąż obsesyjnie wygładza zagniecenia na spodniach garniturowych przed ich powieszeniem.

- Wiesz, że to nie pieniądze stanowią nasz problem, Phillipie. Zatrudniałam już i zwalniałam mnóstwo ludzi, nie uzgadniając tego z tobą.

- Dobra, to co stanowi nasz problem, Jamie? Czy sugerujesz, że istota tego wszystkiego tkwi we mnie?

- Wiesz co... - Pokręciłam głową. - Nieważne. Posłuchaj, dajmy mu spróbować przez jakiś czas.

- Nie. Naprawdę chciałbym wiedzieć, czy uważasz, że problem jest we mnie. Do tego przecież zmierzasz. No powiedz. Na czym polega ten mój problem? Jestem bardzo ciekawy. Jestem naprawdę bardzo ciekawy, na czym polega ten problem.

- Według mnie nie podoba ci się, że pod twoją nieobecność w domu przebywa inny mężczyzna.

- Bo ty i on...?

- O Boże, skąd! - Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. - Nie dlatego, że on i ja. - Nie byłam pewna, czy tę ostatnią kwestię wypowiedziałam absolutnie szczerze. - Dlatego, że ten facet bawi się z twoimi dziećmi, gdy ciebie nie ma, i wolałbyś, żeby jego miejsce zajmowała jakaś kobieta. Miałbyś wtedy mniejsze poczucie winy. Nie czułbyś się zagrożony.

Phillip oparł ręce na biodrach.

- Rzeczywiście nie podoba mi się, że jakiś pieprzony narciarz, jakiś tam trener, wyglądający na ćpuna luzak ma uczyć moje dzieci podkręcać piłkę w Central Parku, podczas gdy ja tyram jak niewolnik, żeby zarobić na jego pensję. - Wymierzył we mnie palec. - Nie chcę widzieć w tym domu tatusia do wynajęcia. Nie potrzebujemy nikogo takiego i pozbędziemy się go. To był zły pomysł.

Pacnęłam go w wyciągniętą rękę.

- Wiem, że Peter nie jest idealny. Ale rzeczywistość wygląda tak, że przez cały tydzień pracujesz jak wół. Dlatego nie możesz odbierać dzieci ze szkoły, przyjeżdżać do domu po południu czy na kolację. Ja również ciężko pracuję. W tej rozmowie nie chodzi jednak o ciebie. Chodzi o naszego ukochanego, uroczego, zagubionego Dylana. Naszego synka, który potrzebuje więcej uwagi, szczerze mówiąc, ze strony nas obojga.

- Wobec tego przestań tyle pracować i zapisz Dylana na jakieś popołudniowe zajęcia sportowe. To wystarczy. A co z twoim czasem? Nie dasz rady funkcjonować w tym trybie z trójką dzieci; z dwójką być może, ale nie z trójką. Nawet praca na pół etatu cię wykańcza. Mówię ci: zostań na pięć lat konsultantką. Zawsze będziesz mogła potem wrócić. - Westchnął głęboko. - Nie możemy wynajmować ludzi, żeby zajmowali się naszymi dziećmi w zastępstwie nas samych.

- Phillipie, nie należę do kobiet, które są w stanie tak po



prostu rzucić pracę. Dzięki temu, że pracuję, jestem lepszą matką. Wiesz o tym.

- Nie przemawia do mnie teoria, że pracujące kobiety są lepszymi matkami. Dzieciom trzeba poświęcać więcej czasu. Wszystkiemu zresztą w domu trzeba poświęcać więcej czasu. - Podszedł do okna. - Na przykład rolety w moim gabinecie zacinają się w połowie okna. Jak długo już tak jest? Wiesz, że lubię, gdy słońce rano wpada do pokoju. Ile razy mam prosić, żeby naprawić system...

- Trzymajmy się tematu rozmowy: mówimy o dzieciach, a szczególnie o Dylanie. Jestem z nimi w domu przez dwa dni w tygodniu i gdy tylko mogę, biorę popołudniami wolne. Praca nie przeszkadza mi w pełnieniu roli matki. - Urwałam na chwilę, zastanawiając się, jak powiedzieć, że wynajmujemy kogoś, kto ma zastąpić jego, nie mnie. - Dylan potrzebuje mężczyzny, który by podbudował jego poczucie wartości. To coś, czego ani ja, ani Yvette nie załatwimy. Nie chodzi o ciebie czy o mnie. Chodzi o Dylana.

- Nie odpowiada mi, że w moim domu oprócz Yvette i Caroliny pracuje jakiś trener. Na boisku sportowym to w porządku, ale nie w moim domu. To nienormalne. Dopóki ja płacę rachunki, nie będzie tak.

- Spokojnie. Ja spłacam samochód, płacę za garaż, ubrania, drobne wydatki domowe...

- Wiesz co? Gównu mnie obchodzi, za co płacisz. Żaden trener nie będzie opłacany w tym domu przez nikogo.

Mój mąż znowu stał się jakby nieobecny. Był przez moment, a zaraz potem powrócił do swojego prawniczego świata. Według niego sprawa trenera została załatwiona. Było tylko jedno „ale”: jak miałam rozwiązać ten problem, który zaczął przybierać poważne rozmiary? Zaczęło mnie za bardzo obchodzić, co Peter o mnie myśli, jak reaguje na moje dowcipy, a nawet to, jak jestem przy nim ubrana.

Phillip tymczasem wrócił do swoich spraw. Zaczął przebierać palcami po klawiaturze telefonu z pasją Beethovena i nawet nie uniósł głowy, gdy po cichu wychodziłam z pokoju.

Moja przyjaciółka Kathryn była jedną z tych osób, które potrafią rzucić stary szal na drewnianą skrzynię i od razu mieszkanie wygląda jak artystyczne pied-a-terre w Paryżu, będące własnością jakiegoś arystokraty.

Właśnie skończyłyśmy oglądać serię jej ogromnych obrazów w należącej do niej pracowni przy Laight Street w Tribeca - wszystkie w takim czy innym odcieniu błękitu - i wróciłyśmy do loftu po drugiej stronie holu. Stół na kozłach, stojący pod ścianą otwartej kuchni, zastawiony był serem i szynką z włoskiego sklepu za rogiem. Posiłek prezentował się niczym martwa natura: chleb, ser i szynka na starej desce do krojenia, mrożona herbata w zielonym glazurowanym dzbanku, obszyte mereżką lniane serwetki rodem z bistro. Wokół stały krzesła i kanapy, dziwaczne lampy i stoliki, które Kathryn i jej mąż, Miles, przez lata wynajdywali na pchlich targach i aukcjach antyków. Przy drzwiach frontowych leżały trzy małe skutery. Podłogę stanowiła lakierowana ciemna klepka, a jedną ze ścian zajmowały rozciągające się od podłogi do sufitu wielkie okna, które wychodziły na Bartery Park oraz na Hudson.

- Rozumiem to egzystencjalne, woodyallenowskie „każdy z nas jest tak naprawdę sam”. Ale w jaki sposób wyrażają to te niebieskie plamy? I dlaczego niebieskie? Czy to przezierające niebo, czy symbol nadziei, a może, jak picassowski

błękit, mają wywoływać przygnębienie? - zapytałam Kathryn. Jej obrazy były na pewno śmiałe, a zarazem nastrojowe, ale nie bardzo rozumiałam, o co w nich chodzi.

Kathryn wzruszyła ramionami i kierując się do lodówki, pogłaskała mnie po głowie. Nie przejmowała się tym, że nie rozumiem jej obrazów. Najważniejsze, że rozumiał je Miles, który był jednocześnie jej marszandem. I najwyraźniej także obyci ludzie z Grid, którzy płacili spore sumy, by móc ozdobić jej dziełami ściany swoich loftów.

- Miałam już dość egocentrycznych autoportretów - wyjaśniła. - A potem tych porno-niewinnych motywów. Zakończyłam więc okres portretowy i wróciłam do abstrakcji. Jestem na etapie późnego de Kooninga\*, tylko trochę wcześniej niż on!

Żartowała z siebie i całego dziwnego świata sztuki, w jakim się obracała, ale ja nic z tego nie rozumiałam.

- Nie widzisz tego?! - zgała mnie. - Całe jestestwo przeniesione na płótno. Każde pociągnięcie pędzla oznacza wędrówkę. Artysta wizualizuje kroki, jakie podejmuje jednostka w swojej samotnej drodze przez życie.

- Co znaczy „wędrówka” w tym kontekście? Roześmiała się.

- Daj sobie luzu. Tak napisali w katalogu.

Miles nalał sobie szklankę herbaty i odgryzł potężny kęs chleba z dojrzałym parmezanem.

- Ona przez ten błękit próbuje zrozumieć naszą jedność z własnym "ja" i ze wszechświatem. Wszyscy przemierzamy świat w poszukiwaniu jedności, i to jest właśnie ta wędrówka. - Rzucił mi kromkę chleba. - To artystyczny slang. Musisz się z nim oswoić, kochanie.

Przyjechałyśmy z Grid specjalnie dla Kathryn, która chciała pokazać najlepszej przyjaciółce, jaki „kierunek” przybiera jej twórczość. Zawsze żartowałyśmy między sobą, że mamy

\* Willem de Kooning (1904-1970) - amerykański malarz pochodzenia holenderskiego, przedstawiciel abstrakcyjnego ekspresjonizmu.

zupełnie inną wrażliwość: ona była kobietą niezależną, artystką z szopą włosów, a ja osobą twardo stającą po ziemi, sztywną i zorganizowaną. Wciąż mi powtarzała, że zanadto skupiam się na pracy producenta i nie mam czasu kontemplować kosmicznej muzyki sfer.

Miles odkroił kawałek parmezanu i podał mi.

- Przy okazji, Jamie. Miło cię widzieć poza Fifty-seventh Street. Bardzo źle się czujesz w tych sferach?

- Przestań, Miles! - Kathryn trzepnęła go w rękę.

- Och, przecież wiem, że ona jest cool. - Wziął plasterek prosciutto. - W pewnym sensie.

Miles, który wrócił do domu, by zjeść z nami lunch, zdjął wysłużoną zamszową kurtkę bejsbolową i rzucił ją na brązową aksamitną sofę. Chociaż był nieznośny, miał wielkie powodzenie u kobiet: był potężnym, napakowanym facetem o krótkich ciemnych włosach i szerokim uśmiechu. Zawsze nosił czarne bawełniane koszulki z podwiniętymi rękawami, żeby panie mogły podziwiać jego bicepsy. Kathryn musiała co miesiąc organizować trzyosobową orgietkę z samotną sąsiadką z góry, żeby utrzymać go w domu. (Phillip kupiłby mi lamborghini, gdybym kiedykolwiek się na coś takiego zgodziła).

Kathryn i ja dołączyłyśmy do Milesa w salonowej części loftu; usiadłyśmy na kanapach Niny Campbell, zarzuconych kolorowymi poduszkami w indiańskie wzory.

- Jak się ma Phillip? - zapytał Miles żartobliwie, obejmując Kathryn ramieniem. Nie trawił mojego męża. Dlatego właśnie nigdy nie spotykaliśmy się we czwórkę - gdy raz nam się to zdarzyło, Phillip udzielił Milesowi niemile widzianej rady.

- Hej, koleś - powiedział. - Siedzisz tu i użalasz się na ruch w interesach. Czy raczej na brak ruchu, jak mówisz. Ale prawda wygląda tak, że handel sztuką prowadzi donikąd. Chyba że jesteś Gagosianem\* i reprezentujesz Warhola albo

\*Larry Gagosian - słynny marszand, jeden z najbardziej znanych na świecie, właściciel sieci galerii sztuki w Nowym Jorku, Los Angeles i w Londynie.

Rothko, czy kogo tam jeszcze ma on w swojej stajni. Wtedy oczywiście możesz do czegoś dojść. Ale tak...

- Nie chcę być Gagosianem - odparł Miles z wyraźną pogardą. - Reprezentuję początkujących artystów. Na tym polega moja siła. Odkrywam ich, opiekuję się nimi, znajduję im mecenasów. Jeśli bogaci ludzie nie będą kupować dzieł początkujących artystów żyjących w tym mieście, ci zginą.

- Świetnie. Ale patrząc z odpowiedniej perspektywy, mówimy o twórcach, którzy w końcu są nikim. Galeria pełna dzieł nieznanymi artystów, których nikt nie kupuje. Taka jest brutalna prawda, przyjacielu. Chyba będziesz musiał przemyśleć swoją strategię. - Miles spojrzał znacząco na Kathryn, a ja pod stołem kopnęłam Phillipa w nogę. Zrozumiał sygnał. - Z drugiej strony, jeśli czujesz takie powołanie, z pewnością jest w tym coś godnego podziwu. Chylę czoło

- dodał.  
Chyli czoło? Mój przemądrzały mąż prawnik? Miles machnął ręką, przywołując kelnera:

- Rachunek poproszę! Odpowiedziałam teraz:

- Mógłbyś dać Phillipowi jeszcze jedną szansę, Miles. Zna się na interesach i niewykluczone, że moglibyście rozkręcić jakiś wspólny biznes.

- Tak myślisz? Na przykład otworzyć galerię w klubie Racquet?

- Żartuję.

- Nie zamierzam korzystać z rad twojego męża, ale Kathryn i ja poszliśmy za twoim przykładem. Znaleźliśmy dla bliźniąt świetnego opiekuna, studenta.

- Słyszałam. Cieszę się.

- A jak Phillip przyjął sławnego superniańka? - zapytał Miles.

- Phillip sądzi, że go zwolniłam.

- Co takiego?! - Kathryn omal nie prychnęła mrożoną herbatą na stół.

- Mamy listopad, Peter jest już u was... Ile? Dwa miesiące?

Staralam się patrzeć wszędzie, tylko nie na ich zdumione

twarze. Usiłowałam nawet skupić wzrok na nagradzanym obrazie Kathryn pod tytułem *Wymysł*.

- No i co z tego? - zapytałam.

- Więc... chcesz powiedzieć... że zatajasz przed mężem obecność niania? - Miles był zaszokowany. - Jak ci się to udaje?

- Phillip jest stale w rozjazdach. Kathryn złapała się za głowę.

- Bardzo rozsądnie - zadrwił Miles. - Nawet ja nie zrobiłbym czegoś takiego twojemu mężowi.

- Po prostu już nie mam siły wdawać się w rozmowę. To wszystko.

- W rozmowę z kim? - zapytał. - Z mężem czy z Peterem?

- Z mężem! Nie zamierzam zwalniać Petera. Nie ma mowy.

- Więc w efekcie wybierasz Petera, nie męża.

- To śmieszne, żeby tak na to patrzeć. Peter u mnie pracuje.

- Hej, Kathryn, czy ona nie dokonuje wyboru pomiędzy nianią a mężem?

- Uhm. Czyżbyś wreszcie zamierzała odejść od Phillipa? - Unosząc głowę, Kathryn przeszła od razu do sedna sprawy. - Miałaś to już zrobić trzy lata temu, potem rok temu, więc może teraz? Zdecydowałaś się wreszcie?

- Nie chcę o tym rozmawiać. A jeśli chodzi o Petera, gdy Phillip zobaczy, jak bardzo pomaga on Dylanowi, i przestanie czuć się zagrożony, zaakceptuje go.

Kathryn była zbulwersowana.

- Jak długo jeszcze zamierzasz tkwić w tym stanie zawieszenia? To dziwaczne. Naprawdę dziwaczne. Nie mówiąc już o tym, że ten facet skończył studia, a zasadniczo pracuje cały dzień jako pomoc domowa.

- Podobnie jak wasz nianiek.

- To co innego. Nasz jest jeszcze na studiach, pracuje u nas po kilka godzin, i to nieregularnie.

- Dobra, dobra. Wiem, że to dziwne. I gdybyście powiedzieli mi dwa miesiące temu, że zatrudnię dwudziestodwuletniego faceta z tytułem magisterskim do pomocy Yvette, uznałabym, że się naćpaliście. Ale ten układ się sprawdza i nie zamierzam z niego rezygnować tylko dlatego, że „tak nie wypada”. - Uniosłam po dwa palce obu rąk, jakby ujmując w cudzysłów wyrażenie „tak nie wypada” i patrząc na nią z wyższością.

Miles wstał i ruszył do kuchni, żeby zająć się czymś, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie.

- Nie należę do ludzi, którzy przejmują się tym, co wypada, a co nie wypada - oznajmiła Kathryn. - Wiemy, że facet jest fantastyczny, nie ma co do tego wątpliwości. Ale nie wydaje ci się, że coś musi być nie tak, gdy mężczyzna dobiegający trzydziestki chce być niańkiem?

- Nie wydaje mi się. Mówiłam ci, że opracowuje program internetowy dla szkół miejskich, który ma pomagać nauczycielom i uczniom współpracować przy odrabianiu lekcji. Brzmiało bardzo sensownie, gdy mi o tym opowiadał. Tymczasem potrzebuje pracy, która by nie kolidowała z jego zajęciami, i kocha dzieci. A co najważniejsze, kocha moje dzieci.

- Jesteś pewna, że to nie pedofil?

- A ty jesteś pewna, że ten twój nim nie jest? Mówiłam ci już, Charles go sprawdził! Możesz mi wierzyć, nie jest pedofilem.

Niezależnie od sprawy Phillipa, byłam trochę zirytowana, że muszę uzasadniać decyzje dotyczące moich własnych dzieci.

- Dylan stał się mniej sarkastyczny, mniej sceptyczny, mniej zamknięty w sobie. Sądzę, że to zasługa Petera. Ten dzieciak znowu potrafi się cieszyć. Nawet od nowa polubił wychowanie fizyczne. Psycholog nie potrafił mu pomóc, ja też już nie wiedziałam, co robić.

- Więc lubisz tego faceta?

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

- Dobrze się rozumiemy. Odnosi się do mnie z szacun-

kiem, ale rozmawiamy ze sobą... cóż, może nie jak równy z równym...

Zastanawiałam się nad tym któregoś ranka. Dzieci przygotowywały się do wyjścia i poprosiłam Petera, żeby przyjechał i odwiózł je do szkoły. Sama postanowiłam pobiegać po parku przed lotem do Jackson, gdzie miałam się spotkać z Theresą Boudreaux; chciała trochę oswoić się ze mną przed wywiadem - takie programy przygotowuje się całymi tygodniami, a nawet miesiącami. Kiedy usłyszałam w kuchni głos Petera, szybko zmieniłam luźne spodnie od dresu na krótkie legginsy. I jego reakcja była taka, na jaką liczyłam. Kiedy pojawiłam się w tych szortach, Peter zlustrował mnie od góry do dołu, choć zaraz się opanował.

Nagle uznałam, że lepiej zmienić temat w rozmowie z przyjaciółmi.

- A więc traktuje cię jak szefową, a jednocześnie trochę jak kumpelkę?

- Tak. Jak kumpelkę.

Miles wrócił do nas i znowu włączył się do rozmowy.

- Dlaczego się uśmiechasz?

- Nie uśmiecham się.

- Och, proszę cię. - Kathryn się roześmiała. - Czy ja dobrze rozumiem? Nie odnosisz się do niego jak do Caroliny i Yvette, prawda?

- Żartujesz? Nie! Co to ma być? Przesłuchanie z samego rana? Dlaczego musicie być tacy upierdliwi? - zapytałam. - Nie, nie uwodzę go, ale łączy mnie z nim głębsze porozumienie niż z Yvette. Przede wszystkim jesteśmy na tym samym poziomie intelektualnym. Mamy wspólne zainteresowania; omawiamy bieżące wydarzenia.

- Ach tak, bieżące wydarzenia - powtórzyła Kathryn. - To już coś konkretnego.

- Do czego właściwie zmierzasz?

- No, nie wiem. Przystojny, zabawny facet na luzie, przebywający w domu przez cały dzień, podczas gdy nie ma męża. Co to może znaczyć?



Miles klapnął na kanapę, najwyraźniej świetnie się bawiąc. Siedzieli tak obok siebie, przepytując mnie jak dwoje nauczycieli podczas egzaminu.

- Co twoim zdaniem mogę sobie wyobrazić, Jamie? No powiedz! - indagowała Kathryn.

- On mieszka w Red Hook. Jak student.

- Niedobrze! Niebawem skończy trzydziestkę - przypomniała. - I ma tytuł magistra. Jesteś od niego tylko sześć lat starsza. Obydwoje jesteście dorośli.

- Chodzi mi o podejście do życia. Nie zakocham się w facecie, któremu wciąż zdarzają się kraksy na skateboardzie.

- Powtórzę jeszcze raz: to dorosły mężczyzna, po studiach i z dużym potencjałem.

- Masz rację. Jest bystry, zabawny, ma inwencję. Potrafi mnie rozśmieszyć. Pomaga mi w problemach z synem. Czasami rozmawiamy. I wcale nie o moim gównianym małżeństwie; nie przekraczamy żadnych granic. Opowiada mi o swoim życiu w domu i o projekcie, nad którym pracuje. W ten sposób go poznaję i mam do niego coraz większe zaufanie.

- Jak duże? Liczysz się z jego zdaniem bardziej niż z opinią męża, na przykład? Bo może ta sprawa z Peterem świadczy...

- ...o złym stanie mojego małżeństwa. Wiem. Ale chodzi o dzieci.

- Oczywiście.

- Wciąż zastanawiam się, czy sytuacja, w której rodzice, choć już się nie kochają, są ze sobą w cywilizowanych stosunkach, nie jest jednak lepsza od rozstania.

- Phillip wciąż cię kocha. - Kathryn złagodziła ton. - To coś więcej niż cywilizowany stosunek.

- Wiem, ale to już nie to, co kiedyś.

- W porządku. Nie wtrącam się. Niezależnie od tego jednak, czy Peter odejdzie, czy zostanie, ważną kwestią jest, dlaczego to on uczestniczy w twoim życiu, a nie Phillip. Zanim zrobisz dalszy krok, postaraj się ustawić właściwie wasze relacje.

- Dobrze. Możemy teraz zmienić temat?
- Jeszcze tylko jedno. - Uniosła kciuk. - Musisz powiedzieć Phillipowi, że Peter pozostał u was i zajmuje się dziećmi. - A potem wystawiła palec wskazujący. - Albo zwolnić Petera, tak jak obiecałaś Phillipowi.
- Rozumiem. Mówiłam ci już: wkrótce mu powiem.
- Wyjaśnijmy sobie: masz albo przekonać męża, albo zwolnić niańka
- powiedział Miles, opierając łokcie na kolanach. - Kiedy mówisz, że powiesz „mu” wkrótce, komu i co chcesz powiedzieć?
- Jeszcze nie wiem.

Gdzieżeś ty, Fabio?

Miałam wrażenie, że w moich żyłach płynie sama radość, gdy dodałam gazu i pędziłam suwem przez most Triborough. Poczucie wolności było wprost obezwładniające, podniecające. Peter stukał palcami po desce rozdzielczej w rytm piosenki Rolling Stonesów i wydawał się całkowicie odprężony.

Jechaliśmy we dwoje - z uradowaną Gussie - do naszego domu na plaży, żeby zabrać stamtąd zimowe ubrania, sprzęt narciarski i pudła z książkami dla Phillipa.

Był to jeden z tych dni, w którym każdy budynek jakby odbijał słońce, i błyszczący zarys Nowego Jorku sprawiał, iż miasto wyglądało jak kraina Oz. To była metropolia z moich fantazji, jakie snułam jeszcze w college'u. Nie mogłam się doczekać, żeby tu przyjechać po ukończeniu Georgetown i rozpocząć nowe życie poza Waszyngtonem, miastem pod wieloma względami bardziej prowincjonalnym niż Minneapolis. Goodman zajmował się innym programem, dzieci były w szkole, a ja wreszcie pozwoliłam sobie żyć chwilą obecną i po prostu poczuć się szczęśliwa, tak jak zawsze chcieli tego moi rodzice.

Była godzina dziewiąta, dzień powszedni, więc na drodze panował duży ruch. Niebezpiecznie blisko podjechała do nas półciężarówka i zręcznie manewrując, szybko zmieniłam pas. Zależało mi także, aby Peter pomyślał, że dobrze prowadzę.

Chciałam mu zaimponować. Ostatnio w ogóle chciałam robić na nim wrażenie pod każdym względem. A może tak było od początku?

- Umiesz prowadzić.

- Spoko!

Peter wybuchnął śmiechem i uderzył pięścią w deskę rozdzielczą.

Pokazałam mu język, ale natychmiast z powrotem przeniosłam spojrzenie na drogę.

- No co? - zapytałam.

- Spoko?

- Uhm. Dylan nauczył mnie tak mówić.

- A w ogóle wiesz, co to znaczy? - zapytał, tak jakbym była jakąś bezzębną babcią, siedzącą na ganku w bujanym fotelu.

- Tak się składa, że wiem. Coś w rodzaju: „Wrzuć na luz”.

- „Wrzuć na luz”? - Roześmiał się.

- A tak! To właśnie znaczy.

- „Wrzuć na luz” to nie jest wyrażenie, które słyszałbym ostatnio. Wyszło z użycia w czasach Woodstock.

- Myślisz, że jestem stara, drętwa i w ogóle?

- Moglibyśmy prawie być kolegami z college'u, więc nie uważam, że jesteś stara. Nie, stara nie. A drętwa? Może trochę.

Trzepnęłam go w ramię wierzchem dłoni. Uśmiechnął się do mnie i nagle zauważyłam, że ma dołeczek w lewym policzku. Nigdy dotąd nie byłam z nim sama - z dala od dzieci, od obowiązków - i coraz bardziej mi się to podobało. Poprzedniego dnia, gdy Peter zaproponował, że ze mną pojedzie i pomoże nosić rzeczy, Yvette posłała mi wymowne spojrzenie nad głową Gracie. Miała rację, unosząc brew. Podobnie jak Phillip. I Kathryn. I Miles.

„Dobra, Jamie. Musisz wziąć się w garść, dziewczyno”.

- Gdyby nie to, że wyświadczasz mi przysługę, zostawiłabym cię przy tym zjeździe, pięćdziesiątym drugim. - Odwróciłam głowę, żeby odczytać numer, ale Peter popchnął mnie na oparcie fotela, żebym patrzyła przed siebie.

- Autostrada Long Island jest niebezpieczna, a że nie byłem nad oceanem od zeszłego lata, chciałbym dotrzeć tam w jednym kawałku. Skoncentruj się, proszę, na betonowej barierze dziesięć centymetrów od nas.

Jechaliśmy w milczeniu, bez słów, które by rozładowały podniecające napięcie, jakie wywoływała we mnie jego bliskość fizyczna. Byłam tak spięta jak pierwszego dnia, kiedy Peter zjawił się w naszym mieszkaniu, a nawet bardziej.

- Dzięki Bogu, że udało ci się uruchomić komputer w pokoju zabaw - zmieniłam niezręcznie temat.

- Nie uruchomiłem go, po prostu kupiłaś nowy.

- Ale ty zainstalowałaś oprogramowanie.

- Sama mogłabyś to zrobić... gdybyś chciała. Chętnie cię nauczę.

- Aha, czemu nie? Może bym potrafiła to zrobić, ale to mało prawdopodobne. Wiesz, na czym naprawdę by mi zależało?

- Słucham.

- Na programie komputerowym, który synchronizowałby tygodniowe zajęcia dzieci z moim kalendarzem, ale jednocześnie przedstawiałby je oddzielnie. - Mówiłam z szybkością karabinu maszynowego. - Można by wydrukować plan zajęć dla dzieci, tak żeby nie było w nim moich spotkań. -Zwróciłam ku niemu głowę, żeby sprawdzić, czy podąża za moim tokiem myślenia.

- Rozumiem! Proszę, patrz na drogę i uważaj na ciężarówkę z prawej.

- Chciałabym jednak, żeby w moim kalendarzu były uwzględnione zajęcia dzieci. Moje spotkania mogłyby być wydrukowane na niebiesko, a dzieci na czerwono. Dałoby się zrobić coś takiego? - On i ja w samochodzie. W drodze za miasto. Sami. Ja i moja potrzeba, żeby mówić do niego godzinami. I to pragnienie, żeby on mnie lubił. Pożądanie przekształcające się w stan nieważkości. Zaczerpnęłam głęboki oddech.

- A więc... potrafiłbyś tak zestawić zajęcia dzieci i moje?

- Mogę coś powiedzieć?
- Jasne. - Zebrałam siły.
- Jesteś walnięta, moja pani.
- Słucham?
- Tak, tak. Dobrze ci zrobi długi spacer po plaży.
- Nie rób sobie nadziei, nie jedziemy na plażę. Pojedziemy tylko do domu, po rzeczy z piwnicy, które tak wspaniałomyślnie ofiarowałeś się przenieść. Potem będziemy musieli wracać do domu, żeby odebrać dzieci. Nie mam czasu na spacer.

\* \* \*

Czterdzieści pięć minut później zajechaliśmy przed nasz stary, poszarzały drewniany domek, prezent ślubny od rodziców Phillipa. Stał przy Parsonage Lane w Bridgehampton -średniej wielkości, „zwyczajnej” wiosce między stylowym, zachowawczym Gatsbyesque Southampton a ostentacyjnie zamożnym East Hampton. W oknach każdej z trzech sypialni wisiały koronkowe firanki, a większość przestrzeni niewielkiego salonu zajmowała zbieranina mebli antycznych, obitych wyblakłymi na słońcu tkaninami w kwiaty. Domek, stojący w niewielkiej odległości od plaży, wymagającej ośmiominutowej jazdy, otaczały ogromne wierzby i zaniedbane krzewy różane.

Przyjeżdżaliśmy tu każdego lata oraz w cieplejsze weekendy jesieni i wiosny, ale gdy pod koniec października nastawały chłody i wiatr przewiewał cienkie ściany, Phillip wołał zostawać w mieście. Nigdy nie udawało mi się wymieść do czysta piasku spomiędzy trzeszczących desek podłogowych i gdy teraz weszliśmy do środka, zachrząścił pod podeszwami moich zimowych butów. W środku pachniało stęchlizną i solą.

- Nie mogę sobie wyobrazić tu twojego męża. - Peter nigdy, ale to nigdy, nie nazwał Phillipa po imieniu. Otworzywszy drzwi, rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby powiesić kurtkę.

- Dlaczego tak mówisz? - Wskazałam wieszaki przy lustrze w przedpokoju.

- To miejsce wydaje się zbyt skromne jak na niego.

- Fakt. Phillip nie chce tu niczego zmienić, bo rodzicom podobało się tak, jak jest. Żadnych nowych rzeczy. Ma być po staremu, wszystko jak za babcinych czasów, tak jest bardziej autentycznie. Ale masz rację, Phillip często gdera, bo nic tu nie działa tak, jak by chciał.

- Tak myślałem - powiedział Peter. Potar mosił Gussie i ruszył do piwnicy.

Po dwóch godzinach załadowaliśmy do samochodu książki, narty oraz stroje narciarskie dzieci, a teraz Peter wynosił na ramieniu skrzynkę wina.

- Dobra. - Wsunął skrzynkę do wozu i zatrzasnął drzwi. Obrzuciłam dom ostatnim spojrzeniem, nie wiedząc, kiedy

znowu tu przyjadę. Szare drewno miało w zimie mleczny odcień, straciwszy letni połysk. Ale niezależnie od pory roku był to uroczy domek i zamykając drzwi, poczułam smutek. Zaczęłam się zastanawiać, czy kiedykolwiek jeszcze będziemy tu przeżywać latem szczęśliwe chwile; była to trochę przygnębiająca myśl, bo jako rodzinie nie zdarzyło nam się bawić dobrze razem od czasu, gdy Dylan miał około pięciu lat. Jednak dom wyglądał ślicznie, i lubiłam wyobrażać sobie, że będę tu szczęśliwą matką, z dziećmi biegającymi po podwórku.

- Czas wracać - powiedziałam w końcu.

- Dopiero południe. Byłoby grzechem zrezygnować ze spaceru po plaży w taki dzień. - Peter wyjął mi z ręki kluczyki do wozu. - Ja poprowadzę, dobra?

- Nie wiesz, jak tam dojechać.

- Wiem. Chodź, Gussie. - Wiedziałam, że go nie powstrzymam. Otworzył drzwi po stronie pasażera. - Wskakuj, piesku. - Gussie wlaźła do samochodu, dysząc z zadowolenia po porannej przebieżce na podwórku.

Wyruszyliśmy w stronę Nowego Jorku z Gussie usadowioną między fotelami. Był to pies o nadmiarze skóry, który

domagał się uwagi przez cały dzień. Uwielbiał Petera, który okazywał mu prawie tyle samo uczucia co Dylan.

Przez szyby wpadało wczesno popołudniowe słońce. Włożyłam okulary przeciwsłoneczne i podałam Peterowi jego parę leżącą na desce rozdzielczej, a potem osunęłam się na oparcie fotela. Przyglądałam się prawej ręce Petera, która spoczywała na kierownicy - sprawiała wrażenie, jakby w pełni panował nad samochodem. Miał silne, szczupłe palce. Lewą rękę przewiesił przez okno. Nonszalancki, kowbojski styl prowadzenia. Wiedziałam, że moje niedozwolone myśli to nic innego jak tylko fantazje kobiety znudzonej pozbawionym miłości małżeństwem, były jednak na tyle realne, że zaczęłam się zastanawiać, co zrobiłby Phillip, gdyby dowiedział się, że poszłam do łóżka z „pomocą domową”.

Nagle Gussie wskoczyła mi na kolana i wystawiła pysk przez okno. Robiła tak tylko w dwóch miejscach: kiedy zajeżdżaliśmy pod dom albo gdy zbliżaliśmy się do plaży.

- Poczekaj! Peter, daj spokój! Musimy wracać! Skręć w prawo, w prawo! - zawołałam.

- Wiem, jak się jedzie do miasta. Rzecz w tym, że jeszcze tam nie wracamy.

- O czym ty mówisz?

- Jest fantastyczny dzień. Idziemy na plażę. Psu to dobrze zrobi. I tobie na pewno też.

Zajechał na Coopers's Beach i zatrzymał wóz tuż przy plaży, tak że widać było fale. Gussie całkiem oszalała, więc Peter otworzył drzwi i wypuścił ją. Facet, który nieopodal jadł kanapkę w ciężarówce Verizon, pomachał ręką i puścił do mnie oko. „Czy on wie? - pomyślałam. - Czy to jeden z miejscowych dostawców, na których Phillip wyżywał się przez lata? Nawet jeśli mnie nie zna, wziął nas za parę. Jeżeli wpadnę na kogoś ze znajomych - Tony'ego ze sklepu warzywnego, zwariowanego Roscoe, złotą rączkę, który nigdy nie przychodzi, gdy jest umówiony - uznają, że mam romans. Bridgehampton to mała społeczność. Nie mogę wyjść na plażę, ale jeśli nie



przejdą się przez dziesięć minut z psem po piasku, Peter uzna mnie za całkiem beznadziejną".

Musiałam zaś przyznać, że plaża wyglądała pięknie. Nawet piękniej o tej porze roku niż w lecie, bo nie było tłumów ludzi. Fale leniwie obmywały piasek, ledwie płosząc małe brodźce, które biegały brzegiem.

- Jest za zimno na spacer po plaży - powiedziałam.

- Nie, nie tak bardzo. Popatrz na fale. Są całkiem małe, to znaczy, że nie ma wiatru. Nic ci nie będzie. Pies tego potrzebuje. Ty także. I na pewno ci się spodoba.

- Nie możemy spacerować. Musimy odebrać dzieci.

- Ależ możemy! - Peter wziął mój telefon i wybrał numer. - Cześć, Yvette. - Usiłowałam mu wyrwać aparat, ale odsunął się i wysiadł z samochodu.

Rzuciłam się w jego stronę.

- Oddaj mi telefon! - zażądałam szeptem.

- Mówi Peter. O rany, mamy tu strasznie dużo roboty... Tak, nie ma mowy, żebyśmy zdążyli odebrać małego... Mogłabyś pojechać za mnie po Dylana?... Świetnie. Wrócimy późnym popołudniem.

Zaniknął kłapkę, wrzucił telefon do mojej torebki i pobiegł na wydmy za Gussie.

To było doprawdy śmieszne. Dlaczego miałam poczucie winy? Przecież chodziło tylko o krótki spacer, potem byśmy wrócili. Wielka rzecz! Wysiadłam z samochodu, ruszyłam na plażę i zatrzymałam się w miejscu, gdzie piasek opadał metr w dół. Zsunęłam się na obcasach po tym występie. Peter stał już nad wodą z rękami opartymi na biodrach. Dobra. Wyglądał rewelacyjnie. Ale, jak mawiała moja matka, nie ma nic złego w oglądaniu wystaw sklepowych. Problemem jest dopiero kupno.

- Jednak się przemogłaś. Fajnie. Nie jest tak źle, co? - Machnął ręką, wskazując ocean, błękitne niebo i miękki, gruby, biały piasek.

- Jest okropnie. - Uśmiechnęłam się.

Peter znalazł ohydny starą piłeczkę tenisową i zaczął rzu-

cać ją psu wzdłuż brzegu. Gussie była już brudna, miała mokre łapy i sierść całą w piachu. Nie mogłam zabrać jej w takim stanie do domu. Musiałabym potem wyczyścić wóz, zanim użyłby go Phillip.

- Hej! Jamie Whitfield! Poruszaj się trochę! Niech krew zacznie ci szybciej krążyć w żyłach! I wyzwolą się endorfiny!

Niechętnie ruszyłam za Peterem i psem. Ze dwieście metrów od brzegu samotny surfingowiec w zimowej piance, butach i czapce dzielnie usiłował utrzymać się na małych falach. Na horyzoncie powoli sunął tankowiec. Za porośniętymi trawą wydmami wznosiły się majestatyczne letnie rezydencje Hampton. Większość ich wyglądała tak, jakby zaprojektował je ten sam architekt: postarzałe dachówki, wielodzielne okna, niezliczone pokoje, werandy otaczające główny trzon domu. Od czasu do czasu pojawiały się jakieś nowoczesne budowle - czarny dwupiętrowy prostopadłościan, wysoka przeszklona konstrukcja w kształcie litery A, prosty kamienny domek w stylu preriowym - jakby miały nam przypominać, że jest rok 2007, a nie początek zeszłego stulecia.

- Zdumiewające domy. - Peter znowu pojawił się przy mnie.

Cofnęłam się o krok.

- Co do jednego - przyznałam mu rację. - A co jeszcze dziwniejsze, nie należą wcale do tych najdroższych.

- Ile może być wart tamten, ten duży, o tam? - Peter wskazał dom z kopułami, składający się z trzech skrzydeł, który mógłby pomieścić dwunastoosobową rodzinę.

- Znam jego wartość. To dom Jacka Avinsa. Kupił go za trzydzieści pięć milionów dolarów w drodze sławnej transakcji o nazwie Hadlow Holdings. Wszystkie koszty wyniosły około ośmiuset milionów. Phillip zajmował się tą umową.

Peter spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

- Nie, nie. On pracował tylko za swoją stawkę godzinową i możesz mi wierzyć, że był z tego powodu wściekły.

- Uhm... - powiedział to tak, jakby miał wielką ochotę dodać coś jeszcze.

Zauważyłam:

- Chyba wiem, co masz na końcu języka, ale przejdę nad tym do porządku. Jedno mnie ciekawi: powiedziałaś swojemu poprzedniemu pracodawcy, że jest bierno-agresywnym draniem, a mnie, że jestem walnięta. Zawsze tak wywalasz kawę na ławę?

- Ty nie jesteś taka jak on.

- A jednak widzisz powody do krytyki. - Boże, wyglądał świetnie w czarnej kurtce i džinsach!

- Nie krytykuję cię. No, może odrobinę. Ale naprawdę powinnaś sobie trochę odpuścić z tymi zajęciami Dylana.

Zmusiłam się, żeby nie patrzeć mu w twarz, zbita z tropu tym, że poczułam się tak zraniona jego słowami.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że uważasz za koniec świata, jeśli Dylan nie zdąży gdzieś na czas albo ominie go jakieś przyjęcie urodzinowe.

- On uwielbia przyjęcia urodzinowe!

- Nie, wcale nie.

- Ależ tak.

- Przykro mi, ale nie - ciągnął Peter niezrażony. - Nie lubi tłumu. To jeden z powodów, dla których nie chce wrócić do koszykówki, całe to zamieszanie, hałas, nie może sobie z tym poradzić. To mały myśliciel, indywidualista. Tłok wytrąca go z równowagi. Tego dnia, gdy się zdenerwował i nie mógł wykonać rzutu, w grę wchodziła nie tylko trema, lecz i stres wywołany obecnością wielu ludzi.

- Rozmawiałaś z nim o tym? Powiedział ci to?

- Tak.

Jak mógł być przekonany, że zna mojego syna lepiej niż ja?! Nie podobało mi się, że Dylan otwiera się przed Peterem raczej niż przede mną, ale starałam się nie dać tego po sobie poznać.

- Cieszę się, Peter. Trochę mi ulżyło. - Splotłam ręce na piersi. - Dylan nie należy do osób, które mówią, co leży im na wątrobie. Jeśli mi się zwierza, to właściwie tylko przed snem, kiedy ma wrażenie, że znowu jest w łonie matki, i czuje się bezpiecznie.

- Tobie też dobrze by zrobiło, gdybyś trochę zwolniła tempo życia.  
- Nie wiesz, jak to jest być w tym mieście pracującą matką z trójką dzieci. Nie masz pojęcia, jak wygląda mój dzień.  
- Spróbuj. Po prostu wyrwij się z rutyny.  
- Dobra, nie ma problemu.  
- Jesteś pewna?  
- Tak, ale nie rozmawiamy o mnie. Rozmawiamy o Dy-lanie.  
- Mogę ci dać radę? Chodź, przejdziemy się.  
- Jasne - odparłam z niechęcią. - Powiedz, co jeszcze myślisz. I tak cię nie powstrzymam. Twoja opinia zresztą mnie nie rusza. - Wciąż jednak było mi przykro.

- To dobrze. - Naprawdę się rozgrzewał. Wziął głęboki oddech, jakby lista moich przewinień była długa na milę. - Podchodzisz do prowadzenia domu jak do sprawnie zorganizowanej produkcji telewizyjnej. Każde dziecko ma własne zajęcia, wypisane jakimś kolorem na ścieralnej tablicy z kalendarzem, którą teraz chcesz mieć w formie cyfrowej; każda z zatrudnionych osób dostaje plan z codziennymi obowiązkami. I nie przewidujesz odstępstw, od tego planu. Dla Dylana to za dużo... - Nagle urwał.

Podążyłam za jego wzrokiem; patrzył na parę, która obściskowała się na kocu w paski. Dziewczyna obejmowała mężczyznę nogami i trudno było na nich nie patrzeć, bo naprawdę wyglądali na mocno napalonych. Tego nam jeszcze było trzeba - wybuchu namiętności przy nas w charakterze widowni.

Odchrząknęłam i przyspieszyłam kroku.

- Cóż, żyjemy w ruchliwym mieście; oboje pracujemy. A dzieci lubią porządek.

- Tylko do pewnego stopnia. Byłoby dobrze, gdyby czasami Dylan mógł spędzić popołudnie inaczej niż zwykle. Do diabła, pozwól mi go zabrać wcześniej ze szkoły i pograć gdzieś w piłkę! Powinien pożyć trochę jak dzieciak, jeśli chcesz, żeby pozbył się tego sceptycyzmu, który nie pozwala mu cieszyć się z niczego, co nie jest „cool”. Do wszystkiego

podchodzisz nazbyt krytycznie, w sposób nadmiernie uporzędkowany. Nie masz nawet czasu, żeby powdychać zapach trawy.

Wciągnął w nozdrza powietrze przesycone jodem i usiadł na wydmie. Za naszymi plecami zawiął wiatr i prysnął na nas kropelkami słonej wody.

- Kiedyś nawet nie wyobrażałam sobie wychowywania dzieci w mieście, sama dorastałam w zupełnie innym miejscu - zauważyłam, siadając przy nim, choć nie za blisko. -Byłabym szczęśliwa, mogąc mieszkać tutaj, ale praca zatrzymuje nas w Nowym Jorku.

- Więc musisz wymyślić coś, co będzie ten fakt rekompensowało.

- Zatrudniłam ciebie, czyż nie?

- To właśnie intensywność miejskiego życia pozbawia radości dzieci. I ich matki też.

- Z całym szacunkiem, co ty wiesz o matkach z tego miasta?

- Wbrew pozorom, spędzam z nimi sporo czasu: w parkach, na placach zabaw, pod szkołą. Opowiadają mi różne rzeczy. Nie uważają mnie za zwykłą pomoc domową jak Yvette czy Caroline. Lubią mi się zwierzać, co czasami bywa zabawne.

- I co mówią?

- Na początku chcą się zorientować, dlaczego facet zajmuje się taką pracą. Potem, gdy się dowiadują, że jednocześnie piszę program dla szkół publicznych, szybko zaczynają czuć się swobodnie. I mówią. Opowiadają o swoich mężach, że ich nie znoszą, że stale nie ma ich w domu. Słomiane wdowy z Wall Street. Przeważnie tylko słucham, staram się sprawiać wrażenie, że interesują mnie te wszystkie głupoty, którymi się zajmują. Jedna z nich zapytała mnie na przykład, i to z poważną miną, czy moim zdaniem „jako mężczyzny” to normalne, że przedsiębiorca budowlany chce sto trzydzieści siedem tysięcy dolarów za odnowienie garderoby męża.

- Wiem, że to szokujące. Te liczby...

- To więcej niż szokujące. Czy nie martwi cię, że twoje dzieci dorastają w takim środowisku? - Wiatr zwał mu włosy na twarz i usta, tak że miałam ochotę je odgarnąć. Boże! Chyba nie byłam jak Mary Kay Letourneau, nauczycielka, która poszła do łóżka z trzynastoletnim uczniem z Samoa, wylądowała za to w więzieniu, a potem wyszła za niego za mąż? Przypomniałam sobie jednak, że Peter jest tylko sześć lat młodszy ode mnie i ma metr osiemdziesiąt wzrostu.

- Owszem, ale staram się wpajać im właściwe wartości.

- Nie możesz jednak przeciwdziałać temu, co obserwują dookoła. Któregoś dnia zabrałam Dylana do Ginsbergów, żeby pobawił się z ich dziećmi, i wyobraź sobie, że pani domu kazała wcześniej sprawdzić całe domostwo. Jak samochód rajdowy przed wyścigiem.

- Jak to?

- Poleciała dwóm damom w białych uniformach i dżentelmenowi w koszuli i krawacie przetrzeć ramy okienne wacikami na patyczkach! Uważasz, że to normalne środowisko do zabawy dla dzieci?

- Nie. Nie uważam, że to normalne środowisko do zabawy.

- A kiedy się pójdzie do pokoju jej syna, okazuje się, że ma fikuśną biało-niebieską pościel z inicjałami wyszytymi na falbaniastych poduszkach, książki ustawione alfabetycznie, a wyprasowane koszulki poukładane porządnie w szufladach. Kto by prasował bawełniane koszulki, na miłość boską?

- Nie wiem. My nie prasujemy - odparłam obronnie.

- A ile kosztuje taka pościel? Chciałem cię już wcześniej zapytać.

- Nie mam pojęcia.

- Ależ masz! Widziałem taką samą na twoim łóżku.

- Nie powiem.

- No to rezygnuję z pracy. - Wstał, żeby odejść.

- Stój! Usiądź! Jest bardzo droga.

- To chore! I kupuje się coś takiego dziecku?

- Dylan ma pościel w piłki futbolowe z Portery Barn.

- Ho, ho! Wielka różnica. Otóż te twoje matki niczym innym się nie zajmują - kupują takie rzeczy, organizują to, planują tamto. Realizują swe fantazje tak jak ty te swoje z komputerowym rozkładem dnia.

Nie mogłam znieść myśli, że porównuje mnie z tymi wiecznie utyskującymi na coś matkami z placu zabaw.

- Nie mam wiele wspólnego z tymi kobietami.

- O, napraaaawdę?

- Tak, naprawdę, Peter. Nie zauważyłeś tego?

- Zauważam różne drobiazgi. Jestem szczegółarzem, dlatego dobry ze mnie programista. - Był naprawdę złośliwy, kiedy się ze mną drażnił.

- I co takiego zauważyłeś?

- Widzę, jak zmienia się język twojego ciała. Przestajesz być przy nich sobą...

- Peter, te kobiety to zupełnie inny gatunek niż ja. Zaczął gwizdać jakąś melodyjkę.

- Żartujesz sobie ze mnie, prawda? Jeszcze nie zauważyłeś, przebywając u nas dzień w dzień, że pochodzę z Minnesoty i wciąż desperacko staram się dostosować do tutejszego życia?

Zsunął okulary przeciwsłoneczne z nosa i spojrzał na mnie z kamienną twarzą.

- Nie mam obsesji na punkcie kupowania ciuchów, Peter, ani żadnych idiotycznych rzeczy, na których zależy tym kobietom. Dostrzegłeś to chyba, no nie? - Przybrałam chyba błagalny ton.

Poklepał mnie po ramieniu.

- Może jesteś od nich sprytniejsza. Chcesz zrobić karierę, ale tak samo patrzysz na świat. Może spędziłaś za dużo czasu przy wazie z ponczem. Tak to przynajmniej wygląda z mojej perspektywy.

Jezu! Ale mnie zranił.

- A ty co robisz przy tej wazie z ponczem? Spotykasz się ze swoimi kumplami z Red Hook? Ze swoją dziewczyną?

- Co takiego?

- Nie chcę już mówić o sobie. Może przez chwilę zajmiemy się tobą?  
- Nie mam teraz dziewczyny. A jeśli już musisz wiedzieć, wyjechałem z Kolorado z powodu naprawdę przykrego zerwania. I nie zamierzam na razie łądować się w żaden związek. Owszem, spotykam się z przyjaciółmi z Brooklynu, ale także z Manhattanu. I wiesz co? Oni są znacznie bardziej wyluzowani niż te twoje znajome mamuśki. - Zerwał się i pobiegł za psem.

Krzyknęłam za nim:

- Kathryn taka nie jest!

Ale on już szedł do samochodu.

W czasie drogi powrotnej oboje byliśmy pogrążeni w myślach. Po godzinie jazdy nie mogłam się powstrzymać i zapytałam:

- Dobra, podaj mi jakiś inny przykład tego, co robię nie tak. Co upodabnia mnie do ludzi z Grid.

Uśmiechnął się przebiegle i podrapał po policzku. Potem parsknął pod nosem.

- W porządku, mam taki przykład.

- Jaki? - Umierałam w środku.

- Poduszki w pantery.

- Co takiego?

- Te twoje poduszki z panterą. W każdym pieprzonym apartamencie z sąsiedztwa znajdują się dokładnie takie same, dwadzieścia cztery centymetry na trzydzieści, ze śmiesznymi jedwabnymi frędzelkami. Leżą na głównej kanapie w salonie, po obu jej stronach, na innych poduszkach, które też wyglądają na bardzo drogie.

Poczułam się zdemaskowana. Ciągnął dalej:

- Za każdym razem, gdy ktoś przychodzi, lecisz do tych dwóch poduszek i przetrzepujesz je, zanim pójdziesz otworzyć drzwi. Zawsze mnie to bawi.

Jak zdalnie sterowany samolot z zaprogramowanym celem



ten facet namierzył jedyną materialną rzecz, na której punkcie cztery lata temu dostałam bzika. Miał rację. Te cholerne poduszki z panterą rzeczywiście były symbolem. Metaforą wszystkiego. Pamiętam, jak pierwszy raz poszłam w odwiedziny do Susannah; wiedziałam, że nie dorównuje mi pod względem stylu i klasy, mówiłam sobie, że nie mam się czym przejmować, a jednak, oczywiście do pewnego stopnia, przejmowałam się. Chciałam, żeby przyjaciele Phillipa - to zamknięte grono, zepsute i niedopuszczające nikogo z zewnątrz - zaakceptowali mnie.

Chciałam być jak Susannah. Wiedziałam, że nie przyjdzie mi to w sposób naturalny. Usiadłam na jej kanapie. Wzięłam do ręki tę małą miękką poduszkę, na której wcześniej się oparłam. Pogładziłam miękką aksamit, przesunęłam palcami po liniach bursztynowo-czekoladowego wzoru. Pociągnęłam żółte jedwabne frędzelki. Poskrobałam delikatne szydełkowe wykończenia na brzegach. Zapragnęłam takiej poduszki. Ucieleśniała dla mnie pieniądze i styl, była przepustką do nowego środowiska.

Dwa tygodnie później z Le Décor Français przybyły moje własne poduszki z panterą - zapakowane w małe pudełka, owinięte różową bibułą i przewiązane białą wstążką. Położyłam je na kanapie. I od tej pory dzięki nim czułam się członkinią klubu, do którego przecież wcale nie musiałam należeć.

- Peter, nie rozumiem, jaki związek z tematem naszej rozmowy mają te idiotyczne poduszki.

- Myślę, że bardziej przynależysz to ludzi stąd, niż ci się zdaje.

Walnęłam go torebką w ramię, zastanawiając się, jak by to skomentował, gdyby wiedział, że zapłaciłam za nią dwa i pół tysiąca dolarów.

Po chodniku przed nami przedfilowała kobieta z głębokim rozcięciem w spódnicy i w butach z krokodyla; na chwilę rozcięcie się rozchyliło do wysokości majtek, ukazując idealnie zgrabne, opalone nogi. Tydzień po wyprawie do domku nad morze skręciliśmy z Peterem za róg, idąc w kierunku wejścia do szkoły, i zauważyłam, że Peter uśmiecha się na widok, który miał przed sobą.

Ingrid Harris, kobieta zbyt wytworna, by rodzić naturalnie. Poza wspaniałymi nogami miała niewielki okrągły tyłeczek i cycki Barbie. Nagle przypomniała mi się scena na placu zabaw przy Seventy-sixth Street, gdy Dylan miał z sześć lat i wraz z grupą innych mam rozmawialiśmy o tym, jak bardzo nie lubimy ćwiczeń fizycznych. Ingrid jak zwykle nie było, ale jej starszy syn Connor bawił się z Dylanem w piaskownicy i usłyszał fragment naszej rozmowy.

- A moja mama ma trenera - oświadczył. - Ma na imię Manuel. Jest z Panamy i przywiózł mi stamtąd gitarę.

Znałyśmy wszystkie Manuela - czarnego byczka z modnej siłowni w sąsiedztwie. Znałyśmy także naszą Ingrid i jej rozbuchane libido, które wprowadzało ją na wysokie obroty, ilekroć wyczuła w pobliżu woń atrakcyjnego samca. Uwielbiała oglądać na wideo filmy porno, kiedy jej mąż wyjeżdżał w podróż służbową. Jej ulubiony? *A kuku, kakaowy kutas.*

Connor ciągnął dalej

- Chcecie poznać sekret?

- Jasne, kochanie - zachęcająco powiedziała Susannah.

- Mama i Manuel ćwiczą w pokoju telewizyjnym, a potem zawsze ucinają sobie drzemkę.

Zerknęłam teraz na Petera. Wciąż był jak zauroczony tyłeczkiem Ingrid, który kształtem przypominał grejpfruta. Szturchnęłam go w ramię.

- Schowaj język.

Yvette czekała już na schodach przed szkołą, z Michaelem i Gracie w podwójnym wózku. Gdy uściskałam dzieci i wyjęłam je z pasów, Ingrid była tuż przy nas.

- Kim jest ten pociągający mężczyzna?

- Cześć, Ingrid. To Peter Bayley. A Yvette już znasz.

- Ale przystojniak!

- Ręce przy sobie, Ingrid.

- Miło mi panią poznać. Pani syn chodzi do tej szkoły? -Peter ochoczo wyciągnął rękę i wypiął pierś.

Stałam się nagle niewidzialna i wcale mi się to nie spodobało. Ingrid podeszła bliżej, tak że jej sztuczny cycek znalazł się w odległości milimetra od ramienia Petera.

- Tak. Ma na imię Connor. Jest w tym samym wieku co Dylan. Przyjechał pan z wizytą do Nowego Jorku?

- Peter pracuje u nas. - Weszłam o stopień wyżej, trzymając w ramionach dwójkę wijących się maluchów.

- Mamusiu! - wrzasnęła Gracie. - Mówiłam Yvette, że chcę zostać w domu.

- A ja powiedziałam jej, że chcę się z wami zobaczyć i zabrać was do parku, gdy wasz brat skończy lekcje. - Wierzchem palca wskazującego pogłaskałam czule jej policzek.

- Ale ja nie chcę! - Posłała mi jedno ze swoich spojrzeń. Michael, sfrustrowany tym, że nie ma swobody ruchu w moich ramionach, gwałtownie odchylił się do tyłu i omal nie upadł na schody. Peter jedną ręką chwycił mnie za łokieć, by pomóc mi odzyskać równowagę, a drugą podtrzymał Michae-

la. Ingrid obserwowała jego zręczne ruchy z coraz większym zainteresowaniem.

- I zajmuje się pisaniem oprogramowania - dodałam.

- Jeszcze do tego inteligentny? Nadzwyczajne. - Lekko rozszerzyły się jej nozdrza.

- Ingrid! - Posłałam jej ostrzeżenie, które wolała zignorować. - Kupiłam bilety na imprezę dobroczynną Duponta. - Mówiłam o zbliżającej się wystawie na cele dobroczynne pod tytułem „Białe noce”, organizowanej przez Dupont Museum i Ermitaż. Zaczęłam gadać o byle czym, nie widząc innego sposobu, żeby przygasić ogień rozpalający się między tymi dwójgiem. Miałam rację. To były tylko moje fantazje, fantazje osamotnionej mężatki. Peter wcale nie był mną zainteresowany, nawet mu się nie podobałam. Gdy uśmiechnął się do Ingrid, dołeczek w jego lewym policzku pogłębił się jeszcze. Oto jak wygląda zainteresowany kobietą mężczyzna. Poczułam się jak gruba koleżanka z castingu, która nigdy nie miała faceta.

Ingrid zwróciła się do mnie:

- Widziałam, że kupiłeś dwa. Muszę przyznać, że kupno najdroższych biletów na tę galę, z połową zarządu Pembroke w komitecie organizacyjnym, było sprytnym posunięciem.

- Gracie w przyszłym roku będzie się ubiegać o przyjęcie.

- Co będę, mamusiu?

- Nic, kochanie.

- Wszyscy na to wpadli, dobrze wiemy, dlaczego kupiłeś te bilety. Masz już odpowiednią kieckę?

- Nie, nie miałam czasu, żeby pomyśleć o sukience. Peter nie mrugnął okiem, odkąd Ingrid się zjawiała. Wysunęłam się przed niego.

- A powinnaś - orzekła. - Sukienka jest najważniejsza. Po pierwszym grudnia już nic nie znajdziesz. Do tego czasu zimowe kolekcje będą kompletnie przetrzebione.

- Jamie nie przywiązuje znaczenia do strojów - wtrącił się Peter.

Ingrid położyła rękę na jego ramieniu.

- Słucham? Co ty opowiadasz! Jest bardzo zaradna, jeśli o to chodzi. Zaśmiała się histerycznie, jakby była najbardziej błyskotliwą kobietą na świecie, a potem już tylko gapił się na nią z głupią miną.

- Wybrali temat carskiej Rosji, bo to ostatni objazd jaj Faberge po świecie, zanim przejdą w prywatne ręce - informowała Ingrid. - Ale pamiętaj, nie chodzi tylko o carów, ale i białą Rosję.

- Mam robić notatki? - zapytał Peter.

- Nie musisz, wszystko zapamiętam. Czas pójść po Dylana. - Spojrzałam na niego, mrużąc oczy.

Postukał palcem w zegarek.

- Jeszcze trzy minuty.

- Sukienka to nie wszystko - upominała Ingrid. - Nie zapomnij o białym futrze. Na pewno zresztą pamiętasz o tym. Przypominam tylko na wszelki wypadek.

- Żartujesz? Nie mam białego futra.

- Nie wstydź się, Jamie. Białe noce, białe futro! Jak Julie Christie w *Doktorze Żywago!* - Pochyliła się i powiedziała szeptem: - Ja zamierzam włożyć białe sobole. Krótkie. Z kapturem. - Pokazała obiema rękami, jak bardzo krótkie będzie jej futro. - Kupiłam je u Dennisa. Za bardzo dobrą cenę.

- To znaczy za ile w przybliżeniu? - zapytał Peter. Wiedziałam, że zbiera amunicję, by później użyć jej przeciwko mnie.

- Dziewiętnaście - szepnęła.

- Dziewiętnaście czego? - zapytał niebezpiecznie blisko jej ucha.

- Tysięcy! Na jakiej ty planecie żyjesz?

Peter wyglądał tak, jakby mu się zrobiło niedobrze.

- Pójdę po Dylana - oznajmił.

Ingrid obróciła się na pięcie i ruszyła za nim. Instynktownie wyciągnęłam rękę, żeby ją złapać i zatrzymać, ale wywineła mi się.

Ktoś klepnął mnie w ramię. Christina Patten, ta od proble-

mów z zastawą. Czułam się skatowana tym, że ciągle dopada mnie jakaś kwoka. Christina miała ostre rysy i ciemne, sięgające do ramion włosy, które wiły jej się za uszami. Ubrana była w kremowy kostium ze spodniami i kremową jedwabną bluzkę zapinaną na guziki, a z szyi zwieszały jej się dziesiątki złotych łańcuchów, które wyglądały na kosztowne. Ona również sprawiała wrażenie niebezpiecznie niedożywionej.

- Słyszałam, jak mówiłaś o carskiej gali w muzeum.

- Mamusi! Możemy już iść? Zimno mi. - Gracie potarła zaspaną buzię.

- Wszyscy wykupowali stoliki. Kto będzie siedział przy twoim?

Kupiłam tylko dwa bilety, nie cały stół. Nie miałabym kogo przy nim usadzić. Nie śmiałabym prosić o przyjście nikogo z przyjaciół z pracy; ich nie interesują takie snobistyczne imprezy. Susannah, mój łącznik z wyższymi sferami, wyjechała w tym tygodniu z miasta i na galę również się nie wybierała. Musiałam wobec tego wymyślić jakąś sensowną wymówkę.

- Jamie, z kim będziecie siedzieć przy stole? - Christina wyglądała na zaniepokojoną.

- Mamo! - zawołał do mnie Dylan. Peter znosił go na barana ze schodów.

- Chwileczkę, Christina. Kochanie! - Uściskałam Dylana, który szybko wywinął się z moich objęć, bo w pobliżu byli koledzy. Przyklęłam, żeby znaleźć się na poziomie wzroku Gracie. - Jeśli włożysz płaszczyk, powiem ci, kogo dziś rano znalazłam. Włóż rączkę do mojej torebki.

Gracie zajrzała do środka i jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki. Przytuliła do szyi brudną, trochę śmierdzącą purpurową żyrafę, wypełnioną grochem.

- Znalazłaś Purpy? - Żyrafa zaginęła przed trzema miesiącami. Gracie objęła mnie za udo, a potem pobiegła przedstawić Purpy Peterowi.

- Jamie, z kim będziesz siedziała podczas imprezy? - Christina nie dawała za wygraną. - Bo wiesz, jeśli nie podej-

tniesz decyzji, posadzą cię w jakimś ciemnym kącie za filarem.

- Phillip zaprosił chyba kolegów z firmy. W każdym razie tak mi się zdaje.

- Lepiej sprawdź, czy to odpowiedni ludzie. Wszyscy już wiedzą, kogo zaproszą do stolika.

Peter był już i tak na mnie cięty, a ja nie miałam białej sukni, nie mówiąc już o białym futrze do bioder. Wyobraziłam sobie te wszystkie kobiety w sukniach od Gucciego czy Valentina albo w jedwabnych spodniach i wyszywanych paciorkami topach bez pleców. Byłam tak zbita z tropu tym wszystkim, że domyśliwszy się intencji Christiny, zaczęłam się zastanawiać, czy nie trzeba by przysiąc się do niej.

Bo chyba chciała mnie zaprosić? Zawsze uważała, że jestem „interesująca”, bo pracuję zawodowo i przynoszę do domu pieniądze. Też coś!

- Wiesz, Rogersowie na początku tygodnia powiedzieli nam, że nie mogą przyjść... - sondowała dalej Christina.

Uklękałam i poprawiłam Gracie szalik oraz rękawiczki, starając się wciągnąć ją znowu w krótką rozmowę, a jednocześnie intensywnie się zastanawiając. Jasne, złożyliśmy podanie w kilku dobrych szkołach, ale zależało mi, żeby Gracie została przyjęta do Pembroke. Byli tam najlepsi, najbardziej kreatywni nauczyciele i najbardziej różnorodne pod względem środowiska grono uczniów ze wszystkich prywatnych szkół w mieście. Ale konkurencja była ostra. Rocznie przyjmowano do Pembroke tylko dwadzieścioro dzieci, niemających tam jeszcze rodzeństwa, i obawiałam się, że nie uda nam się ulokować Gracie w tej szkole bez wsparcia członkiń zarządu. Christina przyjaźniła się z nimi wszystkimi. Czy mogłam być aż tak wyrachowana?

Christina tymczasem ciągnęła dalej:

- Dlatego mamy dwa wolne miejsca. Byłabym zachwycona, gdybyście dotrzyмали nam towarzystwa. Jestem pewna, że George bardzo chętnie dowiedziałby się czegoś zza kulis *Newsnight*. On codziennie czyta gazety.

Z fałszywą miną rzuciłam się w tę towarzyską przepaść.

- Phillip i ja z wielką chęcią usiadziemy przy waszym stole. Bardzo ci dziękuję za zaproszenie.

- Świetnie, to jesteśmy umówieni. Prześlę ci informacje na temat wystawy jaj Faberge, żebyście dowiedzieli się jak najwięcej na ten temat.

Christina pomachała ręką na pożegnanie i ruszyła ulicą z dwójką młodszych dzieci, ubranych w takie same kurtki myśliwskie, z podniesionymi kołnierzami, żeby wszyscy mogli zobaczyć rozpoznawalne z daleka metki Burberry.

Peter nie musiał mówić ani słowa o paniach przy wazie z ponczem, bo i tak dobrze wiedziałam, co myśli.

- Możesz się pieklić na mnie za to, co powiem, ale statystycznie trudniej dostać się do zerówki w Nowym Jorku niż na Harvard.

Na chodniku tłoczyły się mamy, niańki i dzieci, które właśnie zostały odebrane ze szkoły. Gdy szliśmy, Dylan odbiegł, żeby pogadać z kolegami, a Gracie wzięła mnie za rękę. Yvette pchała wózek z Michaeliem.

- Wprawdzie pracuję w innym świecie, ale pod koniec dnia wracam tutaj. I czasami, niestety, muszę iść na kompromis.

- Taaa? - On najwyraźniej kompromisów nie uznawał. - Sądysz, jak widzę, że spędzanie czasu z ludźmi, których nie lubisz albo z którymi źle się czujesz, jest ceną uzyskania wstępu do ich grona.

- Kupiłam bilety na tę głupią galę, żeby pomóc mojemu dziecku dostać się do szkoły. Zrozum to. Nie ma o co robić hałasu. Ale przecież moje życie nie ogranicza się tylko do tego, i dobrze o tym wiesz.

Westchnął i zatrzymał się.

- Wiem. Ale dlatego robię ci wymówki, bo sam byłem w podobnej sytuacji.

- To znaczy...?

- To znaczy niezupełnie w takiej jak twoja. Zacząłem ci o tym mówić na plaży. Wyrwałem się z układu, który mi nie leżał, i odszedłem z miejsca, które mi nie pasowało albo do



którego ja nie pasowałem. Nie powiedziałem ci o tym, bo nie wydawało mi się to konieczne, ale teraz, gdy jesteśmy... No, w każdym razie miałem zająć się biznesem ojca, jak wiesz. Jednocześnie poważnie zaangażowałem się w pewien związek. Wszyscy uważali, że jesteśmy idealną parą ona pochodziła z dobrej rodziny, była świetna pod wieloma względami, nasi rodzice, jedni i drudzy o prawicowych poglądach, przyjaźnili się. - Zamilkł na chwilę. Czułam, że się zastanawia, czy nie przekracza osobistej granicy, ale kontynuował: - A co tam... Wtedy moja dziewczyna zaszła w ciążę i musieliśmy pomyśleć serio o naszym związku. Zaczęliśmy nawet oglądać domy. I nagle uświadomiłem sobie, że wchodzę w koszmarną rolę tatusia z przedmieścia, w której źle się czuję. Podobnie było z nią. Obudziła się pewnego ranka i stwierdziła stanowczo, że chce usunąć ciążę, a wiedziała, że będę z nią tak czy siak. I usunęła. A tego z kolei ja nie wytrzymałem.

- Bo chciałeś tego dziecka?

- Oczywiście! Pragnę mieć dzieci, ale nagle zrozumiałem, że jeszcze nie pora na to. Zdałem sobie sprawę, że jeszcze jeden krok i prowadziłbym życie, które absolutnie nie miałoby dla mnie sensu. Byłem tego bardzo bliski.

- I co się stało?

- To było naprawdę przykre. Nastąpiło wielkie zerwanie. To jednak nie była dziewczyna dla mnie. A ja z kolei nie byłem facetem dla niej. Kiedy moi rodzice dowiedzieli się o aborcji, wybuchło piekło. Gdzieś indziej może byłoby to do zaakceptowania, ale nie tam, skąd pochodzę. Ojciec powtarzał, że nie może uwierzyć, iż usunięcie ciąży było dla nas tak łatwą sprawą. Mówiłem mu wciąż, że była to najtrudniejsza decyzja, jaką podjąłem, ale nie chciał słuchać. Powiedzieliśmy sobie przykre rzeczy. Nie rozumiał, dlaczego zdecydowaliśmy się na coś takiego, nie rozumiał, ile nas to kosztowało. Odciałem się więc od tego życia. Ojciec i ja od roku prawie ze sobą nie rozmawiamy.

- Rodzice nie gniewają się w nieskończoność.

- Wiem. Ale tak naprawdę nie o to chodzi. Żyłem w świe-

cie, który nie miał dla mnie sensu, i musiał wydarzyć się dramat, żeby to wreszcie zrozumiał.

- Co sugerujesz? Że mam odciąć się od mojego życia tutaj? Porzucić pracę i wyjechać gdzieś? Wyrwać korzenie rodziny i przenieść się z powrotem do Minnesoty?

- Czy w takim scenariuszu byłoby miejsce dla pana Whitfielda?

- Ja... ja...

- Nie mam zamiaru się wtrącać. Tak tylko...

- Tylko co?

- Jesteś z innej bajki, Jamie Whitfield. - Zaczął tak do mnie mówić i sprawiało mi to przyjemność.

- Pewnie masz rację.

- Uhm. - I spojrzał na mnie.

Byłam zawstydzona, że rozgryził Phillipa, choć nie trzeba było do tego geniusza.

- W każdym razie twoje relacje z ojcem nie mają nic wspólnego z moimi próbami ułożenia sobie stosunków w środowisku jakichś kretynek. Rozmawiam z nimi ich językiem, chodzę ich ścieżkami, żeby mojej rodzinie żyło się łatwiej - wyjaśniłam.

- Są jednak pewne podobieństwa. Tylko to zamierzałam powiedzieć - odparł. - Przecież nie chcesz przeżyć całego życia według cudzego scenariusza. Zwariowałabyś.

Już zaczęłam wariować.

Wielka zdobycz; uważaj, na co się porywasz

Następnego ranka Abby z rozmachem otworzyła drzwi mojego pokoju, tak że ze ściany spadła plakietka National Press Club. Spojrzałam na Abby i pokręciłam głową. Miała na sobie jeden z tych swoich okropnych kostiumów Ann Taylor z zeszłego stulecia, tym razem w kolorze wiśniowym.

- Znowu wyglądasz jak agentka wynajmu samochodów.

- Mścisz się na mnie. Odgrywasz się za te codzienne szykany ze strony bab z Park Avenue.

- Nie odgrywam się, tylko próbuję terapii wstrząsowej, bo wyglądasz tragicznie. Nie możesz nosić już tego kostiumu z lat osiemdziesiątych.

- A czy to ważne? - Usiadła na krześle przed moim biurkiem.

- W porządku. To twoje życie. - Wzięłam pierwsze strony „Timesa”, a Abby sięgnęła po dodatek.

Po kilku minutach wyjrzała zza rozłożonej gazety.

- Właściwie przyszedłam przekazać ci pomyslną nowinę, ale chyba tego nie zrobię. - Zaczęła pogwizdywać.

- Słucham.

- Najpierw powiedz mi, że ładnie wyglądam. - Splotła ręce na piersi.

- Nie mogę. To byłoby kłamstwo.

Podmuchała na swoją parującą café latte, zastanawiając się, czy ma być dla mnie miła.

- Gdzie byłaś podczas porannej narady?

- Próbuję przestudiować wszystkie materiały dotyczące Theresy. No i mam dużo roboty z dziećmi. Pod szkołą Dylana dałam się wciągnąć w tę imprezę z jajkami, a to wymaga czasu i wysiłku, na które mnie nie stać. Miotanie się między sprawą Fabergé i futra a aferą seksualną w Missisipi zupełnie mnie wykańcza.

- Fabergé i futro?

Ugryzłam duży kęs posmarowanego masłem rogalika i powiedziałam z pełnymi ustami:

- Chyba wycofam się z tego.

- To jakiś bal dla dzieci? Czy też wydarzenie towarzyskie w Central Parku w gronie twoich bogatych przyjaciół, wymagające kapelusza za siedemset dolarów?

- To nie są moi przyjaciele.

- Co to w ogóle za historia z tymi jajkami?

- Chodzi o jajka Fabergé.

- Coś, czym zawsze się pasjonowałaś. Przewróciłam oczami.

- To wszystko ze względu na szkołę Gracie; w lutym ma się odbyć wystawa na rzecz Ermitażu.

- Sankt Petersburg. Jedno z twoich ulubionych miejsc. Wzięła z półki magazyn „Madison Avenue”. Oho, nadciąga tsunami.

- Znowu pojawiło się tu twoje zdjęcie?

Próbowałam wyrwać jej pismo, ale trzymała je przy piersi. Przerzucając jego strony, dodała:

- Zobacz, jest tu ekspozycja dawnej broni, impreza charytatywna na rzecz modelowej szkoły w Harlemie, i cóż to za elegancką osobę widzimy na zdjęciu?

- Wiem, Abby. Wyglądam jak idiotka.

- Nie. Wyglądasz, jakbyś wpadła na wielki abażur.

- To był bardzo drogi abażur. Wskazała zdjęcie.

- Masz świecący i czerwony nos. Miej litość i nie tłumacz mi, dlaczego włożyłaś różowy kostium, nawet jeśli był od Chanel i kosztował cztery tysiące dolarów. A ten wielki różowy spodek na twojej głowie, w środku zimy?

- To był akt desperacji. Tylko tyle mogę powiedzieć. Odwróciłam się do komputera i zajrzałam na parę stron

z wiadomościami, żeby przeczytać nagłówki, podczas gdy Abby przeglądała kolumny plotkarskie „New York Post”.

- No to powiedz, dlaczego palą mnie uszy.

- Nominacje na stanowisko nowego sekretarza Homeland Security. - Odsunęła „Post” i położyła na biurku trzy fiszki z odręcznymi notatkami:

1. Przesłuchania Homeland Security Producent: Jamie Whitfield, redakcja

2. Przesłuchania Homeland Security Prezenter: Joe Goodman, studio

3. Przesłuchania Homeland Security Kierownictwo produkcji: Erik James, reżyserka.

Pokręciłam głową.

- Abby, rozmawialiśmy już o tym. To nie jest program na żywo.

- Ale w ten sposób pewniej się czuję.

- Mówiłam ci parę razy. Te fiszki naprawdę mnie wkurzają.

- Jesteś odpowiedzialna za relację.

- Potrafię czytać.

- Widzisz, łatwiej, kiedy się coś przeczyta! - odpowiedziała zadowolona z siebie.

- Jestem zaszczyczona, ale niezbyt zadowolona. To oznacza tylko więcej roboty.

- W obecności całego zespołu Erik James powiedział, że wybrał ciebie, bo sprawdzasz się w sytuacji stresowej. Myślę, że po porannej naradzie ekipy odbyli jeszcze spotkanie w mniejszym gronie, które chyba także opuściłaś.

- To zadziwiające, że jeszcze nie wyleciałam z pracy, prawda?

- Jesteś producentką ściśle tajnej politycznej sensacji roku.

Zjawił się Charles, który zajął swoje zwykłe miejsce na kanapie, założył nogę na nogę, otworzył piwo imbirowe i spytał:

- Jesteś przygotowana na to, że cię usmażą gdy wyemitujemy ten program?

- Przestań! - zażądałam.

Naśladując ruchy dyrygenta, zaczął wymachiwać nogą.

- Po prostu cię ostrzegam. Oczywiście, nie ma to nic wspólnego z tym, że mam już plan zmarnowania własnej kariery.

- Potrafię o sobie zadbać. I nawet nie wspominaj o zmarnowanej karierze.

Zadzwoił mój telefon.

- To ja, Peter. Tylko się nie denerwuj - usłyszałam.

- Co się stało? - Odwróciłam się wraz z fotelem w kierunku okna.

- Dylan jest u pielęgniarki. Mówi, że boli go brzuch.

- Rano czuł się dobrze...

- Jamie Whitfield, czy on nie mówił ci o meczu piłki nożnej?

- Jakim meczu?

Byłam sfrustrowana - nie mogłam swobodnie rozmawiać -i wciąż nie potrafiłam pogodzić się z tym, że mój syn ma większe zaufanie do Petera niż do mnie.

- Peter, jestem zajęta. Wiesz, że stale jestem zajęta, ale dziś szczególnie... Dobra. Dylan nic mi nie mówił. Co to za mecz, który tak wytrącił go z równowagi?

- Powiedział mi wczoraj po szkole. Zaczynają naukę piłki nożnej na lekcjach wychowania fizycznego, i jest tym przestraszony. Mówi, że nie będzie grał w nogę, bo nie chce, żeby ktoś skopał mu golenie. Boi się, że będzie najgorszym piłkarzem w klasie. Twierdzi ponadto, że to głupia gra. Nie ma

żadnego bólu brzucha, to znaczy prawdziwego. Ale pielęgniarka zadzwoniła do mnie, bo nie mogła skontaktować się z tobą, i prosiła, żeby ktoś po niego przyjechał.

- Peter, nie mogę. Nie teraz.

- Spokojnie. Jestem pewien, że wystarczy, gdy ja pojedę. -Po raz pierwszy w życiu poczułam, że może będzie lepiej, jeśli ktoś inny zajmie się moim synem. Byłam też przekonana, że Peter świetnie sobie poradzi.

- Dziękuję ci. Naprawdę. Porozmawiam z nim po powrocie do domu.

- Nie rób tego.

- Oczywiście, że porozmawiam!

- Nie. Zostaw to mnie. Zabiorę go do domu. Zrobimy sobie popcorn, pogramy w szachy w jego pokoju i pogadamy. Wyświadczyć mi przysługę i nie podejmuj z nim tego tematu, dopóki nie będziemy mieli okazji porozmawiać. Dobrze?

- W porządku. Chyba. Daj mi znać, jak idzie. I dzięki. Cześć. - Rozłączyłam się i zapatrzyłam w okno. Byłam zadowolona, że Peter dogaduje się z moim synem, ale nie podobało mi się, że muszę trzymać się z boku. I gdyby nie był tak cholernie ujmujący, pewnie silniej bym oponowała.

- Nianiek przybywa na ratunek? - Charles spojrział na mnie z wrednym uśmiechem.

- O co ci chodzi? - warknęłam.

- O nic. Tylko śmieszy mnie, że ten twój supernianiek ciągle dzwoni.

- Czy ty wreszcie dorośniesz? Co z tą zmarnowaną karierą?

- Zgadnij.

- Paryż? Rio?

- Lepiej. Jane Goodall Institute. Do dwa tysiące piętnastego roku mogą wyginać wielkie małpy. Jadę do Parku Narodowego Gombe.

- Świetnie, ty wybierasz się na safari, a ja będę przemierzać puszcę Missisipi.

- Wywiad w czwartek nadal aktualny?

- Uhm.

- Uzgodniliście wszystko? - zapytał Charles. - Gdy ostatnio rozmawialiśmy, nie byłaś jeszcze pewna.

- Jasne, że tak. - Zaczęłam wyliczać na palcach. - Punkt pierwszy: Theresa przed kamerą opowie ze wszystkimi szczegółami o stosunkach z Hartleyem.

- Choć, oczywiście, ona jest jedynym świadkiem, a on wszystkiemu zaprzecza - sapnął Charles. Studiował w Westminster w Atlancie oraz w Yale i nauczył się mówić tonem pełnym wyższości. Zawsze zachowywał się, jakby wiedział więcej ode mnie i, niestety, przeważnie tak było.

- Mamy kasety. Można usłyszeć, jak ona mówi: „Ty psie!”, a on: „Chcę cię od tyłu, od tej brudnej”...

- Nie możesz tego wykorzystać.

- Naradzamy się z prawnikami, jak użyć tych nagrań.

- Z tego, co ostatnio słyszałem, czwórka ekspertów od dźwięku nie może ustalić na pewno, czyj głos nagrano na taśmie. - Charles usiłował wyświadczyć mi przysługę i wskazać luki w rozumowaniu, żebym mogła je załatać przed emisją programu, ja jednak byłam już tak zmęczona, że zaczął mnie tylko irytować.

- Trzech z naszych ekspertów potwierdziło, że męski głos należy do Hartleya; tylko jeden z nich nie mógł stwierdzić tego z całą pewnością - odszczeknęłam się. - A więc większość uważa, że mówi to Hartley. I to jest punkt drugi. Sam przesłuchałeś te taśmy i powiedziałeś, że wszystko brzmi wiarygodnie!

Wzruszył ramionami.

- Posłuchaj, geje są drobiazgowi, a ja tylko sprawdzam, czy się zabezpieczyłaś. Mów dalej.

Kontynuowałam więc, odliczając punkt trzeci na palcu środkowym.

- Mamy zdjęcie ich obojga z jakimiś współpracownikami Hartleya.

- Jamie, to nie jest zdjęcie „rozwodowe”.

Charles miał rację. Wolałabym, żeby Huey Hartley i jego



wybranka migdalili się gdzieś w parku - to by potwierdziło moją wersję.

Abby położyła na biurku kartkę, na której napisała: „Świadek, który zgodził się mówić, pracownik zakładu pogrzebowego”.

Przyłożyłam kartkę do czoła.

- Punkt czwarty: przedsiębiorca pogrzebowy z miejscowego zakładu zaklinał się w rozmowie ze mną, że ta para była u niego i że obydwójce wyglądali na bardzo zakochanych. Mówi to oficjalnie i przed kamerą: „Kiedy się widziało ich razem, trudno było powiedzieć, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie”.

Od lata odbyłam kilka dwudniowych wypadów do Missisipi, żeby sprawdzić, czy wszystko gra, i ewentualnie znaleźć jeszcze inne osoby, które widziały Theresę z Hartleyem i mogły potwierdzić wersję o romansie tych dwojga. Ale, niestety, nie dopisało mi szczęście. Próbowałam więc teraz umocnić się w poczuciu, że mam dość dowodów.

- A w ogóle ten facet z zakładu pogrzebowego... Znowu zadzwonił telefon.

Po drugiej stronie odezwał się Erik James, kierownik produkcji:

- Jamie, niespodzianka. Wielka zasrana niespodzianka. Prawnicy na górze nie są zachwyceni twoim materiałem.

- Aha. - Spojrzałam na Abby i Charlesa rozszerzonymi oczami.

- A wiesz, że są łagodni jak baranki - dodał Erik. Szepnęłam do przyjaciół, zasłaniając dłonią słuchawkę:

- Erik się wkurzył.

Abby nachyliła się i bezgłośnie zapytała:

- Dlaczego?

Wzruszyłam ramionami i uniosłam rękę, dając jej znak, żeby choć raz w życiu zachowała spokój. Erik tymczasem mówił dalej:

- Niepokoją się, bo zwolennicy Hueya Hartleya zwarli szyki na swoich stronach internetowych. Mieszają Theresę

z błotem, piszą zjadliwe komentarze, przygotowują się do ataku...

- I co z tego?

- Jak powiedziałem, prawnicy naszej stacji mogą sobie z nimi nie poradzić. Będą tu o drugiej. Możesz wtedy przyjść do mojego gabinetu?

- Uhm.

- I zabierz ze sobą Charlesa.

-Odłożyłam słuchawkę.

- Charles, ty też zostajesz w to wciągnięty.

- Czego chcą tym razem?

- Ludzie z kierownictwa znowu przestraszyli się blogerów. Po raz drugi w tym miesiącu. To zdumiewające!

- Mają powody do obaw. - Charles nagle stał się niesłychanie poważny.

- Działamy od ponad pięćdziesięciu lat! - przypomniałam mu. - Błogi czyta ze dwa tysiące ludzi, a *Newsnight* ogląda piętnaście milionów.

Charles jednak był wyraźnie zaniepokojony.

- Mylisz się - powiedział.

- Przykro mi, ale to ty się mylisz. Nie wszyscy są takimi maniakami komputerowymi jak ty. Moi rodzice nawet nie wiedzą, co to są błogi.

- A czytałaś je wszystkie?

- Pewnie. Zajrzałam na strony Huffington Post, Media Bistro. Wszyscy oni czytają wzajemnie swoje wstępniaki i popierają się po kumotersku.

Przysiadł na kanapie.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz. W sieci istnieją miliony blogów, tysiące z nich naprawdę dobrych, i siedzą nam na ogonie. Z lewej DailyKos, z prawej Hugh Hewitt...

Abby wyciągnęła kartkę i przeczytała:

- Pięćdziesiąt blogów pod koniec tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku i prawie piętnaście tysięcy obecnie. Według ostatniego badania Pew mają trzydzieści trzy miliony czytelników.

- I co z tego? Spada tylko wydajność pracy, bo ludzie przez cały dzień surfują po Internecie - powiedziałam. - Naprawdę uważasz, że blogerzy siedzą na ogonie takim molochom jak NBS?

- Tak, do diabła! - odparł Charles. - Cały czas nas wyprzedzają.

- Nieprawda. Masz dużą skłonność do przesady. Charles spojrział na mnie ogromnie protekcjonalnie.

- Słucham? A Monica Lewinsky na Drudge? To nie była sensacja?

Włączyła się Abby:

- To nie Drudge ujawnił sprawę Lewinsky, tylko „Newsweek”. Drudge zaś pierwszy doniósł, że Michael Isikoff z „Newsweeka” rozpracowuje ten temat, ale sam nie miał żadnych informacji. A jeśli chodzi o telewizję, to Chris Vlasto i Jackie Judd z ABC zrobili z tego materiał.

- Super, Abby - rzekł Charles. - Wiem, że są jeszcze inni. Abby zaczęła wyliczać na palcach:

- [MemoryHole.com](http://MemoryHole.com) zdobył pierwsze zdjęcie amerykańskich trumien wywożonych z Iraku, czemu administracja Busha usiłowała zapobiec ze względu na skojarzenia z Wietnamem. [Instapundit.com](http://Instapundit.com) poinformował o mowie Trenta Lotta\* na przyjęciu urodzinowym Stroma Thurmonda, mogącej świadczyć o tym, że popiera segregacjonistów. Potem...

Charles wszedł jej w słowo:

- I to wystarczyło, żeby Lott stracił pozycję przywódcy większości senackiej. Chyba to nie byle co?

- Dobra, więc parę razy nas wyprzedzili. Świat jest duży - dowodziłam. - Ale czy jest wielu takich prawicowców jak faceci ze Swift Boat, którzy załatwili Johna Kerry'ego\*\*?

- Hmm, muszę wziąć stronę Charlesa - oświadczyła

\* Chester Trent Lott (1941)-polityk amerykański, senator ze stanu Missisipi, członek Partii Republikańskiej.

\*\* Swift Boat Veterans - organizacja amerykańska zrzeszająca weteranów wojny wietnamskiej - zakwestionowała dokonania Johna Kerry'ego podczas służby w Wietnamie.

Abby. - To prawicowi blogerzy pierwsi stanęli w opozycji wobec głównego nurtu w mediach, który uważali za liberalny. Teraz jednak Internet to cały wszechświat idei wszelkiej maści. I wierz mi, są tam naprawdę błyskotliwi polemiści. -Abby od co najmniej sześciu minut nie wyjechała z żadną kartką. Byłam z niej dumna.

Spojrzałam na obydwójce przyjaciół i uśmiechnęłam się.

- Dobra, niech będzie. Przeczytałam „New York Timesa”, „Newsweek” i piętnaście innych pism, żeby zorientować się w sytuacji, i wciąż nie jestem na bieżąco. Po raz pierwszy zamierzam wam podziękować za upierdliwość; może nie wyjdę przed szefostwem na zupełną idiotkę.

- Wyślij tego pedzia z Ivy League, żeby krył jej tyły -mamrotał do telefonu prezes stacji, Bill Maguire, gdy byliśmy już pod gabinetem Erika. - Skrupulatny, jak oni wszyscy. Chcę, żeby poleciał najbliższym samolotem do Jackson... Tak.

Charles szedł z dziesięć kroków za mną i nie słyszał tego, ale nie byłby zdziwiony. Choć był ulubionym producentem Billa, ten często robił na jego temat homofobiczne uwagi. Maguire, ciemnoskóry Afroamerykanin z fryzurą na jeża i płasko przystrzyżonym czubkiem głowy, wychował się przy Spokane Avenue w Gary w Indianie. Po ukończeniu - z wyróżnieniem - Wydziału Nauk Politycznych na Uniwersytecie DePauw, wstąpił do marines. Codziennie nosił ten sam czarny garnitur, białą koszulę, czarny krawat i błyszczące buty. Nie był jednym z tych urodzonych menedżerów, którzy czarując kogo trzeba, przechodzą od razu z harwardzkiego klubu studentów do gabinetu prezesa. Maguire z pewnością pożerał gwoździe na śniadanie i przerażał nas wszystkim szorstkim zachowaniem. Może dzięki swojemu podejściu w stylu Jarheada, a może za sprawą bystrego, przenikliwego umysłu potrafił przejrzeć na wylot nasze niedopieczony materiały. A może działało się tak po prostu dlatego, że był wielkim, mierzącym metr dziewięćdziesiąt, czarnym sukinsynem, którego baliśmy się wręcz panicznie.

Charles i ja weszliśmy do gabinetu Erika, podczas gdy Maguire dalej przedstawiał swój plan bitwy.

Erik James wyszedł zza biurka, usiadł na swoim fotelu i pochylił się do przodu. Spod szelek wylewał mu się tłuszcz. Podwinął rękawy koszuli.

- Znacie zasady. Geraldine i Paul wpytają was o wiarygodność Theresy Boudreaux i porozmawiają z wami o blogerach. Charles, ty na razie tylko się wciagasz. Potem pogadamy o pewnych niepokojących doniesieniach na temat odtlynych posunięć, nomen omen, obozu Hartleya.

Goodman mrugnął do mnie z fotela, gdy do gabinetu weszła całkowicie pozbawiona poczucia humoru Geraldine Katz

i Paul Larksdale, dzierzący identyczne brązowe aktówki Coacha.

Geraldine zapytała mnie kiedyś, czy potrafię udowodnić, że Michael Jackson jest rzeczywiście królem popu. Innym razem zażądała dokumentacji, która by potwierdziła, że dieta sonomska pomaga przygotować się do lata. „Jak możesz udowodnić, że utrata wagi wiąże się z przygotowaniem do lata?”. Była krągła, nieatrakcyjna i nosiła na włosach opaski Fendi. Jej pomagier Paul wyglądał jak agent FBI ze swoją idiotyczną fryzurą i wydatną szczęką. Próbował w tej parze odgrywać dobrego gliniarza, żeby urobić delikwenta, ale orientowaliśmy się, że to tylko sztuczka socjotechniczna. Żaden z producentów nie znosił prawników stacji i myślę, że było to uczucie odwzajemniane. Niemniej jednak nie mogłam mieć do nich pretensji o czujność wobec afery z Hartleyem, bo rzeczywiście informacje miały luki, umożliwiające wytoczenie nam procesu.

Erik rozpoczął wspólne spotkanie:

- Z tego, co nam wiadomo, obóz Hartleya przygotowuje się do bitwy w związku ze sprawą Boudreaux. Prawicowi blogerzy mają pożywkę i zaatakują nas, gdy tylko wyemitujemy materiał, więc Geraldine i Paul niepokoją się, jaki to wywrze efekt na elektorat republikanów.

Goodman wtrącił:

- [PvightIsMight.org](http://PvightIsMight.org) czuwa przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Nawet ja słyszałam o tej anonimowej i bardzo wpływowej stronie internetowej, która stanowiła dla ultrapravicowców wykres notowań na giełdzie politycznej. Jej autorzy, bezimienni pismacy polityczni, ze sportową wręcz pasją codziennie wytykali nieścisłości w materiałach publikowanych przez „liberalne elity świata mediów”. Z upodobaniem odgrywali się na NBS, a szczególnie na Goodmianie, za lata, jak twierdzili, bezwzględnego tępienia konserwatystów.

Geraldine Katz powiedziała:

- Informator z Kongresu ostrzegł nas, żebyśmy uważali na tę Boudreaux i jej prawicowe koneksje...

Goodman zarechotał i wtrącił:

- Poznałem ją. Można jej wierzyć. Dużo wie o Hartleyu.

- Może i wie o nim dużo, ale informator jest wiarygodny. Drzwi otworzyły się szeroko.

- To akurat mój informator.

Do gabinetu wpadł Bill Maguire, który wyglądał, jakby zamierzał ostro nas przeczłgać. Charles i ja zaczęliśmy się wiercić.

- Jamie, jeśli moi ludzie się nie mylą, to naprawdę niezłe... gównno! Ci cholerni blogerzy. [RightIsMight.org](http://RightIsMight.org)! Ci ludzie to wariaci. Czytałaś te bzdury, które wypisują? Nie zadzieraj z nimi, bo rozerwą nas na strzepy, gdy tylko ruszymy z bloków startowych.

- Jestem republikaninem - oświadczył Erik. - Nie muszę słuchać wykładów o prawicy w tym kraju. Uspokój się, wszystko mamy pod kontrolą.

Maguire usiadł na kanapie naprzeciwko mnie i oparłszy potężne dłonie na stoliku do kawy, zbliżył twarz do mojej na odległość trzydziestu centymetrów.

- Chcę, żeby Charles Worthington przyjrzał się temu wszystkiemu, co znalazłaś. - Zwrócił się do Charlesa: - Taaa... Zainteresuj się tą białą hołotą. Pochodzisz z tamtych stron. Cholerni południowcy!

Erik wziął garść mieszanki koktajlowej z misy z grubego szkła, którą otrzymał jako nagrodę na konferencji poświęconej reklamie. Nigdy nie zadawał sobie trudu, żeby przełknąć, zanim zacznie mówić.

- Skupmy się na pozytywach. Chcę, żeby to był główny temat programu. Nie możemy kazać ludziom czekać w nieskończoność. Zwiastun musi być pierwsza klasa, niech zapowiada coś z tego, co mamy, ale nie zdradza zbyt wiele. - Przerzute chrupki wraz z śliną wylądowały na stoliku do kawy.

Goodman spojrział zde gustowany na stolik, a potem zaprotestował:

- Nie zgadzam się. Nie dawajmy niczego do zrozumienia. Od razu wywalmy kawę na ławę. Widownia będzie błagała o więcej. Jeśli postąpimy zbyt ostrożnie, ludzie pomyślą, że nic nie mamy. Co powiecie na ten fragment nagrania, kiedy Theresa mówi: „Jasne, zrobimy to, ale w odmienny sposób”?

Erik odrzucił głowę do tyłu i tak się roześmiał, że miałam wrażenie, iż pękną mu szelki. Potem znowu zamilkł, ale brzuch wciąż podskakiwał mu jak boja na falach. Goodman i ja spojrzeliśmy na siebie z czułością. Nie było w tym biznesie większej frajdy niż zobaczyć Erika podekscytowanego jakimś sensacyjnym materiałem - wprost zarażał nas swoją miłością do uprawianego przez nas zawodu.

Erik przestał się śmiać, wziął następną garść mieszanki koktajlowej i głęboko wciągnął powietrze, żeby coś powiedzieć. Tym razem jednak jakiś większy orzeszek wpadł mu w niewłaściwą dziurkę i Erik zaczął się krztusić. Raz na miesiąc ktoś musiał walnąć go w plecy i wkrótce okazało się, że to właśnie jedna z tych okazji. Najlepiej ze wszystkich robiła to jego sekretarka, Hilda Hofstadter.

Wstał Goodman, który zaczął podciągać rękawy, żeby po raz dwudziesty w swojej karierze uratować Erikowi życie.

- Hilda! Chodź tutaj! - zawołałam jednocześnie.

Hilda, przyzwyczajona już do tego trybu postępowania, spokojnie wsadziła głowę, żeby sprawdzić, czy jej usługi są



naprawdę potrzebne. Erik uniósł rękę, żeby ją powstrzymać, i pokręcił głową. Wykrztusił orzeszek na dłoń i rzucił go przez pokój, chybiając do kosza o półtora metra. Najwyraźniej miał pożyć jeszcze jeden dzień.

Geraldine plasnęła dłońmi o blok do pisania gestem afektowanej nauczycielki.

- Mam tysiące spraw do wyjaśnienia, zanim zaczniemy zabawę. Jakich słów zamierzacie użyć podczas programu, Jamie?

- Wiesz, jakie występują na taśmach. Może wykorzystać fragment, gdy on mówi: „Marzę o twojej dupci” i wygłuszyć słowo „dupcia”? - odpowiedziałam pytaniem. - Nie miałam przyjemności omówić z Theresą kwestii upodobania Hartleya do seksu analnego. Nie wiem więc, jakich słów ona użyje podczas wywiadu. I nie mogę jej pouczać. Jej układny prawnik, Leon Rosenberg, powiedział mi, że Theresa nazywa to seksem od tyłu.

Prawnicy w tej chwili już tylko marnowali czas Erika. W normalnych okolicznościach nie był on w stanie skupić się dłużej niż raczkujące dziecko.

- Panie i panowie, to najbardziej smakowita rzecz, jaką słyszałem przez trzydzieści cholernych lat w tym biznesie. Nie ma sensu tracić więcej...

Do drzwi zapukała sekretarka i zaraz weszła.

- Jamie, telefon do ciebie.

- Do mnie, na linii Erika?!

- Jakiś facet imieniem Peter. Poprosił recepcjonistkę, żeby cię zlokalizowała.

Dziesięć, dziewięć, osiem... Numery pięter powoli zmieniały się w windzie. Staralam się zachować spokój. Kiedy podczas spotkania odebrałam telefon, poczułam skok ciśnienia i zawroty głowy.

- Zejdź mi z oczu - powiedział Erik. Ten gruby prymityw zawsze rozumiał, co to znaczy rodzina.

Siedzieli w holu, na długiej, obitej ciemną skórą ławie; Peter ramieniem obejmował Dylana. Podbiegłam do nich.

- Boże, miałeś następny kryzys?!

- Mamo, wyluzuj się.

- Jestem twoją matką, nie mów mi, żebym się wyluzowała!

„Wyluzuj” to było ulubione słowo Petera.

- Moglibyście mi powiedzieć, co się dzieje?

- Ja nie ponoszę za to odpowiedzialności - odezwał się Peter. - To był pomysł Dylana. Ale powiedziałem: „A co, do licha, od czasu do czasu możemy podnieść mamie poziom adrenaliny”. Zgodziłaś się, pamiętasz, wtedy gdy rozmawialiśmy o zbytnim komplikowaniu prostych spraw. No, i jesteśmy. Zabieramy cię stąd.

Dylan popatrzył na mnie błagalnym wzrokiem, łamiąc mi serce.

- Wiecie co, chłopcy? - powiedziałam. - Uwielbiam niespodzianki. To był świetny pomysł, żeby przyjść do mnie do

pracy. Naprawdę sprawiliście mi wielką frajdę. Ale nie mogę się tak urwać w środku dnia.

- Jest wpół do czwartej. - Peter machnął rękami. - Sama mówiłaś, że lubisz wyrwać się z rutyny. Co to są dwie godzinki?

- Pracuję w niepełnym wymiarze godzin. Dlaczego nie urządzimy sobie wycieczki w poniedziałek czy piątek, kiedy jestem w domu? - Miałam coraz większą pretensję, że Peter bez uprzedzenia postawił mnie wobec Dylana w takiej sytuacji. - Gdy już tu jestem, muszę robić, co do mnie należy, i liczy się każda godzina.

Peter wstał z ławki.

- Och, daj spokój, jesteś ich ulubioną producentką. Nawet nie zauważą twojego zniknięcia.

- Utrudniasz mi życie - szepnęłam do Petera, ale zupełnie się tym nie przejął.

Odparł szeptem:

- Czy byłabyś zdziwiona, gdybym ci powiedział, że twój syn bardzo chciał przyjść, i to z jego inicjatywy tu jesteśmy?

Nie odpowiedziałam, rozdarta pomiędzy poczuciem obowiązku związanym z pracą a pragnieniem urwania się z pracy z nimi dwoma. Dylan i Peter mieli razem ogromną siłę oddziaływania.

Peter zbliżył się do mnie o krok. Gwałtownie zaczerpnęłam powietrza, niepewna, czy zdołam mu się oprzeć.

- Posłuchaj, moja pani - powiedział. - Czy ty w ogóle masz trochę radości z tego życia?

Pani?

Wysłałam mu naprzeciw.

- Dylan, chodźmy na lody do bufetu.

- Nie chcę lodów. Szkoda czasu. Mamy dla ciebie niespodziankę. Umrzesz z wrażenia, mamó. - Chwycił mnie za rękę i zaczął ciągnąć w stronę drzwi obrotowych.

Na zewnątrz, gdy już stało się dla nich i dla mnie jasne, że nie wygram tej batalii, Peter poprowadził nas ku wejściu do metra przy Sixtieth Street i Broadway.

- Dokąd jedziemy? - zapytałam, starając się, żeby zabrzmiało to stanowczo.

Peter się uśmiechnął.

- Przejedziemy się czymś, co nazywa się metro. To taki pociąg, który kursuje pod ziemią i wozi ubogich ludzi do pracy.

Wybuchnęłam śmiechem.

- Tak się składa, że dość często jeżdżę metrem.

- Napraaaawdę? - Uniósł brwi, jakby nie uwierzył.

- A tak. Na przykład, gdy muszę pojechać do centrum, a na ulicach są korki.

- Wobec tego nie ma potrzeby, żebym pożyczał ci mój bilet miesięczny. Na pewno masz własny w portfelu, jest bardzo wygodny, możesz go używać wielokrotnie.

Uderzyłam Petera torebką i ruszyłam po schodach. Kiedy dotarliśmy do kołowrotów, wsunął swój bilet w szczelinę, po przejściu na drugą stronę pochylił się i zrobił to samo, przepuszczając mnie sąsiednią bramką, a potem uśmiechnął się szeroko.

- I nie będę sprawdzał, czy wiesz, jakie linie stąd kursują - dodał.

Harlem. Późnopołudniowe słońce odbijało się od jasnych chodników i wszyscy troje dopiero po chwili przestaliśmy mrużyć oczy. Spojrzałam w głąb 125th Street, leżącej jakby na innej planecie niż śródmiejski budynek NBS z jego korporacyjną atmosferą i sąsiedztwem lustrzanych drapaczy chmur, walczących ze sobą o przestrzeń. Mój syn, który sprawiał wrażenie, że dobrze wie, dokąd idzie, ciągnął mnie obok spożywczych sklepików i jarmarcznych domów towarowych z opakowanymi w celofan welurowymi fotelami, które stały przed nimi na chodniku. Obok starszych, bardziej zasiedzia-  
łych przybytków przy ulicy co jakiś czas można było zauważyć lśniące nowe banki, kawiarnie Starbucksa i sklepy spożywcze sieci Pathmark - wszystko elementy programu rozwojowego 125th Street, który wprowadził burmistrz Giuliani. To zderze-

nie nowego i starego sprawiało, że ulica nabrała fantastycznego wielkowiejskiego charakteru.

- Dylan, często tu bywasz?

- Nie powiem ci. - Cały promieniejący radością, trzymał mnie za rękę i podskakiwał, idąc przy moim boku.

Zwróciłam się do Petera.

- Mój syn nie uśmiechał się tak od... czy ja wiem...? Od sześciu miesięcy.

- To jeszcze nic.

Przeszliśmy następną przecznicę bulwarem Adama Clay-ona Powella i zatrzymaliśmy się przy boisku do koszykówki z pordzewiałymi obręczami. Zza wysokiej bramy z kutego żelaza zaczęliśmy przyglądać się mniej więcej czterdziestce nastolatków, przeważnie Murzynów i Latynosów, którzy rzucali piłkami do czterech pozbawionych siatek obręczy. W betonie ziały pęknięcia, a pośrodku boiska znajdowało się kilka dziur, które aż prosiły się, żeby skrócić w nich kostkę.

Peter zawołał:

- Hej, Russell, zobacz, kto przyszedł!

Wysoki, chudy czarny chłopak w obszernym dresie uniósł w geście powitania dłoń z wystawionymi palcami wskazującym i małym. Rozpoznałam w nim jednego z graczy w szachy z Central Parku. Ścisnęło mnie w gardle.

- Hej, D.! Co tu robisz? Chcesz pograć?! - zawołał Russell.

- Dylan, myślałam, że nie grasz już w koszykówkę. Tak mi mówiłeś.

- Mówiłem ci, że nie chcę grać z chłopakami z St. Henry's. To czubki.

Kumple Petera są o wiele fajniejsi.

- Hej! D., pośpiesz się, facet.

- Mamo, możesz patrzeć, jak gram i w ogóle... ale nie kibicuj mi, nie krzycz ani nic z tych rzeczy. Zachowuj się tak, jakbyś nawet nie patrzyła.

- Jasne.

Ściągnął do tyłu ramiona i odetchnął głęboko, jakby miał zamiar podnieść sztangę o wadze dwustu pięćdziesięciu kilo-

gramów. Peter szeptem udzielał mu jakichś instrukcji. Dylan kiwnął głową i ruszył przed siebie nieznanym mi dotychczas, męskim krokiem. Potem odwrócił się i podbiegł do mnie jak rozradowany szczeniak.

- Mamo, tylko pamiętaj: gdy już wrócę, zachowuj się zwyczajnie, dobrze? Nie ściskaj mnie ani nic takiego. Nawet mnie nie dotykaj.

- Ani mi się śni.

Pobiegł w stronę chłopaków, w pewnym momencie zwolnił i ostatni odcinek przebył nonszalanckim, wyluzowanym krokiem. Tamci tymczasem przybili piątkę. Russell objął Dy-lana ramieniem i podał mu piłkę.

Zapytałam Petera:

- Ile lat ma ten chłopak?

- Trzyście. Nie, właśnie miał urodziny, czyli czternaście. Są w dziewiątej klasie.

- I chcą bawić się z Dylanem? To bardzo miłe.

- Wcale nie. Po prostu go lubią. Dylan jest w porządku..

- Peter, oni to robią dla ciebie, bo cię uwielbiają.

- Może, ale i dlatego, że Dylan jest okay.

Mniej więcej ośmiu innych chłopców przerwało grę. Na przywitanie przybili piątkę z Dylanem, klepnęli go w plecy czy walnęli w ramię.

Russell powiedział:

- Rozegraliśmy już parę kolejek, D., więc masz pięć rzutów. Na razie sobie popróbuj.

Cała ósemka ustawiła się po obu stronach obręczy, podczas gdy Dylan stanął na linii rzutu z ciężką piłką w ręce.

- Nie poradzi sobie. Piłka jest dla niego za ciężka - wyraziłam zaniepokojenie wobec Petera.

- Poradzi. Tylko nie od razu.

Dylan wykonał rzut, ale chybił o co najmniej półtora metra.

- Oni wszyscy będą się tak przyglądać?

- Russell to lubi, a inni go naśladują, bo jest cool. Przychodzi tu zawsze przed całą resztą i czasami ćwiczy z Dylanem rzuty. Ale Dylan uwielbia grać z paczką. Oczywiście,

gdybyśmy nie zmarnowali dziesięciu minut u ciebie w pracy, usiłując cię przekonać... Nagle zrozumiałam.

- Jak często go tu zabierasz?

- Raz w tygodniu czy coś takiego.

- Czy Dylanowi nie było trudno oswoić się z tymi dziećmi, z tak zupełnie innego świata, i grać w coś, do czego tak bardzo się zniechęcił?

- Powiedzmy, że rzeczywiście do tej pory nie za dobrze znał te okolice. Na początku po prostu przyglądaliśmy się grze. Potem zaczęliśmy przyjeżdżać wcześniej i Russell uczył go różnych rzeczy; na początku Dylan w ogóle źle trzymał piłkę. Teraz Russell ćwiczy z nim podkręcane rzuty. To jeszcze nie jest prawdziwa gra, ale pomaga, a Russell to właściwy facet.

- Nie mogę uwierzyć, że nic mi nie powiedziałaś!

- Nie musisz wiedzieć wszystkiego. Dzieciak już i tak odczuwa dużą presję.

Mój synek zaczął kozłować dość niewprawnie w porównaniu z szalonym baletem starszych chłopców. Zmierzał w kierunku obręczy, ale jeden z nich odebrał mu piłkę i wykonał wspaniały rzut do kosza po drugiej stronie boiska, w odległości milionów metrów. Dylan na moment opuścił głowę, potem wyprostował się i pobiegł po piłkę. Wcześniej jednak złapał ją Russell.

- Hej, D.! - zawołał. Wykonał skok w stronę mojego syna i podał mu piłkę.

Dylan wyglądał, jakby miał paść na ziemię i umrzeć z dumy. Chwycił piłkę i pobiegł z nią w stronę obręczy. Roześmiani chłopcy z drużyny przeciwnej wyprzedzili go i machając w górze rękami, zablokowali mu drogę. Nie było sposobu, żeby zdołał rzucić piłkę ponad ich głowami. Wbiłam paznokcie w ramię Petera. W tym momencie Russell przykląkł, ujął Dylana za biodra i podniósł go wysoko, a wtedy mój syn zaśmiał się i wykonał perfekcyjny rzut do kosza. Pomyślałam, że mogłabym w tej chwili umrzeć. Z emocji poczułam dła-

wienie w gardle; ogarnęła mnie wdzięczność wobec Petera i jeszcze większa ulga, że mój synek jest znowu sobą. I to tutaj, a tyle jest innych miejsc na świecie. Russell przybił z Dylanem piątkę.

- Świetnie ci idzie, D. - pochwalił.

Dylan skwitował to spokojnym skinieniem głowy i podszedł do mnie z triumfującym uśmiechem.

Wyciągnęłam do niego ręce, ale natychmiast je opuściłam. Peter otoczył go ramieniem.

- Ładny rzut, kolego.

- Wspaniały - powiedziałam.

- W porządku, mamó. Oni mówią, że mogę jeszcze pograć. Co ty na to?

- Oczywiście, kochanie.

Pobiegł z powrotem na boisko. Nie patrząc na Petera, powiedziałam:

- Dziękuję, że mnie tu ściągnąłeś. Nie potrafiłabym sobie wyobrazić, że zdołasz tyle zrobić dla Dylana. I dla naszej rodziny. I... dla mnie.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

To było śmieszne. Już sam fakt, że stałam obok niego, wystarczył, żebyśmy poczuła się uskrzydłona.



Kiedy usłyszałam szcęk przekręcanego w zamku klucza, poczułam gęsią skórę, a moje ciało napięło się jak u zwierzęcia w stanie zagrożenia. Trzasnęły ciężkie drzwi frontowe. Phillip rzucił płaszcz na aksamitną kanapę we wzór pantery w holu i pchnął po podłodze teczkę w stronę naszego pokoju. Zauważył, że siedząc na kanapie w jego gabinecie, oglądam mój ulubiony program, i wetknął głowę do środka.

- Witaj, moja droga. - Przysiadł na brzegu kanapy i cmoknął mnie w czoło. - Nigdy nie zrozumieję, dlaczego wciąż rzucasz wszystko, żeby obejrzeć *Taniec z gwiazdami*. - Pachniał samolotem, którym właśnie wrócił z Cincinnati: mieszanką stęchłego winylu, potu i jedzenia z plastiku.

- To absolutnie najlepszy program telewizyjny, który bije wszystkie inne na głowę.

- O czym ty mówisz?

- Zmusza znane osoby do wyjścia poza strefę, w której czują się bezpiecznie, i to na żywo, na oczach dwudziestu siedmiu milionów widzów. Jego uczestnicy uczą się czegoś, czego nigdy wcześniej nie robili, a to naprawdę trudne. Muzyka jest świetna i nie można oderwać wzroku od figur tanecznych. Czysta perfekcja.

- Skoro tak twierdzisz. - Wstał.

Gdy wyszedł z pokoju, poczułam, że się odprężam. Wiedziałam, że teraz Phillip sprawdzi pocztę, ułożoną starannie

w srebrnym stojaku na tosty, który znajdował się w holu na stoliku.

- Ten cholerny warsztat samochodowy! - mruknął. - Jak trzeba, to ich nie ma, a ściągają z człowieka fortunę.

Następnym przystankiem była kuchnia. Z otwartej lodówki padła smuga fluorescencyjnego światła, gdy Phillip zastanawiał się, na co ma ochotę, i w końcu wyjął witamin water w czerwonej butelce. Duszkiem wypił połowę. Obserwowałam to wszystko z kanapy, wbrew nadziei, licząc na to, że niebawem pójdzie do łóżka. Dałabym wszystko, żeby zostawił mnie samą. Chciałam zastanowić się nad politycznymi skutkami sprawy Theresy Boudreaux, rozeznąć się w swoich uczuciach do męża. Wyobrazić sobie, a może tylko pomarzyć o tym, jakie byłyby w dotyku silne plecy Petera.

Zdejmując krawat, Phillip podszedł do tablicy korkowej

i zerknął na kalendarz z planem zajęć całej rodziny. Odtworzyłam je w wyobraźni: Dylan - Poszukiwacze Przygód, Gracie -balet, Michael - gimnastyka... Wszystkie wypisane innym kolorem na ścieralnym kalendarzu ściennym. Potem przejrzał wiadomości telefoniczne, zapisane na różowych karteczkach leżących w specjalnym pudełku, i zmarszczył czoło. Sprawiał wrażenie, jakby czytał jedną wiadomość w kółko. Widziałam, że porusza ustami, w końcu odczytując ją głośno, jakby to miało mu pomóc zrozumieć jej sens.

- Jamieeeee! -zawołał.

- Tak, Phillipie? - na wpół szepnęłam, na wpół odchrząknęłam z kanapy w gabinecie. - Dzieci śpią. Zapomniałeś, że mamy trójkę dzieci poniżej dziesięciu lat, które zazwyczaj śpią o dziesiątej wieczorem w dzień powszedni?

On jednak nadal wołał mnie z kuchni; najwyraźniej nie chciało mu się przejść paru kroków korytarzem i zajrzeć do sąsiedniego pokoju. Wymawiał poszczególne sylaby, cedząc wyrazy z charakterystycznym akcentem Locust Valley\*.

\* Locust Valley - snobistyczna miejscowość położona na północnym wybrzeżu Long Island w Nowym Jorku.

- Co ma znaczyć ta kartka?
- Jaka kartka, Phillipie?
- Ta, Jamie.
- Która?
- Ta, którą mam w ręku.
- Nie mogę stąd przeczytać! Co tam jest napisane?
- „Pani W., dzwoniła Christina Patten, która prosiła o przekazanie, że jutro podrzuci katalog wystawy jajek. Jest zachwycona, że dałaś się zaprosić do ich stolika”. Nawias. „Tym razem nie puszcę ci tego płazem”. Koniec nawiasu. „Peter”.

Cholera. Miałam zwolnić Petera całe tygodnie temu. Wstałam i wyszłam wolnym krokiem do holu, starając się sprawiać wrażenie osoby znużonej.

Wzięłam wcześniej kąpiel z pianą przy jaśminowej świecy i włożyłam świeżą miękką piżamę flanelową. Na nogach miałam wielkie kozuszkowe kapcie. Podczas gdy ja byłam czyściutka, mój mąż nie pachniał najładniej.

- Spójrz na mnie, Jamie. - Traktował mnie jak dziecko, kiedy się zezłościł.

- O co chodzi? - zapytałam, jakbym nie wiedziała, dlaczego się wkurzył, a jednocześnie ostrzegałam go, że nie zamierzam poddać się bez walki. Gdyby ta scena rozegrała się na początku naszego małżeństwa, każde z nas już wyciągałoby rękę na zgodę. Wtedy Phillip uwielbiał moją prowincjonalną zadziorność i ikrę. „Dzięki Bogu, że cię znalazłem” -mawiał w okresie zalotów, odgarniając mi włosy z oczu i całując mnie w czoło. Wiedziałałam, że dziękuje Bogu za to, iż znalazł kogoś o świeżym spojrzeniu, kto potrafi mu się odgryźć, kogoś, kto nie zna każdego country clubu ani restauracji, w których bywał. Jednak po dziesięciu latach małżeństwa mój bezpretensjonalny styl bycia rodem ze środkowego zachodu stracił swój czar. Co bardziej prawdopodobne, Phillip już nie chciał, żeby ktoś mu się odgryzał. Życie było dla niego znacznie łatwiejsze, gdy ludzie się z nim zgadzali.

- Nie próbuj ze mną tych swoich sztuczek - odparł, przy-

bierając znowu ton urażonej panienki. - Zwolniłaś tego faceta od nart czy nie?

- Kto zajmuje się prowadzeniem domu w tej rodzinie?  
-odpowiedziałam pytaniem.

- I co to za sprawa z Christiną Patten? Dlaczego on miesza się do twojego życia prywatnego? Dlaczego pisze, że nie puści ci czegoś płazem, skoro to twój podwładny? Co tu jest grane, na miłość boską?! - Oparł ręce na biodrach i pokręcił głową. Potem zaczął podwijać rękawy, jakby przygotowywał się do walki na pięści. - Nie rozumiem tej całej sytuacji. Rozmawiasz z tym chłopakiem jak z przyjaciółką? On jest tu do pomocy. Do pomocy. Jasne? Oni wszyscy dla ciebie pracują. Służą ci. Ciągłe to samo. Chodzi o granice, Jamie. Granice. Granice! Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie bratała się z podwładnymi? Nie staraj się z nimi zaprzyjaźnić. To tylko wszystko komplikuje. Oni tu pracują, rozumiesz? My im płacimy, a oni pracują. I kropka. Chociaż ten chłopak akurat nie powinien już tu pracować.

- Phillipie, on jest z Kolorado. Nie zna zwyczajów panujących przy Park Avenue, nie rozumie, dlaczego zamierzam przyjąć zaproszenie do stolika od osoby, za którą nie przepadam. Po prostu któregoś dnia pod szkołą wspomniałam, że Christiną jest głupia. To nie znaczy, że bratam się z podwładnymi. Ale to tak na marginesie. Zasadniczo chodzi o to, że to ja prowadzę dom i wołałabym, żebyś się do tego nie wtrącał.

- Kto opłaca pensję tego chłopaka, Jamie?

- Gdyby dziennikarze zarabiali tyle, ile prawnicy, z chęcią opłacałabym pensję Petera. Ale ty zarabiasz piętnaście razy więcej niż ja. Co nie znaczy, że możesz pomniejszać mój wkład w dochody rodziny. Nie zapominaj, że zarabiam sześciocyfrową sumę, a to po odliczeniu podatków pokrywa liczne koszty.

Odchylił głowę.

- Sześciocyfrową sumę? Zarabiasz dolara więcej niż sumę pięciocyfrową, wielka mi rzecz!

Wzięłam głęboki oddech i usiłowałam sobie przypomnieć, czy w ciągu ostatnich piętnastu lat czułam do tego mężczyzny miłość i wykazywałam zrozumienie wobec niego. W tej chwili trudno mi było nawet uwierzyć, że jest ojcem moich dzieci.

- Ta rozmowa zmierza donikąd, Phillipie.

- Powiedziałem ci, że nie chcę w moim domu „niańka”, jak wy, panie, go nazywacie.

- Podaj mi choćby jeden powód, dla którego nie zgadzasz się na jego obecność.

- Po pierwsze, co ty, do licha, wiesz o jego pochodzeniu? Sprawdziłaś, co porabia, gdy go tu nie ma? Nie wygląda mi na kogoś, kto by uczęszczał na spotkania kółka różańcowego w kościele.

- Ma dziewczynę, która kończy studia pedagogiczne. -Z tym ostatnim trochę przesadziłam. Peter nie wdał się w żaden romans, z tego, co wiedziałam, ale miał w Red Hook kilka platonicznych przyjaciółek.

- Dooobra. - Urwał na dłuższą chwilę, przeżuując inne aspekty sprawy. - To jednak nie zmienia faktu, że nie podoba mi się ta sprawa. Ani trochę.

- Wciąż czujesz się przez niego zagrożony.

- W związku z tobą czy Dylanem?

Poczułam, że twarz oblewa mi rumieniec, i modliłam się, żeby Phillip tego nie zauważył.

- To ty mi powiedz. - Szybko doszłam do siebie. - Ty masz poczucie zagrożenia.

- „Zagrożenie” to słowo zupełnie nie na miejscu. Nie chcę, żeby jakiś nianiek grywał z Dylanem w piłkę w naszym domu. Dylan powinien wiedzieć, jak ja wykonuję podkręcony rzut, a nie jak robi to jakiś ćpun, którego wynalazłaś w parku. I spokojna głowa, nie boję się, że pójdziesz do łóżka z pomocą domową.

- Phillipie, twoje argumenty miałyby większą wagę, gdybyś co jakiś czas sam pograł w piłkę z Dylanem. Zdołasz jutro wrócić do domu o trzeciej i zabrać go do Central Parku na mały trening?

Zignorował moje pytanie.

- Prawda jest taka, że zarabiasz gówniane pieniądze. To ja opłacam rachunki i ani mi się śni wydawać jeszcze na jakiegoś niańka.

- Nie lekceważ moich zarobków na życie. - Stukając się palcem wskazującym w pierś, zaczęłam krzyczeć: - To ja zajmuję się dziećmi w tym domu! To ja podejmuję w związku z tym decyzje! Żyjemy w epoce nowoczesności, kochanie, ty rozpaskudzony dinozaurze, jurajska skamielino!

Nie mogłam uwierzyć, że to powiedziałam. Co za idiotyczny, niepotrzebny wybuch! Strasznie chciało mi się śmiać i czekałam, żeby i Phillip się roześmiał, modląc się w myśli, aby zrobił to pierwszy.

Ale on stracił poczucie humoru. Jedyne, co był w stanie powiedzieć, to:

- Jesteś niezrównoważona.

I spokojnie wyszedł z pokoju, a ja zamknęłam za nim drzwi.

Kiedy po obejrzeniu ostatniego wydania wiadomości wślizgnęłam się do łóżka, miałam nadzieję, że Phillip już śpi, ale powinnam się była spodziewać, że tak nie będzie. Położyłam się obok niego z twarzą zwróconą w stronę mojej szafki nocnej i przesunęłam się na kraniec łóżka. Czulałam jednak, że Phillip ma otwarte oczy. Zamknęłam swoje i usiłowałam zasnąć, czując, jak głowa zapada się w miękką poduszkę.

- Jesteś bardzo wrogo nastawiona - odezwał się.

Nie zareagowałam. Co mogłam powiedzieć, mając świadomość, że to pociąg, jaki czulałam do Petera, spowodował moją agresję w stosunku do Phillipa? Jednak niezależnie od moich odczuć, stosownych czy niestosownych, wiedziałam, że osoba Petera powoduje dyskomfort mojego męża, bo jest to ktoś, kto zamiast niego spędza czas z jego synem. I jakoś nie potrafiłam mu ustąpić czy pomóc poradzić sobie z tym. Phillip żalił się, że chciałby spędzać więcej czasu z Dylanem, ale nigdy tak naprawdę nie umiał się z nim porozumieć. Tymczasem Dylan potrzebował Petera.

- To z pewnością nie wynika z moich intencji.
- Ale jesteś wrogo nastawiona. Zatrzymaj tego cholernego niańka, jeśli ma cię to uspokoić.
- Jestem spokojna.
- Naprawdę? Odwróciłam się do niego.
- Przepraszam, że nazwałam cię zabytkiem prehistorycznym czy jakoś tak.
- O co ci właściwie chodziło?
- Po prostu... uważam, że jesteś niedzisiejszy.
- Niedzisiejszy?
- Wszyscy idziemy do przodu, świat się zmienia i nie zatrzymasz mnie w miejscu. To nie byłoby mądre.
- Dlaczego nagle sprawa dotyczy ciebie? Cholera! Miał rację.
- To nie ma nic wspólnego ze mną. Tylko z tym, co moim zdaniem jest najlepsze dla naszej rodziny. Przede wszystkim dla Dylana.

Phillip zasłonił ramieniem oczy i leżał bez ruchu. Nagle ogarnęło mnie poczucie winy. Przecież nie zrobił nic złego. Chciał tylko, żeby wszystko szło łatwiej, pragnął mieć pieniądze, sukcesy, żonę, która by doceniała jego ciężką pracę. Nie był wcale złym facetem.

Przyszła mi na myśl Susannah. I to, co mówiła - żebym jak najczęściej robiła mężowi laskę, bo dzięki temu w małżeństwie lepiej się układa. Może tu tkwił problem? Za mało mu z siebie dawałam. Może to wszystko była moja wina? Przysunęłam się do niego i zaczęłam głaskać go po brzuchu. Byłam bardzo zmęczona, nie w nastroju i zupełnie nie miałam ochoty na seks. Więc pogładziłam go jeszcze trochę po piersi, licząc, że zaśnie jak dziecko.

Zaczęłam się zastanawiać, jaki byłby w łóżku Peter, czy rzeczywiście jest taki zmysłowy, czy nie, choć wiedziałam, że jest. Potem próbowałam przestać myśleć o nim, a skoncentrować się na mężczyźnie, którego poślubiłam. Usiłowałam wykrzesać z siebie odrobinę pożądania, ale potrafiłam się skupić

jedynie na zmęczonym ciele, które w oczekiwaniu na miłość spoczywało obok. Jeszcze jedna istota, która czegoś ode mnie potrzebowała. I wtedy przypomniałam sobie, że mogę wykorzystać lekcje, jakich udzielał mi mój kolega gej, z którym w college'u mieszkałam w jednym pokoju; byłam przecież całkiem dobra w tym, czego Phillip w tym momencie potrzebował. Zamknęłam więc oczy i zabrałam się do rzeczy.

Gdy obudziłam się następnego rana, Phillip tulił się do mnie jak dziecko.

- Kocham cię i myślę, że zarabiasz całe fury pieniędzy - wyszeptał mi do ucha. - Tyle, że pewnie mógłbym w nich pływać.

Musiałam się roześmiać.

- Przepraszam, że deprecjonowałem twoje zarobki - powiedział. - Moje dochody nie powinny być miernikiem twoich. Zarabiasz kupę forsy, zwłaszcza jak na pół etatu.

- Przykro mi, że nazwałam cię dinozaurem czy jak tam. To było niepotrzebne.

Leżeliśmy spokojnie, dopóki nie obudziły się dzieci; pomarańczowe, stojące wysoko słońce zaglądało do sypialni po obu stronach rolet. Byliśmy ze sobą od dziesięciu lat, z czego pięć ostatnich nie było szczególnie szczęśliwych. Prawdziwa namiętność, przynajmniej z mojej strony, wygasła, zanim jeszcze zaszłam w ciążę i urodziłam Dy lana. Na początku, gdy skończyliśmy się kochać, Phillip oplatał mnie nogami. Baraszkowaliśmy w łóżku do czwartej nad ranem, chociaż Phillip zwykle o szóstej miał samolot. Następnego wieczoru zarzekał się, że pójdzie spać o dziewiątej, ale wszystko zaczynało się od nowa. Od czasu do czasu w dni powszednie zostawaliśmy więc każde w swoim mieszkaniu, żeby odespać zarwane noce i jakoś funkcjonować w pracy.

Phillip zachowywał się jak dziecko, kiedy coś szło nie po jego myśli, ale był lojalnym, ciężko pracującym człowiekiem, który dbał o nas. Niezależnie od tego, jaką drogę życiową wybierają kobiety, prawie każda z nas marzy o mężu, który



przejąłby kontrolę w trudnych sytuacjach, okazywałby siłę w obliczu przeciwności i byłby skałą, na której można się oprzeć. Phillip taki był i wciąż podczas prawdziwego kryzysu mogłam polegać na nim jak na nikim innym. Gdy tak przy nim leżałam, starałam się jeszcze znaleźć z nim jakąś emocjonalną więź, uchwycić się jakiejś jego cechy, która byłaby dla mnie pociągająca, ale bałam się, że to mi się nie uda. Bałam się też, że więcej łączy mnie z Peterem Baileyem. Phillip objął mnie swoimi długimi nogami, ale to nie był już zmysłowy, kojący gest. Nie mogłam przywołać dawnego poczucia jedności z nim.

- Musimy spędzać ze sobą więcej czasu - powiedział. - Chcę, żebyśmy wyjechali na weekend. Powinniśmy się znowu odnaleźć jak tej nocy. Są pewne sprawy, o których pragnę z tobą porozmawiać.

Słyszałam, że dzieci walczą ze sobą nad płatkami śniadaniowymi w kuchni.

- Jakie to sprawy?

- Zawodowe. Związane z finansami.

- Powiedz coś więcej.

- Nie, to zbyt skomplikowane, żeby zajmować się tym z samego rana.

- Och, przestań, nie możesz mnie zostawić w niepewności. Z firmą wszystko w porządku?

- O tak. - Pogroził mi palcem, jakbym w ogóle nie powinna dopuścić do siebie żadnej głupiej myśli.

- Mimo to naprawdę musimy porozmawiać?

- Uhm. - Zaczerpnął głęboko powietrza i kiwnął głową.

- Na przykład o tym, co robiłeś z Alenem tamtego dnia w domu za zamkniętymi drzwiami?

- No. - Odrzucił kołdrę i nagle wyskoczył z łóżka. To, co powiedział, jakoś nie zabrzmiało szczerze.

Wokół Barbary Fisher zebrała się grupa bardzo przejętych damulek. Jedna z nich podrapała się po plecach.

- Tak mi przykro.

- To okropne. Po prostu okropne - powiedziała Topper Fitzgerald, mózg komitetu dekoratorskiego.

Podeszłam do nich niepewnie, nie chcąc niepokoić Barbary w chwili ewidentnej żałoby. Naprawdę ponura scena.

- Co się dzieje? - szeptem zapytałam Ingrid, zerkając jej przez ramię.

- Komuś coś się stało?

- Gorzej. Znacznie gorzej. Wolałabym oddać moją birkinę\*, niż przeżyć to, co zdarzyło jej się dziś rano.

- A co się zdarzyło?

- Odeszła jej wieloletnia niańka.

Usiłowałam oddalić się chyłkiem, zanim zobaczy mnie Barbara, ale za to wpadłam wprost na Christinę Patten.

- Nigdy nie zgadniesz, kto zadzwonił do mnie dziś rano!

- Rzeczywiście, nie mam pojęcia. - Wyjęłam Gracie z wózka i postawiłam na ziemi.

- Mogę włożyć koronę Kopciuszka? Tylko ten jeden raz? -zapytała moja córeczka.

- Kochanie, w szkole nie wolno przebierać się za żadnych

\* Torebka Hermesa z uchami, nazwana tak od nazwiska aktorki i piosenkarki Jane Birkin.

superbohaterów ani postacie z bajek. Wiesz o tym. Zostawimy koronę w wózku, jak zawsze.

- No, spróbuj zgadnąć! - Potem Christina zanuciła: - La, la, la. To ma coś wspólnego z białymi nocami. La, la.

- Jakiś projektant ma dla ciebie suknię - rzuciłam.

- Oczywiście, ale to nic nowego! Każdą z nas ubiera jakiś projektant!

Każdą oprócz mnie. Znani projektanci wprost prześcigali się, żeby móc ubierać takie panie z towarzystwa jak Christina; przed różnymi imprezami przysyłali im stroje wieczorowe i namawiali je do ich włożenia, jakby były gwiazdami hollywoodzkimi i miały wystąpić na czerwonym dywanie podczas gali oscarowej. Szczerze mówiąc, w tym stanie rzeczy byłabym szczęśliwa, gdyby ktoś zaoferował mi jakąś suknię. Uchroniłoby mnie to przed koniecznością wybrania się na zakupy. I pozwoliłoby zaoszczędzić forszę.

- Dobra, Christina, poproszono cię, żebyś poprowadziła imprezę.

- Chyba żartujesz, umarłabym, gdybym musiała to zrobić. Nie widzisz, że jestem uradowana i podniecona?

Nastąpił krytyczny moment.

- Jestem trochę spóźniona, a Gracie ma dziś kiepski humor.

- Wcale nie, mamusiu. To nieprawda!

- W porządku, Jamie, chcesz mi zepsuć całą przyjemność. Zamierzałam cię zaskoczyć, ale nie mogę już dłużej czekać. No, postaraj się zgadnąć. Pomyśl: impreza dobroczynna, biel, nasz stół. Jajka, wielkie kolorowe drogocenne jajka. Zdjęcia.

- Nie bardzo orientuję się w tych wszystkich sprawach, które rozgrywają się za kulisami takich wydarzeń. Po prostu kupuję bilet, żeby wesprzeć taką czy inną akcję i się pokazać.

- Trudno w to uwierzyć, taka z ciebie tęga głowa. Wszyscy tak mówią. „Ta Jamie jest taka bystra. Ta Jamie jest taka bystra. La, la, la”. Cały czas tak o tobie słyszę. Mój mąż George umiera z pragnienia, żeby siedzieć obok ciebie. Zamierza szczegól-

nie uważnie przeczytać tego dnia gazetę, ale prosił, żebym ci tego nie mówiła, więc nie zdradź się, że wiesz!

- To miło, że według ciebie jestem bystra, Christino, ale nawet bystry ludzie nie zawsze od razu wszystko łapią.

Przechyliła głowę na bok, zmrużyła oczy i zapatrzyła się w przestrzeń.

- Nie bardzo rozumiem, co chcesz powiedzieć. Ta kobieta była upośledzona.

- Mamusiu, chodźmy już. Dzięki ci, Boże.

- Może zaprowadzę Gracie do klasy, a ty napiszesz mi w e-mailu, co to za niespodzianka? - Uniosłam wysoko brwi, tak jak wtedy, gdy próbuję przekonać do czegoś moje dzieci.

- Zadzwoił do mnie dziś rano John Henry Wentworth. Mieszka tuż obok nas.

- Kto to taki?

- Żartujesz, prawda? - Wyglądała na zaniepokojoną. - To redaktor naczelny magazynu „Madison Avenue”.

Aha.

- No i...?

- Chce sfotografować nasz stół do lutowego numeru. Zamierza wykonać modele wielkich, dwumetrowych jaj Fabergé, całych ze skrzących się kamieni. Niektóre mają stać, inne leżeć. - Gestykulowała przy tym żywo, żebym mogła wyobrazić sobie scenerię. - Wszystkie panie od naszego stolika pozowałyby przed nimi, ubrane w biel.

- Ten Wentworth nie zna mnie; ty ze swoimi przyjaciółmi możesz robić, co chcesz. Mnie to nie dotyczy.

- Musiałam mu wyjaśnić, kim jesteś, bo... sama rozumiesz... nie udzielasz się specjalnie w kręgach towarzyskich. - Powiedziała to przepraszająco, ponieważ uważała, że może mnie urazić tą uwagą. - To twój wybór oczywiście. Pracujesz. Nie masz czasu. Ale on bardzo zapalił się do pomysłu, żeby sfotografować cię razem z nami. To znaczy, masz siedzieć przy naszym stole, więc byłoby niezręcznie, gdybyśmy cię nie zaprosili, mimo że... No wiesz... nie jesteś...

- Ja chyba tam nie pasują.

- Zwariowałaś! Zamierzają zaprojektować dla nas białe suknie, uczesać nas i w ogóle. W tych samych strojach wystąpimy potem na przyjęciu. Zwerbowali już Carolinę Herrere; ubierze nas jeden z jej stylistów. Możesz uwierzyć?!

W takiej sytuacji nie musiałabym kombinować, co włożyć, ani tracić czasu i pieniędzy na zakupy, a potem narażać się na paradę przed szeregiem białych futer i ich właścicielkę patrzących na mnie krytycznie...

- A Verdura ma wypożyczyć nam biżuterię - dodała Christina.

Nawet ja wiedziałam, że to największy włoski projektant biżuterii ostatniego stulecia.

To zaczęło być interesujące. A nawet nęcące.

- Żebyśmy się dobrze zrozumiały... Do zdjęcia i potem, na przyjęcie w lutym Carolina Herrera zamierza wypożyczyć mi suknię albo w ogóle ją uszyć. A Verdura na tę okazję wypożyczy mi brylanty warte fortunę - podsumowałam.

- Nie fortunę, tylko jakieś dwadzieścia tysięcy. Jedynym problemem jest to, że będą za tobą chodzili jego ochroniarze.

- Czy dostanę też buty?

- Jasne. I torebkę od Judith Leiber.

- Będę mogła je potem zatrzymać?

- Buty i torebkę - tak. Suknię i klejnoty - na pewno nie.

- Dlaczego szef „Madison Avenue” miałby to robić? Przecież nawet mnie nie zna.

- Potrzebuje czegoś na okładkę, a gala Duponta to największa impreza w roku. To dobra reklama dla projektantów.

- To ma być na okładkę?

- Cóż, zamierzają sfotografować trzy stoliki. Miejmy nadzieję, że to my znajdziemy się na okładce, a z całą pewnością będziemy w środku.

- Dobra, zastanowię się nad tym, Christine Teraz muszę zaprowadzić Gracie do klasy, jesteśmy już spóźnione.

- Ludzie od Henry'ego zadzwonią do ciebie w sprawie

przymiarek! - zawołała jeszcze, popychając swoją córkę Lucy po schodach.

Powściągnęłam uśmiech.

Później tego samego dnia Peter zaczepił mnie od razu przy drzwiach frontowych.

- Daj mi chwilę na złapanie oddechu - poprosiłam. - Czy to coś ważnego?

Te jego podkreśnione piłki zaczynały mnie już męczyć. Upuściłam torby, odwinęłam szalik i wrzuciłam go do szafy. W domu panowała cisza. Niezwykła cisza jak na porę kolacji.

- Co się stało?

- Yvette wkurzyła się strasznie na przyjęciu urodzinowym u Wassermannów.

Wślizgnęliśmy się po cichu do gabinetu, aby dzieci nie zorientowały się, że jestem już w domu.

Peter usiadł na świeżo odnowionym fotelu.

- Właściwie zaczęło się jeszcze w domu przed przyjęciem. Yvette powiedziała, że chciałaś, aby Dylan i Gracie włożyli szare ubranka, a Michael kaftanik z haftowanym śliniaczkiem i zamszowe spodenki...

- Lederhosen. No wiem.

- To cofnij się myślą do momentu, gdy mnie zatrudniałaś, i przypomnij sobie naszą rozmowę. Pamiętasz, jak mówiłaś, że mam tu stworzyć męską, sportową atmosferę?

Skinęłam głową. Wyglądał świetnie. Tego dnia miał na sobie wytarte džinsy i ciemną, wygniecioną koszulę trykotową z długimi rękawami. Patrzenie na niego stanowiło dla mnie problem, ale nie mogłam też na niego nie patrzeć.

- Więc powiedz mi, dlaczego na przyjęcia przebieracie zawsze swoje dzieci za małych Tyrolczyków? Michael wyglądał jak dziewczynka i choć ma dopiero dwa latka, wiedział to i był wściekły. A te podkolanówki z czerwonymi pomponikami, dyndającymi przy ściągaczach? Szkoda, że nie widziałaś, jak próbowaliśmy wbić Michaela w te śmieszne zamszowe

spodenki, a on wił się na podłodze i kręcił głową, zataczając trzysta sześćdziesiąt stopni! To było jak połączenie *Dźwięków muzyki z Egzorcystą*. Roześmiałam się.

- Peter, nie rozumiesz tego.

- Nie, to ty nie rozumiesz. Potem idę na przyjęcie, a tam wszystkie dzieci ubrane są tak samo, w identyczne szare spodenki, i mają zaczerwienione oczy, bo niańki, też z jednego szablonu, kazały im przebrać się za małych Tyrolczyków. Ludzie, co z wami?!

Miał rację. Ale wszystkie dzieci, jakie znaleźliśmy, tak właśnie strojono na przyjęcia. Przekonałam się o tym dość boleśnie, kiedy jeszcze w czasach przedszkolnych zabrałam Dylana na pierwsze przyjęcie urodzinowe, ubranego w zwykłe spodnie i bawełnianą koszulkę. Kiedy wpadliśmy tam spóźnieni piętnaście minut, wszystkie kobiety w pokoju zamilkły na nasz widok, jakby odebrało im mowę.

- No i co się stało Yvette? - spytałam.

- Poszedłem na przyjęcie z Gracie i Michaelem i kiedy miały zabrać się do ciasta czekoladowego, przebrałem je w džinsy, a wtedy Yvette wpadła w szal, jakbym kogoś zabił.

- Wiem, że dla ciebie to całkiem nienormalne i masz rację, ale dla Yvette strój jest bardzo ważną sprawą.

Peter patrzył na mnie z wyrazem niedowierzania na twarzy.

Próbowałam mu wyjaśnić sytuację.

- Dżinsy nie pasują do dziecięcych niebieskich wełnianych płaszczków w stylu Johna-Johna i Caroliny Kennedych\*, no, wiesz, takich z obszytymi aksamitem kołnierzykami.

Żadnej odpowiedzi.

- Spod płaszczków mają wystawać gołe nóżki w skarpetkach. W tym cała rzecz. Dżinsy do tego nie pasują. Muszą

\* John Fitzgerald (zwany John-John) i Carolina Kennedy - dzieci Johna Fitzgeralda Kennedy'ego, prezydenta USA.

być sukienki i szorty. Dlatego właśnie chłopcom wkłada się krótkie spodenki. Opadła mu szczęka.

- Chodzi o to, żeby wyglądali jak John-John z gołymi nóżkami - wyjaśniłam. - Pamiętasz? Hołd przy trumnie? Ten doniosły moment z windą?

- Hołd przy trumnie? Jak czterdzieści lat temu? Postradałaś zmysły? Naprawdę przejmujesz się tym, czy Michae-lowi będzie widać gołe nóżki w skarpetkach jak Johnowi--Johnowi Kennedy'emu?

- Oczywiście, że nie. Usiłuję ci tylko wyjaśnić zasady dotyczące obowiązującego sposobu ubierania.

- Coś ci powiem. Jesteś cool, pracujesz w liczącej się stacji telewizyjnej. Opowiadasz mi o kobietach ze swojego środowiska, o ich wypaczonym poczuciu wartości, o tym, jakie są ograniczone, jak ze sobą rywalizują. Wściekasz się, gdy sugeruję, że jesteś jedną z nich, co mnie z kolei doprowadza do szału, bo nie powinnaś się tym w ogóle przejmować! A jednak przyjmujesz ich zasady gry, nawet te dotyczące płaszczyków z aksamitnymi kołnierzykami!

- Nieprawda.

- Myślałem, że uznasz Yvette za niepoczytalną i przyznasz mi rację. A ty reagujesz zupełnie odwrotnie! Próbujesz mi wyjaśnić, że jest jakaś zasada dotycząca gołych nóżek u dwuletnich dzieci! Mówię ci, mały czuł się jak balerina, i miał słuszość, a ty jej nie masz. Najpierw powiadasz, że Christina Patten to idiotka, tak zresztą jest rzeczywiście, nie mam co do tego wątpliwości - chce się ze mną zaprzyjaźnić, zaczepia mnie w parku - a zaraz potem widzę, że nie możesz się z nią nagadać. Co tu jest grane?

- Och, gdybyś miał dzieci i musiał utrzymywać stosunki z innymi rodzicami, to byś zrozumiał.

- Nie, nie zrozumiałbym. I wierz mi, nigdy nie pozwolę, żeby moje dziecko wyglądało jak mały Tyrolczyk. Nigdy!

Straciłam go. Zupełnie. Tak bardzo zależało mi na tym, żeby uważał mnie za niezależną kobietę, która ma świetną



pracę i jest ponad drobiazgi. On tymczasem mnie przyskrzywił. Znowu. Poczułam się żalosna, zła na siebie, a co gorsza, ogarnęła mnie złość na niego. Wstałam.

- Skończyłeś już? Mam jutro wywiad, więc jeśli pozwolisz...

- Wiem, że masz wywiad. Ja tylko wykonuję swoją robotę, staram się, żebyś nie skrzywiła swoich dzieci. - To powiedziawszy, wstał również, odszedł w głąb holu i chwycił Dyla-na, obracając go do góry nogami.

Następnego dnia po drugiej stronie Manhattanu Goodman i ja usiedliśmy przy stoliku w tylnej salce baru u zbiegu Broadwayu i Sixty-fourth Street. Taki mieliśmy zwyczaj. Właśnie wróciliśmy z wywiadu z Theresą, przeprowadzonym w jednym z nowojorskich hoteli. Theresa nie chciała, żebyśmy my, dziennikarze z północy, szwendali się po Pearl w Missisipi, zwracając na siebie uwagę mieszkańców. Mimo że byłam wciąż podłamana kłótnią z Peterem, próbowałam cieszyć się momentem chwały. W ciągu ostatnich dziesięciu lat zaliczyliśmy już pół tuzina takich triumfów i oboje znaleźliśmy rytuał: po kilku miesiącach wyczerpujących psychicznie wysiłków, by skłonić Theresę Boudreaux do udzielenia wywiadu roku, najdonioślejszego w całym dziennikarskim świątku, w końcu go nagraliśmy, ona sobie poszła, operatorzy i reszta ekipy zwinęli sprzęt, a my w milczeniu przedarliśmy się przez burzę, żeby strzelić sobie mocnego drinka. Teraz w ciszy sączyliśmy maker's mark z lodem. Goodman potrzebował absolutnego spokoju, żeby ogarnąć znaczenie materiału, który zdobyliśmy. W nadchodzących dniach czekało nas jeszcze mnóstwo pracy, mieliśmy wręcz obsesyjnie pracować nad taśmami, montować je i opracowywać scenariusz programu, w tej chwili jednak musiałam czekać w milczeniu, dopóki on się nie wyciszy. Wiedziałam, jak postępować z szefem, jakby był moim dzieckiem. Minęło piętnaście minut. Umierałam

z chęci, by omówić to, co zaszło. Zamówiliśmy następną kolejkę.

W końcu Goodman walnął ręką w okrągły blat drewnianego stolika.

- Niech to jasny gwint, dziewczyno! Tym razem naprawdę ci się udało. O rrrrany! Cholera, to było piękne.

Opadł na oparcie krzesła, splótł ręce na karku i zapatrzył się w sufit. Pociągnął potężny łyk whisky i jak kowboj przecedził ją przez zęby.

- Wiesz co, Jamie? Głupia z niej dziwka, ale ma w sobie diabełka. Chłopcom Hueya będzie tego brakowało.

Theresa spisała się bezbłędnie. Miała fryzurę a la Farrah Fawcett z lat siedemdziesiątych, swoje seksowne, biuściaste ciało opakowała w obcisły, kiczowaty jak cholera błękitny kostium i mówiła z południowym akcentem, słodkim jak miód. Gennifer Flowers\* numer dwa. Opowiedziała o swoich seksualnych stosunkach z Hartleyem, o tym, jak się poznali u jednego z jego zwolenników z Pearl i spotykali się przez dwa lata, zanim bezceremonialnie dał jej odprawę. Goodman usiłował na rozmaite sposoby skłonić ją, aby ujawniła, że Hartley preferował stosunki analne. Jej wypowiedzi na ten delikatny temat były dość dziwaczne, ale przeważnie odbijała piłeczkę.

Goodman: Więc potwierdza pani, że współżyła z kongres-manem Hueyem Hartleyem?

Boudreaux: Tak, w pewnym sensie.

Goodman: Zadałem pani konkretne pytanie: tak czy nie?

Boudreaux: Eee... To nie jest takie proste.

Goodman: Chodzi pani o to, że był to rodzaj seksu, pieszczoty, może petting, ale nie stosunek seksualny. Bez penetracji. Niektórzy, na przykład były prezydent, są zdania, że takich relacji między kobietą i mężczyzną nie można nazwać seksualnymi.

\* Gennifer Flowers - jedna z trzech kobiet, które twierdziły, że łączyły je z Billem Clintonem stosunki seksualne.

Boudreaux: Nie chciałam powiedzieć, że nie utrzymywaliśmy stosunków seksualnych. Uprawialiśmy seks, taki w rozumieniu Billa Clintona.

Goodman: Więc odbywaliście stosunki...

Boudreaux: Tak. (Lekkie skrepowanie, wymuszony uśmiech. Potem pochylenie głowy). Stosunki pewnego rodzaju.

Goodman: Może pani sprecyzować...

Boudreaux: Nie, nie tradycyjne. (Pauza, pochylenie do przodu). Nie po misjonarsku.

Goodman: Mówi pani o pozycji?

Boudreaux: Nie, mówię o miejscu penetracji.

W trakcie tej ryzykownej części wywiadu Leon Rosenberg tak się śmiał, że musiał ukryć twarz w minibarze.

Theresa rozplakała się, gdy zaczęła opowiadać Goodmanowi, jak Hartley ją porzucił. Zdecydowała się o tym mówić, bo - jak twierdziła - Bóg kazał jej się oczyścić. Nie bez znaczenia był także fakt, że Hartley „źle się do niej odnosił” po zerwaniu. Ten „sukinsyn” powiadomił ją o zakończeniu związku przez funkcjonariuszy swojej ochrony. Od tego czasu z nim nie rozmawiała. Nie odpowiadał na jej telefony.

- Co do jednego mylisz się - powiedziałam. - Ona nie jest głupia. - Spojrzałam Goodmanowi w oczy.

- Przestań, musiałem zadawać jej każde pytanie po dwa razy.

- Mówię tylko, że nie mamy do czynienia z głupią dziwką. Ona grała swoją rolę, flirtowała z tobą, prowokowała cię, żebyś zadawał je te pytania, które chciała usłyszeć. Przecież jesteś facetem. Przypomnij sobie własne słowa, sam przed chwilą powiedziałeś, że ma w sobie diabełka. Skąd wiesz, jak jest naprawdę? - Chciałam dodać, że podstępne sztuczki Teresy trochę mnie niepokoiły, nigdy wcześniej nie wydała mi się tak przebiegła, ale to nie była właściwa pora. Uznałam, że porozmawiamy na ten temat później.

- Jestem profesjonalistą i pracuję w tym biznesie od trzydziestu lat.

- Nie neguję tego, ale ona tobą manipulowała.

- Nie, nie sędzę.

- Ależ tak!

- Nie chcę tego słuchać. Powiedziała, co chcieliśmy usłyszeć, wyznała wszystko, na czym nam zależało. Nie obchodzi mnie, czy prowokowała jakieś pytania, czy nie. Jeśli chcesz znać moje zdanie, dobraliśmy się do mej. - Uderzył w stół i zamówił następną kolejkę. - Uważam, że świetnie mi poszło. Wyglądałem równie dobrze?

Zapatrzyłam się w kostki lodu w moim drinku, aż ich obraz zaczął zamazywać mi się przed oczami.

## Antrakt I

W bieliźniarce było gorąco i duszno.

„Czy ta kobieta istnieje naprawdę?”

Rozpięła mu spodnie, gdy tymczasem on udawał, że stawia opór. Pomiedzy stosami spadającej pościeli wirowały delikatne, suche płatki róży.

Odzyskując równowagę, a w efekcie także przytomność umysłu, pokręcił głową i odepchnął ją, tym razem z determinacją.

- Oszalałaś! - Pomyślał o Jamie i ogarnęło go poczucie winy.

- Nawet jeśli tak, to co z tego? - Gdy przywarła do jego uda, zerknął zza jej ramienia i zobaczył, że rozcięcie z tyłu spódnicy rozchyliło się, ukazując gładkie gołe nogi.

Odchylił głowę z niedowierzaniem.

- Mówię poważnie. Nie mogę tego zrobić.

Z głęboką melancholią uzmysłowił sobie, że właśnie wyrzeka się najbardziej podniecającego podboju w całym swoim życiu.

Ona tymczasem musnęła językiem jego obojczyk i jednym pociągłym ruchem liznęła go po szyi, sięgając następnie do ust.

- Kto się o tym dowie?

Z powrotem położyła sobie jego lewą rękę z tyłu u nasady uda, a potem poprowadziła ją między nogi.

Poczuł, że pod koszulą spływają mu kropelki potu. Zamknął oczy.

- Ja, ja...

Gdy wsunął w nią palce, odetchnęła głęboko wprost do jego ucha.

- O, zapomniałam rano włożyć majtki.

- Najwyraźniej.

Mijały minuty. Był teraz jej zakładnikiem.

Zsunął się kolejny kawałek drogiego materiału, który przeleciał obok lekko opalonych ramion kobiety. Klęczała teraz z jego członkiem w ustach. Z rozmów na placu zabaw wiedział, że to jej specjalność. Chociaż istniała między nimi przepaść, oto znalazła się teraz na kolanach u jego stóp, obsługując go jak kurtyzana z męskich fantazji.

„Nic tak nie niweluje różnic społecznych jak seks” - pomyślał, jednocześnie zdziwiony, że w takiej sytuacji przychodzi mu do głowy jakaś racjonalna myśl. „To jedyny przejaw demokracji, jaki nam jeszcze pozostał”.

Spojrzała na niego, pieszcząc ustami i wymanikiowaną dłonią jego członek. Jedyńm dźwiękiem, jaki temu towarzyszył, było pbrzękiwanie jej bransoletek od Bulgarięgo.

Chwycił haftowaną podkładkę pod nakrycie i przycisnął ją do ust, tłumiąc krzyk, gdy eksplodował w jej wyrafinowanych ustach.

Zaśmiała się cicho, oblizując wargi, a jej triumfujące, aroganckie spojrzenie mówiło: „Jestem w tym najlepsza, teraz oboje to wiemy”. I rzeczywiście, nie bez powodu rościła sobie prawo do tego twierdzenia.

Czasami mężczyzna nie wie, jak się zachować, ani co powiedzieć, gdy jest już po wszystkim. Niezręcznie więc zaczął zbierać pościel.

- Marta to zrobi - rzuciła przez ramię, odchodząc, i zamknęła go w bieliźniarce.

Został sam, dzierżąc w dłoniach stos najlepszych serwetek na Wschodnim Wybrzeżu, a z jego bokerek, umazanych szminką Chanel, zwisał wiotczęjący powoli penis.

- Światła! Kamera! Akcja! No, dalej, dziewczęta, jesteście królowymi balu!

Od stalowych rur wodociągowych i belek loftu w Tribeca odbijały się dźwięki piosenki *We Are Family*. Cztery olśniewające damy wiły się tanecznie, błyskały flesze, a styliści biegali z akcesoriami w tę i z powrotem po całym pomieszczeniu jak mrówki znoszące okruszki. Czulałam się, jakbym przez pomyłkę wylądowała w czyimś muzycznym wideoklipie.

Punch Parish - najślynniejszy na świecie fotografik wyższych sfer - przycisnął podbródek do piersi i przymknąwszy oczy, uniósł rękę nad głowę. Muzyka umilkła jak na komendę. Asystenci uciszyli wszystkich i zapadła cisza. Mistrz przystępował do dzieła, więc czekaliśmy. I czekaliśmy. Ten facet chyba myślał, że jest Richardem Avedonem\*. Powoli uniósł głowę i stojąc przed nami z wyciągniętą przed siebie prawą ręką oraz jednym okiem wciąż przymkniętym, wpatrywał się w paznokieć swego wyciągniętego kciuka, niczym Picasso. Potem ściągnął z głowy bandanę, przygładził jasne włosy w strąkach i zawiązał chustkę z powrotem.

- Czyż nie jest fantastyczny? - szepnęła mi do ucha Christina. Trudno o większy pokaz wazeliniarstwa niż zacho-

\* Richard Avedon (1923-2004) - słynny amerykański fotografik, wykonujący zdjęcia mody, który podniósł fotografię do poziomu sztuki.



wanie nowojorskiej bywalczyni wobec fotografika. - Jest jak jakiś renesansowy malarz. Jak van Gogh.

Punch ustawił nas jak naturalnej wielkości lalki przed trzema wielkimi jajami Fabergé, ozdobionymi sztucznymi kamieniami. Chuda jak tyczka damulka pochodzenia włoskiego nastąpiła mi obcasem na palec u nogi. Gwałtownie wciągnęłam powietrze w płuca, ale ona niczego nie zauważyła.

Byłam już bardzo rozdrażniona. Ludzie z telewizji, a zwłaszcza z programów informacyjnych, zupełnie inaczej podchodzą do kręcenia zdjęć niż przedstawiciele świata mody. My mianowicie szanujemy cudzy czas. Zapraszamy gości, gdy plan jest już gotowy. Kiedy zaś tego rana przyjechałam do studia, fotografika jeszcze nie było.

Punch pstryknął palcami na swojego asystenta Jeremy'e-go, który z kolei mrugnął na didżeja, a ten włączył muzykę na cały regulator. Jeremy, jak spuszczonej ze smyczy, zaczął klaskać nad głową niczym foka, kołysząc biodrami w tył i w przód.

- „I got all my sistahs with me - zaczął śpiewać do muzyki.-U-hu-hu, u-hu-hu!”.

Wtedy Punch znowu zaczął nas czarować.

Ja i reszta zaproszonych przez Christinę Patten gości imprezy dobroczynnej na rzecz Ermitażu staliśmy na tle wielkiego białego ekranu, tuż przed jajkami, a wokół naszych kostek wirowały płatki sztucznego śniegu. Potężne rosyjskie szwaczki kierowały na nas powiew wentylatorów, żeby nasze suknie wydymały się efektownie. Wizażystki pudrowały nam czoła i nosy, podczas gdy stylistka w wielkich okularach przeciwsłonecznych na głowie, które jak opaska przytrzymały mu włosy, krążył wokół, dyrygując nami za pomocą grzebienia. Ktoś przekreślił wentylatory, żeby zwiewały nam włosy z twarzy. I następne ujęcia *l'artiste* monsieur Puncha.

Po zużyciu pięciu rolek filmu Punch dał nam znak, że musi się napić, przykładając wyimaginowaną szklankę do ust. Jeremy obrócił się na pięcie do młodej stażystki i zrobił to samo, patrząc na nią, jakby zaważyła najważniejszą spra-

wę w życiu. Dziewczyna pobiegła po wodę Evian i pędząc z powrotem do Puncha, przewróciła się, zawadzając o kable oświetlenia.

Punch pociągnął łyk z butelki, a potem zszedł ze sceny. Christina i trzy jej pozostałe znajome poszły jego śladem i zostałam sama. Kobiety z nowojorskiej socjety mają okropne maniery. Wcześniej, po przyjeździe, Christina ucałowała mnie w policzki i niedbale machnęła ręką.

- Och, znacie się wszystkie - stwierdziła.

Ja jednak nie miałam okazji poznać żadnej z nich, widziałam tylko ich twarze w czasopismach. Na żywo przypominały supermodelki, podobnie jak większość matek spod szkoły: wyraziste kości policzkowe, miękka, gładka cera, która od czasów szkoły średniej nie oglądała słońca, u brunetek grube włosy w stylu Marii Shriver, u blondynek - loki jak u Elle Macpherson. Te kobiety nigdy nie siadywały jak zwykli ludzie. Nigdy! Przysiadały jednym pośladkiem na brzegu krzesła, wyciągając przed siebie długie, smukłe nogi, jakby upozował je George Ballanchine. To cud fizyki, że potrafiły zachować równowagę. Ponieważ nie były zajęte karierą, ćwiczyły godzinami cztery razy w tygodniu pod okiem trenera. Ich mięśnie to nie skutek dobrych genów; ciężko na nie pracują, dlatego takie osoby jak ja nie mają szans im dorównać.

W pracy stykałam się z tabunami dyrektorów generalnych oraz znanych polityków, którzy ani trochę mnie nie onieśmielali, te kobiety jednak zachowywały się jak dziewczyny z elitarnej grupy, przez co czułam się jak zepchnięta do stołówki szara myszka z siódmej klasy. Były to: Leelee Sargeant z Locust Valley, której matka od czterdziestu lat stała na czele zarządu tamtejszego country klubu, Fenoula Wrightsman, dziedziczka właścicieli brytyjskiej firmy telekomunikacyjnej, i Allegra d'Argento z Włoch. Jej znacznie starszy mąż przebywał w areszcie domowym we Florencji za uchylanie się od płacenia podatków, podczas gdy ona niefrasobliwie wydawała jego pieniądze za Atlantykiem.

Barbara Fisher trąciła mnie łokciem, gdy wzięłam dietetyczne piwo imbirowe od asystentki roznoszącej napoje w plastikowych kubeczkach.

- Och, to interesujące. Robisz o tej sesji reportaż dla telewizji czy sama bierzesz w niej udział?

Wskazałam moją białą, obszytą cekinami suknię wieczorową.

- Oczywiście, że nie robisz reportażu, żartowałam. To po prostu... nie jest miejsce, w którym bym się ciebie spodziewała. To nie w twoim stylu, Jamie.

Trafiła w dziesiątkę.

- Uhm, zaczęło się od kupna biletów, potem Christina zaprosiła mnie do...

- Niegłupi pomysł, biorąc pod uwagę, że chcesz zapisać Gracie do Pembroke. W zarządzie są sami znajomi Christiny. Ale nie przypuszczałabym, że wy dwie się przyjaźnicie. -Barbara patrzyła na mnie spod przymrużonych powiek jak mały brudny kudłaty szczur.

- Bo nie przyjaźnimy się.

- Ale będziesz siedziała przy jej stoliku?

- To znaczy, w pewnym sensie się przyjaźnimy.

- Hmm. - Barbara splotła ramiona i spojrzała mi w oczy. -Wiesz, coś ci chciałam powiedzieć. - Nachyliła się do mnie i szepnęła: - Na twoim miejscu pilnowałabym tego uroczego Petera. Któregoś dnia przyuważ go z Ingrid Harris na placu zabaw przy Seventy-sixth Street, to zaoszczędzi ci kompromitacji.

- Ingrid jest taka zabawna. - Pokręciłam głową, negując śmieszoną sugestię Barbary. - Jestem pewna, że po prostu bawi go bardziej niż inne mamy.

- Nie byłabym pewna. Trenerzy, wychowawcy na obozach, odźwierni... Naprawdę sądzisz, że ona miałaby jakieś skrupuły, jeśli chodzi o uwiedzenie niańka?

- Zainteresuję się tą sprawą.

Próbowałam zbagatelizować jej słowa, ale byłam wstrząśnięta. Ingrid i Peter? Niemożliwe. Nie zrobiłby mi czegoś takiego. Nigdy. Przed oczami stanęły mi sceny jak z koszmaru:

Ingrid flirtująca z nim nachalnie, gdy ich sobie przedstawiłam, i wyraz durnego osłupienia na jego twarzy. Czy uprawiałby seks z jedną z tych mamusiek, których tak nie cierpi? Czy każdy facet na tej planecie musi być tak beznadziejnie napalony? Nie. On nigdy by się tak nie zachował. Chociaż od czasu afery z zamszowymi spodenkami jakby trochę trzymał się na dystans. Może ma mnie już dosyć? O Boże!

Punch wrócił na plan i tym razem polecił nam stanąć w jednej linii, ramię przy ramieniu. Wtedy dziewczyny jednocześnie, z precyzją godną Rockettes, wysunęły naprzód jedną nogę i cofnęły ramię. Wszystkie cztery były matkami, ukończyły college, a pozowały jak modelki na wybiegu. Oczywiście - pomyślałam - cały czas ktoś je fotografuje, znają więc zasady, są półprofesjonalistkami.

- No, dalej, dziewczęta! Więcej życia, patrzcie na mnie, jakbyście mnie pragnęły! - zawołał Punch.

- Punch! Jesteś zepsuty do szpiku kości! - odkrzyknęła Christina. - Ale i tak cię uwielbiamy!

Okay. W porządku. Peter ma dwadzieścia dziewięć lat. Może sypiać, z kimkolwiek tylko zechce, prawda? Nieprawda. Nie w pracy. A jeśli bzyka się z inną matką, powiedzmy, po pracy? Tak czy owak, ta myśl mnie dobiła.

Światła na suficie zamrugały i do studia wpadł, zatraskując za sobą drzwi, John Henry Wentworth, księżę Palm Beach i wydawca magazynu „Madison Avenue”. Blond włosy miał zaczesane do tyłu, co już na pierwszy rzut oka uwidaczniało postępujące zakola. Ubrany był w wykrochmaloną różową koszulę i fular w purpurowy turecki wzór, miał duże piwne oczy i pełne, pucołowate policzki, ogorzałe po latach spędzonych na pokładzie jachtu. Najwyraźniej niezadowolony z sesji, chwycił Puncha za łokieć i odciągnął go na stronę, żeby zamienić z nim kilka słów.

Dziewczęta pomachały do Johna i zaczęły się do niego wdzięczyć. Ja natomiast byłam zaabsorbowana jedną myślą: jak dowiedzieć się, czy Petera i Ingrid rzeczywiście coś łączy, nie pytając o to innych mamusiek?

Obaj panowie wrócili do nas. John Henry oświadczył:

- Myślę, że powinniśmy... zmienić ustawienie pań. Wkroczył na plan, chwycił mnie za ramiona i przesunął

z drugiego miejsca po lewej stronie całkiem na prawo. Przy tych manewrach z włosów wypadł mi perłowy grzebyk, co natychmiast wyrwało mnie z zamyślenia. Stałyśmy teraz w takiej kolejności: Leelee, Fenoula, Christina, Allegra i ja. Czy temu facetowi wydawało się, że kogoś tu zwiedzie? Szepnęłam mu do ucha:

- Jestem producentem telewizyjnym. Kieruję zdjęciami. Niech ci się nie wydaje, że nie wiem, co to znaczy, gdy ustawia się kogoś na skraju po prawej stronie.

To go zbiło z tropu. Byłam wkurzona, po części tym, że kazał mi stanąć z brzegu, aby potem usunąć mnie ze zdjęcia, ale głównie faktem, że uważał mnie za idiotkę, która nie połąpie się w jego manewrach.

- No... cóż... ja tylko myślałem... że ty... - zaczął się jąkać.

- Posłuchaj, ja tylko mówię, że wiem, o co ci chodzi, koleś.

- Co ty, na miłość boską, robisz, Johnie Henry? - Christina Patten łaskawie wzięła mnie w obronę. Byłam zaskoczona, myślałam, że bardziej będzie jej zależało na tym, aby mu się podlizać, niż aby mnie bronić. - Potargasz jej włosy! Ty sieroto! - Najwyraźniej nie zrozumiała jego intencji.

Wentworth posłał mi jadowite spojrzenie. Wszystkie dziewczyny roześmiały się, odrzucając do tyłu głowy, i pomachały mu. Następane błyski fleszy, znowu muzyka disco, ciągnąca się w nieskończoność kolejna godzina pozowania ze mną po prawej stronie.

Po zakończeniu zdjęć Christina podeszła do mnie, krzyżując palce obu dłoni. Zamknęła oczy.

- Módl się, módl się, módl się, żeby wybrano nas na okładkę. To by zmieniło wszystko w twoim życiu. W ciągu jednej nocy.

Wyrwałam się stamtąd najszybciej, jak się dało. Pozowanie z kobietami, które palą zawartość swojej szafy pod ko-

niec każdego sezonu, było bardzo męczące. Ale wizja Petera i Ingrid była jeszcze gorsza; myślałam o nich obsesyjnie, tak że zaczęłam mieć trudności z oddychaniem. Byłam świadkiem zarzucania przez Ingrid sieci na Petera. Kto, do licha, mógłby zresztą mieć do niej o to pretensje? Wsiadłam do samochodu i zadzwoniłam do Petera na komórkę. Musiałam kilka razy wybierać numer, zanim wreszcie odebrał. Był trochę zdyszany.

Odezwał się oficjalnie:

- Tak?

- Nie zapomnisz wiolonczeli?

- Raczej skrzypiec. Właśnie je... zabieram. - Odłożył telefon, w tle słychać było jakieś stłumione hałasy. Potem znowu podniósł go do ucha. Wydawał się roztargniony, jeszcze bardziej odległy.

- Wszystko w porządku, Peter?

- Jasne.

- Co się dzieje?

- Nic takiego.

- Czy Gracie bawiła się z kimś po szkole?

- Tak, była... u... Vanessy Harris,

- O, to fajnie. - Vanessa to córka Ingrid. Usiłowałam poradzić sobie jakoś z tą najbardziej obrzydliwą historią w moim życiu. - Yvette ją zawiozła?

- Tak. To znaczy tak, była z nią Yvette.

- Pytałam...

- Uhm, myślę, że dobrze się bawiła. Właśnie pakuję wiolonczelę i nuty.

- Jak długo jesteś w domu?

- Przyjechałem wcześniej. Musiałem przywieźć coś z miasta. Yvette potrzebowała pomocy.

- W czym?

- Och, w paru sprawach. Nie martw się, spotkamy się niebawem.

Dziesięć minut później zajęchałam pod dom. Peter i Gracie z miniaturową wiolonczelą wsiedli na tylne siedzenie sa-

mocho. Peter przypiął Gracie pasami na środkowym fotelu i przyjrzał mi się badawczo. Nie mogłam na niego patrzeć.

- Z jakiej okazji jesteś taka umalowana? Miałam sesję zdjęciową, ale to nieważne.

Kiedy zajechaliśmy pod szkołę. Peter oznajmił drewnianym głosem:

Pojdę po Dylana.

Zapanował między nami taki chłód, że rozmawialiśmy jak automaty.

Sięgnęłam ręką na tylne siedzenie i pogłaskałam kolano Gracie.

- Mamusiu - zapytała - czy mogłabym się znowu pobawić z Vanessą?

- Oczywiście, kochanie, fajnie było?

- Uhm - wymamrotała, ssąc kciuk. Potem wyjęła go z buzi. - Vanessa ma zabawkową kuchnię w swoim pokoju. Większą niż moja.

- Ty masz całkiem dużą i mnóstwo garnuszków.

- Peter też powiedział, że moja jest ładniejsza. Serce mi zabiło.

- Kiedy Peter widział jej kuchnię? To przecież Yvette cię tam zawiozła, jak zwykle, prawda?

- No. - Znowu z kciukiem w buzi, pokręciła jednak przecząco głową, a potem oparła główkę o fotel i wyjrzała przez okno.

Podskoczyłam jak oparzona na przednim siedzeniu i przyklęłam pomiędzy fotelami.

- Gracie. Wyjmij palec z buzi. Kto zawiózł cię do Vanessy? Oczy zrobiły jej się wielkie jak spodki; przestraszyła się, że wpadła w jakieś poważne kłopoty.

- Yvette, mamusiu.

Ogarnęła mnie taka ulga, że poczułam, jakbym roztapiała się w środku.

- Ale Peter też z nami pojechał - dodała córeczka. Cholera. Jasna cholera!

Powiedz, że to nie tak

Obiecałam sobie, że wieczorem, gdy dzieci pójdą spać, nie będę zadawała Peterowi żadnych pytań, ale na myśl o nim i Ingrid robiło mi się niedobrze. Gdybym musiała go zwolnić, Dylan potrzebowałby całych tygodni - może i miesięcy - żeby do mnie do siebie, i pod nieobecność ojca w dni powszednie czułby się jeszcze bardziej samotny. Moja wizja super-niańki, który wkroczy w nasze życie i rozwiąże wszystkie problemy, oparta była na bardzo kruchej podstawie.

Starannie unikając podczas kolacji kontaktu wzrokowego z Peterem, poprosiłam go, żeby ułożył Dylana z książką do łóżka, podczas gdy sama zamierzałam poczytać Gracie i Michaelowi.

Ponieważ jednak Peter jakoś długo siedział przy Dylanie, usadowiłam się na kanapie w salonie i zaczęłam udawać, że czytam „New York Timesa”. Wpatrywałam się w jeden krótki artykuł przez dwadzieścia minut. Czy to możliwe, aby Peter wiedział, że coś podejrzewam? Na pewno tak. Przecież nie byłam sobą. Potem znowu pomyślałam: „A może on jest niewinny i nie rozumie, dlaczego zachowuję się wobec niego tak chłodno?”. Ogarnęło mnie poczucie winy, miałam wrażenie, że staję się jakąś zwariowaną, cierpiącą na paranoję starą babą. Później zaczęłam się zastanawiać, dlaczego zdręczam się z powodu czegoś, co zrobił on, nie ja.



Wtedy nagle cała sprawa wydała mi się bardzo ważna, jakbyśmy byli już po pierwszym etapie znajomości, w stałym związku, i teraz należało pogodzić się przy drinku, zjeść pyszną kolację, a potem... pójść do łóżka. Byłam zdumiona tym, co wyczyniała moja wyobraźnia. Kilkakrotnie postukałam się w głowę. Pomyślałam, że muszę pamiętać podczas rozmowy z nim, by nie zachowywać się jak zdradzona, nie-dojrzała nastolatka. Właśnie pomyślało mi się: „Boże, jakie to wszystko popieprzone”, gdy w drzwiach stanął Peter.

Był w czapce bejsbolówce, odwróconej tyłem na przód, a na ramieniu miał przewieszoną kurtkę i sfatygowany worek gimnastyczny.

- Dylan czytał sobie głośno, a potem poprosił, żebym ja mu trochę poczytała, ale zasnął, zanim skończyłem pierwszy ustęp. - Wszedł do salonu i przysiadł na patykowatej poręczy ulubionego fotela Phillipa w stylu Ludwika XIV.

Prawie zapragnęłam, żeby poręcz złamała się pod nim i aby przez to miał wobec mnie jeszcze większe zobowiązania. Peter tymczasem strząsnął włosy z twarzy i siedział w milczeniu. Wyglądał, cholera, bardzo atrakcyjnie.

Rzuciłam mu lodowate spojrzenie.

Odezwał się po chwili niezręcznej ciszy:

- Wszystko w porządku? Co się dzieje?

- Może ty mi powiesz, Peter?

- Słucham? - Rozszerzyły mu się oczy.

Przez jedną cudowną chwilę myślałam, że może jest jednak niewinny, że nic nie zaszło pomiędzy luzakiem z Red Hook i zameżną damulką Ingrid Harris. Barbara musiała się mylić; przecież nie zrobiłby mi tego! Teraz pomyśli, że oszalałam. Nie chciałam go oskarżać i zobaczyć, jak śmieje mi się w twarz.

Powoli przerzucałam kartki gazety, którą miałam na kolanach, udając, że szukam czegoś bardzo ważnego. Potem przerwałam ciszę, pytając:

- Gracie dobrze się bawiła u Harrisów? Postanowiłam w tym momencie, że jeśli skłamię, wyrzucą

go z miejsca, a jeśli się wytłumaczy, dam mu szansę. Nie wiedział, że Gracie puściła farbę, w samochodzie.

- Tak... owszem, chyba tak.

- Gdyby dobrze się bawiła, wiedziałbyś o tym, prawda?

- Uhm. Na pewno. Akurat dziś byłem tam z Yvette.

- Kiedy dzwoniłam wcześniej, robiłeś wszystko, aby ukryć ten fakt.

- Nie kłamałem. Spieszyłem się, żeby zapakować wiolonczelę i resztę rzeczy dla dzieci. - Peter przemawiał do mnie, jakbym była jego dziewczyną, jakby wiedział, że czuję się zdradzona. Miałam wrażenie, że nie chce powiedzieć prawdy, aby mnie nie zranić. To było szaleństwo.

- Kto był tam jeszcze?

- Obie dziewczynki, oczywiście. Yvette i ich niania, Lourdes. No i Ingrid, to znaczy pani Harris, też... chyba... była przez chwilę.

Odchrząknął i wstał, przerzucając swój worek gimnastyczny z jednego ramienia na drugie.

- Przez chwilę? Ale ty się z nią nie widziałeś? Nie odpowiedział.

- Pytałam, czy widziałeś się z Ingrid, jak ją nazywasz.

- Tak. Jasne.

- Więc? Jak długo tam była?

Peter spuścił wzrok i zdjął bejsbolówkę, potem znowu usiadł, tym razem w fotelu, który stał najbliżej kanapy, tak że jego kolano znalazło się niebezpiecznie blisko mojego. Przeczesał palcami włosy. Miał na twarzy wypisane poczucie winy, był przybity, a jednocześnie nastawiony obronnie.

Barbara Fisher miała rację.

Po chwili milczenia, w którym trwaliśmy chyba z dziesięć minut, wyprostował się i spojrzał na mnie, mrużąc oczy. Odpowiedziałam takim samym spojrzeniem, starając się go przejrzeć i, wbrew nadziei, licząc na to, że źle go osądziłam.

- No dobra. Rzuciła się na mnie w bielizniarce, mówiąc mi, że nie ma na sobie majtek. Co miałem zrobić?

- To niemożliwe! - Gwałtownie wciągnęłam powietrze.

- Możliwe.

- U niej w domu? Z dziećmi za ścianą?

- Słowo skauta. Ale nie martw się, dziewczynki były pod opieką Yvette i Lourdes. A ja wcale jej nie zachęcałem. - Nie zabrzmiało to przekonująco.

Serce mi się ścisnęło. Spojrzałam w okno salonu, jakby szukając za nim pomocy.

- I co było potem? Oblał się rumieńcem.

- Nie będę wchodził w szczegóły. Ale mówię ci... ona mnie nie interesuje... To było tylko...

- Co masz na myśli, mówiąc „to”? - Próbowałam być stanowcza i dojrzała. Rzeczowa.

- Chcesz wiedzieć? Powiem ci, jeśli naprawdę chcesz, ale trochę mi niezręcznie.

Nie mogłam uwierzyć, iż Ingrid Harris powiedziała niańkowi, że nie ma na sobie bielizny. Byłam teraz na nią bardziej wściekła niż na niego.

- To znaczy my nie... Dałem się ponieść na chwilę, ale potem powiedziałem, że nie możemy tego zrobić. W żadnym razie. - Poprawił się na krześle, zadowolony z siebie.

- Więc to przerwałeś? - Boże, poczułam ulgę.

- No, wiesz, to nie jest łatwe dla faceta, gdy fantastyczna kobieta zaczyna się do ciebie...

- Uważasz, że jest fantastyczna?! - krzyknęłam, żałując tego natychmiast.

- Cóż... tak. Może trochę wyzywająca, ale to bardzo atrakcyjna kobieta. - Pokręcił głową, jakby Ingrid była jakąś pieprzoną boginią seksu.

- Nie wiem, Peter. Właściwie nie chodzi o nią.

- Przykro mi.

Nie mogłam mówić. Z tych wszystkich tyrad, jakie sobie przygotowałam, nie przychodziło mi do głowy ani słowo.

- Ja naprawdę się z nią nie przespałem. - Widział, jak bardzo jestem zraniona. - I obiecuję ci, że już zawsze będę z tobą szczerzy.

„Jestem mężatką! - chciałam zawołać. - Nie czuję się zraniona! Nie jestem twoją dziewczyną!". Zamiast tego jednak zaczerpnęłam powietrza i powiedziałam:

- Myślisz, że to było odpowiedzialne zachowanie? Miałeś przecież opiekować się dziećmi.

- Powiedziałem ci już, że Yvette i Lourdes grały z dziewczynkami w Candy Land. Gracie nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Tu jest jak w Wersalu, te wszystkie służące krzątające się dookoła... Nie róbmy z tego od razu...

W końcu coś we mnie pękło.

- Nie róbmy czego?! - wrzasnęłam. - Według ciebie nic się nie stało? Nic, Peter? Pieprzysz się z zamężną kobietą w środku dnia, w czasie, gdy jesteś w pracy, i uważasz, że nic się nie stało?

- Nie twierdzę, że to nie było niestosowne, ale przecież nie zostawiłem na kuchence hamburgerów, od których spalił się dach kuchni! Dzieci nie wywieszały się też z okna na Park Avenue! - Wstał i zaczął krążyć po pokoju. - Dobra, jakaś twoja zwariowana znajoma, nawiasem mówiąc, totalna modliszka - a nie zapominajmy, że się z nią przyjaźnisz! - wciąga mnie do bieliźniarki, żeby się trochę poobściskować. Bo tak właśnie było. Nie uprawiałem z nią seksu. - Zabrzmiało to zupełnie jak tłumaczenia w stylu Billa Clintona.

- I to było wszystko, tylko obmacywanki? Jesteś pewien? -O Boże!

Wciągnął głęboko powietrze.

- Uhm. - Pauza. - Zasadniczo tak.

Następny tydzień nie należał do łatwych. Goodman był niemożliwy, patrzył mi na ręce przy każdym posunięciu. Ja z kolei patrzyłam na ręce naszemu niańkowi. Kiedy Peter dzwonił i mówił, co robi, zawsze pytałam, kto jest z nim. Gdy próbował skrócić dzielący nas teraz dystans, mroziłam go. A kiedy rzucał jakiś żart, przyjmowałam go z kamienną miną. W rozmowach ograniczałam się do spraw organizacyjnych. Ciężki był zwłaszcza czwartek, ponieważ Peter stał się wobec mnie opryskliwy. I wtedy zaczęłam zastanawiać się nad swoim zachowaniem; nie chciałam, żeby odszedł. Byłam więc szczególnie roztargniona, kiedy poszłam powiedzieć Dylano-wi „dobranoc”. Na jego włosy i książkę, którą trzymał, padało jasne światło lampki nocnej, a reszta pokoju pogrążona była w ciemnościach. Czytał *Eragona*.

- Cześć, mamuś. Jesteś nareszcie - powitał mnie. Dochodziła dziewiąta. Przez cały tydzień pracowaliśmy

z Goodmanem do późna, zastanawiając się, jak zmontować materiał. W końcu udało mi się wyrwać wcześniej, żeby zajrzeć do syna, zanim zaśnie.

Mój aniołek. Podeszłam do łóżka i usiadłam przy Dylanie.

- Wyglądasz na zmęczoną - powiedział. Odgarnęłam mu włosy z czoła i odłożyłam książkę na stolik. Dylan wsunął się głębiej pod kołdrę i ułożył głowę na poduszce.

Wyłączyłam lampkę i łagodnie przypomniałam:

- Czas spać.
- Miałem dużo lekcji do odrobienia.
- Peter ci pomógł? Zrobiłeś wszystko?
- Uhm.
- To dobrze.
- Kiedy wraca tatuś?
- Mówiłam ci, że przez dwa tygodnie prawie go nie będzie. Przyleci do domu tylko parę razy, nocnym lotem. Będzie spał, kiedy obudzisz się w sobotę rano.
- Dlaczego nie jesteś więcej w domu, gdy jego nie ma?
- Przygotowuję program, kochanie. Bardzo ważny program dla telewizji. Opowiadałam ci o tym. Niedługo skończę.
- Uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo.
- Naprawdę. Obiecuję.
- Peter i ja uśmialiśmy się dziś wieczorem z Craiga.
- A co takiego zrobił Craig?
- To długa historia. Dobra, przede wszystkim wczoraj, kiedy przyszedł do szkoły...
- Może nie zachowałam się jak Matka Roku, bo znowu myślami powędrowałam do Petera.
- ...i wtedy powiedział Douglasowi Woodowi, że nie chce iść na jego przyjęcie w kręgielni w Chelsea Pierś, i to było...
- W ciągu jednego wieczoru moje życie zamieniło się w scenariusz *Gotowych na wszystko*. Znajoma z sąsiedztwa robiła laskę facetowi, który uprawiał mój ogródek, i nienawidziłam jej za to. Nie mogłam pozbyć się uczucia, że Peter mnie zdradził.
- Słuchasz, mamuś? Jonathan powiedział, że przyjęcie Douglasa było do dupy, masz pojęcie? Użył tego słowa. Czy to nie świństwo?
- Tak, kochanie. I co ty na to?
- Peter nauczył mnie, jak zachować się w takiej sytuacji. -Mój mały sarkastyczny synek uśmiechnął się mimo woli. - To już dla mnie nie problem. Więcej nie musisz wiedzieć.

Dziesięć minut później niechcący zaskoczyłam Petera, który właśnie zaglądał do lodówki, zastanawiając się, co miałby ochotę zjeść.

Odwrócił się szybko.

- Hej! Mówiłaś, że w tym tygodniu będziesz późno wracać z pracy.

- Goodman musiał dzisiaj wyjść wcześniej.

Rzuciłam na kanapę moją przepastną torbę, zaczęłam z niej wyjmować kasety i ustawiać je na stole.

- Gdybyś mnie uprzedziła, nie kładłbym jeszcze dzieci spać, choć maluchy były już zmęczone.

- W porządku, Peter. Wszystko, do cholery, w najlepszym porządku, rozumiesz? - Nie mogłam się opanować. Moja złość była wprost namacalna. Przyłożyłam obie ręce do piersi, żeby uspokoić serce, bo czułam, że zaraz wyjdzie ze mnie jakiś potwór jak w *Obcym*. Wyjęłam stenogram wywiadu i walnęłam nim o stół.

- Hola, hola — zaprotestował Peter.

- Co za „hola”?

- Po prostu hola. - Przez chwilę milczał, nalewając sobie soku pomarańczowego przy kontuarze. - Powiedziałem, że cię przepraszam.

- Po prostu mam dość tego wszystkiego.

- Czyżby? Czego konkretnie?

- Na przykład twojego podejścia do tej całej sprawy. Oczywiście, nie przeszkadzało ci, że Ingrid jest mężatką. O tym nawet nie wspomniałeś.

- Daj spokój. Z reguły nie zadaję się z mężatkami.

- Ingrid jednak jest zamężna, czyli raz się zadałeś.

- Dobra. - Kopnięciem zamknął lodówkę. - Chciałem powiedzieć, że nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło.

Popatrzyłam na niego podejrzliwie.

- Chodzi mi o to, że kobiety zazwyczaj nie są takie agresywne. Byłem zaszokowany. Naprawdę zaszokowany i zupełnie wytrącony z równowagi. Dosłownie, jeśli chcesz wiedzieć.

- Nie chcę znać detali. - To było kłamstwo. Wbrew sobie, desperacko pragnęłam poznać wszystkie detale.

W głowie bezustannie odtwarzałam własną filmową wersję tego zdarzenia: Ingrid robi jedną z tych swoich prowokacyjnych uwag, a on zaczyna się śmiać. Klepie ją w ramię i nie cofa ręki. Wtedy ona na środku korytarza przytula się do niego i zaczyna ssać płatek jego ucha. On doznaje wzrodu i zaciąga ją do bieliźniarki. Pragnie jej tak, jak nigdy nie pragnął mnie.

- Posłuchaj, wiem, że popełniłem błąd, ale ona mnie sprowokowała. Naprawdę bardzo mi przykro. Postąpiłem głupio, ale to nie było wymierzone przeciwko tobie. To zupełnie niezależna sprawa. Nie ma żadnego związku z tobą i ze mną.

„Z tobą i ze mną”. On i ja. Nie mogłam uwierzyć, że to powiedział, ale odmówiłam sobie przyjemności, jaką mogły sprawić mi te słowa. W przeblyskach racjonalnego myślenia uznawałam fakt, że ten mężczyzna żywi wobec mnie ciepłe uczucia, nawet podziw, jednak ani przez sekundę nie wyobrażałam sobie, że mogę wzbudzać w nim namiętność. Próbowалаm też wmówić sobie, że mój pociąg do Petera wynikał z pewnego kryzysu w rodzinie Whitfieldów, że moje uczucia wobec niego nie miały podstaw organicznych, naturalnych, lecz były raczej symptomem pewnych niedostatków w życiu.

- Tylko nie myśl, że coś do niej czuję! - dodał.

- Jesteś dorosłym facetem, więc trudno sobie wyobrazić, że się w niej zadurzyłeś czy coś takiego.

- Mówię ci, to nie była sytuacja, w której łatwo powiedzieć „nie”. Byliśmy w jej domu, w bieliźniarce, a ją jakby ogarnął szal.

Spojrzałam mu w twarz i wykrzyknęłam:

- Co ją ogarnęło?!

- Może byś dała spokój? Przez cały tydzień zachowujesz się wobec mnie lodowato. Postaraj się zrozumieć moje położenie: byłem tak zaszokowany, że nie potrafiłem właściwie zareagować.



- Nie chcę tego znowu słuchać.
- Świetnie, ja też wolałbym już o tym nie mówić.

Wziął drugą szklanke, nalał wody mineralnej i podał mi ją. W tych okolicznościach był to dość chłodny gest.

- Sprawiasz wrażenie zranionej - zauważył.
- Zwariowałaś?
- Więc nie jesteś zraniona?
- Nie, nie jestem. Tylko tu pracujesz.

Uderzył pięścią w ścianę i powiedział sarkastycznie:

- Tylko tu pracuję. Tak, rzeczywiście, to jedynie praca. Nie chodzi o nic innego jak tylko o to, że pracuję u ciebie. -Mógł podnieść głos, zarzucić mi, że gram nie fair, i wybiec. Jednak nie zrobił tego, nie zniżył się do rynsztoka. Rozbroił mnie natomiast, pstrykając palcami i mówiąc: - Nieźle ci idzie, moja pani. Ale nic z tego. To nie jest tak, że tylko u ciebie pracuję. Nie dam sobie czegoś takiego wmówić.

- Dobrze, nie ma sprawy. Nie jesteś tylko...

- Kim? No powiedz. — Postukał stopą o podłogę, uśmiechając się lekko.

- Wiesz kim, Peter.

- Kim? Niańkiem?

- Nie.

- Więc powiedz kim - zażądał.

- Co mam powiedzieć?

- Spójrz na mnie i powiedz: „Nie jesteś tylko niańkiem, Peter”.

- Nie.

- Musisz to zrobić. Brzydko się zachowałaś. I zdajesz sobie z tego sprawę. Tylko w ten sposób ci odpuszczę.

- Co, do diabła?! Kto ma tu komu odpuszczać? To ty wylądowałaś w bieliźniarce Ingrid.

- Powiedz to.

Czułam, że się rumienię, i usiłowałam powstrzymać nerwowy śmiech.

- To głupie.

- Przecież możesz powiedzieć. Proszę.

- No, dobrze. - Przewróciłam oczami. - Nie jesteś tylko niańkiem.  
- Uff. - Wierzchem dłoni dramatycznie otarł brew. Przez chwilę oboje milczeliśmy, uświadamiając sobie, że wyszliśmy poza sprawę Ingrid i jesteśmy... cóż, przyjaciółmi.  
- Ta cała sytuacja jest trochę dziwna - powiedziałam.  
- Wiem. Była naprawdę dziwna. Uwierz mi. - Jego urok działał na mnie wręcz hipnotycznie.  
- To moja znajoma. I lubię ją. Nawet bardzo.  
- Wiesz co? - Machnął rękami w powietrzu. - Ja także lubię Ingrid. Bawi mnie. Ale nie podoba mi się ten rodzaj... Nigdy nie dawałem jej niczego do zrozumienia.

Muszę przyznać, że była jeszcze jedna paskudna sprawa, którą chciałam załatwić.

- Ona cały czas oszukuje Henry'ego.  
- To mnie nie dziwi. Z całą pewnością to nie było dla niej nic wielkiego, żaden nadzwyczajny postępek.  
- Naprawdę cały czas. Ustawicznie go zdradza.  
- Cóż, biorąc pod uwagę, jaka była agresywna...  
- Sypia z tym potężnym trenerem z Panamy. A może i z innymi. Zbladł, gdy to do niego dotarło. I już nic nie powiedział.

Moja strategia zadziałała. Goodman nauczył mnie różnych sposobów zdobywania informacji. Nie trzeba zadawać pytań wprost, żeby poznać odpowiedź. Możesz wypowiedzieć zdanie twierdzące i zobaczyć, jak ktoś na nie zareaguje. A reakcja Petera wystarczyła za tysiąc słów; nie ma nic bardziej żalosego niż mina mężczyzny, który zaczyna się orientować, że może jego fiut nie jest taki duży jak innych facetów.

Jak odpowiedział, kiedy zapytałam go w minionym tygodniu, czy był to tylko pocałunek? „Zasadniczo tak”. Dobra. Uwierzyłam, kiedy zaklinał się, że z nią nie spał, jednak wiedziałam, że to, co się między nimi zdarzyło, wykraczało poza pocałunek.

W pewnym sensie zwycięska, w innym pobita, zakończyłam walkę.

- Jak się dzisiaj sprawował Dylan? - spytałam.

- W porządku. Praca domowa odrobiona. Naprawdę dobrze się złożyło, że przyszłaś, zanim zasnął.

Wyczułam w jego głosie nacisk, pragnienie, by dać mi do zrozumienia, że Dylan potrzebuje uwagi rodziców. Jego intensywne spojrzenie zbiło mnie z tropu. Może było mu przykro, że zagrałam na naszych relacjach pracodawca-podwładny, a może chciał jeszcze raz wyrazić przeprosiny. Albo, co bardziej prawdopodobne, pragnął zasygnalizować, że jego penis nie jest całkiem mały.

- Co się stało? - zapytałam.

- To, co powiedziałem: że Dylan ucieszył się z obecności mamy - odpowiedział. - A teraz chyba się będę zbierał.

- Dlaczego?

- Cóż, skoro tu tylko pracuję... - Postukał palcem w tarczę zegarka. - Już po godzinach. Fajrant.

- Nie musisz się spieszyć, jasne? - Tym razem się uśmiechnęłam. Napięcie zniknęło. Chyba.

Wyjął więc colę z lodówki, a potem usiadł na kanapie. Na stoliku przed nim leżały kasety i materiały związane z wywiadem.

- To kiedy przeprowadzacie z nią wywiad?

- Już to zrobiliśmy.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- To tajemnica. Więc zachowaj tę informację wyłącznie dla siebie.

- Oczywiście. Jadłaś kolację? Zamierzałem odgrzać sobie trochę curry, zanim wrócę do domu. Masz ochotę?

- Nie, ale posiedzę z tobą. Za chwilę wrócę - powiedziałam.

Zebrałam kasety oraz notatki i zaniiosłam je do gabinetu. Kiedy wróciłam, Peter stawiał na stole dwie parujące porcje curry.

- Zjedz, bo za bardzo schudniesz od tej pracy.

Dobra nasza! Może jednak podoba mu się moja pupa, jeśli nawet nie może równać się z tyłkiem Ingrid.

- Więc...?

- Tak...?-odpowiedział pytaniem.

Teraz, gdy przyznałam, że jest kimś więcej niż tylko niańkiem, zrobiła się z naszej rozmowy jakby randka w ciemno.

- Opowiedz mi wszystko o swoim programie - poprosiłam.

Wyprostował się na krześle, muskając mnie przy tym niechcący kolanem. To było jak wstrząs elektryczny. Cofnęłam nogę, uderzając nią o poprzeczkę stołu.

- Au! - jęknęłam.

- Przepraszam. Nie przystawiam się do ciebie, uwierz mi. - Uśmiechnął się szeroko.

Usiłowałam to zignorować.

- Niektórzy moi sponsorzy wycofali się. Przetestowałem program online na każdej przeglądarce i na każdym pececie, do jakiego tylko miałem dostęp. Kiedy jednak chciałem przedstawić demo w gabinecie inwestora, zablokował mnie program antywirusowy. Spróbowałem jeszcze raz, gdy facet czekał, ale nic z tego nie wyszło...

Próbowałam wykazać zainteresowanie szczegółami technicznymi i nie myśleć o tym wszystkim, co mnie rozpraszało, na przykład o moim wywiadzie i o penisie Petera w ustach Ingrid.

Kolacja dobiegła końca. Tego wieczoru czekało mnie jeszcze dużo roboty. Musiałam więc napić się kawy.

- O tej porze parzysz kawę? - zapytał Peter. - Nie powinnaś iść spać?

- Położę się późno, bo muszę jeszcze raz obejrzeć ten wywiad. Chcę prześledzić go w spokoju i ciszy, gdy nikt mi nie będzie przeszkadzał, żeby potem napisać scenariusz. Zawsze robię to w domu. - Wyjęłam z torebki notatnik. - Cholera!

- Co się stało? - Peter podszedł do kontuaru. Poczułam ciepło jego ciała.

- Mój stoper... Należał do dziadka. Zgubiłam go w zeszłym tygodniu, myślę, że w taksówce czy coś takiego. Nie

cierpię mierzyć czasu na zwykłym zegarku, bo wskazówka sekundowa w ogóle się nie zatrzymuje. Masz może stoper?

-Wyrzucałam z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego, zaniepokojona faktem, że nasza znajomość przeszła na inny etap, i przestraszona - a może pełna nadziei - że dotknął nogą mojego kolana.

- Nie, u mnie też wskazówka się nie zatrzymuje.

- Szkoda. - Usiadłam znowu, nagle zmęczona tym wszystkim: wywiadem, małżeństwem, dziećmi, Peterem i tą wredną, napaloną Ingrid.

- Powinnaś trochę odpocząć - orzekł Peter.

- Nie mam czasu.

- Zabiorę cię gdzieś. Jutro możemy pójść na spacer do parku albo wybrać się do jakichś galerii przy Madison Avenue. Albo do muzeum - proponował. - Zarezerwuj sobie godzinę na jakimkolwiek zegarku i odpuść sobie wszystko na ten czas. Praca pójdzie ci potem łatwiej.

Wyobraziłam sobie pójście z nim na spacer, tylko z nim, bez dzieci, i pierwsze, co przyszło mi do głowy, to myśl, że na pewno natknijemy się na kogoś, kto źle zinterpretuje tę sytuację. To nie był dobry pomysł.

- A tymczasem pozwól, że obejrzę z tobą te taśmy - powiedział.

- Och, daj spokój, Peter. To naprawdę paskudna historia, nie warto, żebyś tracił czas.

- Do diabła, warto. Dużo wiem o Hartleyu. Nie zapominaj, że mój ojciec to zaciekły prawnik. Znam ludzi ich pokroju.

- Peter, jesteś jedną z nielicznych osób, które wiedzą o istnieniu tej kasety. W ogóle nie powinnam ci była o mej mówić.

- Jak mógłbym o niej nie wiedzieć? Praktycznie tu mieszkam, pamiętasz? Jak powiedziałaś, pracuję u ciebie. Możesz mi zaufać. Wiesz o tym. To znaczy poza tą sprawą wiesz z kim, jestem raczej godny zaufania. - Uśmiechnął się.

Byłam naprawdę wykończona. I mimo wszystko ufałam mu.

- Dobra, myślę, że możesz obejrzeć ze mną te taśmy, ale wobec tego mam dla ciebie zadanie. Oglądaj to jak zwykły widz, normalny facet. I powiedz mi, co myślisz o tej kobiecie.

Poszliśmy do gabinetu. Włączyłam kasetę i ulokowałam się na kanapie z notatnikiem na kolanach jak dziewczyna z college'u, która zamierza uczyć się przez całą noc. Peter usiadł w fotelu po drugiej stronie pokoju. W pierwszych minutach wywiadu pociągnęłam łyk kawy.

- To na razie dość nudna część, bo dopiero zaczęliśmy rozgrzewkę.

Było to ostatnie, co pamiętam, bo zaraz zasnąłam. Kiedy obudziłam się o trzeciej nad ranem, zobaczyłam, że kubek zniknął, a ja byłam okryta kocem. Światła zostały wyłączone, telewizor także.

Po następnych czterech godzinach snu w końcu poczułam się spokojna i byłam w stanie trzeźwo myśleć. Mogłam obejrzeć kasety później i wtedy zastanowić się nad nimi. Widziałam je zresztą już z dziesięć razy. W tej chwili byłam przede wszystkim oczarowana troską, jaką Peter okazał mi zeszłego wieczoru. Przeszliśmy na nowy etap znajomości i zostaliśmy przyjaciółmi. Mogłam zapomnieć o jego przygodzie z Ingrid. Oczywiście, był atrakcyjny i niebezpiecznie dałam się ponieść zazdrości, ale to już za mną. Jasne, że tak.

Uznałam, że teraz muszę albo naprawić swoje małżeństwo i nauczyć się żyć z dziwactwami Phillipa, albo w końcu się z nim rozejść. Na razie byłam jednak daleka od rozstrzygnięcia tej kwestii. Udało mi się namierzyć polityczną sensację roku i miałam trójkę zdrowych dzieci. Byłam szczęściarą i wiedziałam o tym.

O dziewiątej poszłam do kuchni, zrobiłam sobie śniadanie i zaparzyłam kawę. Carolina zabrała już Dylana i Gracie do szkoły. Po chwili przyraczkował Michael, wspiął się na ławę obok mnie i zabrał się do wyjadania jagód z mojej miski. Przytuliłam go mocno. Zaczął miedlić w buzi rogalik, wsadził mi rączkę do szklanki z sokiem pomarańczowym i zaśmiał się

radośnie, kiedy udawałam, że chcę odgryźć mu paluszki u stóp. Pocałowałam go w główkę i lepiące się od soku tłusciutkie łapki.

Drzwi frontowe otworzyły się i zatrzasnęły. Peter. W ciemnym golfie. Nigdy wcześniej nie miał go na sobie. Wyglądał rewelacyjnie. Tyle, jeśli chodzi o mój dopiero co odzyskany spokój i trzeźwość umysłu.

- Przyszedłeś co najmniej parę godzin za wcześniej.

- Miałem nadzieję, że złapię cię przed wyjściem.

- Chyba nie obejrzałam tych taśm do końca, ale cieszę się, że wreszcie udało mi się wyspać. - Ugryzłam duży kęs angielskiej bułeczki. - Przepraszam, zdaje się, że zasnęłam zaraz po włączeniu kasety. Może lepiej zresztą, że nie obejrzałeś tego wywiadu. W zasadzie nie wolno mi go pokazywać nikomu. A przy okazji, dzięki za koc.

- Widziałem ten wywiad. Spojrzałam na niego z przestraczem.

- Tak? Kiedy spałam?

- Uhm.

„Czy chrapałam? - przyszło mi do głowy. - A może zaśliniłam przy nim poduszkę?”

- Peter, nie powinieneś był tego robić.

- Chciałem cię zapytać o pozwolenie, ale spałaś jak kamień. Naprawdę jak kamień. - Usiadł przy mnie. Miał poważną minę.

- Spałam przez cały czas?

- Wyglądałaś jak Śpiąca Królewna.

Poczułam się trochę tak, jakbym była naga, jakby przypadkiem zobaczył mnie w bieliźnie, chociaż chybaby mi to szczególnie nie przeszkadzało, zwłaszcza że światło było korzystne.

- Musimy porozmawiać. O Theresie. Nie spodoba ci się to, co powiem.

- Tak? Jakoś to przeżyję. Znudzileś się? Wywiad nie jest ciekawy?

- Obejrzałem go z wielkim zainteresowaniem.

Uśmiechnęłam się.

- To świetnie. Należysz do naszej grupy docelowej. Mężczyźni między osiemnastym a czterdziestym dziewiątym rokiem życia. Duża forsa za reklamy. Od zwolenników republikanów. Cieszę się. Co za ulga! - Ugryzłam kolejny duży kęs bułeczki z jajecznicą.

- Za wcześnie na ulgę.

- Dlaczego?

- Bo z tą Boudreaux jest coś nie tak i nie chce mi się wierzyć, że nie zwróciłaś na to uwagi.



- To te potencjalne sondaże. To one zniekształcają twoją ocenę.

Michael chwycił moją łyżeczkę i machając nią, pacnął sobie jajecznicę na koszulkę. Trzymając go za rączkę, sięgnęłam za siebie i wzięłam z kontuaru jego ulubiony wóz strażacki.

Peter nie miał pojęcia, o czym mówi, co tylko mi przypomniało, jak potrafi być uparty. Miałam mu za złe, że wtrąca się w nie swoje sprawy, i szczerze mówiąc, to uczucie niechęci przyniosło mi dziwną ulgę. Łatwiej było mi się skupić na jego arogancji niż na własnych niepokojących uczuciach z poprzedniego wieczoru.

- Peter, chętnie wysłuchałabym twojej opinii na ten temat, naprawdę, ale muszę zająć się Michaeliem.

- A może dałaś się omotać Goodmanowi?

- O czym ty mówisz?

- Dobra. Zajmij się Michaeliem. Poczekam przed drzwiami i odprowadzę cię kawałek. - Nie dał się zniechęcić. - Pogadamy po drodze.

Pomogłam Michaelowi znaleźć na dnie szafy w holu ukochaną zabawkę, odkurzacz z okropnie denerwującymi kolorowymi piłeczkami, które podskakiwały w strumieniu wydmuchiwanego powietrza. Zataczając z odkurzaczem kółka, mój synek zaczął wydawać warkot, plując trochę przy tym. Zerk-

nęłam na siebie w lustrze. Miałam na sobie czekoladowy golf z kaszmiru, obcisłe džinsy i buty na wysokich obcasach.

Yvette, która stała przy drzwiach i próbowała zwrócić uwagę Michaela na prażoną właśnie w kuchni kukurydzę, żeby nie płakał, kiedy będę wychodzić, zauważyła, że patrzę na siebie w lustrze. Potem zobaczyła, że Peter z galanterią otwiera mi drzwi, i spojrzała na mnie z dezaprobatą. Może zaczynałam świrować? A może nie? Pochyliłam się i pocałowałam Michaela, przytuliłam go mocno i spojrzałam mu w oczka.

- Mamusie zawsze wracają do domu.

Pokiwał główką, ale dolna warga zaczęła mu drżeć.

- Kocham cię, Michael. Jesteś moim maleństwem. Zawsze będziesz maleństwem mamusi.

Chwycił mnie za rękaw płaszcza.

- Popcorn? Chcesz prażyć popcorn?

Oczy mu się rozjaśniły. Yvette uniosła go jak samolocik i odwróciła się w stronę jego pokoju. Przed wyjściem ściągnęłam podkolanówki i rzuciłam je na kanapę w holu. Ingrid powiedziała mi kiedyś, że cała rzecz w gołych stopach, nawet w środku zimy.

- Jest zimno - zauważył Peter.

- Wiem.

Zanucił pod nosem melodię piosenki *Ci ludzie są totalnie zbzikowani* i wskazał mi drzwi. Kiedy przechodząc, otarłam się o niego, poczułam wyraźne piknięcie w sercu, więc w windzie usiłowałam skupić się na myśli, że po emisji wywiadu z Theresą możemy zostać pozwani do sądu przez Republican National Committee.

Kiedy wyszliśmy z budynku, wciągnęłam w płuca rześkie grudniowe powietrze. Jeszcze nie spadł śnieg, dzień był suchy i pogodny. Uwielbiałam Nowy Jork przed nastaniem chłodu, kiedy wszyscy mają jeszcze w pamięci lato. Uświadomiłam sobie nagle, że być może to ostatni taki ładny dzień przed nadejściem prawdziwej zimy, gdy na ulicach zalegnie brudna śniegowa breja.

Luis siedział już w samochodzie, czekając na mnie.

- Hej, facet - powiedział do niego Peter, pukając w szybę wozu. - Pani nie potrzebuje cię dziś rano.

- Tak, ja tak - odparł na to Luis.

- Nie - rzekł Peter i dodał: - Zrobimy sobie spacer po parku.

Zobaczyłam panikę na twarzy Luisa. Spojrzał na mnie z miną mówiącą: „Ja nie słuchać tego faceta. Ja słuchać ciebie!”.

- Peter, nie możemy iść teraz do parku. - Starłam się mówić zirytowanym tonem, ale przyjrząwszy się ciemnemu wełnianemu golfowi, który Peter miał na sobie, uznałam, że pasuje do jego niebieskich oczu. Wyglądał niepokojąco atrakcyjnie w dżinsach, ciemnobrązowych butach z wysoką cholewką i brązowej kurtce lotniczej. Zaczęłam sobie powtarzać: „Weź się w garść. To nianiek, na miłość boską! Przestań zwracać uwagę, jak wygląda. Jesteś mężatką. To śmieszne, że w ogóle trzeba ci o tym przypominać”.

- Hej... nie jestem pewien, czy będę mógł dalej dla ciebie pracować, jeśli nie poświęcisz czterdziestu pięciu minut swojego cennego czasu i nie pójdziesz ze mną. - Uśmiechnął się.

Nie mogłam nic na to poradzić, ale przypomniał mi się mój chłopak z college'u, pierwszy facet, z którym poszłam do łóżka. Miał łobuzerski uśmiech, pod wpływem którego w jednej chwili potrafiłam rzucić książki.

- Żartujesz, prawda?

- Nie, wcale nie.

Była dziesiąta czterdzieści pięć. Spotkanie w sprawie The-resy miało się zacząć dopiero o pierwszej, ale musiałam się jeszcze przygotować. Patrząc na swoje odbicie w szybie samochodowej, pociągnęłam usta szminką. Wyglądałam tak świetnie, że nie mogłam się na siebie napatrzeć.

- Zamknęliśmy tę sprawę. Czy to jasne? Nie chcę do niej wracać.

- To nie ma nic wspólnego z Ingrid. Naprawdę. Chociaż tego nie lubiłam, nieraz już improwizowałam na

spotkaniach. Wszystkie pracujące matki muszą się tego nauczyć.

- Oby to było coś ważnego. - Wsunęłam głowę w okienko samochodu. - Luis, poczekaj tu na mnie. Wkrótce wrócę i pojedziemy do pracy.

Peter tymczasem wyjął coś z bagażnika suwa. Wrócił na chodnik z kocem przeciwpożarowym w jednej ręce i moimi botkami na kozuszkach w drugiej.

- Zdejmij te głupie buty na obcasach i włóż te, będzie ci wygodniej.

- Nie.

- Choć raz przestań dyskutować. Ty razem ja tu rządę.

- Dobra. - Wsunęłam stopy w ciepłe boty i wzięłam telefon komórkowy.

- Telefon nie będzie ci potrzebny.

- Będzie. Mam dzieci i pracę. - Schowałam aparat do kieszeni.

Weszliśmy do parku bramą przy Seventhy-sixth Street.

- Dokąd idziemy?

- Na spacer.

- Peter!

- Stawiamy jedną stopę za drugą.

- Dokąd idziemy?

- Idź przed siebie, na razie świetnie sobie radzisz. Przyglądał mi się kątem oka, gdy szliśmy w milczeniu.

Nie lubiłam być zaskakiwana, wolałabym znać plan gry, ale dzień był fantastyczny i cieszyłam się, że jestem z Peterem.

Wkroczyliśmy na ścieżkę wiodącą w dół, ku jakiemuś zbiornikowi wodnemu. Słońce przeświecało przez dęby i odbijało się od lustrzanych drapaczy chmur otaczających park. Nawet rano wokół sadzawki tętniło życie: niańki na ławkach, kołyszące do snu dzieci w wózkach i plotkujące ze sobą, starsza pani w wielkim kapeluszu przeciwsłonecznym i meksykańskim poncho, siedząca przy sztalugach i malująca na płótnie pejzaż, grupa starszych panów w wysłużonych teni-

sówkach marki Top-Sider, którzy puszczali modele łódek na wodzie. Znalazłszy się po północnej stronie sadzawki, zatrzymaliśmy się przy Alicji w Krainie Czarów. Trudno było nie ulec urokowi jej wykonanej z brązu nadnaturalnej wielkości postaci, siedzącej na wielkim grzybie w towarzystwie Marcowego Królika i Szalonego Kapelusznika. Zawsze, gdy przychodziłam do parku, widziałam dzieci wspinające się na ten pomnik.

- Jest coś, czego ci dotąd nie powiedziałem.

- Co takiego? Jesteś gejem? - Jak mogłam palnąć taką głupotę! Skąd mi się wzięła ta myśl?

- Raczej nie.

- No to o co chodzi?

Lekko położył mi dłoń na plecach, żeby skierować mnie na ścieżkę rowerową, która wiała się po wzgórzu przed nami. Ściągnęłam łopatkę. „Przestań, Jamie - powiedziałam sobie. - Zachowujesz się jak smarkata. Twój mąż, ciężko pracujący i generalnie przyzwoity człowiek, to szanowany prawnik, który zarabia ponad milion dolarów rocznie. Masz troje dzieci. Peter ma sześć lat mniej niż ty, to praktycznie jeszcze młokos. Ty jesteś dorosłą kobietą. Trochę się zadurzyłaś, bo jest uroczy, a Phillip nie należy do osób serdecznych. Jednak to, co ci chodzi po głowie, jest destrukcyjne i złe. Jak narkotyk. Więc przestań. I to już”.

- To zdarzyło się w trzecim czy czwartym tygodniu mojej pracy u was. Był chłodny dzień, a my z Dylanem wypożyczyliśmy model łódki, żeby urządzić sobie mały wyścig. Nie było wiatru. Łódka ani drgnęła. Więc Dylan wyciągnął rękę i wpadł do tej ohydnej sadzawki.

- O mój Boże! Uderzył głową o dno? Mógł dostać zapalenia wątroby!

- Możesz się odprężyć? To było dość zabawne. Obaj uznaliśmy, że to świetna historia. Szczególnie że postanowiliśmy nic ci o tym nie mówić.

- Chyba cieszę się, że nie powiedzieliście.

- No, bo mogłabyś opuścić jakieś zaznaczone na kolorowo spotkanie czy coś takiego.

- Bardzo śmieszne. Nie jestem aż tak beznadziejna.

- Nie, nie jesteś.

Te słowa wisiały w powietrzu, gdy szliśmy w głąb parku. Co miał na myśli? Że nie jestem aż tak beznadziejna, czy że jego zdaniem wcale beznadziejna nie jestem?

Wędrowaliśmy krętym chodnikiem z szarych popękanych płyt przez cienistą, nachyloną polanę, mijając biegaczy uprawiających jogging i spacerujących starszych ludzi. Przeszliśmy pod łukiem, którym przebiegała droga; niemłody czarny mężczyzna grał tam na trąbce *Summertime*, a przed nim leżał otwarty futerał. Gdy przechodziliśmy, Peter wrzucił doń garść drobnych.

Minęliśmy hangar dla łodzi, stojący na wzniesieniu nad jeziorkiem i mieszczący restaurację. Przed nim, jedna na drugiej, leżały kolorowe łodzie wiosłowe, spięte stalowymi łańcuchami. Wydało mi się dziwne, że moje dzieci mieszkają pół mili stąd, a ja ich nigdy tu nie przyprowadziłam. Obiecałam sobie, że przyjdę tu z nimi, gdy zamknę już sprawę wywiadu.

Przeszliśmy ścieżką przez polanę i znaleźliśmy się na brzegu rozległego stawu, zarosniętego wysoką trawą. Stojące na drewnianym pomoście dzieci karmiły rodzinę kaczek. Zerknęłam na zegarek i pomyślałam, że Goodman jeszcze jakiś czas poradzi sobie beze mnie.

- Boże, ale tu pięknie... Chciałeś mi pokazać to jeziorko?

- To nie jakieś tam jeziorko. Nazywa się Żółwi Staw i jest siedliskiem ptaków. Żyje tu ze sto pięćdziesiąt gatunków. Ale nie, to jeszcze nie jest cel naszego spaceru. - Wskazał dużą budowlę na stromym podejździe porośniętym krzakami, wiązami i wysokimi sosnami. - Idziemy tam. Do Belwederu.

Ruszyliśmy po stopniach wykutych w skale, która wyglądała jak stwardniała powierzchnia lawy. Potknęłam się, idąc za Peterem, a on, nie odwracając się, podał mi rękę. Instynktownie ją ujęłam, tylko na moment, żeby odzyskać równowa-

gę. Dłoń miał ciepłą i zanim puścił moją rękę, uściskał ją. Ten serdeczny gest powiedział mi wszystko, co chciałam wiedzieć i czego do tej pory nie chciałam dostrzec - że on też coś do mnie czuje.

Zatrzymał się przed wysoką drewnianą bramą, otworzył ją i wpuścił mnie do środka. Przeszliśmy przez pomieszczenie z zakurzonymi mikroskopami oraz przez korytarz, w którym wisały plansze przedstawiające liście poszczególnych gatunków drzew i ptaki migrujące, a potem pokonaliśmy trzy spiralne odcinki kamiennych schodów. Na szczycie widniały masywne drzwiczki z żelazną zasuwą, wbudowaną w betonowe sklepienie.

- Peter, zamknijcie!

- Pozwolisz, że się tym zajmę? To ulubione miejsce Dyla-na. Drzwi zawsze są zamknięte.

Zaparłszy się, odciągnął sworzeń zasuw, pchnął drzwi nogą i odsunął się na bok, żebym mogła wejść na najwyżej położony balkon Belwederu. Przed nami rozciągał się wspaniały widok: olbrzymi prostokąt Central Parku, sięgający aż do Harlemu na północy, a od wschodu i zachodu otoczony wieżowcami Manhattanu. Wyglądał jak scena operowa z wierzchołkami drzew na poziomie naszego wzroku i poszarpanym zarysem budynków Nowego Jorku.

- Nigdy tu nie byłam.

- Oczywiście.

- Co masz na myśli, mówiąc „oczywiście”? Przecież biegam po parku, ostatnio może niewiele, ale...

- Wiem, że od czasu do czasu maszerujesz wokół sadzawki, rozmawiając przez telefon, ale trudno powiedzieć, żebyś naprawdę doceniała urok tego zdumiewającego miejsca. Usiądź.

- Nie mogę. Zmoczę sobie spodnie.

- O tym właśnie mówię, moja pani!

Oboje zaczęliśmy się śmiać i Peter rozłożył na ławce koc. Byłam spięta z kilku powodów, ale głównie dlatego, że nie

wiedziała, co zamierza mi powiedzieć. Oparłam się łokciami o barierkę i spojrzałam w dół, na teatr Delacorte, gdzie tacy aktorzy jak Kevin Kline grywali role szekspirowskie. Zawsze chciałam pójść na któreś z tych przedstawień, ale Phillip nie miał ochoty wlec się przez pół parku do teatru na wolnym powietrzu. Objęłam spojrzeniem staw, szukając oznak życia. Wzdłuż brzegu grzały się w słońcu żółwie, które tkwiły na kamieniach jak pąkle na burcie statku.

- Poza tym chciałem znaleźć miejsce, gdzie nikt by nam nie przeszkadzał.

- Co się dzieje? Masz raka czy coś takiego? - Byłam już tak zdenerwowana, że nie wiem, skąd mi przyszło do głowy to nietaktowne pytanie.

- Możesz się wyluzować? Nie, nie mam raka.

„Dobra - pomyślałam. - To co takiego chcesz mi powiedzieć?”

Peter wyglądał na odprężonego, mnie natomiast serce biło tak mocno, że nawet zerknęłam pod płaszcz, aby zobaczyć, czy widać to przez sweter.

- Dylan i ja często tu przychodzimy.

- Naprawdę?

- No. Biedny chłopak nie wiedział nawet, że wilga baltimorska to ptak. Ten gatunek żyje wśród drzew nad stawem. Można tu wypożyczyć lornetkę i obserwować ptaki.

- To tym zajmujecie się w parku?

- Nie tylko. Przeważnie chodzimy do Harlem Meer i łowimy ryby.

- Łowicie ryby? W Nowym Jorku? Dlaczego nie mówiliście mi o tym?

- Bo dzieci muszą robić coś, o czym ich mamy nie mają pojęcia. Specjalnie ci nie mówiliśmy. Ale to jest właśnie jego ulubione miejsce. Temperatura w Central Parku, którą podają w radiu, jest mierzona właśnie na wieży Belwederu, tuż obok. Kiedyś z tym miłym strażnikiem przynieśliśmy tu drabinę. Dylan miał świetną zabawę. A ponieważ lubi słuchać o żyjących tu zwierzętach, zawsze zabieramy ze sobą lornetkę.



- Chcesz mi powiedzieć, że mój dziewięcioletni syn zajmuje się obserwacją ptaków?

Peter się roześmiał.

- Nie tylko. Obserwujemy też ludzi. Ale zwykle po prostu sobie siedzimy. Rozmawiamy. Myślisz, że my też możemy?

- Dobra. Postaram się wyluzować. Obiecuję. - Zaczepnęłam głęboko powietrza, żeby dodać sobie odwagi. Potem obróciłam się do niego. - Ale muszę wiedzieć, dlaczego mnie tu przyprowadziłeś.

Popatrzył mi w oczy. Przez chwilę miałam wrażenie, że chce mnie pocałować.

- Jamie...

O mój Boże! Zwrócił się do mnie po imieniu. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło. Pomyślałam, że zaraz mnie pocałuje. Co ja zrobię? O rany! Zamierzał pocałować mnie nianiek!

- Jamie...-powtórzył. Zbliżył się jeszcze bardziej.

- Jesteś pewna, że Theresa Boudreaux mówi prawdę?

- Jezu! Po to mnie tu ściągnąłeś?

- Ja...

- Tylko po to? - Poczułam się jak idiotka. - Już o tym rozmawialiśmy!

- Próbowałam wstać, ale chwycił mnie za ramię.

- Proszę.

- O co chodzi?

- Jeszcze nie skończyliśmy.

- Dobra. Co jeszcze chcesz mi powiedzieć?

- Już nic. Wycofuję się. Tak naprawdę przyprowadziłem cię tutaj, bo chciałem ci pokazać, jakie to ładne miejsce. - Wskazał duże drzewo w pobliżu, które dotykało gałęziami wieży Belwederu. Nie była to jednak dobra chwila na lekcję przyrody. - Spójrz, to jałowiec wirginijski, tam nad stawem stoi czapla modra, tu widać ptasie gniazdo, a tam boisko do bejsbolu. I jeśli odprężysz się na tyle, by to wszystko dostrzec, może i swoje sprawy zobaczysz w odpowiedniej perspektywie.

Wcale nie zamierzał mnie pocałować! Pewnie nawet nie przyszło mu to do głowy. Musiałam pożegnać się z żalną bajką, którą sobie wymyśliłam.

- Co masz na myśli, mówiąc „swoje sprawy”?

- Wszystko.

- W sferze osobistej czy zawodowej?

- Chodziło mi o twoją pracę, ale jeśli chcesz, możemy też pomówić o sprawach osobistych. Nawet cieszę się, że o to zahaczyliśmy. Ten twój mąż... To nie jest łatwy człowiek.

- Peter!

- Nie jest łatwy. Dzieci go kochają. To twój mąż. Ale moim zdaniem...

- Nie. Nie będziemy rozmawiać o Phillipie. - Zachowanie mojego męża było żenujące. Bałam się, że przez niego Peter straci dla mnie szacunek. Był to kolejny składnik mieszanki wybuchowej, jaką stanowiły moje emocje. - I jeśli sądzisz, że mi pomagasz, poruszając ten temat, to się mylisz.

- To miał być wyraz solidarności z tobą. Chciałem, żebyś wiedziała, że ja wiem.

- Pomówmy już raczej o sprawach zawodowych.

- Dobrze. Czyli o Theresie.

- Nie jesteś pierwszą osobą uważającą, że ona kłamie -przyznałam, usiłując zapanować nad targającymi mną uczuciami.

- Jestem naprawdę wzruszona twoją chęcią pomocy.

-Znowu spojrzałam na zegarek. Od dwóch godzin powinnam być w pracy.

- Nie chcę cię wzruszać. Niepokoję się jednak o ciebie. Za bardzo starasz się dostosować do innych, jak na przykład do tych dziwadł spod szkoły. Już o tym rozmawialiśmy.

- Owszem. Ale ja tak nie uważam.

- I za wszelką cenę usiłujesz zadowolić męża.

Powoli zaczynał mnie wkurzać, a poza tym przekraczał dozwolone granice.

- Kiedy jest się w związku małżeńskim, łatwiej podejmować próbę rozwiązywania problemów niż iść na wojnę. Któregoś dnia zrozumiesz to.

- Mówię tylko, że może być w tym pewna prawidłowość. Czy podczas pracy nad tym materiałem nie podporządkowujesz się za bardzo Goodmanowi? Jak myślisz?

- Koniec z tym! Przykro mi to mówić, ale jesteś naiwny. - Zranił moje uczucia. - I arogancki.

- Czyżby? Naiwny i arogancki?

- Oczywiście, że każdy się zastanawia, czy ona kłamie, czy nie! Nie bierzesz pod uwagę, że my wszyscy - ja, Goodman i całe kierownictwo - staramy się jednak zabezpieczyć sobie tyły? Poza tym każdy może opowiedzieć „swoją prawdę”, a publiczność sama zdecyduje, komu ma wierzyć. Najwyraźniej nie rozumiesz, że czasami jakaś historia wzbudza wielkie emocje i nie można potraktować jej obojętnie.

Odczuwałam płynącą gdzieś z trzewi potrzebę, by dowieść, że nie ma racji. Gdybym mogła zdyskredytować jego zastrzeżenia, moje uczucia do niego straciłyby swą wagę i stałyby się mniej niepokojące. I nie znalazłabym się znowu w śmiesznej sytuacji, w której jak nastolatka snułabym romantyczne fantazje, że on zamierza mnie całować.

- Nawet tak poważna stacja telewizyjna jak nasza nie może trzymać się od tego rodzaju sprawy z daleka. Zrobiła się z tego prawdziwa burza - ciągnęłam. - Weź pod uwagę pozycję Hartleya, prorodzinną postawę, jaką demonstruje, i to nie tylko w kwestii aborcji, wartości, których wyrazem jest także czwórka jego dzieci. I tę sprawę z prawami przeciwko homoseksualizmowi. Jeśli główna postać tego medialnego zamieszania w końcu zdecyduje się mówić, my - z pomocą prawników - przedstawimy to po prostu jako jej wersję wydarzeń.

Tak naprawdę jednak chciałam powiedzieć co innego: że Phillip nie zawsze był takim sztywniakiem. Że kiedyś uprawiałam z nim fantastyczny seks, dzięki czemu między innymi się w nim zakochałam. I że potrafił radzić sobie w trudnych sytuacjach lepiej niż ktokolwiek inny. A on, Peter, nie ma pojęcia, jak to jest tkwić w pozbawionym miłości małżeństwie i mając trójkę dzieci, zastanawiać się nad rozwodem.

- Nie przedstawiasz tego jako jej wersji wydarzeń.
- Nie rozumiesz mnóstwa rzeczy.
- To śmieszne, że mam takie samo odczucie w stosunku do ciebie - odpalił.
- Jesteś okropny.
- Kiedy po północy wróciłem do domu, nie mogłem zasnąć. Wszedłem więc na kilkanaście najgorszego sortu plotkarskich stron internetowych, a potem na ulubione prawicowe błogi mojego ojca, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tej kobiecie.
- Myślisz, że nasza stacja tego nie zrobiła? Oczywiście, że oni próbują zdyskredytować Theresę. Chronią swojego wspaniałego Hartleya. Wiem, że sprawnie surfujesz po Internecie, ale zapominasz, że jestem dziennikarką już od lat.
- Jakie to w stylu lat dziewięćdziesiątych! „Surfujesz po Internecie”!
- Szkoda, że nie słyszysz, jak grubiańsko się odzywasz. Co ty, do licha, możesz wiedzieć, zamknięty w tej swojej technicznej samotni w Red Hook? Boże! Nie znasz Theresy. Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Rozumiesz?
- Pozwól mi coś powiedzieć - odparł, odzyskując werwę. - Znam tych ludzi. Wychowałem się wśród nich, siadywałem z nimi przy jednym stole. Stan, z którego pochodzę, usiany jest bazami wojskowymi, a mój tata uważa, że Ronald Reagan powinien zostać uznany za świętego. Hartley plasuje się w ocenie tych ludzi na miejscu tuż za nim. Przeczytałem dziesiątki prawicowych tekstów na temat Boudreaux - wiele z nich na poważnych, szanowanych stronach. Wyłania się z nich obraz dziewczyny znikąd, która nie mówi prawdy. Może to jedna z tych wariatek, które pragną rozgłosu. Kto to wie?
- Dobra, panie internetowy luzaku. Cieszę się, że tak swobodnie poruszasz się po prawicowych blogach, ale jest coś, czego nie wiesz. Westchnął.
- Dobra. Czego nie wiem?

- Że przed wywiadem Theresa zrobiła nam niespodziankę i pokazała pamiątki z hoteli, w których nocowali oboje z Hueyem Hartleyem, z konferencji, na których bywał, z samolotów, którymi razem podróżowali. Pokazała nam serwetki, zapalki, rachunki z barów, stanowiące dowód, że była w jakimś mieście czy hotelu na trasie jego podróży jako kongresmana; nasi reasercherzy porównali to wszystko z programem działalności publicznej Hartleya i stwierdzili, że rzeczywiście był on w tych wszystkich miastach i zatrzymywał się w tych hotelach właśnie w tych dniach. To jest coś. Nikt nie wie, że mamy w zanadrzu coś takiego.

- Ale...

- Ale co, Sherlocku? Jest wiele rzeczy, o których nie masz pojęcia. Przykro mi, ale kimże ty jesteś, żeby mi mówić, jak mam wykonywać moją robotę? - Byłam znowu na fali, mogłam odłożyć na później rewanż za poniżenie doznane z powodu mojego męża. - Nie wiesz także, że mamy świadka, który widział ich jako „parę”. Mamy zdjęcia, nagrania ich rozmów, lecz nawet przy takich dowodach zamierzamy poinformować, że przedstawiamy tylko jej wersję. Jesteśmy jedynie małą stacją, która emituje jedną wersję całej historii.

- „Jedynie małą stacją”. Daj spokój! Sankcjonujesz to, co ta kobieta wygaduje, pokazując ją w godzinach najlepszej oglądalności na kanale ogólnokrajowej sieci telewizyjnej, przed widownią złożoną z dwudziestu milionów ludzi!

Pomyślałam, że spróbuję innego podejścia, choć na to nie zasługiwał.

- Wiesz co, Peter? To jak z Tonyą Harding. Pamiętasz? Tą łyżwiarzkę, która nasłała na Nancy Kerrigan bandytów; ciężko ją pobili...

- Wiem, kto to jest Tonya Harding. I wiem nawet, że teraz zajęła się boksem.

- Dobra, zgadza się. To właśnie ona była jedną z moich pierwszych „zdobyczy” w biznesie informacyjnym ze dwanaście lat temu. Tygodniami chodziłam na lodowisko, gdzie ćwiczyła, patrzyłam, jak wykonuje podwójnego salchowa,

i namawiałam ją, żeby udzieliła wywiadu NBS. Ponieważ odsiedziałam swoje na lodowatych metalowych ławkach, odmrażając sobie tyłek, w końcu zgodziła się spotkać z nami i porozmawiać z Goodmanem. To nie znaczy, że trzymaliśmy jej stronę. Wcale nie uważaliśmy, że postąpiła słusznie. Ameryka po prostu umierała z ciekawości, żeby usłyszeć, co ta kobieta ma do powiedzenia, a moim zadaniem było skłonić ją, aby zaczęła mówić. Oczywiście, zawsze wolałam poważne wywiady, ale czasami musimy obniżyć loty, żeby dotrzymać kroku innym.

- Wcale nie chcę się wymądrzać. Nie o to mi chodzi. Rób sobie taką marną telewizję, jak tylko chcesz, ale bądź ostrożna.

- Jestem ostrożna!

- Posłuchaj. Podziwiam to, co robisz, podziwiam to, jak sobie radzisz, mając troje dzieci, pracę i tego faceta za męża.

- Peter! Przestań! On jednak ciągnął:

- I jak mówię, czasami przy takim trybie życia można coś zawalić. Przegapić jakieś przyjęcie urodzinowe. Trudno. Nie zdążyć do domu przed pójściem dzieci do łóżek. Zdarza się. Ale nie dostrzec prawdziwych zamiarów tej kobiety to coś zupełnie innego. Możecie zniesławić jednego z najbardziej szanowanych, najaktywniejszych członków Kongresu USA. Kongresu Stanów Zjednoczonych! Nie byłoby dobrze, gdyby tak się stało.

- Ale faktem jest, że o Theresie Boudreaux piszą na pierwszych stronach wszystkie brukowce. To tak jakby zdobyć wywiad ze Scottem Petersonem\* na temat Laci! Co byś wtedy zrobił? Powiedział, że nie jesteś zainteresowany? Są osoby, wokół których powstaje medialna wrzawa, i kwestią jest to tylko, kto zdobędzie z nimi wywiad. W wypadku The

\* Scott Peterson - sprzedawca pestycydów skazany na karę śmierci za zamordowanie ciężarnej żony Laci.

resy to ja pokonałam wszystkich, czy to wyjdzie nam na dobre, czy na złe.

Wciąż nie wyglądał na przekonanego.

- A teraz mam spotkanie, którego nie mogę opuścić -dodałam.

- Owszem, możesz.

- Nie, nie mogę.

- Masz ze sobą telefon. Zadzwoń, powiedz, że nie możesz przyjść, i posiedź tu ze mną.

- Postradałeś zmysły? - zapytałam.

- To samo pomyślałem o tobie.

- A to dlaczego?

- Wiesz dlaczego.

- Może i nie mylisz się co do mnie, ale muszę iść. Mam jeszcze maleńki wywiad do zmontowania. I spotkanie z szefem. A szef płaci mi za to, żebyśmy przychodziła na spotkania.

- No to mu powiedz, że się spóźnisz.

- Nie mogę.

- To niedobrze. Wielka szkoda.

- Dlaczego niedobrze?

- Bo nie stać cię na to.

- Na co?

- Żeby zadzwonić do pracy, odwołać spotkanie, posiedzieć tu ze mną i może trochę nacieszyć się tym przedpołudniem. Nie wytrzymałabyś nerwowo.

- Nieprawda.

- Świetnie. Wobec tego zrób to. - Uśmiechnął się, zadowolony, że dałam się złapać w tę śmieszoną pułapkę.

Zawahałam się. Potem spojrzałam na teatralną niemal scenerię, która rozciągała się przede mną. Czy to możliwe, żeby Peter się do mnie zalecał? Może po prostu przyjemnie mu było w towarzystwie nowej przyjaciółki?

- Nie jestem głupia. Nie dam się nabrać na te twoje gierki. Wiem, co knujesz.

- Zostań.

Boże! Poczułam ogromny pociąg do tego mężczyzny, tu, pod osłoną wieży górującej nad wszystkim.

- Dobra, powiedzmy, że zostanę. Co będziemy robić?

- Zapomnij o całej tej sprawie z Boudreaux. Już nic nie powiem, zrobisz, jak uważasz. Możemy po prostu porozmawiać. O czymkolwiek. O wszystkim. Lepiej byś mnie poznała. A ja ciebie.

- Nie mogę.

- Możesz. Zostań. I zostałam.

Po dwóch godzinach znalazłam się znowu w samochodzie i jechałam do pracy. Ponieważ Luis bardzo słabo mówił po angielsku, w ciągu tych trzech lat, gdy u nas pracował, nigdy podczas jazdy z nim nie rozmawiałam. Wiedziałam jednak, że teraz podejrzewa mnie o romans z niańkiem.

- Peter rozmawiał ze mną o Dylanie - powiedziałam obronnie. - Długa rozmowa. Bardzo długa rozmowa.

Siedząc pod wspaniałą kopułą drzewa, które wznosiło się nad wieżą Belwederu, rzeczywiście odbyliśmy długą rozmowę. Zmusiłam Petera, aby obiecał, że nie będzie rozmawiał ze mną o Phillipie. Myślę, że zauważył smutek i zażenowanie, jakie odczuwałam w związku ze swym małżeństwem, i przeprosił mnie za swoje nietaktowne uwagi. Powiedział, że bardzo lubi moje dzieci, a ja zaczęłam opowiadać różne historyjki na ich temat. Wspomniałam na przykład, iż Dylan jako niemowlę był tak gruby, że brzusek w kąpieli zasłaniał mu kolanka. Śmialiśmy się z kosztownych przyjęć urodzinowych, na które Peter prowadził dzieci. Przy okazji zaprosił mnie na własne przyjęcie urodzinowe.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście. Sprawiałabyś mi wielką przyjemność. Weź ze sobą Dylana.

- Ale nie znamy nikogo z twoich przyjaciół.

- Chciałbym cię im pokazać, Jamie Whitfield.



Zabrzmiało to zabawnie, jakbym była jego nową dziewczyną. Cokolwiek miał na myśli, zakręciło mi się w głowie.

- Tak, Luis. To był długi spacer.

Otarłam czoło, pokazując tym gestem, że jestem zmęczona. Luis, który prawie zawsze, gdy go widziałam, miał na twarzy szeroki, przymilny uśmiech, posłał mi teraz porozumiewawcze spojrzenie, mówiące: „Uhm, na pewno, proszę pani”.

Płytki podłogowe ogrzewały się powoli, włączyłam też lampy, żeby przydać ciepłych barw łazience, w której pachniało lawendą. Było sobotnie popołudnie, cztery dni do emisji wywiadu, i wreszcie mogłam zadbać o siebie. Weszłam do wanny, oparłam głowę na nadmuchiwaną poduszkę, przytwierdzonej do jej brzegu, i zaczęłam słuchać *La Bohemę*.

*Hai sbagliato U raffronto. Volevi dir: bella come un tramonto. „Mi chiamano Mimi, ilperche non so”...*

Właśnie gdy zaczęłam odpływać, drzwi łazienki otwarły się tak gwałtownie, że z komódki spadły dwie butelki lotionu. Do łazienki wpadł Phillip z torbą Prince'a, z której wysypywał się sprzęt do squasha.

- Masz czas, żeby wylegiwać się w kąpieli, ale żeby wybrać się ze mną gdzieś wieczorem to już nie.

- Phillipie, możemy o tym porozmawiać za godzinę? Wiesz przecież, że kiedy wyjeżdżasz, mam dwa razy więcej obowiązków wobec dzieci. To tak, jakbym była samotną matką, więc niech ci się nie wydaje, że całymi godzinami siedzę w spa. Dziś pierwszy raz mogę...

- Miałaś mnóstwo czasu dla siebie. Nie było mnie przez cztery dni.
  - Tęskniliśmy za tobą. Naprawdę, kochanie.
  - Jestem już spóźniony na mecz w Racquet Club, a w dodatku pada. - Spojrzał na mnie, jakbym była w stanie powstrzymać deszcz.
  - Więc włoż płaszcz i weź parasol - poradziłam. Nie zareagował. Spróbowałam innej taktyki. - Może włożysz inne tenisówki? Przecież masz nowe, które nie będą ślizgać się na korcie.
  - Tenisówki to nie problem.
  - A co jest problemem, Phillipie?
  - W domu nie ma ani jednego parasola. Mogłabyś zwrócić uwagę Carolinie, żeby robiła, co do niej należy? I pomóc mi znaleźć parasol?
- Za każdym razem, gdy w życiu mojego męża pojawiała się jakaś komplikacja, winił za to Carolinę, najbardziej zaharowaną kobietę w Nowym Jorku.
- Zajrzyj za drzwi frontowe. W stojaku jest ich kilka -przypomniałam.
- Nic, nawet parasolowy kryzys nie był w stanie wyciągnąć mnie z ciepłej kąpieli.
- Zanurzałam głowę pod wodę, usiłując uniknąć nadchodzącej kłótni, jednej z tych, które wybuchały ze cztery razy w roku. Phillip podszedł do wanny i zaczął mówić podniesionym głosem, tak że słyszałam go pod wodą:
- Czy ty nie możesz dopilnować służby? Zrobić im listy zakupów czy czegoś w tym rodzaju? Lubię parasole z drewnianymi rączkami, nie te tanie, składane, z plastiku. Wybieram się do Racquet Club. To klub dla dżentelmenów. Nie wypada mi się tam pokazywać z jakąś tandetną parasolką, kupioną na ulicy.
- Wynurzyłam się z wody i postanowiłam udobruchać go, zamiast podsycać jego gniew, choć nie byłam pewna, czy uraza, jaką będę potem czuła, jest tego warta.
- Mógłbyś wziąć dzisiaj jedną z tych składanych, a ja po-

staram się, żeby w przyszłości konieczność taka się nie zdarzyła i żebyśmy mieli w domu z dziesięć parasoli z drewnianymi rączkami.

- Nie, nie mogę, Jamie.

- Dlaczego? Odbiło ci! - Znowu ześlizgnęłam się pod wodę, zakrywając oczy rękami i próbując usunąć z osobistej przestrzeni obraz mojego męża maniaka. On jednak czekał w milczeniu. Wynurzyłam się i spojrzałam na niego. Stał wciąż w progu, w otwartych drzwiach, wpuszczając zimne powietrze do środka. Westchnęłam ciężko.

- Idź do mojej szafy, w głębi zobaczysz nowiutki parasol Burberry, który kupiliśmy jako klasowy prezent dla nauczyciela Dylana na trzydziestolecie pracy. Jest zapakowany. Miałam zabrać go do szkoły w poniedziałek rano, ale jutro spróbuję znaleźć coś innego. Weź go i idź na mecz.

- Jesteś niezrównana! - To powiedziawszy, mój mąż uśmiechnął się i zatrzaskał drzwi za sobą, strącając z wieszaka mój jedwabny szlafrok.

*Qui... amor... sempre eon te!*

*Le mani... al caldo... e.... dormire...*

Oparłam głowę na poduszce i zapatrzyłam się w sufit. Potem, rękami zasłaniając oczy, znowu zanurkowałam pod wodę. Kiedy się wynurzyłam, po twarzy spływały mi mydliny zmieszane ze łzami.

Cztery godziny później, gdy ubieraliśmy się na kolację, Phillip znienacka objął mnie wpół od tyłu.

- Podoba mi się twoje *dessous*.

Powoli wsunął mi ręce pod stanik i lekko szczypnął sutki, myśląc, że to mnie podnieci. Był w błędzie.

Wywinełam się, zakładając duże, inkrustowane masą perłową kolczyki. Spryskałam się perfumami.

On jednak, najwyraźniej we frywolnym nastroju, podszedł do mnie i pociągnął za sprzączkę mojego biustonosza.

- Phillipie, nie teraz - poprosiłam i poszłam do garderoby,

żeby włożyć spodnie. Byliśmy już spóźnieni na proszoną kolację. - To tylko bielizna, nie żadne *dessous*.

Nie mógł wiedzieć, że zaczęłam się zastanawiać, co powiedziała by Peter, gdyby mnie w tym *dessous* zobaczył.

Od naszego spaceru poprzedniego dnia nie mogłam nic jeść.

- Chodź, mała, wyglądasz tak zachęcająco w tych różowych koronkach. Tylko szybki... - Zaszedł mnie od tyłu i zaczął gładzić po pupie, ocierając się kroczeniem o moje udo i obłapiając je jak pies. Musiałam podeprzeć się obiema rękami. Czy byłam w stanie to zrobić? Przecież już uprawialiśmy seks, gdy o szóstej rano nocnym lotem wrócił do domu. Czy jak na jeden dzień nie dałam już z siebie wystarczająco dużo? Wytrzymałabym jeszcze szybki numer, żeby mieć go z głowy?

Na szczęście, otworzyły się drzwi i Gracie podbiegła do mnie, obejmując moje nagie udo, o które przed chwilą wściekle onanizował się mój mąż.

- Proooszę, nie idźcie nigdzie, tak nie lubię, gdy wychodzicie. Wciąż was nie ma.

Przykłękłam, żeby spojrzeć jej w oczy.

- Kochanie, wiem, że w ostatnim tygodniu pracowałam do późna, ale przecież nie wychodzimy często.

- Wciąż wychodzicie!

- Nie, to nieprawda. Prawie zawsze kładę cię do łóżeczka.

Ubierając się, widziałam, że Gracie patrzy na mnie z wyrazem rozżalenia na buzi. Wysunęła podbródek, ale wiedziałam, że jest zbyt zmęczona, żeby dalej walczyć, więc wzięłam ją na ręce, a ona zwiśla w moich ramionach jak szmaciana lalka. Wciągnęłam w nozdrza jej dziecięcy zapach, woń szamponu i oliwki do ciała, a potem zaniiosłam ją do jej pokoju i położyłam do łóżka, gdzie po próbie walki z sennością szybko zasnęła.

Portier w białych rękawiczkach zamknął drzwi windy i utkwiał wzrok w przestrzeni, gdy wyłożone mahoniową bo-

azerią pudło pomknęło w górę do luksusowego penthouse'u Susannah Briarcliff i Toma Bergera.

Pospiesznie poprawiłam szminką usta, a potem sięgnęłam do złotej prostokątnej wieczorowej torebki i przełączyłam dzwonek telefonu na wibracje.

- Phillipie, wyłącz swój telefon.

Zrobił to i puścił do mnie oko, jakby udzielając mi niemej pochwały: „Słusznie, nie chcielibyśmy wyjść wobec Susannah na prostaków”. Zlustrował mnie od góry do dołu, obejmując spojrzeniem mój purpurowy aksamitny kostium ze spodniami, obcisły czarny golf w prążki, czarne pantofle na wysokich obcasach i złoty łańcuchowy pasek, który pasował do torebki. Pomyślałam, że całkiem nieźle się prezentuję, biorąc pod uwagę fakt, jak byłam zgnębiona.

- No i co? - zapytałam, bawiąc się ogniwami łańcucha.

- Twój strój... jest taki... zwyczajny. - Jak to miło, że wreszcie zwrócił na mnie uwagę. Wyglądał na rozczarowanego, jakby mój wygląd popsuł mu humor. Bo rzeczywiście tak było. - Susannah zawsze ubiera się tak... odświętnie. Nosi seksowne stroje w żywych kolorach. Mogłabyś brać z niej przykład. Następnym razem poproś ją o radę.

- Robię to zawsze. Wiesz przecież. - To było dobijające! Z przykrością słuchałam podobnych uwag ze strony bab spod szkoły, a co dopiero męża! - Te cholerne modne ciuchy wyglądają na mnie jakoś inaczej niż na innych kobietach.

Wszystko brało się stąd, że Phillip wolałby mieć za żonę Susannah albo kogoś takiego jak ona. Tych dwoje łączyło silne porozumienie, oboje mieli świadomość, że ich przodkowie wywodzą się w prostej linii od przybyszów z „Mayflower”, choć każdy zatwardziały członek amerykańskiej białej elity pochodzenia anglosaskiego z Grid utrzymywał to samo. Z drugiej strony mąż Susannah, Tom, dziesięć lat od niej starszy, nie mógł już bardziej się od nich różnić. Nosił okrągłe okulary w stylu Alberta Einsteina, które pasowały do jego jakby drucianych szarych włosów. Był redaktorem działu zagranicznego „New York Timesa”, wychował się w Scarsdale w No-

wym Jorku, w rodzinie żydowskiej, a jego rodzice byli dziennikarzami śledczymi prasy brukowej. Susannah poznała Toma, gdy miała dwadzieścia parę lat, podczas zajęć z polityki środkowowschodniej na uniwersytecie Columbia. Jej rodzice, w głębi duszy przerażeni, że ich córka zamierza wyjść za mąż za Żyda, wprawdzie wybitnego, ale zawsze, wymogli na niej obietnicę, że zachowa nazwisko panińskie; wystarczająco bolesne było dla nich, że wnuki nazywać się będą Berger. Tom nie przejmował się ich antysemitycznym podejściem. Wiedział, że ci ludzie nigdy się nie zmieniają, a nie szkodziło to faktowi, że z chwilą gdy włożył Susannah obrączkę na palec, przelali na ich wspólne konto sto milionów dolarów.

Kiedy Susannah stanęła w drzwiach, ubrana w szerokie spodnie z pomarańczowego jedwabiu i pasujące do nich boa z piór, a do tego jedwabny top na ramiączkach w kolorze kości słoniowej, Phillip wziął ją w ramiona.

- Jak to miło z twojej strony, że nas zaprosiłaś. - Ujął jej twarz w dłonie i lekko pocałował ją w usta. Pocałunki w usta powinny być niedopuszczalne pomiędzy ludźmi, którzy nie są małżeństwem. Znowu poczułam się jakoś wykluczona.

- Wejdźcie.

W Grid zawsze wydaje się przyjęcia z jakiegoś powodu, nie tylko po to, by spotkać się z przyjaciółmi. Mogą być na cześć ostatnio publikowanego autora, lekarza, który ukończył raport na temat zwalczania malarii w południowej Afryce, czy „właśnie odkrytego” młodego obiecującego czarnego kandydata do Kongresu - ktoś taki jest znacznie bardziej egzotycznym gościem niż powszechnie znany biały senator. Kiedy Susannah zadzwoniła, żeby zaprosić nas na kolację, jak zwykle wyliczyła listę gości.

- Musicie przyjść, Jamie. Będzie podsekretarz generalny ONZ i redaktor naczelny „Newsweeka”. A catering organizuje Daniel Boulud.

Phillip i ja zawsze skwapliwie przyjmowaliśmy te zaproszenia. Przyjęcia u niej były wytworne, stanowiły rozrywkę i okazywały się pomocne w mojej pracy dla telewizji.

Podczas tej kolacji siedziałam po prawej stronie gościa honorowego, Yousseffa Gholama, wybitnego jordańskiego naukowca z Kennedy School of Government w Harvardzie i stałego komentatora programów informacyjnych w sprawach dotyczących wojny irackiej. Tacy eksperci jak pan Gholam nie mogą być tylko autorami tuzina książek i setek artykułów; żeby pojawić się na przyjęciu przy Park Avenue, muszą także bywać w telewizji (czytaj: mieć znaną twarz). Pan Gholam ponadto wydał właśnie książkę pod tytułem *Następny 11 września. Dlaczego służby bezpieczeństwa wewnętrznego są skazane na porażkę, i twoje miasto może być kolejnym celem*, która osiągnęła pierwsze miejsce na liście bestsellerów „New York Timesa” w dziedzinie publicystyki, a ukazała się zaledwie trzy tygodnie wcześniej.

Moi sąsiedzi z obydwu stron byli chwilowo zajęci rozmową, więc korzystając z wolnej chwili, zlustrowałam pokój. Ściany jadalni pomalowane były na odcień kantalupa i spowijały nas jakby hermetycznym kokonem. Na każdej z nich wisiały po cztery zamglone fotografie marynistyczne Hiroshi Sugimoto, oprawione w szylkretowe ramy. Ogromny okrągły stół miał trzy trójkątne blaty, które wysuwały się magicznie, co pozwalało szesnastu osobom zasiąść przy nim wygodnie. Spojrzałam na moje perfekcyjne nakrycie, zastanawiając się, ile godzin poświęcono na przygotowanie stołu do kolacji.

Na dużym talerzu z malowanymi na brzegach ptakami spoczywał mniejszy talerzyk z takim samym wzorem. Po prawej stronie podkładki pod nakrycie stały cztery kryształowe kieliszki: jeden do białego wina, drugi do czerwonego, trzeci na wodę i wreszcie czwarty, smukły, do szampana, podawanego przy deserze. Miniaturowe srebrne jabłka przytrzymywały wizytówki ze złotym ornamentem i wykaligrafowanym nazwiskiem gościa. Każdy z nich miał własną cartierowską solniczkę i pieprzniczkę ze szkła w odcieniu błękitu kobaltowego, które stały obok wizytówek, owinięte srebrną koronką. Kwiaty Susannah kazała wstawić do niskiego srebrnego



pucharu - bez wątpienia zdobytego przez Theodore'a Briarcliffa II podczas regat żeglarskich na początku wieku - żeby goście bez przeszkód mogli rozmawiać ze sobą przez stół. Na całej jego powierzchni leżały artystycznie rozrzucone złote sosnowe szyszki, czerwone i żółte jesienne liście oraz suszone granaty. W kryształowych świecznikach migotały cienkie świece, a ich płomyki rzucały cienie na sufit. Nagle przed oczami stanął mi Peter. Nie spodobałaby mu się ta pompa.

Phillip tymczasem przymilał się do Christiny Patten, która siedziała po jego lewej stronie. Wyglądała niesamowicie szczupło - z wiązanej na szyi jedwabnej bluzki, naszywanej kamieniami, sterczały jej kościste ramiona. W tę i z powrotem przesuwiała jedzenie na talerzu, podczas gdy Phillip mówił o niemożliwości zabezpieczenia najlepszych domków w Lyford Cay. Na pewno, jak wszystkie bywalczyńie przyjąć w Grid, wmawiała Phillipowi, że „zjadła z dziećmi”. Susannah niezbyt ceniła Christinę, ale wiedziała, że jest ona wpływowym graczem w kręgach towarzyskich. A w tym wyrachowanym gronie to tyle co Nagroda Nobla z astrofizyki.

Tego wieczoru Susannah znowu z powodzeniem zastosowała swój przepis na zestaw gości: młody projektant mody dla Gucciego, który wyglądał jak Montgomery Clift, i jego partner, reżyser renomowanego teatru w centrum, reprezentowali gejów i kulturę; młoda czarnoskóra lesbijka, artystka sztuki nowoczesnej z Wybrzeża Kości Słoniowej, była przedstawicielką mniejszości; my, niżej podpisani, jak również szykowny redaktor naczelny „Newsweeka”, stanowiliśmy łącznik ze światem mediów. To od nas dwojga oczekiwano opinii w razie rozmowy o bieżących wydarzeniach. Ważną Osobą w Służbie Publicznej był tego wieczoru podsekretarz generalny ONZ do spraw środkowowschodnich. Główny wspólnik dużego funduszu ubezpieczeniowego reprezentował milionerów. Jednak w moim odczuciu kogoś brakowało - Petera. Nagle wyobraziłam sobie scenę: ja w seksownej obcisłej suk-

ni, odsłaniającej wszystko, co możliwe. On w cienkim czarnym golfie i tweedowej marynarce. Siedzimy przy barze Susannah, tym z jaskrawo-pomarańczowej laki. Peter powoli pcha drzwi, zamyka je za sobą... unosi mój podbródek...

Montgomery Clift, siedzący po mojej prawej stronie, zaszczycił mnie uwagą:

- Fantastyczne kolczyki.

Zwróciłam głowę, ku mojemu nowemu przyjacielowi.

- Naprawdę? Tak pan myśli?

- Olśniewające, zwłaszcza przy pani ciemnych włosach.

- Niech pan to powie mojemu mężowi. Jego zdaniem jestem zbyt bezbarwnie ubrana.

- A co on wie? To ten facet w garniturze? Kim on jest, bankowcem?

- Prawnikiem.

- Moja droga, dla mnie nie ma różnicy. To jedna z tych istot, które robią forszę.

- Susannah mówiła mi, że jest pan projektantem mody. - Nie ma nic lepszego niż flirt z gejem na kolacji w Nowym Jorku. - Niech mi pan szczerze powie, co sądzi pan o moim stroju; zupełnie nie znam się na modzie.

- Naprawdę chce pani wiedzieć?

- Bardzo jestem ciekawa, proszę mi wierzyć.

Kilka tygodni temu pokazałam się na czerwonym dywanie pod szkołą w fantastycznym nowym kostiumie flanelowym i w butach na dziesięciocentymetrowych obcasach, myśląc, że wreszcie złamałam szyfr. Ingrid Harris spojrzała jednak na moje nogi i zawołała:

- Jamie, co, do diabła?!

Myślałam, że mnie skomplementuje, bo miałam wrażenie, że pierwszy raz ubrałam się zgodnie z zasadami. Miałam na sobie świetne buty, nawet ja byłam tego świadoma.

- Dokąd się wybierasz? Na obchód? - spytała. Musiała dostrzec moją zdumioną minę.

- Te rajstopy! Proooszę cię. Wyglądasz jak pielęgniarzka! Kolorowe rajstopy? Na jakiej planecie ty żyjesz?

- Ja...

- Kto cię rano ubierał? Wracaj do domu i włóż coś innego, zanim całkiem się skompromitujesz.

Tak wyglądają żalosne wysiłki, jakie podejmuję, żeby zakamufłować swoje drobnomieszczańskie, prowincjonalne pochodzenie i dorównać w dziedzinie mody najbardziej szykownym kobietom na świecie.

Montgomery odchylił się do tyłu wraz z krzesłem i zmierzył mnie wzrokiem od góry do dołu, jakby oceniał konia wyścigowego albo wołu, zależnie od punktu widzenia. Po dwudziestu sekundach ogłosił werdykt:

- Zgadzam się z pani mężem.

- Nie!

- Tak, moja droga! Zacznijmy od dołu. Dobre buty. - Pauza. - Ale nie na wieczór.

- Jak to? Czarne, skórzane, od Manola. Co z nimi nie tak?

- Włożyła pani aksamit, który ma pewien połysk. Buty są zbyt matowe do tego kostiumu i do błyszczącego paska. A przy okazji, pasek jest odlotowy. Kolczyki z muszelek. Teraz, gdy zobaczyłem cały pani strój, widzę, że są zupełnie nie na miejscu. - Pokręcił głową i pokiwał mi palcem przed nosem. - Muszelki nie pasują do złotych dodatków. I niech pani nie nosi czarnego topu do ciemnopurpurowego aksamitnego kostiumu. Całość zbyt monotonna.

- W porządku. Nie czuję się obrażona. - Zranił mnie bardzo. - Więc mój strój nie wygląda dobrze z różnych powodów. Zabieram się do notowania.

- Dobra, ludzie płacą za to ciężką forszę, ale dla pani porada gratis. - Był nawet ujmujący z tymi swoimi czarnymi, zaczesanymi do tyłu włosami i wielkimi oczami. Uśmiechnął się i uścisnął moje ramię. - Buty powinny być czarne, satyno<sup>^</sup> we. Dobrze by było, gdyby miały jakiś ozdobny akcent: łańcuszek, seksowne wstążki do wiązania wokół kostki, może stras, coś odpowiedniego na wieczór. Wieczorowe pantofle mają być wyzywające, niezależnie od tego, dokąd się pani wybiera. Jeśli nie znajdzie pani nic takiego u Manola, niech

pani pójdzie do Christiana Louboutina. Jest jeszcze bardziej utalentowany. Proszę nigdy nie wkładać zwykłych czarnych butów na wieczór.

Pociągnął spory łyk wina; najwyraźniej miał jeszcze wiele do powiedzenia i dopiero się rozgrzewał.

- Pani golf jest za ciemny. Powinna mieć pani coś seksownie] szego; niech pani na kolację nie wkłada służbowego mundurka z lat osiemdziesiątych. Raczej coś artystycznego, żeby skonstrastować linię kostiumu. Przydałaby się koronkowa przezroczysta bluzka z jedwabiu, która by wystawała spod mankietów żakietu, tak trochę nieporządnie. Bez stanika, żeby widać było sutki. I za nic niech pani nie zapina guzików przy mankietach.

Rzeczywiście, przydałby mi się notatnik.

- Kołnierzyk bluzki powinien być wyłożony na klapy, ale nie za daleko. Pani kolczyki zupełnie nie pasują do całości. Muszelki może pani nosić zimą tylko do obcisłego czarnego golfa, czarnych spodni albo džinsów. Bardzo ryzykownie je wkładać na taki elegancki wieczór. Tego rodzaju kolczyki są dobre na lato, nadają się na plażę, ale nie do miasta. Niech je pani zapakuje do torby plażowej i zawiezie swoim wielkim suvem do domku nad morzem!

Musiałam się zaśmiać, bo właśnie zamierzałam tak zrobić.

- Powinna pani raczej włożyć duże złote koła albo kamienie szlachetne, takie na wielką galę. Ma pani coś w tym stylu? Wygląda pani na kogoś, kto może mieć. - Skinęłam głową. Gdy urodził się Michael, Phillip kupił mi szafirowe łożki otoczone diamentkami. - Dobra. Jest pani na Park Avenue, musi pani wyglądać ostro i seksownie, inaczej będzie pani przypominać matronę albo, co gorsza, odstawioną matronę. Mówię pani, wielkie złote koła, pasujące do paska. A te kolczyki niech pani nosi w lecie, do białej koszulki, koniecznie Petit Bateau, i białych džinsów. A do tego pasek ze sznurka. I buty na korkowych koturnach. Koturny są niezbędne.

Wreszcie byłam w stanie złamać szyfr dotyczący zasad ubierania się. Nikt nigdy nie wyłożył mi ich w sposób tak ja-

sny. Z pomocą tego Montgomery'ego. nareszcie będę elegancka. Te wszystkie damulki zaczną patrzeć na mnie z zazdrością, a fotografowie socjety, jak Punch Parish, będą chodzić za mną na przyjęcia... Będę... będę...

Dzyń, dzyń. Susannah postukała masywnym nożem o kieliszek do szampana. O dziwo, kryształ się nie rozbił.

- Przepraszam państwa, proszę o ciszę. Montgomery trącił mnie łokciem.

- Niech pani zwróci uwagę na nóż. Proszę wziąć go do ręki. Ciężki. Puiforcat najwyższej próby. Jakies sześćset pięćdziesiąt dolarów sztuka.

- Za nóż?

- No. Trzy widelce przy każdym nakryciu, dwa noże.... To musi być zestaw na dwadzieścia cztery osoby, dziesięć sztuców na twarz. Ta kobieta to nie byle kto.

Susannah uśmiechnęła się i znowu postukała o kieliszek, najwyraźniej zadowolona z ożywionej, a więc ciekawej, konwersacji przy stole.

- Chciałabym wnieść toast na cześć mojego drogiego przyjaciela.

- Twojego? A kto cię z nim poznał? - żartobliwie przerwał jej mąż, Tom.

Wszyscy roześmiali się z tego przytyku.

- Dobrze, naszego przyjaciela. Pan Yousseff Gholam. Yousseff był konsultantem trzech kolejnych administracji rządowych do spraw konfliktów środkowowschodnich. Autor dziewięciu, powtarzam, dziewięciu książek z tej dziedziny. Napisał także dziesiątki artykułów prasowych, jeden z nich zdobył National Magazine Award for Public Interest, co oficjalnie oznacza... - tu Susannah dyskretnie zerknęła na karteczkę przy talerzyku deserowym - ...że miał „wpływ na krajową albo lokalną politykę czy prawodawstwo”. Twoje zdrowie, mój drogi Yousseffie.

Yousseff odstawił kieliszek.

- Proszę państwa - zaczął z powagą. Opuściwszy głowę, wstał i rozpoczął przemowę. - Proszę państwa - powtórzył. -

Nie uważam ostatnich lat za schyłek dyktatorów, ale myślę, że mamy za sobą coś, co nazywam jesienią niepokoju...

Bardzo często mieszkańcy Grid dają się uwodzić różnego rodzaju ekspertom w dziedzinie polityki, a ponieważ wydaje im się, że nie są dość inteligentni, by zrozumieć ich bzdurne wywody, udają że wszystko jest dla nich jasne. Posłałam Phillipowi zniecierpliwione spojrzenie, wiedząc, że teraz nastąpi nudny wykład, on jednak skarcił mnie wzrokiem. Zwróciłam się więc do Montgomery'ego, który zastępował mi Petera, a on puścił do mnie oko. Najwyraźniej także uważał tego Gholama za pretensjonalnego nudziarza. Zdjęłam kolczyki, położyłam łokcie na stole, wsparłam dłońmi podbródek i przygotowałam się na długie gędzenie.

Phillip, który uwielbiał popisywać się w towarzystwie, zapytał o irańską produkcję uranu. Yousseff ożywił się jeszcze bardziej, bo miał następną okazję, by pochwalić się swoją wiedzą.

- Jeśli chcą państwo zrozumieć, jak wygląda przyszłość Iranu, muszę najpierw naświetlić wydarzenia, które wystąpiły w tym rejonie w ostatnich dwudziestu pięciu latach osiemnastego wieku...

Boże, dopomóż. Przepraszam, Yousseffie, ale tego dnia zamierzam odlecieć na lekcji historii. Muszę się napić.

Przerabiałam to już nieraz. Słyszałam niejednego takiego Yousseffa. W Grid krąży specjalna lista z nazwiskami „ciekawych” pisarzy, wydawców i specjalistów od polityki zagranicznej. Ludzie ci są prezentowani na przyjęciach najbogatszym brokerom w mieście, a gospodyni dostaje potem dziesiątki podziękowań za „fascynujący wieczór”. Jednak eksperci ci wiedzą, że podczas owych spotkań towarzyskich w gruncie rzeczy pełnią rolę fok, są jakby wynajmowani przez gospodarzy. Dlatego wszelkie nawiązania do znanych nazwisk ze sfer rządowych są wręcz obowiązkowe.

- ...Przyszło mi to do głowy, gdy byłem w Gabinetcie Owalnym... To zresztą znacznie mniejszy pokój, niż można by przypuszczać. Otóż kiedy pomagałem prezydentowi przy-

gotować ostatni raport o stanie państwa, uderzyło mnie, że on naprawdę rozumie złożoność problemu arabskiego.

Postukałam czubkiem palca o kieliszek i szepnęłam do jednego ze służących w czarnych jedwabnych kurtkach a la Mao, którzy stali w strategicznych miejscach wokół stołu:

- Czy mogę prosić...?

- A to przypomina mi koncepcję *virtu*, z *Księcia Machiavellego*, oczywiście. Bush ucieleśnia *virtu*, ideę Machiavellego, symbolizującą ludzką energię, która kształtuje los i fortunę. Człowiek ten łączy w sobie subtelność Cicerona z brutalnością Cezara.

Kompletnie nic nie rozumiałam z tego, co ten facet mówił.

- Bush, naturalnie, nie jest intelektualistą, ale autentycznie odkrył w sobie geniusz. Naprawdę, myśląc o Bushu, powinni państwo pomyśleć o Medyceuszach.

Po tym przemówieniu szef „Newsweeka” i urzędnik z ONZ starli się ze sobą jak Luke Skywalker i Darth Vader swoimi świetlistymi mieczami, rozprawiając, ile pieniędzy potrzeba by było, żeby zabezpieczyć amerykańskie porty. Do rozmowy włączył się Yousseff. Wtedy redaktor „Newsweeka” podjął próbę ściągnięcia dyskusji z powrotem na ziemię i naprowadził Yousseffa na temat bieżących zagrożeń.

- Chciałbym ostrzec was przed niebezpieczeństwem, jakie stanowi osłabienie czujności. Terroryci to bardzo cierpliwi ludzie... - Yousseff wsiadł na swojego konika i prezentował taktykę zastraszania.

Chciałam uzyskać od Montgomery'ego więcej wskazówek dotyczących mody czy czegokolwiek, byleby tylko nie słuchać tych makabrycznych przepowiedni o zagrożeniach wiszących nad Nowym Jorkiem i moją rodziną. Jak wszystkie matki z tego miasta, musiałam walczyć ze sobą, żeby pod wpływem tych strasznych, apokaliptycznych fantazji nie oszaleć całkiem na punkcie środków bezpieczeństwa. Zaczęłam marzyć o powrocie do domu, a potem przypomniałam sobie, że Yousseff jako potencjalny cel ataku wymieniał Mail o America w Minneapolis. Phillip wyciągnął szyję i zadał inte-

ligentnie brzmiące pytanie, które tak naprawdę było całkiem banalne:

- Gdyby Bush senior w dziewięćdziesiątym pierwszym tak bezczelnie nie opuścił szyitów na południu Iraku, jego syn miałby teraz po swojej stronie połowę kraju. Nie przyznasz mi racji, Yousseffie?

Christina Patten do tej pory przezornie nie wdawała się w konwersację na temat spraw międzynarodowych. Widocznie jednak coś ją nurtowało, bo nie mogła dłużej usiedzieć w milczeniu.

- Panie Gholam, czy pana zdaniem wciąż jeszcze w ramach ochrony potrzebujemy płacht z tworzywa i taśmy klejącej? To znaczy, czy to jest wciąż konieczne, gdy się mieszka w tym mieście z dziećmi? Może po prostu media trochę dały się ponieść? Mój mąż i ja staramy się być na bieżąco, ale za nic nie mogliśmy się zorientować, jaką maskę gazową mamy kupić.

George Patten, człowiek, który piętnaście lat wcześniej, w wieku trzydziestu pięciu lat, przeszedł na emeryturę, odziedziczywszy pięćdziesiąt milionów dolarów, spędzał całe dnie na studiowaniu map w salonie. Trudno by go było określić słowem „fascynujący”. Dodał teraz:

- Kupiliśmy w końcu maski od firmy izraelskiej, która zaopatruje tamtejszą armię. Kosztowały fortunę.

Yousseff wziął głęboki oddech, próbując przejść od poważnych zagadnień geopolityki do bardziej przyziemnych spraw, które interesowały nowojorczyków, mianowicie kwestii, jak wpłynie ona na ich życie.

- Christino, możemy o tym porozmawiać po kolacji -wtrąciła Susannah, która, zirytowana kierunkiem, jaki przybiera rozmowa, usiłowała utrzymać ją na wysokim poziomie.

Yousseff, który zauważył zakłopotanie pani domu, próbował znaleźć złoty środek. Zwrócił się do Christiny:

- Cóż, wiem co nieco o poczuciu zagrożenia. Trudno mi orzec, gdzie i kiedy dokładnie nastąpi atak, ale proszę pamiętać, że zarazki węglika nie są groźne na otwartej przestrze-



ni, więc jeśli tylko nie będą państwo w zamkniętym wagonie metra, ryzyko zarażenia jest niewielkie. Jest też mało prawdopodobne, aby potrzebowali państwo masek gazowych w mieszkaniach. Wiem jednak, że Izraelczycy rzeczywiście mają najlepszy sprzęt. Mój ojciec też kupił maski izraelskie, gdy zaczęła się intifada, a my mieszkaliśmy pod Bejrutem.

- Ahaaa - odparła Christina. Potem zatoczyła ręką szerokie koło nad stołem. - Chciałam jeszcze zadać pytanie w imieniu wszystkich tu obecnych nowojorczyków.

Pomyślałam, że Susannah zaraz nakryje głowę serwetką, by nie widzieć, jak Christina rujnuje jej przyjęcie.

- Czy to znaczy, że mamy kupić maski gazowe także dla służby?

W jadalni zapadła martwa cisza. Spojrzałam na Yousseffa, który zamknął oczy, pociągnął łyk wina i zakaszłał w serwetkę. Nikt nie potrafił odpowiedzieć na zadane przez Christi-nę pytanie. Nawet jej mąż nie próbował pospieszyć jej na ratunek.

Wtedy Susannah poderwała się.

- Może przejdziemy do salonu na kawę?

\* \* \*

Gdzie był Peter? Wyobraziłam go sobie w jakimś modnym barze w Red Hook, w otoczeniu pięknych, stylowych młodych kobiet. Potrzebowałam go; tylko on mógł mi pomóc dostrzec humorystyczną stronę tej żalostnej sceny. Oczywiście, ja także brałam w niej udział. Co do tego miałby rację.

„I ty chcesz, żeby twoje dzieci wychowywały się razem z dziećmi tych ludzi? Chyba zwariowałaś”.

Siedziałam sama na pluszowej miękkiej sofie w salonie. Wzięłam od kelnera espresso ze skórką cytrynową w miniaturowej filiżance. Z antycznych belek nad czteroskrzydłowymi, wielkimi przeszklonymi drzwiami, które wychodziły na taras, zwieszały się taftowe zasłony w odcieniu zieleni „laguna wenecka”. Meble pokryte były grubymi ozdobnymi tkaninami

w eklektycznym zestawieniu: czerwonym brokatem w kwiaty, bursztynowym i zielonym aksamitem. Przed kominkami po obu stronach pokoju leżały dywaniki ze skóry zebry.

W pewnym momencie wszedł redaktor „Newsweeka” i usiadł przy mnie, przerywając tok moich myśli. Poczta pantoflową, działającą sprawnie w środowisku nowojorskich mediów, dowiedział się, że Goodman ma jakiegoś asa w rękawie, ale nie miał pojęcia jakiego.

- Skaptowaliście Theresę? Udało wam się skłonić ją do mówienia? Powiedziała coś ciekawego? To znaczy na Hartleya? A może to druga Kathy Seebright?

- Nic nie powiem. Wiedziałam, co będzie dalej.

- Jamie, przemyśl to jeszcze. Wiem, że nadacie swój program w środę. Gdybyś chciała, mógłbym opóźnić zamknięcie numeru aż do północy. - Spojrzał na zegarek. - Coś ci powiem. Oto co mógłbym dla ciebie zrobić. Mógłbym zamieścić w piśmie coś, co przygotowałoby grant pod wasz materiał i wywołało wokół niego szum.

- Jak to miło z twojej strony.

- No co ty... To znaczy, oczywiście, powołalibyśmy się na NBS. Wasz program zyskałby tylko większą widownię. Zarekomendowalibyśmy go, jeśli wolisz. I na pewno wspomnielibyśmy o twoim udziale.

- Moim udziale?

- Moglibyśmy nawet napisać, że miałaś z nim coś wspólnego.

- Z sensacją, która zwali z nóg cały naród?

Wzdłuż bokobrodów redaktora pojawiły się kropelki potu. Minęła dłuższa chwila.

- Masz wywiad, i to ze sporą dawką mięsa, co? - chciał się upewnić. - Tylko to mi powiedz, dobra? Zlituj się nade mną i powiedz, że macie coś dużego. Przeklęty wywiad z Theresą Boudreaux.

Nie mogłam się powstrzymać.

- Powiem ci tylko jedno, waśniaku: gdy nadamy w tym

tygodniu ten materiał, wasze liche pisemko znajdzie się w największym tumanie pyłu po tej stronie Kansas.

Rzucił we mnie poduszczką z panterą i ruszył prosto do kryształowej karafki z whiskey.

Po kilku rozmowach towarzyskich z innymi gośćmi przeszłam do holu, by odnaleźć męża, który jakiś czas temu zniknął mi z oczu. Montgomery, wkładając ciężki płaszcz, objął mnie ramieniem.

- I jeszcze jedna rada, kochanie. - Przyciągnął mnie do siebie. - Trzymaj swojego męża z dala od gospodyni - szepnął i kręcąc zgrabnym tyłkiem, wyszedł za drzwi.

Phillip wracał z przyjęcia u Susannah z dumnie uniesioną głową i wypiętą pierś, jakby właśnie kogoś przeleciał. Wlokłam się kilka kroków za nim, pełna obaw, czy rzeczywiście tak się nie stało. Kiedy dotarliśmy do rogu ulicy, chciał wziąć mnie za rękę i wtedy dopiero zauważył, że zostałam z tyłu. Niechętnie podałam mu dłoń.

Było mi niedobrze. Mogę wypić dwa kieliszki wina do posiłku, ale po trzech czy czterech, jak tego wieczoru, zaczyna mi się kręcić w głowie.

- Hej, marudo, chodź szybciej, bo strasznie mi zimno -powiedział.

- Próbowałeś kiedyś iść na dziesięciocentymetrowych obcasach?

- Co z tobą? Taka piękna noc! Spędziliśmy wspaniały wieczór u Susannah i Toma. Czuję się świetnie. Dobre towarzystwo, wino, jedzenie. No i to mieszkanie, jest fantastyczne. - Odetchnął nocnym powietrzem, spoglądając z oddali na apartament naszych niedawnych gospodarzy. Ich penthouse ze wszystkich stron otaczały tarasy widokowe. Stojące na nich świerki ozdobione były białymi światełkami, które jaśniały na tle chłodnej zimowej nocy. - Wiesz, to jest właśnie różnica między pieniędzmi, które my mamy a prawdziwymi, tymi prawdziwymi pieniędzmi, które pozwalają mieć wszystkich w dupie.

- No, słucham, Phillipie - powiedziałam z niesmakiem. - Na czym polega ta różnica?

- Za prawdziwe pieniądze, te, które pozwalają mieć wszystkich w dupie, ma się służbę w białych marynarkach, kawior płynący strumieniami i latour rocznik osiemdziesiąty drugi. Plus taras. Taki taras, otaczający mieszkanie ze wszystkich stron, to świadectwo dużej forsy. A ja pracuję jak wół i nie mam nawet widoku na park. - Pokręcił głową i ruszył znowu przed siebie, obejmując mnie ramieniem. Potem się zatrzymał. - Wyobrażasz sobie? Jeden z tych wielkich grillów Williams-Sonoma na tarasie w środku miasta? Mógłbym, cholera, piec steki nawet w weekendowe wieczory.

- Daj spokój. Przecież mamy piękne mieszkanie. A grill jest na wsi.

- To badziewny grill za trzysta dolarów, który kupiłem pięć lat temu w sklepie z artykułami żelaznymi, nawet nie jeden z tych Williams-Sonoma z płytą do gotowania na parze, na przykład małży czy kukurydzy. Chcę mieć właśnie taki. I to szybko. Najlepiej zaraz. - Zachichotał. - Żartowałem. Ale będę go miał.

Nie rozbawiło mnie to wcale.

- W kuchni na wsi mamy wszelkiego rodzaju palniki do przyrządzania małży i kukurydzy.

- Ta kuchnia jest mała. Nie stać mnie na odnowienie jej. Poza tym palniki są na piecyku, nie przy grillu - nie ustępował. - Nie mamy palników na dworze.

- Phillipie! Kuchnia znajduje się sześć metrów od patio z grillem! Posłuchaj samego siebie. Po co ci grill za sześć tysięcy dolarów?

- A jeśli zechcę upiec coś w nocy na dworze? O to mi chodzi.

- Wiesz, co jest całkiem nienormalne? Że pieniądze bardziej cię przygnębiają, niż cieszą.

- Daruj sobie te banały, proszę - odparł.

- Ale to prawda. Idziesz z wizytą do trochę większego niż nasze mieszkania i gdy tylko je opuszczasz, ogarnia cię

chandra. Mamy ogromne mieszkanie. Lubisz je, pamiętasz jeszcze?

- Jest w porządku.

- A może, tylko dla mnie, na dwadzieścia cztery godziny pozbyłbyś się tych wszystkich obciążeń? Czy nie byłoby to wspaniałe uczucie? Być niczym nieskrępowanym?

Popatrzył na mnie, zastanawiając się nad propozycją. Pomyślałam, że może w końcu coś do niego trafi.

- Posłuchaj, kochanie. Byłbym szczęśliwszy, będąc nieskrępowanym i mając jeden z tych dużych grillów Williams--Sonoma. Jestem pewien, że Icykurydza smakuje lepiej, jeśli się ją upiecze na świeżym wiejskim powietrzu. A te tarasy w mieście! Wyobraź sobie możliwość pieczenia wszystkiego, o czym tylko zamarzysz. No wiesz, grillowanie po podróży służbowej steku od Lobela...

- Chyba mi nie powiesz, że po powrocie z Pittsburgha o wpół do dziesiątej wieczorem będziesz jak Fred Flinstone wrzucał stek na ruszt. Możesz grillować w letnie weekendy.

- Nie chodzi o to, że zamierzam to robić, chciałbym tylko mieć taką możliwość, jeśli przyjdzie mi ochota. Nawet gdyby to miało się zdarzyć raz w roku. Nie znasz tego uczucia? Że masz możliwość zrobienia czegoś, jeśli tylko zechcesz, chociaż masz również świadomość, że raczej się to nie zdarzy? Podoba mi się myśl, że zatrudniałbym pełnoetatowego kucharza, takiego w białym fartuchu z nazwiskiem wyszytym na kieszonce. I w ohydnych drewniakach na gumie. I on cały czas czekałby na mnie z gotowymi do smażenia stekami. A najlepsze, że mógłbym mu kazać siedzieć na miejscu do jedenastej wieczorem, nawet gdybyśmy wychodzili na kolację. Na wypadek, gdyby po powrocie przyszła nam chęć na ptysia z kremem. Najzabawniej by było, gdybyśmy wcale tego ptysia nie chcieli. Kucharz cały wieczór siedziałby beczynnym, na wypadek, gdyby nam się czegoś zachciało. To są właśnie pieniądze, które pozwalają mieć wszystkich w dupie.

Poczułam ochotę, żeby rozwieść się z nim natychmiast.

- Jamie, dopilnuj, żeby w poniedziałek wysłano Susannah bukiet pięknych kwiatów. Nie oszczędzaj. To był wyjątkowy wieczór. - Pokręcił głową i oparł ręce na biodrach. - Co za towarzystwo! Ten redaktor „Newsweeka” to naprawdę bystry facet. Tak samo gość z ONZ. Sypią datami i liczbami jak z rękawa, to naprawdę imponujące. Ale ja też poradziłem sobie na ich polu całkiem nieźle, jeśli wolno zauważyć. Może nawet ich przebiłem. Moja uwaga o wyborach w połowie kadencji i bieżącym deficycie budżetowym dała im do myślenia. Nie sądzisz? - Nie był jednak zainteresowany moją odpowiedzią. - Boże, a ten Abdul jakiś tam ze Środkowego Wschodu też ma łeb!

- Yousseff. Yousseff Gholam. To znany naukowiec. Nie nazywa się Abdul.

- Napędził mi strachu. - Phillip znowu pokręcił głową i szurnął po chodniku czubkiem buta. - Jakkolwiek ma na imię. Abdul, Abdullah, Mohammed, dla mnie to jeszcze jeden Arabus.

Tupnęłam nogą.

- Przestań, Phillipie!

- Ojej, rozchmurz się, powiedziałem to tylko po to, żeby cię rozruszać. - Znowu otoczył mnie ramieniem i chciał iść dalej, ale ja splotłam ręce przed sobą najmocniej, jak mogłam. - Niech ci będzie - ustąpił. - Yousseff Gholam. Kennedy School of Government. Doradca trzech prezydentów. Autor pięćdziesięciu książek. Może nie uważałem?

Nie wiedziałam, co właściwie mogłabym odpowiedzieć. Latarnie przy Seventy-sixth Street oświetlały wapienne elewacje i ceglane mury domów z marmurowymi schodami oraz wielkie okna wykuszowe o brokatowych i jedwabnych zasłonach z frędzlami. Za każdymi z tych drzwi mieszkali ludzie, którzy zarządzali nowojorskimi mediami, bankami i kancelariami prawnymi. To byli prawdziwi gracze, do których Phillip tak bardzo chciał należeć.

Kilkanaście metrów przed wejściem do naszego budynku zapytał:

- I jeszcze jedno: nie pomyślałaś o loipue masek gazowych dla służby, co?

Kiedy znaleźliśmy się na naszym piętrze, wyszłam z windy przed Phillipem i zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem. Zasłużył na to. Był nadętym, zepsutym, rasistowskim dupkiem.

Pobiegł za mną korytarzem.

- Hej, Jamie! O co ci chodzi? Dopiero co przytulaliśmy się na ulicy, a teraz zatrzasniesz drzwi przede mną?

Nie byłam w stanie odpowiedzieć.

- Przepraszam, że nazwałem tego faceta Arabusem. To było dziecinne, ale chciałem cię wkurzyć, a może rozśmieszyć.

- Nie możesz być takim rasistą, Phillipie. Nie cierpię tego.

- Daj spokój! Przecież żartowałem. Powiedziałem też, że facet był świetny! Czego jeszcze ode mnie oczekujesz?

- Nie chcę, żebyś mówił o ludziach pewnych narodowości tak, jakby byli gorsi od nas, jacyś brudni, rozumiesz? Boję się, że któregoś razu wyrwie ci się coś takiego przy dzieciach.

Opuścił głowę.

- Przykro mi, masz rację, co jeszcze mam powiedzieć?

- Jesteś taki... taki...

- Jaki, Jamie?

- Zepsuty.

Spojrzał na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

- Powinieneś czasami posłuchać samego siebie, na przykład wtedy, gdy marudzisz z powodu grilla za sześć tysięcy dolarów. To twoje ciągle niezadowolenie zatruwa mi życie.

- O co ci, do diabła, chodzi? Ich mieszkanie jest sto razy ładniejsze od naszego i po prostu dałem temu wyraz. Przykro mi, że nie dorastałem w Minnesocie, łowiąc ryby pod lodem, jak ty, mój ty wzorze skromności i zdrowego rozsądku. Widziałem w życiu mnóstwo pięknych mieszkań. W jednym z nich się wychowałem, na miłość boską! Pracuję jak wół roboczy i nie mogę sobie pozwolić na dom, jaki by mi odpowiadał, rozumiesz to? A w ogóle cóż to za świętoszkowaty ton?



- Susannah jest moją przyjaciółką, nie twoją. Oczy mu się zwały.
- Co z nią robiłeś na osobności? Dlaczego zaniknęliście się w pokoju?
- Oszalałaś? - Przełknął ślinę. - Myślisz, że coś mnie łączy z Susannah?
- Nie ja to powiedziałam.
- Wielkie rzeczy, zrobiła mi laskę. Wzruszyłam ramionami.
- Nie wygłupiaj się, Phillipie, nawet mój towarzysz przy stole coś zauważył.
- Pokazywała mi nowy rysunek Diebenkorna.
- Już bym wolała, żebyś się z nią pieprzył. Byłoby to bardziej męskie niż jęki z powodu grilla.
- Jeśli chcesz wiedzieć, nie wyrzuciłbym jej z łóżka.

Po tej obrzydliwej uwadze odwróciłam się na pięcie i pobiegłam do sypialni. Nie byłam w nastroju na dziecinne kłótnie. Phillip był rozpaskudzoną bachorem i od dawna to wiedziałam. Rzeczywiście, uwielbiał Susannah, no i co z tego? W tej chwili zbyt go nienawidziłam, żeby z nim rozmawiać. Mimo to zaczęłam się zastanawiać, kto oprócz wielkiego projektanta mody zauważył, że na co najmniej dziesięć minut tych dwoje zniknęło z biblioteki, gdy reszta zebranych popijała po kolacji drinki.

Zamknęłam się w głównej łazience. Byłam zdołowana, mój gniew zaczął przechodzić w ból, spowodowany przez to, że Phillipa i moją najbliższą przyjaciółkę łączy głębsze porozumienie, oparte na wspólnym pochodzeniu i przynależności do grupy, do której ja nie należałam. Byłam jakby sparaliżowana, tak że nie mogłam zrobić nic poza użalaniem się nad sobą.

Usiadłam na brzegu wanny i oparłam na rękach głowę, w której zapanował kompletny mętlik. Minęła północ, czułam się lekko zawiana i było mi niedobrze z powodu rozmowy o grillu i tarasie. Przyszło mi na myśl, że być może wyła-

dowywalam na mężu całe napięcie związane z pracą. No i z Peterem. Objęłam rękami czoło i usiłowałam przywołać wspomnienia szczęśliwych chwil w naszym małżeństwie. Ale nie potrafiłam. Przed oczami stawały mi tylko sceny, gdy Phillip darł się na mnie, bo jego nożyczki do paznokci leżały nie na swoim miejscu.

Rozległo się pukanie do drzwi, potem kolejne.

- Phillipie, potrzebuję trochę czasu dla siebie, chcę być sama.

- Jamie, to śmieszne! Tak naprawdę kłócimy się o nic. Wyjdź, chcę cię przeprosić. Nie mówiłem poważnie o tym Abdullahu.

- Nie chodzi o żadnego Abdullaha. Cisza, a potem:

- Wcale nie chcę, żeby Susannah robiła mi laskę. Nic między nami nie zaszło. To twoja przyjaciółka. Obiecała mi po prostu pokazać nowe nabytki w swojej kolekcji sztuki. Potem rozmawialiśmy o jej rodzinie. Moja matka któregoś lata wynajmowała dom jej ciotki w Plymouth.

- Chcę być sama. To nie ma nic wspólnego z tobą. Będę się kąpać.

Rozebrałam się i zdjęłam z wieszaka na drzwiach szlafrok frotte. Niechcący zrzuciłam przy tym wiszącą obok kurtkę do sąuasha, która należała do Phillipa. Podniosłam ją i pomyślałam, że przeszukam kieszenie. Tego wieczoru bowiem przestałam ufać mężowi. Nigdy dotąd nie brałam pod uwagę, że mógłby mnie oszukiwać, ale nagle nabrałam podejrzeń.

W wewnętrznej kieszeni coś było. Gruba biała koperta.

- Kochanie, proszę. Niepotrzebnie wyrwała mi się ta uwaga o Susannah. Przepraszam. Kocham cię. Wpuść mnie.

Na kopercie widniał napis: „Wezwanie do sądu dla Laurie Petitt, Whitfield i Baker, od: Prokuratura Okręgowa USA, Okręg Południowy”. Laurie Petitt była asystentką Phillipa. Tekst zamazał mi się przed oczami. Coś w związku z patenta-

mi... „Podejrzewa się, że przekazano poufne informacje o patencie Adaptco Systems"... Adaptco Systems, mała firma internetowa, była klientem Whitfield i Baker. Ale to nie Phillip ją obsługiwał.

Kancelaria była oskarżona o przekazywanie ściśle tajnych informacji o jakimś produkcie Hamiltechowi, najważniejszemu klientowi Phillipa. Hamiltech, Hamiltech. Firma, z której żył Phillip. Pobiełam do toalety i zwymiotowałam tartę kawiorową.

- Jamie, jesteś chora? Otwórz drzwi, to ci pomogę!

- Zostaw mnie w spokoju!

Po godzinie wyszłam z łazienki w szlafroku frotowym, z mokrymi włosami i zaczerwienionymi oczami. Światła w sypialni były zapalone, a łóżko nietknięte. Wstawiłam wodę, żeby zaparzyć herbatę imbirową, myśląc, że dobrze mi zrobi na żołądek. Rozmowa z Phillipem o wezwaniu do sądu mogła sprowokować niepotrzebne emocje. Powtarzałam sobie: „Nie rozmawiaj z Phillipem. Nie rozmawiaj z Phillipem. Poczekaj z tym do czwartku. Do emisji wywiadu. Poczekaj z tym do czwartku". Musiałam poczekać. Mam fantastyczną siłę woli.

W kuchni tymczasem pojawił się Phillip w wyprasowanej piżamie i czerwonych aksamitnych kapciach - na jednym miał wyhaftowanego czarnego, a na drugim białego pieska rasy scottie.

- To homar? - zapytał.

W milczeniu mieszałam herbatę.

- Posłuchaj, Jamie. Naprawdę bardzo mi przykro z powodu tej uwagi o Susannah. To było naprawdę zagranie poniżej pasa. - Próbował objąć mnie od tyłu, wtulając głowę w moje włosy i przywierając do mnie biodrami. Poczulałam, że dostaje wzvodu. - Nie chcę, żeby ktokolwiek poza tobą robił mi laskę. Ty jesteś w tym najlepsza na świecie.

Odwróciłam się.

- Co to za wezwanie do sądu jest w twojej kurtce do squashy?

- Jakie wezwanie?

Spojrzałam w dół; jego penis kurczył się na moich oczach.

- Wezwanie do sądu z biura prokuratora, które, z tego, co rozumiem jako laik, podejrzewa kogoś z twojej firmy o sprzedaż tajemnicy handlowej. Jesteś już tak zdesperowany, że włączysz Hamiltechowi do kieszeni? Co się dzieje, Phillipie? Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

- Postradałaś zmysły? Myślisz, że ja... Myślisz, że mógłbym... - Odgarnął mi włosy z twarzy. - Kochanie, to żadna sprawa, nieporozumienie. Bez związku ze mną.

- Na pewno?

- To wezwanie dla Laurie. To ona robi kopie dokumentów. Nie ja. Mówię ci, to nieporozumienie.

- Nieporozumienie? U federalnych?

- Zawsze weszli w moje sprawy, interesują ich wszystkie firmy zajmujące się fuzjami i umowami na takim szczeblu, jaki my reprezentujemy.

- Skąd wiesz?

- Kochanie. - Mówił tonem dyrektora szkoły z internatem. - Adaptco to nasz klient, podobnie jak Hamiltech. Mamy tony akt dotyczących obu firm.

- Adaptco nie jest twoim klientem. Dlaczego więc masz ich akta?

Wzruszył ramionami.

- Nie masz pojęcia, jak funkcjonuje firma prawnicza. Jestem jej udziałowcem. Mam dostęp do rozmaitych informacji, rozumiesz? To, że złożono jakąś skargę, jeszcze nie znaczy, że ktoś przekroczył prawo. To na razie tylko wezwanie do sądu.

- Na pewno?

- Jamie, twój niepokój jest nieproporcjonalny do wagi sprawy. To jakiś drobny problem w księgowości, nieporozumienie, w które uwikłana jest moja asystentka i kilku praktykantów. Pomylili jakieś akta; nie zrobili tego celowo. Chcesz poznać całą historię? Uspokoi cię to?

- Tak, właśnie tak.

- Adaptco to mała firma, która bardzo dobrze prosperuje. Wdraża programy komputerowe. Ta działalność przynosi jej mnóstwo pieniędzy. Hamiltech to moloch. Również zajmuje się sprzedażą oprogramowania, ale trochę innego. Adaptco za wszelką cenę próbuje go pokonać, chce udupić Hamiltech, żeby nie stracić rynku na rzecz większej firmy. Więc wysunął fałszywe oskarżenia. To akt desperacji. Adaptco nie ma dowodów. Musisz mi zaufać. Prawnicy stale są wzywani do sądu czy na przesłuchania i nic z tego nie wynika. Rzeczywiście, praktykanci i Laurie coś tam namieszali z aktami, ale to nic poważnego. Trzymam rękę na pulsie.

Wyjęłam kopertę z kieszeni jego kurtki i przez pół godziny maglowałam go o każdy szczegół. Phillip usiłował minimalizować ich znaczenie, ale na nic się to nie zdało, bo nie wziął sobie za żonę idiotki.

- Phillipie, naprawdę w tym tygodniu mam już za dużo stresów - stwierdziłam i zostawiłam go w kuchni.

Gdybym wtedy wiedziała, w jakich naprawdę był tarapatach, umarłabym z przerażenia.

Mieszkańcy Grid nie jeżdżą do Brooklynu. Nigdy. A jeśli już muszą wybrać się do West Side, następnego dnia wypierają się tego. Nie było więc niespodzianką, że mój mąż nie towarzyszył w niedzielę Dylanowi i mnie na popołudniowe przyjęcie urodzinowe Petera. Nie rozmawiałam nadal z Philli-pem, który gdy przygotowywaliśmy się do wyjścia, oglądał mecz piłkarski w swoim gabinecie, popijając coors z cytryną.

Nie ruszając się z kanapy, zawołał:

- Idziecie na przyjęcie urodzinowe niańka?
- Tak, Phillipie. Peter nas zaprosił.
- Z maluchami wszystko w porządku?
- Grają z opiekunką w Chutes and Ladders. Zdaje się, że więcej im do szczęścia nie potrzeba. Możesz zabrać je potem na lody.
- A jeśli nie będą miały ochoty?
- To wymyślisz coś innego. Jesteś świetnym ojcem. Możecie zejść do sklepu po lizaki. Dylan nie może się już doczekać, żeby poznać przyjaciół Petera, a ja obiecałam, że go zawiozę.
- Jezu! Jakie to typowe! Może byś trochę zwolniła tempo? To ostatnie, czego ci potrzeba w tej całej gorączce przed emisją programu.
- Nic mi nie będzie. Możesz zresztą pojechać z nami. Phillip wstał.

- Nie, dziękuję. Mam trochę...

- To był żart, Phillipie. Dobrej zabawy przed telewizorem. Popołudniowe słońce świeciło mi zza placów, gdy z Dylanem na tylnym siedzeniu jechałam mostem Brooklyńskim do Red Hook. Olinowanie po obu jego stronach przyprawiało o zawrót głowy, gdy mknęliśmy nad skutą lodem East River. Spojrzałam na kłęby białego dymu wydobywające się z trzech czerwonych kominów fabrycznych na brzegu. W takie surowe, zimne dni w Nowym Jorku dym sprawiał wrażenie, jakby zamarzył w powietrzu.

- Mamo, przestań dzwonić pierścionkami o kierownicę. To mnie wkurza - oznajmił mój syn.

Peter dał mi wskazówki, jak dojechać do baru U Tony'ego, wszystko mi objaśnił tak dokładnie, jakbym była kompletną kretynką. Żartował, że pewnie nigdy samodzielnie nie jeździłam po Brooklynie i że powinnam wynająć samochód z kierowcą. Chciałam mu pokazać, że wcale nie boję się jeździć po obcej dzielnicy, i oto znalazłam się tu, przerażona, za kierownicą, wznosząc modły, żebym nie pomyliła drogi i jak w *Fajerwerkach próżności* nie skręciła nie wiadomo gdzie. Bez żadnych problemów znalazłam jednak bar i nawet udało mi się zaparkować.

Bar U Tony'ego, stary lokal, wykończony elementami ze stali, jeszcze z lat trzydziestych, z oryginalnym neonem, znajdował się przy ulicy otoczonej sympatycznymi domami z surowej cegły. Na zewnątrz stało z piętnaście osób, które śmiały się, rozmawiały i paliły. Peter powiedział mi, że właściciel, jego kumpel, zgodził się do szóstej rano zamknąć bar dla publiczności. Trzy zachwycające dziewczyny pod trzydziestkę paliły jednego papierosa, ubrane w niezobowiązujące stroje: bojówki i dzinsy, rozciągnięte swetry i długie szale, owinięte wokół szyi. Piękna kobieta, która wyglądała na lekko po czterdziestce, opierała się o ścianę; miała na sobie dzinsy i botki, gruby biały sweter, srebrną kurtkę i długie egzotyczne kolczyki ze szkła. Szopę jej ciemnych kręconych włosów przytrzymała turkusowa indyjska spinka. Piękność ta rozmawiała

z dwoma trzydziestoparoletnimi facetami, którzy mieli czapki bejsbolówki, drogie okulary przeciwsłoneczne i niechlujne brody. Wyglądali jak autorzy *South Park*.

Na krześle siedział seksowny kowboj po sześćdziesiątce w wytartej kozuchowej kurtce. Ostatnie promienie zimowego słońca podświetlały brzegi jego brązowego postrzępionego kapelusza. Uśmiechnął się półgębkiem, obserwując mój niepewny krok w botkach na wysokich obcasach, gdy Dylan ciągnął mnie ku wejściu. Nie było najmniejszej wątpliwości, że dobrze mnie sobie obejrzał; jego spojrzenie trudno byłoby nazwać subtelnym. Odpowiedziałam uśmiechem, a niech tam. Nie chciałam wyglądać na damulkę z Upper East Side, więc włożyłam czarny obcisły top, zamszową kurtkę, moje najlepsze džinsy i kolczyki w kształcie wielkich kół. Przebierałam się ze dwadzieścia razy, zanim w końcu zdecydowałam się na ten wariant. Chciałam pasować do przyjaciół Petera, nawet jeśli wyglądałam trochę prowokująco. Dylan chwycił mnie za rękę, otworzył drzwi i uderzyła w nas głośna muzyka.

*I'm all out of love, I'm so lost without you*

*I know you were right believing for so long. ...\**

Owalny kontuar z pojemnikami na jedzenie pełnił rolę samoobsługowego bufetu, który łączył się z dużą salą o ścianach z surowej cegły. Peter - dostrzegłam go od razu - nie zauważył, że przyszedliśmy. Stał w kącie, łokciem wsparty o ścianę, i rozmawiał z niską, szczupłą dziewczyną o gęstych, ostrzyżonych na chłopaka włosach. Ubrana była w białe sztruksy z brązowym zamszowym paskiem, kowbojskie buty i luźną, nisko zapiętą różową bluzkę w stylu hipisowskim, a na szyi miała aksamitkę z krzyżem z pereł. Wyglądała jak ikona mody, i to brytyjska, nie z centrum, kumpelka Sienny Miller i Gwyneth Paltrow. Zirytowało mnie, że wygląda na znacznie zgrabniejszą niż ja. Gdy byliśmy w Belwederze, Peter powiedział,

\* Straciłem miłość, jestem tak zagubiony bez ciebie Wiem, miałaś rację, wierząc tak długo...



że nie poznał żadnych ciekawych dziewczyn w Nowym Jorku, ale niewątpliwie sprawiał wrażenie zainteresowanego tą właśnie. Poczułam się jak dziewiętnastowieczna heroina, która pojawia się na balu i stwierdza, że obiekt jej westchnień jest zafascynowany inną kobietą.

- Mamuś, jest Peter! - zawołał Dylan, ciągnąc mnie w stronę niańka.

- Kochanie, pozwól mu porozmawiać z przyjaciółką. Później się z nim przywitamy.

- Czy to jego dziewczyna? - zapytał Dylan.

- On chyba nie ma dziewczyny.

- Ma.

- Jak to?

- Spoko, mamuś. Mówił, że ma dziewczynę.

- Kto to taki? - zapytałam gwałtownie.

- Nie wiem, ale ona nie odwzajemnia jego miłości. Myślę, że to ta.

- Dylan, skąd to możesz wiedzieć?

- O Boże, mamuś, nie rzucaj się tak. Najlepiej zapytaj jego! Dobra?

Dziewczyna z chłopięcą fryzurą wyglądała na pozeraczkę męskich serc.

- Dylan! - Peter przeprosił swoją piękną rozmówczynię, która wdała się w rozmowę z innymi znajomymi. Miała tak mały tyłeczek, że Peter mógłby go ująć jedną ręką.

- Nie mogę uwierzyć, że jednak przyszliście! - Peter przybił piątkę z Dylanem i po raz pierwszy pocałował mnie w policzek, a potem poklepał po ręce. - Naprawdę, bardzo się cieszę. - Zauważyłam, że nie cofa dłoni. Zrobiło mi się gorąco. - Jedzenie jest świetne: żeberka, kurczak, kukurydza, chleb z mąki kukurydzianej. Jesteście głodni?

Pokręciłam głową nagle odebrało mi mowę.

- A ja jestem! - oświadczył Dylan.

- No to zaraz czegoś ci nałożymy, kolego. Ale najpierw zorganizujemy drinka dla mamy i przedstawimy ją moim przyjaciółom. - Lekko ujął mnie pod rękę i oprowadził po

sali, gdzie miałam okazję poznać kilkanaście osób. Zauważyłam, że Peter ma znajomych w różnym wieku, od dwudziestu kilku do sześćdziesięciu lat, i większość ich wygląda na indywidualności. Zdecydowanie w tym towarzystwie nie było miejsca dla garniturowców.

- Tu musi być z pięćdziesiąt osób. Masz wielu przyjaciół jak na kogoś, kto dopiero parę lat temu przeniósł się do Nowego Jorku.

- Niezupełnie. Z tymi dwoma facetami, o tam, współpracuję przy moim programie internetowym; z dziesięć osób mieszka w tym samym budynku co ja. Jesteśmy sąsiadami. Wszyscy uwielbiają tańczyć i pić, zwłaszcza w niedzielne popołudnie. To taka tradycja wśród przyjaciół, nie wiem, skąd się wzięła. - Przywołał barmana i podał mu banknot dziesięciodolarowy. - Bobby! Kieliszek chardonnay dla pani. Tylko dobrego. Świetnie jej zrobi! - Przysunął mi stółek i przedstawił dwom facetom około trzydziestki, którzy siedzieli obok przy barze. - Nick, Charlie, poznajcie wreszcie Jamie Whitfield. Zajmijcie się nią, tylko nie naróbcie mi wstydu. Jamie, to moi współlokatorzy z piekła rodem, o których tyle ci opowiadałem. Nie wspomniałem tylko o jednym: że poznaliśmy się właściwie dzięki temu grubasowi. Więc chyba nie jest całkiem zły. - Zaśmiał się, poklepał Charliego po plecach i zaprowadził Dylana do stołu bilardowego.

Zaczęłam nerwowo zagadywać współlokatorów Petera, zasypując ich mnóstwem pytań. Czy Peter nie ma już dość Dylana? Czy nie pracuje zbyt ciężko? Czy ma czas na pisanie swojego programu komputerowego? Czy nie uważa nas za czubków? Czy zdaje sobie sprawę, jak bardzo nam pomaga? Kiepsko mi szło. Miałam świadomość, że zachowuję się jak dziwaczna bogata paniusia. I dla nich byłam kimś takim.

Charlie szepnął coś Nickowi do ucha, a potem powiedział do mnie:

- On... eee... uważa, że jesteście w porządku. Tylko „w porządku”? Ostrzyżona na chłopaka dziewczyna, opuszczona przez

swoje dotychczasowe towarzystwo, podeszła do baru i stanęła na drążku pod nogi obok mnie.

- Bobby, poproszę amstel light.

- Już się robi, aniele.

Miała figurę tancerki. Może nawet należała do tych dziewczyn, które są w stanie uprawiać seks w najbardziej niehumanitarnych pozycjach. Niechcący musnęła mnie łokciem.

- Cześć, nazywam się Jamie - powiedziałam. - Jesteś przyjaciółką Petera?

- Tak. Dobrą przyjaciółką. Mam na imię Kyle. - Zlustrowała mnie wzrokiem. - A ty skąd znasz Petera?

- Peter... pracuje u nas, na Manhattanie.

- To ty jesteś tą Jamie?

- Uhm, to ja.

- O rany! Wyglądasz inaczej, niż sobie wyobrażałam.

- A jak mnie sobie wyobrażałaś?

- Czyja wiem... Może nie tak zwyczajnie. Nie tak... normalnie. Z tego, co Peter o tobie mówił, sądziłam, że jesteś...

- Jaka?

- No, sama nie wiem... Myślałam, że nie należysz do osób, które w niedzielne popołudnie popijałyby drinka w Red Hook.

Nie podobał mi się kierunek, w jakim zmierzała rozmowa.

- Czyli jaka...? Zbyt...

- Żadne „zbyt”! On cię naprawdę podziwia, więc myślałam, że może jesteś ostra czy coś w tym stylu, że budzisz respekt, a ty wyglądasz jak studentka.

Nagle polubiłam tę dziewczynę.

- Cieszę się, że tu pasuję, miło, że mi to mówisz, ale mam trzydzieści sześć lat.

- O rany! Nie wyglądasz na tyle.

- Dzięki. Skąd znasz Petera?

- Mieszka piętro niżej. Często spotykamy się wieczorami. Wyciągam jego kumpli na drinka, gdy jest zajęty, a przeważnie jest.

- Dużo pracuje?

- Jasne! To pracoholik! Pracuje bez przgrywy. Wręcz obsesyjnie.
- Ty też dużo pracujesz?
- W pewnym sensie. Jestem redaktorem wschodniej edycji magazynu „Wired”. Mam mnóstwo roboty w tygodniu, w którym zamykamy numer, ale poza tym wieczorami jestem wolna.
- Pewnie wielu facetów chciałoby ci te wieczory wypełnić. - Spróbowałam komplementu, żeby czegoś więcej się o niej dowiedzieć.
- Nie ten, na którym mi zależy. Nie mogłam się powstrzymać.
- Z taką urodą nie możesz być singlem - wyraziłam przypuszczenie.
- Dzięki. - Podrapała się po głowie, tak że jej idealnie potargana fryzurka wyglądała jeszcze doskonalej. - Ale jestem. Bardzo mi na kimś zależy, ale... jakoś się nie składa, no wiesz... - Spuściła głowę.
- Och, znam to. - Upiłam łyk wina. - Trudna sprawa. Pokiwała głową.
- Naprawdę mi przykro. Czy jest tu ten facet?
- Tak. - Machnęła puszką piwa i zamilkła na chwilę. - To jego impreza.
- Peter?
- Uhm.
- To on nie odwzajemnia twojego uczucia? Pokiwała głową. Doznałam nagle sprzecznych emocji: ulżyło mi, że Peter nie jest w niej zakochany, a jednocześnie poczułam kobiecą solidarność z tą śliczną, drobną dziewczyną.
- Czy on wie?
- Wie. Upiłam się kiedyś i powiedziałam mu, że się w nim zakochałam i tak dalej. Ale to na nic. Zrobiłam wszystko, co mogłam, nie wlażłam mu tylko naga do łóżka. Może zresztą i tego próbowałam, choć wstyd się przyznać. Ale bezskutecznie.

- Cóż, stale jest zajęty. Ciężko pracuje, żeby sprzedać swój program.
  - O czym ty mówisz? - Wyglądała na zdumioną. Pomyślałam, że postąpiłam nierozważnie. Może Peter nie powiedział jej o swoim przedsięwzięciu?
  - Och, no nie wiem, chodzi o to coś, nad czym podobno pracuje, tak na boku.
  - Masz na myśli program do pomocy przy lekcjach?
  - Więc wiesz.
  - Oczywiście, że tak. - Teraz z kolei ona próbowała zorientować się, ile wiem ja. - Jak mogłabym nie wiedzieć?
  - Przyszło mi po prostu do głowy, że może on chce to zachować w tajemnicy.
  - No co ty! Jak mógłby to ukryć?
  - Nie rozumiem...
  - Przecież stał się sławny. No, może jeszcze nie całkiem, ale niebawem będzie sławny. Zdobył mnóstwo forsy, miliony na rozwój tego projektu.
  - Niemożliwe!
  - Ależ tak. Wciąż mu mówimy, że będzie jak ci faceci od YouTube.
  - Aha. - Zabrakło mi słów.
  - To takie dziwne. - Ruchem głowy wskazała Petera, który śmiał się w grupie ludzi, trzymając Dylana na barana. - Spójrz na niego. Jest w siódmym niebie. Od dwóch miesięcy.
  - Chcesz mi powiedzieć, że projekt Petera jest finansowany od dwóch miesięcy?
  - Uhm.
  - A on nic mi o tym nie powiedział?
  - No właśnie. Szczerze mówiąc, pytaliśmy go, dlaczego wciąż pracuje u kogoś, skoro zdobył pieniądze na swój projekt.
- Zaschło mi w gardle.
- I co odpowiedział?
  - Nic. Sądzimy wszyscy, że po prostu zakochał się w twoim synku.

Ktoś poklepał mnie po ramieniu. Z szafy grającej rozległa się piosenka *Brown Eyed Girl*\*.

Za mną stał kowboj, bez kapelusza.

- To chyba piosenka o tobie, kochanie. Mogę prosić? Mówił seksownym nosowym głosem. Szpakowaty zarost

krył bruzdy na spalonej słońcem twarzy. Miał spory brzuch, ale przy swojej potężnej budowie wcale nie wydawał się gruby, tylko duży i silny. Nosił dzinsy i zmiętą białą koszulę, naciągniętą w ramionach. Przyjemnie pachniał ziemią. Pomyślałam o mężu w lawendowej pasiastej koszuli, oczywiście starannie wyprasowanej, który w tej chwili oglądał mecz piłkarski na szpanerskiej kanapie w turecki wzór.

A potem spojrzałam na Petera po drugiej stronie sali, który uczył Dylana grać w bilard, i serce mi zabiło. On uniósł głowę i spojrzał na mnie.

Na parkiecie było ze dwadzieścia osób.

- Jasne. - Dopiłam wino i zeskoczyłam ze stołka. - Przepraszam, Kyle.

Kowboj objął mnie w pasie i okręcił, tak że... wpadłam prosto w ramiona Petera.

- Przepraszam, że odbijam ci partnerkę, stary, ale to moje urodziny. I mój taniec. - Peter ujął mnie za rękę, pocierając kciukiem wnętrze mojej dłoni. Nie czułam takiego podniecenia od dziesiątej klasy. f, .

...

*Skipping and a jumping*

*In the misty morningfog with...*

*You, my brown eyed girl\*\*.*

- Ty potrafisz tańczyć, dziewczyno! - zawołał Peter ze śmiechem, okręcając mnie.

Mocno trzymał mnie za ręce, pieszcząc ich wnętrze kciukami, tak że musiałam opuścić wzrok. Nagle przestaliśmy tańczyć. Odsunęłam się, ale on nie wypuszczał mnie z objęć.

- Peter, co ty robisz?

\**Brown Eyed Girl* (ang). - dziewczyna o piwnych oczach.

\*\*Skacząc i podrygując nad ranem we mgle z... tobą dziewczyno o piwnych oczach.

- Patrzę na ciebie.

Nie mogłam uwierzyć, że to powiedział.

- Wyglądasz świetnie. Naprawdę świetnie.

- Dzięki. - Musiałam zneutralizować wydźwięk tego wszystkiego. - To miło z twojej strony. - Miałam wrażenie, że strzelił sobie kilka piw i zbytnio się wyluzował. Tak, to na pewno z powodu piwa.

- Hejże! - Uniósł palcem mój podbródek. - Spójrz na mnie. Nie jestem miły. To coś więcej. I ty o tym wiesz. -Przyciągnął mnie do siebie. Rozejrzałam się nerwowo, wciąż nie mogąc uwierzyć, że śmiał mnie tak obejmować. Na szczęście, ludzie wokół nas tańczyli i zasłaniali nas przed innymi. -Wszystko w porządku, Jamie.

- Tak?

Jego przyjaciele, siedzący przy barze, już zwrócili na nas uwagę. Ponownie próbowałam się odsunąć. Uwolniłam jedną rękę i odgarniając włosy, zauważyłam, że drży.

- Uhm.

Jeszcze raz potoczyłam wzrokiem po sali; przyglądali nam : się tylko jego przyjaciele, ale nikt poza nimi. Dylan grał w bilard z chłopcem w jego wieku.

- Rozumiesz, co mówię, Jamie?

O Boże! Znowu powiedział do mnie „Jamie”.

- Nie jestem pewna.

- Jesteś pewna, że nie jesteś pewna?

- Dobra, może trochę rozumiem. - Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Ten jego urok, bardziej niż nieodparty.

- Tak tylko pytałem. Ugięły się pode mną kolana.

Kyle posłała mi pełne zawiści spojrzenie i odeszła od baru. Zamarłam. Inni również już coś zauważyli. Wyrwałam rękę z uścisku Petera.

- Nie mogę... Nie wiem... - Teraz patrzył na mnie i Dylan. - Chyba powinnam już iść. I to zaraz.

Chwyciłam za rękę nieszczęsnego Dylana, porywając go od stołu bilardowego w środku gry, i wybiegłam z nim za drzwi.

Co za weekend! W sobotę po przyjęciu u Susannah przewijały mi się przez głowę wizje Phillipa zakutego w kajdanki i nagłówki prasowe *Przestępca z Park Avenue*, a już w niedzielę wieczorem byłam w stanie myśleć jedynie o Peterze i o tym, jak okręcał mnie wokół swojego rozgrzanego ciała. O Peterze i funduszach na jego program. O Peterze i jego słowach: „Wszystko w porządku, Jamie”.

W poniedziałek, wczesnym pogodnym rankiem, siedziałam w szlafroku przy kuchennym stole i grałam z Gracie i Dylanem w pytania i odpowiedzi, kiedy wpadł Peter.

Myślałam, że przyjdzie później, a może nie przyjdzie w ogóle. Zbyt zaskoczona, żeby coś powiedzieć i pełna obaw, że źle zrozumiałam jego intencje na parkiecie, skinęłam głową, nie patrząc mu w oczy, po czym skupiłam się na dzieciach.

- Dobra, Dylan, teraz pytanie dla ciebie. Wymień dwie rzeczy, jakimi zajmuje się prawnik.

- Przeprowadza rozwody i stawia przestępców przed sądem.

- Świetnie! Gracie, a dla ciebie mam coś naprawdę trudnego: nazwij rzecz, którą wykonuje rymarz.

- Rymy! - zawołała.

Peter się roześmiał. Miał na sobie swój zwykły strój:



snowboardowe spodnie, buty do biegania, rozciągnięty sweter, a pod nim starą bawełnianą koszulkę. Zanim do mnie podszedł, zorientowałam się, że on także jest zdenerwowany.

Pochylił się i zbliżył twarz do mojej na odległość kilku centymetrów.

- Jak tam? - Wykręty nie były jego mocną stroną. „Wszystko w porządku, Jamie”. „Rozumiesz, co mówię, Jamie?”.

Czy miał wtedy na myśli, że lekkie zadurzenie to nic złego? Czy może tylko to, że w naszym tańcu nie ma nic złego? A niech tam. Wiedziałam, że nie chodziło mu o taniec, ale czy chciał dać znać, że jest coś między nami i że to jeszcze nie zbrodnia?

- Pochylił się trochę - polecił, a gdy to zrobiłam, kantem dłoni zaczął w stylu karate uderzać mnie po karku, jakbym była bokserem przed walką. - Już prawie po wszystkim. W środę o dziesiątej emisja. Jeszcze trzy dni i będziemy mogli świętować. - Potem jego kciuki zagłębiły się w napięte mięśnie wzdłuż mojego kręgosłupa. Zbyt przestraszona, żeby zupełnie się poddać, i znowu zaniepokojona, co będzie z wywiadem, zeszytniałam w odruchu obronnym. Ale on nie przestał masować. Poczułam, że powoli odprężam się pod naciskiem jego sprawnych rąk. Nic dziwnego, że ostrzyżona na chłopaka dziewczyna miała złamane serce.

Przez całą noc zastanawiałam się, dlaczego choć od dwóch miesięcy miał fundusze na program, nie powiedział o tym ani słowa. Jakim cudem na parkiecie stał się nagle taki silny, władczy? Czy działał pod wpływem chwili i teraz było mu z tego powodu głupio? Czy tak jak ja żywił głębsze uczucia i przez chwilę dał temu wyraz? Jeden i drugi pomysł był niepokojący.

Czułam, jak silne kciuki przesuwają się po moich łopatkach.

Zadzwoił telefon.

Zerwałam się i podniosłam słuchawkę. Dzwoniła moja matka.

- Cześć, mamó. - Usiłowałam skupić się na rozmowie z nią, nie myśleć o masujących mnie dłoniach Petera.

I wtedy zdarzyło się coś naprawdę niedobrego - Phillip. Najwyraźniej zaszokowany, stał w progu i patrzył na mnie. Zmusiłam się, żeby zignorować niestosowne zachowanie Petera, a także podejrzenia, jakie musiało ono wzbudzić w moim mężu.

- Mamó, przejdę do innego pokoju. Poczekaj chwilę. Niestety, Phillip nie zamierzał zignorować zachowania Petera.

- Młody człowieku, mógłbym zamienić z tobą kilka słów? O mój Boże.

Peter puścił do mnie oko. Jak mógł? Czyżby widział w tej sytuacji coś zabawnego?

- Wiesz co, mamó? Oddzwonię do ciebie później. Phillip ujął mnie za ramiona i odwrócił ku drzwiom.

- Nie. Myślę, że nic nie stoi na przeszkodzie, abyś porozmawiała z mamą teraz. - I znowu posłał mi spojrzenie dyrektora szkoły z internatem.

Pokaz fajerwerków z udziałem męża i niańka. Nie mogłam tego przegapić.

- Poczekaj minutę. - Odłożyłam słuchawkę na bok, licząc, że Phillip rozprawi się z Peterem przy mnie, a nie zabierze go na męską rozmowę do swojego gabinetu. Że to będzie krótka wymiana zdań. „Masaże nie należą do twoich obowiązków, synu”. Coś w tym rodzaju. Ale niestety. Niczym generał Tojo, Phillip wskazał Peterowi drogę do gabinetu.

Na szczęście, z holu słyszałam ich rozmowę.

- Młody człowieku, co to miało znaczyć, na miłość boską?

- Nie rozumiem, proszę pana...

- Wiesz dobrze, o czym mówię. - Oczami wyobraźni widziałam, jak Phillip wymachuje palcem przed nosem Petera. - Nie życzę sobie, żebyś przychodził do mojego mieszkania i zachowywał się jak żigolak w gondoli, z petem w ustach.

- Interesująca wizja, ale ja nie palę. Nigdy nie paliłem. Wtedy Phillip zamknął drzwi, tak że przestałam słyszeć,

co się dzieje w środku. Cholera. Pobiegłam do swojego pokoju i z bijącym mocno sercem chwyciłam słuchawkę telefonu.

- Ojciec też jest na linii - powiedziała matka.

- Cześć, tato.

- Jesteś jakaś zdyszana.

- Byłam... w kuchni... Mieliśmy tu małą sprzeczkę... - Jak Peter zareaguje na reprimendę Phillipa? Złajany jak dziecko? Jak ja?

- Po głosie sądząc, nie wydajesz się spokojna.

- Mam ostatnio sporo stresów. Ale już niebawem to się skończy.

- Wszystko dobrze? To znaczy z tym kongresmanem i w ogóle?

Do oczu napłynęły mi łzy i choć usiłowałam je powstrzymać, jak zwykle, przed rodzicami nie zdołałam ukryć zmartwienia.

- Och, kochanie. - Ojciec zawsze miękł, kiedy płakałam. -Wiem, że moja córeczka ma kłopoty.

Mimo że walczyłam ze łzami, tama pękła.

- Złap oddech. Gdzie jest twój mąż? - pytał ojciec.

- W gabinecie. - Wyciągnęłam chusteczkę higieniczną z pudełka i wydmuchałam nos.

- To dlaczego nie pójdziesz do niego, żeby cię pocieszył?

- Bo jest zajęty. Właśnie wezwał na dywanik niańka!

- Co takiego?

- Lepiej, żebyście nie wiedzieli.

- To tylko stres związany z wywiadem, obowiązkami, dziećmi i tym wszystkim, co usiłujesz ze sobą pogodzić. Kiedy twój wywiad zostanie nadany, będziesz musiała odpocząć. Możecie pojechać obie z mamą do tej naszej ulubionej gospody w Albuquerque. Jak ona się nazywa, kochanie? Pueblo...

- Pueblo Cassito, mój drogi, ale to hotel średniej klasy. Ona nie zechce tam pojechać.

- Mamo!

- Na pewno zechce, już moja w tym głowa! Przyda ci się urlop, córeczko.

- Tato...

- Poza tym możesz poprosić Phillipa, żeby cię dokądś zabrał.

Przypomniało mi się wezwanie do sądu. Pomyślałam o Phillipie i o jego zawsze wyprasowanych piżamach. I o tym, jak ociera się o moje udo. A teraz chce jeszcze pozbyć się mojego Petera.

- Nie zrobię tego. Ojciec zapytał:

- Co to ma znaczyć?

- Tato, mam, sama nie wiem, co to ma znaczyć. Po prostu do środy nie jestem w stanie rozmawiać o czymkolwiek. Proszę. Nie wprawiajcie mnie w jeszcze większe przygnębienie. Muszę kończyć. Kocham was. - I odłożyłam słuchawkę.

Ponownie wydmuchałam nos i wróciłam do kuchni, wierzchem dłoni ścierając łzy z policzków.

Peter, o dziwo, siedział już przy stole i wyglądał tak, jakby nie wybuchała żadna trzecia wojna światowa.

- Peter, biję Dylana, biję Dylana! - wrzasnęła Gracie. Grali w warcaby. - Mam już trzy damki, a Dylan tylko jedną!

Dylan zapytał mnie:

- Co tatuś powiedział Peterowi?

- Nic - odparł Peter.

- Coś powiedział. Był wściekły.

Zapytałam Petera bezgłośnie, samym tylko ruchem warg:

- Co ci powiedział?

Peter zignorował moje pytanie, jakby w ogóle się nie przejmował tym, co kiedykolwiek wygadywał Phillip.

- Nadal wygrywam - oznajmiła Gracie.

- To nie w porządku! Wygrywa, bo miała pierwszy ruch. - Dylan, natychmiast przejęty jak każdy dziewięciolatek, splótł ramiona przed sobą i pochylił głowę, starając się ukryć łzy.

- Hej! - szepnął do niego Peter. - Co ci zawsze mówię? Nie zachowuj się jak jakaś cipcia tylko dlatego, że przegrywasz. To nie jest cool.

Dylan rzucił w niego poduszką.

- Sam jesteś cipcia! - zawołał.

- Nieźle, właściwa reakcja. Jeśli ktoś cię nazwie cipcią, odgryź się.

Zaczęli siłować się na ławie, choć przed nimi na stole stało osiem szklanek - z sokiem pomarańczowym i wodą. Michael zaczął podskakiwać na krzeselku:

- Ja też chcę się bawić, ja też! Przybiegła Carolina.

- Chłopcy, nie! Nie przy stole. Uspokójcie się! - Jedna ze szklanek pełnych soku przewróciła się, a kiedy Peter próbował ją złapać, stracił z kolei szklankę z wodą.

Carolina wzniosła ręce i rzuciwszy: *Dios!*, pobiegła po ręcznik. Zerwałam się od stołu, żeby nie pociekł na mnie sok.

W środku tej porannej demonstracji testosteronu w drzwiach pojawił się Phillip; miał na sobie koszulę, krawat, bokserki i grafitowe skarpetki. Staął i zamarł bez ruchu jak na warcie.

- Carolino, przynieś mi do gabinetu cappuccino i sałatkę owocową; muszę przed wyjściem odbyć naradę telefoniczną. I żeby kawa była w moim kubku. A w ogóle dodaj trochę cynamonu. - Spojrzał na zegarek i podszedł do stołu. - Jamie, mogę z tobą porozmawiać?

Gdy znaleźliśmy się w sypialni, zamknął drzwi i skierował się do garderoby, po czym szybko włożył spodnie od garnituru.

- Wiem, że stąpam po kruchym lodzie i nie chcę posuwać się po nim dalej, ale muszę ci coś powiedzieć.

- Co takiego?

- Nie powinnaś pozwalać, by dotykał cię ktoś ze służby.

- Słucham...?

- Mówię poważnie. Nie pozwalaj, żeby ktoś z nich cię dotykał.

- Chyba kpiny sobie robisz.

- Uścisk ręki? W porządku. Możesz objąć Carolinę czy nawet - niech mu będzie! - Petera, kiedy wręczasz im bożo-

narodzeniowe premie, ale nie prowokuj innych kontaktów. To stanowi mylny sygnał.

- Peter się wygłupiał. To było jak masowanie karku bokserowi przed walką.

- Nie wiem, co to... do cholery... było. - Mówił przez zaciśnięte zęby, bo usiłował wcisnąć stopę do nowego mokasyna za pomocą szylkretowej łyżki do butów na skórzanej rączce z frędzelkami. - Ale wyglądało to niestosownie w oczach dzieci i innych pracowników. Jest pewna granica. Ważna granica. Jeśli ją przekroczysz, nie uda ci się później utrzymać ze służbą właściwych relacji.

- Nie chcę, żebyśmy...

- Wiem, że nie masz ochoty mnie słuchać, zwłaszcza po tym, co zaszło w weekend. Ale i tak ci powiem, co mam do powiedzenia. - Trzy razy uderzył w podłogę czubkiem łyżki do butów. - Jako łaskawy pan, oczekuję pewnych względów.

- Łaskawy pan...?

- Atak.

- Jak to?

- Z powodu niańka. Bo zgodziłem się przecież, żebyśmy zatrudnili tego naćpanego instruktora narciarstwa.

- On rozkręcił całkiem poważny biznes, związany z oprogramowaniem komputerowym. Program, który napisał, ma pomagać dzieciom w szkołach całego kraju. I nie ćpa.

- Może nie w pracy.

- Poza tym bardzo pomógł twojemu synowi.

- Wiem. Widzę to. Dlatego go w ogóle toleruję. Czy powiedziałem coś na jego temat, od kiedy sprzeciwiłaś się jego zwolnieniu?

- Dobra, Phillipie, nie wiem, czy to wielkopański gest, czy nie, ale rzeczywiście, zaakceptowałaś go. Co nie oznacza, że zamieniłaś z nim choć słowo.

- A o czym miałbym z nim rozmawiać? On u mnie pracuje! Tego właśnie nie potrafisz zrozumieć...

- Przestań! To prowadzi tylko do kłótni, a nie mam na nią siły. Doceniam, że akceptujesz niańka, i przyjmuję do wiado-

mości, że poranny masaż rozluźniający w jego wykonaniu nie jest stosowny. Czy możemy na tym skończyć? Objął mnie i cmoknął w czoło.

- Możemy.

Po powrocie do kuchni Phillip uprzejmie zapytał siedzących przy stole:

- Jak się macie? - Próbowałem usiąść obok mnie.

Gracie spojrzała na ojca. Ubrana była w sztruksowe spodenki i żółty sweterek Fair Isle, a pod nim miała jasnoniebieski golf. Jej jasne kręcone włosy podpięte były z obu stron głowy spinkami w kształcie kokardek i wiły się za uszami.

- Tatusiu...

- Słucham, aniołku? - W obecności swojego słoneczka Phillip od razu łagodniał i robił się czuły.

- Co to jest cipcia?

Dylan zakrztusił się i zaczął kasłać w serwetkę, Phillip zaś gwałtownie zaczerpnął powietrza przez nos. Spojrzał na mnie, a potem na swoją pięcioletnią córeczkę.

- Zapytaj mamę.

Wokół nas rozbrzmiewały głośnie klaksony taksówek, których kierowcy próbowali wyminąć podwójny rząd suwów, blokujących ulicę przed szkołą. Szoferzy, bardziej liczący się ze swoimi pracodawcami niż z trąbiącymi na nich taksjarami, zatrzymywali się na środku drogi, żeby wysadzić cennych pasażerów pod samym wejściem. Pobiegłam na górę, żeby odstawić Gracie do klasy, i po powrocie zastałam Petera przed samochodem. Nie mogłam się doczekać, żeby się dowiedzieć, co zaszło za zamkniętymi drzwiami gabinetu Phillipa.

- No to co ci powiedział?

- Kto?

- Mój mąż.

- Ach, on. Nazwał mnie ćpunem i ostrzegł, że jeśli znowu przekroczę granicę, wylecę z pracy.

- W jaki sposób to mówił? Bardzo był wściekły? Jak byś to ocenił w skali od jednego do dziesięciu?

Staliśmy jakieś dwadzieścia metrów od szkoły. Peter zbliżył się do mnie o krok.

- Muszę cię o coś zapytać, Jamie.

Gdy tak lekko zachrypniętym głosem zwrócił się do mnie po imieniu, myślałam, że zwariuję.

- To w gruncie rzeczy bardzo ważne pytanie. Naprawdę obchodzi cię w obecnym stanie rzeczy, co ten człowiek myśli?

Obecny stan rzeczy. Zastanowiłam się nad tym. A jak wygląda obecny stan rzeczy? Nie chciałam odpowiadać na pytanie, więc przerzuciłam piłkę na jego stronę boiska.

- Co tak naprawdę chcesz wiedzieć, Peter?

- Dobrze, przełożę to bardzo trudne pytanie na bardziej zrozumiały dla ciebie język. „Naprawdę obchodzi cię w obecnym stanie rzeczy, co ten człowiek myśli?” znaczy: „Czy kochasz jeszcze swojego męża?”.

O matko!

- Nie będziemy o tym rozmawiać.

- Owszem, będziemy.

- Jestem już spóźniona do pracy.

- Praca może poczekać.

- Luis na nas patrzy.

- Luis już nieraz widział nas razem. Bardzo chciałbym usłyszeć odpowiedź.

Zostałam w końcu przyparta do muru. Po tych wszystkich porankach, gdy sprawdzałam, czy mój tyłek dobrze się prezentuje w dresach, po tych wszystkich fantazjach, że Peter w łóżku opiera się na łokciu obok mnie, po tych spacerach we dwoje, po spojrzeniach, jakie mi posyłał. Uściśnięcie ręki na schodach w Central Parku. Taniec zeszłego wieczoru. Jego troska o Dylana. To, w jaki sposób odmienił mojego synka, bardziej niż cokolwiek innego sprawiło, że się w nim zakochałam. A teraz pytał mnie o moje uczucia. Do tego doszło.



- Nie kocham już mojego męża, ale tak się składa, że jestem jego żoną.

- Jak długo nią jeszcze będziesz?

- Zwariowałeś! Nie możesz zadawać mi tu, pod szkołą, pytań zmieniających bieg życia, wywołujących trzęsienie ziemi. Wokół jest pełno ludzi! - O mój Boże. Jak on mógł?

- Wolisz, żebyśmy poszli w jakieś bardziej ustronne miejsce? Bardzo chętnie, po to zresztą tak wcześnie się zjawiłem.

- Nie. - Czyżby to miała być jakaś propozycja? Oczywiście, pierwsze, co przyszło mi do głowy, to myśl, że powinnam się znowu wydepilować.

Peter tymczasem ciągnął:

- Żebyś wiedziała, z kim masz do czynienia. Mówiąc „ustronne miejsce”, miałem na myśli jakąś spokojną kafejkę, gdzie nikt nas nie zna. Albo park.

Poziom adrenaliny zaczął opadać. Peter najwyraźniej nie oczekiwał żadnego rozstrzygnięcia tu i teraz. Co za ulga. Nie mogłam jednak uwierzyć, że rozmawiamy o seksie. A najlepsze, że po tych wszystkich podchodach, wcale nie był to dla niego krępujący temat. I właśnie to sprawiało, że ten facet był ogromnie pociągający. Nic go nie przerażało. Podchodził do wszystkiego uczciwie.

- Nie zamierzam cię tknąć, dopóki, po pierwsze, nie powiesz mi, że na pewno tego chcesz, a po drugie, dopóki będziesz z nim...

Poczułam bijący od niego żar.

- Dlatego chcę wiedzieć, czy myśl o porzuceniu go nie zaczęła tlić się w twojej głowie, a może już nawet płonie...

Ułatwił mi sprawę.

- Płonie. I to dużym płomieniem. - Uśmiechnęłam się.

- Wrze?

- Jeszcze nie. - Wyglądał na rozczarowanego i cofnął się o krok. Dodałam więc: - Ale pojawiają się pierwsze bąbelki. Jest ich już sporo.

- Nastawiałaś timer?

- To takie ważne?

- Dla mnie tak. Trudno mi być przy tobie w takiej sytuacji.

Nagle wykrzyknął:

- Jezu!

Jakaś kobieta potknęła się na chodniku tuż przed swoim wypasionym mercedesem.

- Cholera jasna, Oscar!

Peter podbiegł, żeby jej pomóc. Ingrid. Ingrid i Peter. Do tej pory nie widziałam się z moją zwariowaną kumpelką. Jeszcze nie miałam okazji. Co za pora na spotkanie!

Patrzyłam, jak Peter pomaga jej wstać, zanim szofer wygramolił się z wozu.

- Nic mi nie jest. Tylko się trochę przestraszyłam. - Ingrid otrzepała jedną ręką spódnicę i kolano. - W łokieć zraniłam się już wcześniej. - Wsunęła lewą rękę z powrotem w temblak z szala Hermesa, zawiązanego na szyi.

- Wszystko w porządku, Ingrid? - zapytałam.

- Nic się nie stało, otarłam sobie tylko skórę na kolanie. -Poprawiła szal. - A to? To tylko łokieć tenisisty. Jestem w trakcie leczenia. - Po raz pierwszy wyglądała na zmieszaną.

Przystąpiłam do ataku:

- Ingrid, oczywiście znasz już Petera. Peter zbladł.

- Tak, znamy się. Ale mam spotkanie. Muszę lecieć. -I już go nie było. Wiedziałam, że nie miał żadnego spotkania. - Zobaczmy się później! - zawołał, oddalając się ulicą.

Byłam zadowolona, że zostałam wybawiona od niezręcznej rozmowy, z powodu której aż osłabłam z napięcia. Ingrid i ja stałyśmy naprzeciwko siebie.

- Oczywiście, że znam Petera - odpowiedziała. - Czyżbyś coś sugerowała?

- A co mogłabym sugerować?

- Nic. Ja i Peter poznaliśmy się pod szkołą. Staram się odwozić dzieci na lekcje i odbierać je. A w ogóle boli mnie ramię, więc bądź dla mnie miła.

- Jestem miła jak rzadko.
- A teraz jeszcze obtarłam sobie kolano.
- Muszę tylko...
- Nie, nie musisz. Nic nie musisz wiedzieć.
- Muszę. Naprawdę.
- To sprawa osobista.
- Muszę wiedzieć.

Przez chwilę zastanawiała się w milczeniu.

- Wywalisz go z tego powodu?
- Jasne, że nie. Co robi prywatnie, to jego sprawa.
- Obiecujesz?
- Tak, obiecuję. Naprawdę muszę wiedzieć. Dłuższa pauza.
- Nie dał się sprowokować.
- Nie? Na pewno?
- Na pewno. Nie chciał. - Ingrid ruszyła z dziećmi po schodach, a potem się odwróciła. - I nie ciesz się z tego w sposób tak widoczny, panienko.

Cała roztrzęsiona, zadzwoniłam do Kathryn. Jej głos rozsądku był mi bardzo potrzebny.

- Jeśli jest dopiero dziesiąta trzydzieści w poniedziałek, a ty już zdążyłaś się rozryczeć, to nie będzie to udany tydzień - orzekła.

- Myślisz, że po co do ciebie dzwonię?

- Jak mogę pomóc, Jamie? Mam być z tobą podczas emisji? Może chcesz, żebym przyjechała w środę wieczorem do studia?

- Nie. Będę miała robotę. Muszę być z Erikiem w reżyserni. To nie miejsce na pogaduszki z przyjaciółkami.

Było mi niedobrze. Sytuacji nie poprawiał fakt, że kiedy wychodziłam z domu, mały Michael uczeplił się mojej prawej kostki i musiałam go wlec przez połowę mieszkania. Za nic w świecie nie chciał mnie puścić; jechał na brzuchu, błagając mnie, żebym go nie zostawiała. Gdy wymykałam się za drzwi, Yvette musiała oderwać go ode mnie siłą. Wychodząc w pracy z windy, ledwie mogłam oddychać ze strachu, że mój wywiad z Theresą nie wypali. Zalecane w jodze oddechy bynajmniej nie pomogły mi się uspokoić. Na nic nie zdała się też gorąca herbata z dużą ilością cukru. Mój rozek z żurawiną smakował jak wióry.

- No to co mogę zrobić?

- Jestem w okropnym dołku.

- Dlaczego? Zaczęłam litanie:
  - Mój mąż może zostać oskarżony przez FBI, a wtedy ja wyląduję razem z nim w ciupie. Niewykluczone poza tym, że on sypia z Susannah. Mam wyemitować program, który prawdopodobnie zniszczy karierę wysokiej rangi senatora. Moje dzieci zaczynają wariować, bo dużo pracuję i prawie nie widuję się z nimi w tygodniu, a w ogóle...
  - Omówmy wszystko po kolei.
  - Dobra. Mój mąż może iść do więzienia. Stanę się drugą panią Milken\*.
- Kathryn zaczęła mówić powoli i spokojnie:
- Rozmawialiśmy już o sobotnim wieczorze i waszej kłótni. Jestem pewna, że, tak jak mówi Phillip, jego firma znajduje się przez cały czas pod obserwacją i kontrolą SEC\*\* czy kogo tam. To, że asystentka się pomyliła, jeszcze nie znaczy, że on sam przekroczył prawo. Nie przewiduj od razu najgorszego.
  - A co powiesz o nim i Susannah?
  - Zawsze ze sobą flirtowali. I zawsze zachowywali się obrzydliwie. Wcale nie byłoby źle, gdyby ją przeleciał, bo wtedy mogłabyś go kopnąć w dupę. A jeśli chodzi o twój program, asekuruje cię pięćdziesięciu prawników, poza tym Goodman nie pozwoliłby ci go nadać, gdyby groziły wam poważne kłopoty. Więc nie ma żadnych problemów.
  - Jest jeszcze jedno...
  - Słucham.
  - Myślę, że Peter może odejść.
  - Co takiego? Przecież on cię uwielbia! Przestań myśleć tak pesymistycznie.
  - Nie chodzi o mnie ani o Dy lana, o nikogo z nas. Chodzi

\* Michael Robert Milken (1946) - amerykański finansista, skazany przez sąd na dziesięć lat więzienia za przestępstwa finansowe.

Securities and Exchange Commission - agencja rządowa nadzorująca przestrzeganie prawa na rynku papierów wartościowych i na giełdzie.

o jego firmę komputerową. Zdobył pieniądze na swoją działalność.

- Myślałam, że już je miał, i tylko testuje program.

- Dostał duże pieniądze, ma własne biuro i może porzucić pracę niania.

- O, to fatalnie.

- Ale na razie nie odchodzi. To znaczy, jeszcze nie. Ma fundusze od dwóch miesięcy i nawet mi o tym nie wspomniał. Dowiedziałam się od jego przyjaciół, na imprezie.

- On się w tobie zakochał. Dlatego nie odchodzi. I dlatego nic ci nie powiedział.

Możliwe. Nie.

- Powodem musi być Dylan i satysfakcja...

- Satysfakcja! Powodem jesteś ty. Został ze względu na ciebie.

Chciałam, żeby tak było.

- Tańczyliśmy wczoraj na jego imprezie. -1 wszystko jej opowiedziałam, jak trzymał mnie za rękę i nie chciał puścić. A potem się zdenerwowałam i dodałam: - Nie mogę uwierzyć, że tańczyłam z niankiem.

- To już ktoś więcej niż nianie, Jamie. Westchnęłam.

- On też tak mówi.

- Słucham? To już brzmi jak deklaracja! - Kathryn zaczęła krzyczeć. - Kiedy tak powiedział?

- Kiedy zagadnęłam go o Ingrid. Wtedy zapytał mnie, czy czuję się zraniona.

- Bo on pieprzył się z Ingrid?

- Nie pieprzył.

- Świetnie, jeśli wolisz w to wierzyć.

- To było coś więcej niż pocałunek, ale nie poszli na całość.

Przysięgał.

- To pewnie oznacza, że zrobiła mu laskę, słyńie z tego przecież.

- Pewnie tak.

- To kiepsko dla ciebie. Bardzo kiepsko.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Wiedziałam dobrze, co Kathryn ma na myśli.

- W porównaniu z nią...

- Nie zamierzam robić niańkowi laski!

W tym momencie obok mojego pokoju przechodził Charles. Złożył ręce w trąbkę, przyłożył je do ust i szepnął:

- Ja mu zrobię.

Rzuciłam w niego kulką z recepturek. Uchylił się i poszedł dalej.

- Dobrze - odparła Kathryn. - Gdy już ci wszystko wyznał i zapytał, czy czujesz się zraniona, mam nadzieję, że byłaś uczciwa i powiedziałaś mu to, co chciał usłyszeć.

- Nie. Zachowałam się podle i powiedziałam, że nie czuję się zraniona, bo on tylko pracuje dla mnie.

- Nieładnie.

- Wiem.

- On cię w ten sposób pytał, czy czujesz to samo, co on.

- Przecież jestem mężatką.

- Dlatego musiał mówić szyfrem.

- Miał na myśli to tylko, że stał się dla nas kimś więcej niż niańkiem.

- Uśmiechnęłam się.

- Wiem, że się w tej chwili uśmiechasz. Zarabiasz kupę forsy, żeby demaskować motywy działania ludzi, a w tym wypadku jesteś taka niepojętna.

- Dobra. Wygrałaś. Nie jestem aż tak niepojętna.

- Mów. Zawahałam się.

- Nie mogę.

- Och, proszę cię, to nic złego! Phillip potrafi być dla ciebie wredny, tak że mały flirt od czasu do czasu ci nie zaszkodzi.

- No dobrze.

- Słucham więc.

- To coś więcej niż flirt.

- Przespałaś się z nim?

- Oszalałaś?!

- Tak czy nie?
- Przysięgam, że nie. Nic w tym rodzaju. Nigdy. Nawet go nie pocałowałam.
- No to o czym chcesz mi powiedzieć? Postanowiłam nie mówić o zamiarach Petera wobec mnie.
- O naszym tańcu. O tym, jak na siebie patrzyliśmy. Jak trzymał mnie za rękę. Potarł kciukiem wnętrze mojej dłoni.
- To wydaje się seksowne.
- I było. Nawet bardzo. To znaczy dla mnie.
- Czy ktoś to zauważył?
- Na pewno nie Dylan. Ale dwoje czy troje przyjaciół Petera, siedzących przy barze, widziało całą scenę. Nawet taka biedna, piękna dziewczyna z idealnym tyłkiem, która jest w Peterze zakochana po uszy.
- Naprawdę ma taki świetny tyłek?
- Lepszy niż mój.
- Fatalnie! Jesteś pewna, że nic go z nią nie łączy?
- Tak, jeśli o nią chodzi, to tak. Ma złamane serce. Powiedziała mi o tym. A potem patrzyła, jak tańczymy. Czułam się okropnie.
- Co masz zamiar zrobić?
- Staram się przejść nad tym wszystkim do porządku dziennego.
- Jesteś pewna?
- Nie. Ale wiesz co? Na razie nie mogę tego zrobić. Przyznaję, że coś do niego czuję i jestem przez to wytrącona z równowagi. Ale na razie na tym koniec. Przynajmniej do dziesiątej wieczorem w środę, gdy wreszcie sprawa tego cholernego wywiadu zostanie zamknięta. Może w czwartek pójdziemy na drinka czy coś w tym rodzaju. Ale jeśli nawet się upiję, to niczego nie zmieni. Peter jest mi bliski, ale mam zamęt w głowie. No i wciąż jestem zamężna, o ile pamiętam.
- A pamiętasz, że zamierzałaś odejść od Phillipa w tym roku? Pamiętasz, prawda? Rok już się kończy.
- Tak, wiem, ale jeszcze nie dojrzałam do tego kroku.
- Potrzebujesz kopa w dupę, żeby odejść. Postawmy spr-



wę jasno. Nie powinnaś flirtować z Peterem tylko po to, żeby przestać myśleć o Phillipie. W razie gdybyś porzuciła męża, sprawa nie byłaby czysta. Zawsze uważałabyś za przyczynę rozpadu małżeństwa swoje zadurzenie, chociaż tak naprawdę od dawna chcesz odejść i czujesz, że powinnaś to zrobić. Poza tym, jeśli Phillip dowie się o was dwojgu, nie weźmie na siebie odpowiedzialności za swoje...

- Niczego się o nas nie dowie, bo nic takiego między nami nie ma. -  
To było coś znacznie głębszego niż zadurzenie.

- Czy ta chlapiąca dziewczyna z baru, ta z idealnym tyłkiem, byłaby tego samego zdania?

Nie najlepszy tydzień, żeby przestać wachać klej

Erik przyjrzał mi się:

- Co z tobą?

- Nic. To tylko nerwy.

- Zajmuję się dziennikarstwem politycznym od dwudziestu pięciu lat.

Ta kobieta mówi prawdę, rozumiesz? To widać po oczach.

Goodman próbował odciągnąć mnie znad przepaści.

- Posłuchaj, Jamie, zrobiliśmy wszystko, co się dało. Jeszcze tylko doba i będzie po sprawie. Pozwolę ci odetchnąć...

Przerwałam mu:

- Nigdy dotąd nie robiłam takiego poważnego materiału politycznego, a tu wszystko jest jakies porąbane. Nikt nic nie mówi, nikt jej nie zna.

- Charles znalazł dwie osoby, które widziały ją z ludźmi z obozu Hartleya - zauważył Erik.

- Ale ludzie z obozu Hartleya zaprzeczają, aby cokolwiek ich z nią łączyło. Mówią, że była zaledwie daleką znajomą Hartleya, choć całkiem dobrze znała kilku jego dawnych współpracowników - mówiłam błagalnym tonem, nie mając nawet pewności, dokąd właściwie zmierzam. Zależało mi, żebyśmy wyemitowali wywiad, i wiedziałam, że dobrze się zabezpieczyliśmy. Nie mogłam się zorientować, czy ponoszą

mnie nerwy - co było zrozumiałe - czy załamalam się po babsku w obecności tych wszystkich macho.

- To ty jako producent zebrałaś najwięcej materiału, najwięcej sprawdziłaś, wykonałaś najwięcej reporterskiej roboty. Znasz całą sprawę najlepiej z nas - przypomniał Erik. - Do diabła, to tobie Theresa udzieliła zgody na wywiad, i to zanim poznała Goodmana.

- Zaraz! - zaprotestował Goodman. - Jeszcze przedtem byłem w Jackson.

- Dobra. - Maguire włączył się do dyskusji, mówiąc tonem przepłacanej opiekunki do dzieci, którą zresztą był. - Rzeczywiście, Goodman, odwaliłeś kawał roboty.

- Nie o to mi chodziło. Chciałem tylko zwrócić uwagę, że poznałem Theresę już wcześniej.

- To w tej chwili bez znaczenia, Goodman. - Maguire uniósł rękę.

Goodman jednak ciągnął:

- Poza tym ona ma motyw - Hartley ją porzucił! Zranił jej uczucia.

Erik zwrócił się do mnie:

- Gdybyś była na moim miejscu, jako szef produkcji wyemitowałabyś ten program czy nie?

- Ja... ja...

Głos zabrał Maguire:

- Jamie, może ja tu rządę, ale jeśli o mnie chodzi, decyzja należy do ciebie. Owszem, Goodman ma w tym swój udział, ale jako producent decydujesz ty.

- Ja... ja...

- Powiem wam, co zrobimy - oświadczył Erik, pochylając się nad stołem. - Jeszcze raz najbliższym lotem wyślemy Charlesa Worthingtona do Jackson. Wywiad ma być wyemitowany... - zawiesił głos i spojrzał na zegarek. - ...za trzydzieści godzin, więc...

Maguire przerwał mu ze złowróbnym spokojem:

- Żeby wszystko było jasne. Powiedz panu Worthingtonowi, że może się nie opalać, jeśli uzna, że trzeba odwołać emi-

sję. Ale jeżeli żadne z was nie wpadnie do mojego gabinetu, krzyżąc, że pójdziemy na dno po emisji, nadamy wywiad zgodnie z planem. W środę o dwudziestej pierwszej. - Powiedziawszy to, Maguire położył mi rękę na ramieniu jak Rambo w brudnej białej przepasce na głowie i dodał: - Jamie, jeśli po emisji wynikną jakieś problemy, będę z tobą. Wszyscy maczamy w tym palce, a ja jestem z marines... i nikogo nie zostawiam za sobą. *Semper, cholera, fidelis.* - Zawsze, cholera, wierny.

Kilka godzin później, we wtorek wieczorem, zadzwonił telefon. Odebrałam już po pierwszym dzwonku.

- Charles!

- Cześć, Jamie.

- Co tam masz? Co właściwie robisz?

- Co mam? Na razie nic. Dopiero odbieram wynajęty samochód na lotnisku w Jackson.

- Dokąd jedziesz najpierw? :

- Zamierzam ruszyć naszym poprzednim tropem: lokalna gazeta, gliny, facet z zakładu pogrzebowego. Chcę umówić się na drinka z szefem naszej tutejszej filii; może on skłoni kogoś w barze do mówienia.

- Powinieneś pojechać gdzieś, gdzie dotąd nie byliśmy!

- Dla ciebie wszystko. Zawsze. Wiesz o tym. Tylko że nie bardzo wiem, gdzie jeszcze mam szukać. Byliśmy tu przez trzy dni i znaleźliśmy dwójkę ludzi, którzy zauważyli, że Theresa i Hartley prowadzą się ze sobą, widzieli ich w towarzystwie politycznej obstawy Hartleya. Ale nie miej wielkich oczekiwań. Nie zdobędziesz kasety wideo w stylu Paris Hilton, pokazującej, jak to robią od tyłu. Co to, to nie. Ale będę rozglądał się za kimś, kto wie coś więcej o tej Boudreaux.

- Nie znajdziesz żadnych nowych świadków, to znaczy wśród osób przypadkowych. Taksiarze i boye hotelowi nie powiedzą nam nic, czego byśmy już nie wiedzieli. Musimy obrać nowy kierunek.

- Jamie, twój program ma być na antenie za dwadzieścia trzy godziny. Jest pocięty i zmontowany, po korekcie koloru i dźwięku. Od trzech dni puszczone są zajawki.

- Charles, prooooszę.

- Żadne „proszę”, jestem tu, żeby ci pomóc. Tylko nie bardzo wiem, co dalej. Co masz na myśli, mówiąc „nowy kierunek”? Może kostnicę, skoro razem widział ich facet z zakładu pogrzebowego?

- Nie. Tamten zakład został zamknięty wieki temu, pamiętasz?

- Oczywiście, że pamiętam.

- Dobra. - Zrobiło mi się głupio, że tak go naciskam, i poczułam wyrzuty, że musiał przeze mnie polecieć do Jackson, podczas gdy ja siedziałam sobie w Nowym Jorku. - Przepraszam. Sama nie wiem. A może by odnaleźć lokalnych działaczy politycznych?

- Zgromadziliśmy bazy danych wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek pracowali dla Hartleya. Dotarliśmy do większości ich. To ślepa uliczka. Są wciąż wobec niego lojalni.

- Może masz rację.

- Dobra, będę nad tym pracował. Tymczasem dobrej nocy. Jutro środa. Twój wielki dzień.

Charles zadzwonił ponownie o szóstej rano. Mój mąż jeszcze spał, ale tak był do mnie przytulony, że prawie spadałam z łóżka.

- Co za dupek dzwoni o tak wczesnej porze? - wymamrotał.

- To na pewno do mnie. - Próbowałam się wysunąć z jego objęć, ale przycisnął mnie do siebie.

- Nie odbieraj. Mam na ciebie ochotę. Pacnęłam go i udało mi się wyswobodzić.

- Znalazłeś coś? Powiedz, proszę, że możesz potwierdzić wersję Theresy.

- Nie mogę - odparł Charles. - Ale zdaje się, że wpadłem na trop jakichś naprawdę zaciekle blogerów.

- I co odkryłeś?
- Dowiedziałem się od facetów z baru, że mogę ich znaleźć pod Jackson, jest tu ich cała grupa.  
Phillip przewrócił się na bok.
- Kochanie, proszę. Zabierz ten telefon gdzieś indziej, próbuję się trochę przespać. Mogłabyś uszanować moje potrzeby. Jest jeszcze ciemno na dworze. - Coś twardego dźgnęło mnie w udo. Phillip ściągnął mi szorty z pupy jak pies dziewczynce z reklamy kremu do opalania Coppertone. Walnęłam go w ramię.
- Jacyś maniacy NASCAR-u\*, których poznałem w barze, powiedzieli mi o tych blogerach. Wszedłem na ich strony i nie zauważyłem nic nadzwyczajnego, o żadnym nawet nie słyszałem. Jeden facet twierdził, że niektórzy z nich pracują w miejscowych biurach Kongresu i bywają niekiedy w barze hotelowym, do którego wpadłem na drinka. Może nic z tego nie będzie. To tylko obsługa biur. Ale na razie nic innego nie mam.
- To niedobrze.
- Kończ już! - Phillip nakrył głowę poduszką. Zasłoniłam dłonią mikrofon i powiedziałam do niego:
- Phillipie, ja nie... Nie mogę. To zbyt ważne. Przepraszam! - Wróciłam do rozmowy, starając się mówić ciszej. -Postaraj się znaleźć kogoś, kto potwierdzi, że mieli romans. To mi wystarczy. I będę już spokojna.
- Jamie, pamiętaj, nie miej za wielkich oczekiwań. To pokopana historia.
- Znajdź tych ludzi z biur Kongresu.
- Dobra.
- I zajrzyj jednak do kostnicy. Zmieniłam zdanie. Może to i dobry pomysł.
- W porządku, sprawdzę kostnicę.

\* NASCAR (National Association for Stock Car Auto Racing) - Narodowa Organizacja Wyścigów Samochodów Seryjnych, największa organizacja wyścigowa w Stanach Zjednoczonych.

- Świetnie, Charles. Musimy wykorzystać każdy trop. Mamy tylko dwanaście godzin.

- Wiem. Zadzwoń później.

„Szczera rozmowa z Theresą Boudreaux! Wreszcie! Wyłącznie wywiad dla *Newsnight with Joe Goodman*! Dziś wieczorem o dwudziestej pierwszej!“. Na rozłożoną przede mną gazetę spadła kropla tłuszczu i rozlała się na papierze; jadłam śniadanie złożone z sera, omletu na bekonie i rogała z masłem. Zazwyczaj nie ma spokojniejszej pory niż to szczególne pół godziny między szóstą trzydzieści a siódmą rano, kiedy mój mąż i dzieci jeszcze śpią, a Carolina zaczyna się dopiero krzątać w swoim pokoju. Ale tego dnia znajdowałam się na skraju wytrzymałości nerwowej.

Stacji byłoby niezwykle trudno wycofać wywiad z programu teraz, gdy już roztrąbiono jego emisję. Zasłoniłam oczy dłońmi i usiłowałam przyjąć postawę pełną rezygnacji i pogodzenia z losem. „Dobra, wyluzuj się, dziewczyno. Masz duży materiał, grasz w najwyższej lidze, jesteś kryta, jedź z tym koksem“. Bill Maguire, jako szef całego działu wiadomości, zapowiedział, że będzie stał po mojej stronie. Mimo to zależało mi, żeby Charles, ze swoim słynnym wyczulonym nosem, ostatni raz powęszył w Jackson i zbadał sprawę pod każdym możliwym kątem.

Usłyszałam szum prysznic w łazience i zaczęłam się modlić, żeby Phillip tym razem bez porannych nerwów przygotował się do wyjścia. Miałam nadzieję, że tego dnia nie będzie się spieszył, nie będzie niczego potrzebował, nie wkurzy się i zostawi mnie w spokoju. Tylko ten raz. W drzwiach stanęła Gracie, ssąc kciuk i mnąc w paluszkach wstążkę, którą trzymany przez nią królik miał na szyi. Wdrapała się na ławę, złożyła główkę na moim prawym udzie i położyła się na brzuszku, jeden kciuk wciąż trzymając w buzi, a drugim przyduszając królika. Nie powiedziała ani słowa. Może wyczuła moje napięcie i zrozumiała, jak bardzo krzepi mnie jej obec-

ność. Z wdzięcznością pogłaskałam ją po karku, podziwiając jej siódmy zmysł.

Phillip, co mnie nie zdziwiło, nie wykazał podobnego zrozumienia dla mojego chwiejnego nastroju. Wkroczył do kuchni w bokserkach, grafitowych skarpetkach i białym podkoszulku.

- Gdzie Carolina?

- W pralni.

- Może wie, gdzie jest moja większa torba na kółkach?

- Nie mam pojęcia, musisz ją o to zapytać.

Nie spodobała mu się ta odpowiedź; liczył, że załatwię za niego wszystko, aby miał miły, spokojny poranek. Spojrzał na mój talerz.

- Co ty robisz, Jamie?

- Jem śniadanie, Phillipie.

- Zamierzasz pochłonąć tyle kalorii? Myślałem, że dbasz o formę.

Podszedł do lodówki i nalał sobie soku pomarańczowego z dzbanka, a potem uniósł szklankę i spojrzał na nią pod światło. W tym niefortunnym momencie wróciła z pralni Carolina, niosąca stosik starannie poskładanych ścierek.

- Carolino, ile razy mamy wałkować zasady dotyczące soku pomarańczowego?

Carolina, rezolutna kobieta, truchlała ze strachu, kiedy Phillip udzielał jej reprimendy. Odłożyła teraz ściereczki, zwiesiła głowę i westchnęła.

- Nie lubię pulpy, rozumiemy się? Zapamiętasz?

Carolina musiała pamiętać dyrektywę numer 352, ale Phillip nie kojarzył nawet, że dla mnie był to rozstrzygający dzień w sprawie Theresy Boudreuax. Wziął metalowe siteczko z szuflady na przybory kuchenne i machnął nim przed nosem Caroliny.

- Zanim przelejesz sok do dzbanka, zrób coś dla mnie, bardzo, bardzo proszę. Przecedź go wcześniej. To całkiem proste. - Wrzucił sitko do zlewu i poszedł do garderoby.



Do kuchni tymczasem przywędrował Michael w swojej uroczej piżamce dla krasnoludka. On też wspiał się na ławę i spokojnie złożył główkę na moim drugim udzie. Poglądziłam go po plecach, uświadamiając sobie, że powinnam być wdzięczna za zdrowe, śliczne dzieci.

Dziesięć minut później Phillip, ubrany już w ciemny garnitur i żółty krawat w kropki, wystąpił z nowymi żądaniami:

- Po południu lecę w podróż służbową do Houston, a potem do Los Angeles. Wrócę dopiero w sobotę rano nocnym lotem. Potrzebuję więc paru rzeczy.

- Paru rzeczy? - zapytałam z niedowierzaniem, próbując pojąć, jak to możliwe, że wciąż nie wspomniał o moim wywiadzie.

- Tak, Jamie, parę rzeczy. Zapomniałaś, że codziennie od ósmej rano do ósmej wieczorem jestem poza domem? Nie mam czasu zajmować się wszystkim. A w ogóle wyglądasz fantastycznie w tych obcisłych dresach. Masz coraz lepszą figurę; jeśli jeszcze trochę poćwiczysz, będzie super. - Szarpnął kieszonkę spodni na moim udzie i cmoknął mnie w czoło.

Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Tak bardzo nim gardziłam! Przygnębiło mnie to bardziej niż fakt, że tego rana nie zobaczę się z Peterem. Mówił, że przyjdzie później, bo ma jakieś spotkania. Pewnie czekał na emisję programu, żeby mi powiedzieć o znalezieniu sponsorów. Nie wiedziałam, jaki wpływ na jego decyzję o pozostaniu u nas czy o ewentualnym odejściu odgrywała sytuacja, jaka wytworzyła się między nami. To potęgowało mój niepokój.

Do kuchni wszedł Dylan w swoim szkolnym krawacie i kurtce, jak zwykle ze sterczącymi na tyle głowy wilgotnymi włosami.

- Więc przykro, że muszę o to prosić, ale moja rakietka do squashu wymaga nowego naciągu... - ciągnął Phillip bezczelnie.

- Nie możesz załatwić tego w klubie?

- Już ci mówiłem, nie będzie mnie do soboty, a o czwartej jestem umówiony na mecz.

- Masz w szafie dziesięć rakiet do squasha.

- Ale najbardziej lubię rakietę Harrowa. Zostawiłem ją na fotelu w sypialni. W następnym tygodniu są urodziny mojej matki. Mogłabyś coś dla niej kupić? Ja zawsze mam z tym trudności. Tylko kobiety potrafią kupować dla innych kobiet udane prezenty. - Poszedł do swojego gabinetu po jakieś dokumenty i wrócił, wpychając je do teczki.

- Nie zapomniałeś o czymś, Phillipie? - Dałam mu ostatnią szansę przed ostateczną rozprawą.

- Hmm. - Zaczął gmerać w telefonie komórkowym, przewijając spis numerów za pomocą przycisku z boku aparatu. Nieobecny tonem odparł: - Tak sądzę... to chyba wszystko... rakietą, prezent dla mamy... przypomnij, proszę, Caro-linie o sprawie z sokiem pomarańczowym, żeby to się już więcej nie powtórzyło... - I dalej przebierał palcami po klawiszach.

- Tato... - zaczął Dylan, patrząc na ojca błagalnie.

- Chwileczkę, Dylan, muszę napisać odpowiedź w związku z jedną sprawą.

- Tato! - powtórzył Dylan.

Phillip uniósł głowę, zirytowany, że przerwano mu pisanie e-maila.

- O co chodzi, Dylan?

- Naprawdę o czymś zapomniałeś. Kochany chłopiec.

Phillip spojrzał na niego nierozumiejącym wzrokiem i zaczął wyliczać na palcach sprawę do załatwienia: rakietą, prezent dla matki...

- Tato! Obudź się! Program mamy.

Phillip słusznie wpadł w panikę. Zabrał Michaela z mojego uda i położył go delikatnie po drugiej stronie ławy. Potem wcisnął się obok mnie i próbował musnąć nosem moją szyję. Odsunęłam się. Spojrzał mi więc głęboko w oczy i obiema rękami przytrzymał mnie za ramiona. Próbowałam umknąć spojrzeniem w bok.

- Jamie, przepraszam. Co za egoista ze mnie! Ten wywiad

to twoja chwila chwały. Wiem, że miałaś z nim mnóstwo problemów, ale już zbliża się finisz i odniesiesz sukces. Jesteś zdumiewająca i zasługujesz na wielkie uznanie za to wszystko. Naprawdę, bardzo jestem z ciebie dumny.

- Jakoś nie widać. - Czułam się w tej chwili wyjątkowo samotna na tym świecie.

- Jestem okropny. Przyznaję, kompletnie zapomniałem. To z powodu podróży i tego całego zamieszania, moja umowa jest jeszcze w prozku. Kocham cię i wszystko pójdzie dobrze. Niestety, o dziewiątej wieczorem będę w samolocie, ale poproszę w Houston, żeby nagrali mi program. - Pocałował mnie w policzek. Wtedy zadzwoniła jego komórka. Telefonowała sekretarka. - Poczekaj, Laurie. - Spojrzał ze skruszoną miną na żonę i trójkę dzieci. - Kocham was wszystkich!

Popatrzyliśmy na niego w milczeniu. Dzieciaki wiedziały, że podpadł mamie, i stały po jej stronie. Poza tym nie widywały ojca całymi tygodniami i miały do niego żal.

Chwilę później usłyszałam głos Phillipa dobiegający z za drzwi frontowych:

- Laurie, dopilnuj, żeby Hank przesłał mi e-mailem uaktualnione arkusze kalkulacyjne, i wyślij Jamie do biura kwiaty oraz kartkę z tekstem... - Drzwi się zatrzasnęły.

- Wybaczysz mu, mamó?

O wpół do ósmej wieczorem do mojego gabinetu weszła Abby, niosąc zestaw sushi na wynos, żeby pomóc mi przetrwać ostatnie dziewięćdziesiąt minut oczekiwania na emisję programu. Chociaż miał to być największy dzień w mojej karierze, niewiele miałam do roboty. Poza tym, że panikowałam. Wywiad był gotowy od czterdziestu ośmiu godzin. Charles nie dzwonił od pięciu godzin i za każdym razem, gdy próbowałam się z nim połączyć, odzywała się poczta głosowa.

Gdy Abby wypakowywała plastikowe pojemniki, sięgnęłam do torebki, żeby wyjąć puder, i ze zdziwieniem znalazłam w środku pudełeczko od Tiffany'ego. Znajdowało się w bocznej kieszeni, gdzie trzymałam awaryjne batoniki czekolado-

we. Peter wiedział, że nałogowo żarłam kit-katy, gdy byłam zdenerwowana.

W pudełku był markowy stoper. Z wygrawerowanym napisem: „Pora na następny taniec”.

Za późno. Kiedy on zdążył wsadzić to tutaj? Ale, ale... Może to był pożegnalny prezent?

- Co dostałaś? Mam nadzieję, że coś drogiego - powiedziała Abby kącikiem ust, bo zębami rozrywała właśnie torebkę z sosem sojowym.

- To nie od męża.

- Czyżby Goodman się szarpnął?

- Nie, to drobiazg. - Ugryzłam się w język.

- Cokolwiek to jest, mam nadzieję, że sprawi ci przyjemność. - Kochana Abby, niezmiennie zadowolona z przekładania fiszek i uzupełniania ich, nigdy nie miała większych aspiracji. Wiedziała, z jakim ryzykiem wiąże się produkcja dużych, kontrowersyjnych programów, i bała się go. Tego dnia i ja zaczęłam się zastanawiać, po co wybrałam tę drogę.

- A od kogo te wszystkie kwiaty?

- Od mojego męża i od Goodmana. Goodman przysyła je zawsze, gdy przy jakimś programie wypruwałam sobie żyły, a Phillip z kolei usiłuje się zrehabilitować, bo ma u mnie krechę.

- Co zrobił tym razem?

- Zapomniał, że dziś idzie mój program, polecił mi natomiast zmienić naciąg w rakiecie... Cholera. Zapomniałam zawieźć tę raketę do sklepu.

- Żartujesz, prawda?

- Nie. Naprawdę zapomniałam.

- Posłuchaj sama siebie, dziewczyno! Przecież on ci każe oddać raketę do naciągu w najważniejszym dniu twojego życia.

- Więc jestem beznadziejnym przypadkiem. Ale o tym już wiemy. - Umoczyłam kawałek tekka maki w sosie sojowym.

- Jak zareagowałaś, gdy zapomniał o wywiadzie?

- W ogóle mu o nim nie przypomniałam. Dylan to zrobił,

co było gorsze, niż gdybym sama coś powiedziała. Był strasznie wkurzony, że Phillip zapomniał.

Abby w niesamowitym tempie pochłaniała edamame.

- Ja chyba nie chcę mieć męża - oznajmiła.

Rzuciłam w nią torebką z sosem sojowym. W tym momencie zadzwonił telefon.

Zerwałam się, by go odebrać, wywracając dietetyczną colę, która rozlała się na klawiaturę komputera i aparat telefoniczny. Podniosłam mokrą słuchawkę do ucha.

- Tak, Charles. Poczekaj chwilę. - Wyciągnęłam z szuflady papierową serwetkę i wytarłam rozlaną colę, przytrzymując słuchawkę ramieniem. Wypadła mi jednak na biurko. Usłyszałam metaliczny głos Charlesa, który krzyczał:

- Jamie!

- Nie dzwoniłeś od pięciu godzin! Gdzie, na Boga, byłeś? Ja tu...

- Przestań gadać! I nie waż się odkładać telefonu, gdy do emisji zostało tylko półtorej godziny. Jestem poza zasięgiem, bo jeżdżę po zadupiach.

- I co? Masz coś?

- Ściągnij natychmiast prawników do gabinetu Erika. I wezwij Billa Maguire'a.

- Ale po co? Charles! Dlaczego?

- Bo możesz zostać załatwiona na cacy.

## Wielkie kłopoty alfabetem Morse'a

- To co mam teraz, do cholery, zrobić? Nadać jeszcze raz zasraną godzinę z Britney Spears?! - Erik James miotał się po swoim gabinecie jak tygrys w klatce; ze złości zamachnął się na słoik z żelkami i strącił go z biurka. Goodman i ja w milczeniu śledziliśmy trajektorię lotu słodyczy, które poszybowały w powietrzu.

- O czym, do licha, Charles chce z nami rozmawiać?! - ryknął na mnie Erik. Spojrzał na zegarek. - Osiemdziesiąt minut do emisji. Zapomnij o tym. Nie chcę słyszeć ani słowa, dopóki nie zjawią się prawnicy Maguire'a. - Zrobił kolejnych kilka kroków i zrzucił żelki rozsypane na brzegu biurka.

Zebrawszy się na odwagę, powiedziałam:

- Nie wiem nawet, co Charles ma. Dzięki Bogu...

- Nie wyjeżdżaj mi tu z żadnym „dzięki Bogu”. To mój tyłek jest teraz na linii strzału, nie twój. To moje nazwisko znajdzie się w prasie, nie twoje. Nie do ciebie się dobiorą, gdy na południu wybuchnie afera.

Podniósł się Goodman.

- Spróbuj się uspokoić, Erik. Nie wiemy nawet, czy... Erik wstał, przybierając postawę King Konga.

- Chcesz, żebym się uspokoił? Po trzech dniach intensywnej emisji zajawek na piętnastu kluczowych kanałach? A wywiad z Britney Spears nadaliśmy pięć miesięcy temu. Nie

mam tylu materiałów w zanadrzu, żeby wytrzasnąć nowy program w ciągu... teraz już siedemdziesięciu dziewięciu minut! Hilda! Ściągnij mi tu stażystkę!

Po czterdziestu sekundach do gabinetu Erika wpadła dziarska brunetka. Była bardzo podniecona faktem, że została wezwana do kierownika produkcji na godzinę przed programem.

- Słucham, proszę pana.

- Przynieś mi popcorn. I to zaraz!

- Co takiego? Jaki? Skąd?

- Co, do cholery?! To twój pierwszy dzień na stażu? I przysyłają cię do mnie? Powiedziałem „popcorn”. Mój ulubiony kinowy popcorn z Sony IMAX, parę budynków dalej. Do tego masło. Dużo. I sól. Sól też z kina. Tylko szybko!

Dziewczyna wybiegła za drzwi.

Następnie Erik zadzwonił do kierownika reżyserni.

- Przygotuj się do emisji tej zaszranego godziny z Britney Spears. - Kiwając głową, słuchał protestów podwładnego. Potem wziął głęboki oddech i przewrócił oczami. - Zachowujesz się jak pieprzony radiotelegrafista na „Titanicu”, ten od morse'a. Nie kwestionuj polecenia, które ci wydałem. - Nawet po drugiej stronie pokoju słyszeliśmy zdenerwowany głos kierownika. - Nie, to nie znaczy, że nadamy ją zamiast wywiadu z Theresą, ale może tak się zdarzyć. I nie podważaj moich decyzji. Tak. Uhm. Bierz się do roboty.

- Boże, zlituj się! - Do gabinetu wszedł Bill Maguire w towarzystwie prawników i wysłuchał fragmentu rozmowy telefonicznej Erika z reżysernią. - Zaszrana godzina z Britney Spears? Zdajesz sobie sprawę, ile forsy włożyliśmy w promocję Boudreaux?

Erik nacisnął guzik interkomu:

- Hilda, natychmiast przełącz Charlesa Worthingtona!

- Linia druga! - wykrzyknęła zza biurka i w gabinecie rozległ się dzwonek.

Bill Maguire zajął miejsce przy aparacie, obok kanapy, a Erik podniósł słuchawkę telefonu na biurku, potem jednak obaj się rozłączyli, sądząc, że ten drugi włączy głośnik.

- Szlag by to trafił! - wrzasnął Erik. - Hilda, jeszcze raz połącz mnie z Worthingtonem! - Spojrzał na Maguire'a. - Mogę cię o coś prosić, Bill? Wiem, że ty jesteś tu szefem, ale pozwól mi odebrać telefon we własnym gabinecie.

Minęło dwadzieścia bezcennych sekund. Telefon zadzwonił ponownie. Erik podniósł słuchawkę, przestawił aparat na stolik do kawy pośrodku pokoju i włączył tryb głośnomówiący.

- Dobra, Charles, słuchamy twoich rewelacji. Mów, co masz. - Spojrzał na ścianę z zegarami, które pokazywały, jaka jest w tym samym czasie godzina w czterech amerykańskich strefach czasowych, a także w Londynie, Jerozolimie, Moskwie i Hongkongu.

Charles zaczął:

- Znasz blogerów [RightIsMight.org](http://RightIsMight.org), najbardziej zagorzałych prawników, zwolenników ochrony życia, kary śmierci i wprowadzenia modlitwy do szkół? Pałających żądzą zemsty na NBS?

- Uważasz mnie za jakiegoś tępaka? Oczywiście, że tak. To idioci. Wszyscy się z nich śmieją - odparł Erik.

- Ale ich błogi czyta wielu ludzi. I trafiłem na nich właśnie tu, w Pearl.

Poczułam ostry ból w sercu. Pomyślałam o Peterze i jego wątpliwościach. Nie miał niczego konkretnego na ich poparcie, niemniej nurtowały go, a ja nawet nie chciałam ich wysłuchać. Zachowałam się arogancko, desperacko próbując zwiększyć dystans między nami.

W gabinecie zapadła cisza. Prawnicy spojrzeli po sobie i rozgorączkowani podnieśli ręce.

Bill Maguire opadł na oparcie kanapy, zakrywając rękami twarz. Zbliżył usta do mikrofonu i powiedział:

- Cholera, Charles, chcesz, żebym dostał wylewu z powodu jakichś blogerów? O co ci chodzi? Co mnie obchodzi, że są w Pearl?

Włączyłam się do rozmowy:

- Tam właśnie mieszka Theresa.



Erik poczerwieniał na twarzy i walnął ręką w stół do kawy, a potem wstał i zaczął przemierzać pokój.

- A mamy jakiś dowód, że tę kobietę coś z nimi łączy? Głos zaczął mi drżeć.

- Nie. Piszą swoje błogi anonimowo. Nie znamy ich nazwisk.

Goodman miał tego dosyć.

- Ta zdzira mieszka w tym samym republikańskim stanie co jakieś prawicowe czubki. Nie bardzo wiem, w jaki sposób może to rzutować na mój wywiad.

Przez głośnik odezwał się Charles:

- To nie tylko ten sam stan, to to samo miasto. Posłuchajcie. Lepszej roboty detektywistycznej nie odważyłem od lat. Obdzwoziłem ze sto powiązanych z polityką osób i jestem prawie pewny, że [RightIsMight.org](http://RightIsMight.org) ma siedzibę właśnie tutaj. To sensacja sama w sobie.

Goodman odniósł się do tego z niedowierzaniem.

- Charles, mamy ci wierzyć, bo jesteś „prawie pewien”, że [RightIsMight.org](http://RightIsMight.org) ma bazę pod Jackson?

- Pewien zalany facet w barze powiedział mi wczoraj wieczorem, że w małym miasteczku pod Jackson działają ąblo-gerzy. A mam informację od jednego z moich źródeł w Białym Domu, że [RightIsMight.org](http://RightIsMight.org) wywodzi się właśnie stąd, i skojarzyłem oba te fakty.

Wtrącił się Bill Maguire:

- Postawmy sprawę jasno. Jakiś podchmielony męt mówi ci, że w miasteczku są blogerzy. A inny fagas z Waszyngtonu, który gównem wie o Południu, podejrzewa, że [RightIsMight.org](http://RightIsMight.org) mieści się pod Pearl. Lepiej znajdź coś więcej, zanim zaczniesz zwracać mi głowę... Na przykład coś, co by świadczyło, że mają powiązania z tą suką.

Charles powiedział drżącym głosem:

- Chyba nie mam żadnego dowodu, że coś ich z nią łączy.

- On ma rację. Choćbyśmy pojechali tam jeszcze pięć razy, pewnie nie zdołalibyśmy nic takiego znaleźć. Ale może... -Nie byłam w stanie dokończyć zdania. Do oczu napłynęły mi

łzy. Z jakiegoś powodu mogłam myśleć tylko o Peterze. Pragnęłam, żeby dodał mi otuchy. On by nigdy nie powiedział, że mnie uprzedzał, tylko by mi pomógł jakoś przez to przejść. Mówił, że mam skłonność do ulegania znaczącym mężczyznom w moim życiu. Na wypadek gdyby miał rację, musiałam sobie powiedzieć, że nie będę starała się ich ułagodzić, nie będę milczała tylko dlatego, że tak chcą. Ale nawet po-wziąwszy takie postanowienie, nie miałam dość przekonania, że należy zatrzymać maszynę.

Erik wziął do ręki album leżący na stoliku do kawy, walnął nim o podłogę i znowu zaczął krążyć po pokoju.

- Teraz wszyscy się zamkną i wysłuchają, co mam do powiedzenia - oświadczył. - Bo to ja ryzykuję własną reputację. - Górował nad nami i patrzył na nas z wysoka. - Oto co myślę. Według mnie Jamie jest przemęczona i nie umie przedstawić racjonalnych argumentów. A Charles nie jest w stanie zamknąć tego koła. Tak to wygląda.

Erik, Goodman i Bill Maguire popatrzyli na siebie i pokiwali głowami, zjednoczeni w męskim porozumieniu. Charles odpowiedział:

- Nie wiem, czy są ze sobą powiązani, rzeczywiście nie. Mam tylko przeczucie, że to mogłoby nas w końcu dokądś doprowadzić.

Erik dalej kręcił się po pokoju jak tygrys.

- Chcesz mi powiedzieć, że mam zdjąć z anteny wywiad roku, bo dręczy cię jakieś przeczucie, Charles? - Ciągnął sarkastycznie: - Może następnym razem, powiedzmy dwadzieścia cztery godziny przed rozpoczęciem mojego programu, po prostu poszedłbyś do psychoanalityka i razem z nim ustalił, czy twoje przeczucia mają jakieś podstawy, czy nie?

Maguire popatrzył na mnie.

- Charles... nie posłałem cię tam po to, żeby teraz słuchać o twoich przeczuciach. Zajmij jakieś stanowisko! Bądź mężczyzną! - Przewrócił oczami, spoglądając na Erika. - Nadajemy ten materiał czy nie? Pamiętaj, tylko ona ma wątpliwości. My nie naciskamy.

Westchnęłam.

- Nie mówię, że po tym, przez co przeszliśmy, nie możemy nadać tego wywiadu, ale ja...

Maguire wrzasnął na mnie

- Co ty? Trzęsiesz się jak galareta i nie wiem, co chcesz powiedzieć: żebyśmy nadal wywiad czy nie?

Opuściłam wzrok.

- Nie wiem.

Maguire pokiwał głową ze zniecierpliwieniem.

- Nie wiesz. Ty nie wiesz. To twoja ostateczna odpowiedź?

- Chyba tak.

- Charles?! - wrzasnął do mikrofonu.

- To nie mój materiał. Powiedziałem, co wiem. Mam podejrzenia, ale nie jestem w stanie poprzeć ich dowodami.

- Gadaj zdrów. Nie zdejmę już wywiadu o tej porze, moi drodzy. Nie z powodu czyichś przeczuć. Wyraźnie oświadczamy, iż nie mamy dowodów na to, że między Hartleyem a Theresą rzeczywiście coś było. Przedstawiamy tylko jej wersję wydarzeń.

Goodman zacisnął usta, a potem powiedział:

- Wy dwoje jesteście z innego pokolenia, nie przeżyliście takich burz politycznych jak Maguire, Erik i ja. Ja z kolei mam przecucie, że ta kobieta mówi prawdę. Przecucie mówi mi też, że jeśli ktoś zostaje porzucony przez kochankę, a w dodatku powiadomiony o tym przez jego współpracowników, pragnie się zemścić. A szczęśliwie dla nas, pracujących w biznesie informacyjnym... - Wykonał gest w stronę kadry kierowniczej zebranej w pokoju. - Ci odrzuceni, przepelnieni żądzą zemsty ludzie z siekierą w dłoni lubią pracować swoje brudy w ogólnokrajowej telewizji.

Szef działu wiadomości, Bill Maguire, wstał, jakby zamierzał zaintonować hymn narodowy.

- Masz rację, Goodman, zwłaszcza w sytuacji, gdy dziesięć razy wysyłam do Jackson wyrafinowanego, inteligentnego producenta, żeby nakłonił tego kogoś do mówienia. Każdy by się poczuł wręcz zmuszony do tego. - Spojrzawszy na

mnie, próbował powiedzieć coś miłego pod moim adresem. -A jak już tacy zaczną mówić... wygadują niesamowite rzeczy. Cholera... Chciały ją wszystkie stacje, radiowo-telewizyjne i kablowe, dlaczego nie miałyby wybrać najlepszej? -Spojrzał dookoła wzrokiem niewiniątka i dwa razy uderzył się w pierś. - A my przecież jesteśmy najlepszą stacją w branży. Theresa Boudreau sama do tego doszła... po rozmowach z innymi producentami. I założę się, że potwierdził to Leon Rosenberg. Dlatego zdecydowała się na nas; wysztafirowała się, zrobiła sobie manikiur i załatwiła kongresmana.

Maguire wymierzył we mnie palec i zmrużył oczy.

- Ludzie nie kłamią w programach informacyjnych. Chcą opowiedzieć swoją historię, wyrazić złość i ból. Nikt - a już na pewno nie kobieta, która z tą swoją koafiurą odgrywa piękność z Południa - nie występuje w telewizji publicznej tylko po to, żeby opowiedzieć, jak była bzykana od tyłu. Nie ma takiego powodu. - Opuścił rękę i skierował się do drzwi, ale przed wyjściem jeszcze się odwrócił. - Materiał idzie za trzydzieści siedem minut. Zamierzam, zgodnie ze swoim zwyczajem, zasiąść na górze w skórzanym fotelu, nalać sobie szklaneczkę wild turkey i obejrzeć kolejny świetny, przełomowy wywiad w programie *Newsnight with Joe Goodman*. Dziękuję wam, panie i panowie. - Po tych słowach wymaszerował z pokoju.

„Wiadomość pierwsza. Piii!

Cześć, kochanie. Tu Christina Patten. Dwie sprawy. Jedna drobna. Druga naprawdę WIELKIEJ WAGI. Najpierw ta pierwsza. Przed ekspozycją Fabergé pierwszego lutego zapraszamy do siebie na koktajl wszystkich łaskawych darczyńców, czyli te wszystkie hojne osoby, które kupiły bilety. Powinnaś przyjść, chociaż jako gospodyni będę zajęta witaniem gości. Jeśli nie przyjdiesz, nic się nie stanie, to twój pierwszy rok i nowa twarz nawet budziłaby zdziwienie. Po drugie, wspaniała wiadomość. Znajdziemy się na okładce «Madison Avenue»! Tak, wybrano zdjęcie naszego stolika. Podobno wyglądamy pięknie, słyszałam, że fotografie w środku też są świetne. Nie mogę się doczekać, kiedy je zobaczę. Całuję, pa, pa!"

Peter nie daruje mi tego zdjęcia. Nawet nie wiedział, że brałam udział w sesji fotograficznej. Stał się zaś dla mnie punktem odniesienia we wszystkich sferach mojego życia - w każdej sytuacji wyobrażałam sobie, jak zareaguje, co powie, czy mnie nie wykpi. Podczas emisji wywiadu cały czas trzymałam stoper w kieszeni, przesuając kciukiem po grawercie na kopercie.

„Wiadomość druga. Piii!

Moja kochana żono. Jestem bardzo dumny z ciebie i twojego sensacyjnego materiału. Już dostaję na jego temat e-mai-

le, chociaż sam go jeszcze nie widziałem. Obejrzę jutro. Jesteś najlepszym producentem w całej branży. Mam nadzieję, że Goodman wie, jaki ma skarb. Bo ja wiem dobrze. I jestem dumny. Jeszcze raz przepraszam za rano. Piii!"

No dobra - pomyślałam. - Może nie rozwiodę się z nim i na razie go nie zabiję. Czasami potrafi być miły i wzruszający. Przez chwilę miałam wrażenie, że sprawa z Peterem to tylko niebezpieczna fascynacja. Może moje małżeństwo zdoła przetrwać, jeśli nauczę się wyzwałać u Phillipa dobre cechy.

„Piii! Jeszcze jedno. Nie zapomnij o mojej rakiecie do squasha. Piii!"  
A może jednak nie.

Tego wieczoru nie miałam jednak siły myśleć o moim małżeństwie - ani o jego naprawie, ani o rozwiązaniu. Wywiad z Thereseą został już wprawdzie nadany, ale sprawa nie była zakończona. Teraz należało przygotować się na ataki, jakie w następnych dniach z pewnością przypuszczą wszystkie media. Pomyślałam jednak, że może Erik, Goodman i Ma-guire mają rację; byli twardzi, zaprawieni w bojach i mieli większe doświadczenie niż ja. Oni uwierzyli Theresie; postanowiłam, że pójdę za ich przykładem. Życie musi toczyć się dalej.

Przeszłam na palcach przez hol, żeby zajrzeć do dzieci, śpiących już w swoich pokojach. Leżały wyciągnięte w łóżkach, tak że spod kołder wystawały ręce i nogi. Przykrywając je, odgarnęłam im włosy z twarzy i ucałowałam czule. Wróciwszy do kuchni, przejrzałam pocztę, a potem zauważyłam kolejny wielki bukiet od Phillipa, stojący na kontuarze. Tego dnia przysłał mi już dwa.

Wzięłam garść nerkowców ze szklanego słoja stojącego na parapecie i nalałam sobie kieliszek białego wina. Potem, przechodząc obok stolika w holu, zapaliłam świeczkę, którą postawiłam na szafce przy łóżku. Wsunęłam się pod kołdrę i zaczęłam pogryzać orzeszki, popijając moim ulubionym chardonnay z nutą miodu. Leżałam tak przez chwilę z rozpo-

startymi ramionami, patrząc w sufit. Niebo. Żadnej telewizji, muzyki, telefonów, e-maili. Odsunęłam od siebie wszystkie sprawy, które mnie niepokoiły: NBS, rozpadające się małżeństwo, wątpliwości dotyczące wychowywania dzieci w Nowym Jorku.

Zaczęłam natomiast myśleć o Peterze i tym, jak pachniał: cierpko, trochę potem, rozgrzanym ciałem - kwintesencją męskości. Nie panowałam nad swoimi uczuciami i nie mogłam o nim zapomnieć. Przy nim czułam się szczęśliwa. Nie było sensu wypierać się tego instynktownego, coraz silniejszego przekonania.

Przypomniałam sobie, jak odsuwał pasma włosów za uszy, gdy miał zamiar powiedzieć coś poważnego, jak sprężyście chodził, jak kciukiem pieścił wnętrze mojej dłoni. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, jak leży przy mnie z głową wspartą na łokciu i z kolanem przełożonym nad moimi nogami. Raz widziałam go na wpół nagiego, kiedy w pokoju Dylana zmieniał koszulkę. Był silnej, choć szczupłej budowy i miał seksowne ciemne włosy na piersi.

Pociągnęłam łyk zimnego chardonnay, żeby się trochę ochłodzić. Czułam się fantastycznie, leżąc tak sama w łóżku. Oparłam głowę na poduszce i zamknęłam oczy.

Pograżyłam się w myślach o Peterze i nabrałam przekonania, że wcale nie chcę ochłonać. Spędziłam więc samotnie bardzo miły wieczór.

O świcie, gdy w mieście panował jeszcze mrok, obudziłam się nagle. Usiadłam na łóżku zlna potem i rozejrzałam się po pokoju. Wtedy sobie przypominałam. Było już po wszystkim. W pewnym sensie. Przetoczyłam się na brzuch i położyłam sobie poduszkę na głowie. Ale, oczywiście, nie mogłam się powstrzymać. Sięgnęłam po pilota od telewizora, leżącego na szafce nocnej, i wymierzyłam go w ekran. Z zamkniętymi oczami i głową pod poduszką zaczęłam słuchać.

„Widział to pan, wszyscy w kraju widzieli. Czy pana zdaniem mówiła prawdę”...

Pstryk.

„Powiem państwu coś, lepiej niech ta stacja dobrze się zabezpieczy. Jeśli sądzi, że emitując jakieś sprośności, przysłuży się sprawie”...

Pstryk.

„Oczywiście, panie Imus 1, że powinni byli to nadać. Jest dostatecznie dużo dowodów, że ci dwoje byli ze sobą. Jeśli ona chce mówić, to przecież jej nie odprawia”...

Wszystko wskazywało na to, że to zwykłe komentarze z porannych programów informacyjnych. Wyłączyłam telewizor. Musiałam wstać i iść do pracy. I być dostępna dla wszystkich, którzy chcieliby się ze mną skontaktować.

Podczas jazdy poprosiłam Luisa, żeby zatrzymał się przy kiosku, bo chciałam kupić gazety, których jeszcze nie czytałam. „New York Times” pisał o nas w dziale krajowym na stronie dwunastej. Tytuł artykułu głosił: *Kongresman Hugh Hartley oskarżony przed widownią całego kraju o utrzymywanie stosunków pozamałżeńskich*. Umierałam z ciekawości, żeby się przekonać, jak ta poważna gazeta przekazuje rewelacje dotyczące seksu. W dziewiątym akapicie poruszono kwestię ulubionej pozycji Hartleya: „Wypytywana o szczegóły pożycia przez Joego Goodmana, który chciał sprawdzić wiarygodność jej relacji, pani Boudreaux odpowiedziała, że kongresman Hartley «preferował szczególny rodzaj seksu». W dalszym ciągu wywiadu sugerowała ona, że często uprawiał z nią seks analny”. „New York Post” zamieścił nagłówek: *Odtylny romans Hueya*. „Daily News” z kolei wabił czytelników tytułem: *Wolę wejście od zaplecza - mówi Hartley*. Pomyślałam, że komicy późnowieczornych programów rozrywkowych będą mieli używanie przez całe lata.

Zadzwoił mój telefon komórkowy. Charles.

- Gdzie jesteś? - zapytałam.



- Mam przesiadkę w Atlancie. Będę w pracy w porze lunchu.
- Świetnie.

Chwila ciszy. Potem zapytał cichym głosem:

- Jak się czujesz? Wciągnęłam powietrze w płuca.
- Dobrze. Relatywnie.
- Relatywnie?
- Tak, jestem wykończona, ale chyba spokojna. Zrobiliśmy, co się dało. Może ty i ja byliśmy zbyt ostrożni. Może...
- A może powinniśmy byli powiedzieć im stanowczo, żeby zdjęli wywiad.
- Charles, nie mów tak! Nie mogę tego słuchać.
- To takie dziwne. Cała ta sprawa. Od początku do końca. Sama ta historia. I ci blogerzy. Jak sen pijanego wariata.
- Daliśmy z siebie wszystko.
- Ty dałaś z siebie wszystko, ja tylko...
- Co takiego?
- Nie mam szczególnych obaw związanych z naszym materiałem. Raczej nie. Ale nie podoba mi się ta sprawa z blogerami, bo ci goście są stuknięci! Przez całą noc czytałem na bieżąco ich komentarze. Wierzysz w to, co wypisują na Right-[IsMight.org](http://IsMight.org)?
- Jeszcze nie czytałam.
- To może byś przeczytała? Jak to możliwe, że jeszcze nie weszłaś na ich stronę? Zachowują się jak pieprzeni terroryści!
- Charles, jestem w samochodzie. Za piętnaście minut będę w pracy. Mogę stamtąd do ciebie zadzwonić?
- Nie, zaraz wylatuję. I jeszcze jedno. Abby właśnie mi powiedziała, że Maguire jest cały w nerwach. Prawnicy też, więc przygotuj się na spotkanie z nimi.

W przeciwieństwie do kierownictwa wyższego szczebla, Erik i Goodman byli w siódmym niebie. Kiedy się zjawiłam, przybijali piątkę jak dwaj piłkarze w strefie końcowej, stwierdzając: „Dobra nasza!”. Według wieczornych sondaży *News-*

*night* miał czterdziestosiedmioprocentową oglądalność, czyli niemal tak dużą jak niegdyś wywiad Barbary Walters z Monicą Lewinsky. Przemknęłam obok nich i popędziłam do gabinetu, żeby jak najszybciej sprawdzić reakcję blogerów na mój program.

Kongresman Hartley jak na razie nie zareagował publicznie na oskarżenia. Może jednak - zastanawiałam się - Theresa Boudreaux mówiła prawdę i wykombinował sobie, że jeśli wystąpi przed kamerami i powie jak Bill Clinton: „Nigdy nie uprawiałem seksu z tą kobietą, z panią Boudreaux”, potem gorzko tego pożałuje. Zwłaszcza jeżeli - jak w wypadku Clintona - pojawią się niepodważalne dowody. (Oczywiście, zapytałam Theresę, czy ma jakieś ślady spermy na ubraniu czy prześcieradle. Stosownie zde gustowana, odmówiła jakiegokolwiek odpowiedzi na moje bezczelne pytanie).

Charles miał rację. Na dziesiątkach prawicowych stron już po paru minutach od emisji programu pojawiły się zmasowane ataki na NBS, niezwykle jednomyślne w swojej wymowie. Najwyraźniej ludzie ci już wcześniej przygotowali kampanię mającą na celu zdyskredytowanie Theresy. Apelowali do Fédéral Communications Commission\* o złożenie na nas skargi za podjęcie tematu stosunków analnych i namawiali swoich czytelników do bojkotu zarówno lokalnych stacji NBS w całym kraju, jak i ich reklamodawców.

Grupa pięciu prawicowych blogerów pod przewodnictwem ludzi z [RightIsMight.org](http://RightIsMight.org) i przy wsparciu pobratymców z [ToBlogIsToBeFree.org](http://ToBlogIsToBeFree.org) wystąpiła z ostrzeżeniem w stylu Osamy bin Ladena: że nasza strona, reprezentująca z gruntu złe liberalne elity, poniesie poważne konsekwencje za swoje działania. Nasi prawnicy musieli przygotować się na ewentualność, że ludzie ci odpowiedzą na nasz program czymś więcej niż tylko ostrą krytyką i niedowierzaniem, że mają w swoim arsenale broń nuklearną.

\* Amerykańska komisja rządowa, uprawniona do regulowania sposobu funkcjonowania systemów łączności międzystanowej, które funkcjonują w USA

Spocony Maguire stał przy swoim biurku, spoglądając na ścianę z siedmioma monitorami, z których cztery pokazywały programy stacji ogólnokrajowych, a trzy - kabłówek, nadających dwadzieścia cztery godziny na dobę. Za pomocą czarnej konsoli przełączał dźwięk z kolejnych kanałów. W otoczeniu tych wszystkich mrugających lampek i map wyglądał jak zwierzchnik Połączonego Komitetu Szefów Sztabów w penta-gońskim bunkrze. Widząc jego przerażoną minę, można by pomyśleć, że ku stolicy zmierzają właśnie dwa pociski SS-20. Nie mogłam opędzić się od myśli: „Ten facet to były żołnierz marines. Powinien być twardy. Nie podoba mi się, że traci panowanie nad sobą”. Gdy okrążałam jego biurko, przechodząc do części pokoju, gdzie stały fotele, zauważyłam, że w niewiarygodnym tempie podrzuca kolanem.

Erik, Goodman, Charles i ja pojedynczo weszliśmy do gabinetu i przeciskając się obok stolika do kawy, usiedliśmy na fotelach, żeby śledzić, co się dzieje na ekranach. To było jak w epoce Moniki Lewinsky: bez przerwy, i to wszędzie, mówiono o Theresie. Opinie proszonych o wypowiedź gości i uczestników dyskusji mieszały mi się w głowie, zamknęłam więc oczy i oparłam głowę na rękach. Byłam już tym wszystkim zmęczona. W kieszeni miałam stoper od Petera. Pogładziłam go palcami, licząc, że doda mi siły.

„Pierwsza kwestia: Nancy, czy NBS coś udowodniło?

Tak i nie. Po prostu wersja jednej strony. Musimy poczekać na odpowiedź Hartleya, choć stacja rozwija tę sprawę: kwity z podróży, zdjęcia pokazujące ich razem; to wszystko świadczy”...

„A teraz południowe podsumowanie wiadomości. Nasz reporter znajduje się pod siedzibą Hueya Hartleya w Jackson, ale jak dotąd obóz tego polityka milczy na temat drastycznych oskarżeń”...

„W imieniu mojej partii i kolegi z Kongresu, którym jest Huey Hartley, chcę wyrazić przekonanie, że ten naród źle skończy, jeśli media będą nadal”...

Maguire stanął przed swoją ekipą.

- Wiecie, co mi się nie podoba? Nie podoba mi się ta skoordynowana akcja w Internecie. To źle wróży nam, naszemu programowi i branży informacyjnej jako takiej. - Mówiąc to, chodził przed nami w tę i z powrotem. Potem przez długie minuty klikał myszą, zaglądając na różne strony. - I nie podoba mi się, że nazywają nas stacją liberalną, bo to nieprawda. Od lat głosuję na republikanów. Nie jestem żadnym cholernym zwolennikiem Hilary. Nie znoszę jej. Ani tego dupka Kerry'ego z jego deską surfingową. - Otarł chusteczką brew, a potem także czoło. - Nie podobają mi się ci czujni małomiasteczkowi blogerzy, którzy przez całą noc wstawiali swoje komentarze, i ci wszyscy, którzy im wierzą. Na publiczne zaufanie trzeba zasłużyć. Odpowiadać za swoje działania. Uczyć się od starszych. Sprawdzać fakty, które się poznało. W ogóle pracować dla rzetelnej instytucji! Człowiek nie może po prostu kupić sobie przeklętego komputera i od razu zostać dziennikarzem!

Erik zdecydowanie podupadł na duchu, był wręcz w melancholii.

- Teraz to możliwe, Bill. I musimy to sobie uświadomić, żebyśmy mogli stawić im czoło. Przede wszystkim trzeba poznać swojego wroga, stary. Jestem pewien, że nauczyli cię tego w armii.

Czułam swędzenie na całym ciele: za uszami, na głowie, pod pachami. Siedząc na podłodze, umościłam się wśród jedwabnych frędzli, które zwieszały się ze stojącej za mną kanapy, i wygięłam lekko plecy, wiedząc, że on na mnie patrzy. Całe napięcie ostatnich dwóch dni czułam w karku; przechyliłam głowę na bok, próbując się rozluźnić. Nie pomogło. Nic nie pomagało.

Peter, który siedział na otomanie po przeciwnej stronie pokoju, z pokerową miną pokiwał głową. Nie przestawał patrzeć mi w oczy, emitując w moim kierunku seksualną energię przez cały salon, wypełniony czterdziestką ludzi. Spuściłam wzrok, z roztargnieniem przesuwając w palcach frędzelki wielkiego aubussońskiego dywanu. Nawet to miało dla mnie zmysłowy charakter. Uniosłam spojrzenie, ale Petera już nie było.

Całe morze dzieci, w strojach jak z początkowej sceny *Dziadka do orzechów*, siedziało przede mną na podłodze, oglądając występ klauna na przyjęciu urodzinowym Anthony'ego, syna Susannah i Toma. Michael i Gracie zajmowali miejsca w pierwszym rzędzie. Grupa dorosłych, składająca się w większości z dobrze ubranych matek w spodniach, kaszmirowych swetrach zarzuconych na ramiona i w butach na zadziwiająco niskich obcasach, stała po jednej stronie pokoju. Niańki zebrały się po drugiej. Tom Berger siedział na pod-

łodze obok syna, pozostali nieliczni mężczyźni rozproszyli się po salonie; byli to chyba wujkowie albo ojcowie chrzestni.

Klaun w wielkich czerwonych okularach, dobranych kolorem do szerek, wywijał kolorowymi jedwabnymi szarfami nad głowami dzieci, co wprawiało je w podniecenie. Nagle wszystkie maluchy wyciągnęły rączki w górę. „Wybierz mnie, wybierz mnie, proooszę!”. Dorośli zaśmiali się, patrząc na siebie znacząco. Klaun drażnił się z dziećmi, dopóki tylko mogły to wytrzymać. W końcu ustąpił i wyznaczywszy do pomocy solenizanta, wydobył białego gołębia z kieszeni marynarki.

Służąca w czarnym stroju z wykrochmalonym białym fartuszkiem dyskretnie roznosiła małe kanapki z masłem i pomidorem, ułożone na srebrnej tacy, którą trzymała w jednej ręce; drugą podawała lniane serwetki. Panie i panowie, znudzeni jak mopsy, wymieniali uwagi o tym, jak te dzieci szybko rosną. To już nie raczkujące szkraby! Aż trudno uwierzyć.

- Czy ta pani roznosząca kanapki, z takim czymś na głowie, co zwykle noszą pielęgniarki, nie przypomina ci psa z *Piotrusia Pana*? - zapytał szeptem Peter, zachodząc mnie od tyłu, od strony kanapy. - Ma taką pofałdowaną, obwisłą twarz.

Dylan, który stał przy nim, zachichotał.

- Przestańcie, wy dwaj.

- Wyluzuj się, mamuś. Peter ma rację. Ona rzeczywiście tak wygląda.

Klaun tymczasem wyczarował z kosza kubek z plastikowymi wężami. Jeden z młodszych chłopców zaczął płakać i jego matka podbiegła do niego przerażona, jakby potracił go samochód.

Dylan dźgnął mnie łokciem w biodro.

- Mamuś, możemy już iść? To taka dziecinada.

- Cicho!

- Mogę pooglądać telewizję? Teraz?

- Chodź, zaprowadzę cię.

W głębi mojej torebki rozległy się stłumione tony *Dla Eli-*

zy Beethovena. Wydobyłam telefon i zobaczyłam na wyświetlaczu, że dzwoni Abby, ale nie chciałam odbierać. Przeszłam już prawdziwe piekło w pracy, usiłując w ciągu ostatnich dwóch dni zachować równowagę wobec reakcji na wywiad z Theresą. Przełączyłam dzwonek na wibracje; mogli poczekać na mój telefon. Podałam zresztą Charlesowi i Erikowi domowy numer Susannah, na wypadek gdyby wynikło coś naprawdę poważnego.

Gdy zadowolony Dylan pstrykał w niebieskim pokoju pilotem od telewizora, przerzucając kanały, znowu usadowiłam się na podłodze. I znowu poczułam, że Peter na mnie patrzy; jego wzrok, jakby za pośrednictwem niewidocznego przewodu, wywoływał między nami wibracje. Prowokował mnie.

Należący do Susannah labradoodle zaszczekał głośno i próbował pociągnąć małego chłopca za szelki po lśniącej podłodze. Następna starsza kobieta przeszła przez pokój z tacą, na której stały kryształowe kielichy z wodą Perrier, ozdobione plasterkiem cytryny. Wzięłam jeden z nich i zmusiłam się, żeby nie patrzeć na Petera.

Próbując skupić na czymś myśli, przyjrzałam się dziełu Marka Rothko 2 w pomarańczowo-purpurowej tonacji, które wisiało nad kanapą po mojej prawej stronie. Zauważyłam, że Susannah kazała obszyć aksamitną kanapę jedwabną taśmą w kolorze oberżyny, pasującą do obrazu.

Nagle poczułam rękę na biodrze. Podskoczyłam, myśląc, że to Peter przekroczył dopuszczalną granicę, ale na szczęście nie.

- Jak się ma gwiazda branży producenckiej? Odwróciłam się. Phillip.

- Co... co ty tu robisz?

- Piątkowa kolacja została odwołana, więc przyleciałem porannym lotem. - Pocałował mnie w policzek. - Chciałem przyjść na przyjęcie urodzinowe mojego syna chrzestnego. -Czytaj: „Chciałem ucałować Susannah w jej wytworny ty-

łek". - Kochanie - ciągnął. - I jak się czujesz? Widziałem w końcu twój wywiad.

- Dobrze. A właściwie źle. Jestem wykończona. I cała w strachu - odpowiedziałam, usiłując skupić się raczej na tej rozmowie niż na obecności Petera gdzieś w innej części pokoju.

- Nic dziwnego, że się boisz. Wzięłaś na cel jednego z najpotężniejszych ludzi w Kongresie.

- To mnie nie uspokaja, Phillipie.

- Wszystko będzie dobrze, ale myślę, że powinnaś na jakiś czas skończyć z materiałami politycznymi. Możesz być dobrą dziennikarką, nie wpadając w to bagno.

- Wiem. Sama mam już tego dosyć. - Po raz pierwszy musiałam się z nim zgodzić.

- Za dużo bierzesz na siebie. Nam też jest trudno. Dzieciom. Mnie. Potrzebujemy cię, a ty z kolei musisz mieć coś z życia, musisz odpocząć od tego młyna. Jesteś jak chomik, biegasz i biegasz...

- Phillipie, nie mogę teraz rozmawiać o tym. Nie wiem, co będzie dalej. Oczywiście, w pewnym sensie masz rację.

Obok nas przechodziła korpulentna starsza pani z kanapkami na tacy, więc wzięłam od razu trzy. Phillip rozejrzał się dookoła ukradkiem, jakbym ściągnęła ze stołu porcelanową szkatułkę i schowała ją do kieszeni.

- Nie jadłam lunchu, Phillipie. Te kanapki nie są bardzo sycące, a jest mi trochę słabo.

- Hej, wy dwoje! - zawołała Susannah. Miała na sobie czarny szydełkowy sweter Chanel, elegancką bluzkę z żabotem i obcisłą spódnicę typu ołówki. Kącikiem ust wydawała jakieś dyspozycje gospodyni. Zwracając się do nas, poprawiła grubo naszyjnik z białego koralu. - Czyż to nie sprawczyni tego medialnego zamieszania?! Jamie, nie mogłam się oderwać od telewizora. - Objęła mnie i ściskając wyciągniętymi rękami moje ramiona, kontynuowała: - Kobieto, ty masz jaja! Oglądałaś komentarze kablówek? O niczym innym się w nich nie mówi.



- Wiem. To... to... przytłaczające. - Zrobiło mi się niedobrze.

Mój telefon komórkowy odezwał się znowu. Spojrzałam na numer. Czy Goodman nie mógł poradzić sobie sam z następstwami wywiadu? Albo Erik, „doświadczony dziennikarz polityczny”, nie potrafił zająć się wszystkim przez te pół godziny, gdy jaw piątkowe popołudnie wybrałam się z dziećmi na przyjęcie urodzinowe?

- Czy ci ludzie nie dadzą ci spokoju? Jesteś z wizytą! -zauważyła Susannah, wymachując rękami. - Nie wiem, jak ty sobie z tym wszystkim radzisz.

Odeszła, a Phillip ruszył za nią.

- Pozwól, że ucałuję solenizanta! - zawołał.

Trudno mi było zignorować wibrujący wściekle telefon; najwyraźniej ktoś próbował połączyć się po raz trzeci z rzędu. Sięgnęłam więc na dno torebki, ale spóźniałam się o nano-sekundę i nie zdążyłam odebrać. Kiedy zerknęłam na wyświetlacz, zobaczyłam, że telefonował Erik. Me Charles. Nie Goodman. Właśnie Erik. Tego nie mogłam zlekceważyć. Erik dzwonił tylko wtedy, gdy był „cholernie” wkurzony.

Zauważyłam, że trzy mamuśki wskazują mnie jednej z trzech starszych pań w czarnym stroju i białym fartuszku, która następnie ruszyła w moją stronę. Domyśliłam się od razu. Erik zadzwonił na numer Susannah.

Wyniknął jakiś problem w związku z wywiadem. Złe przeczucia, jakie budziła we mnie sprawa Theresy, zmaterializowały się, przybierając postać jednej wielkiej katastrofy. Wiedziałam to. Serce zaczęło mi bić jak szalone. Zerwałam się na równe nogi, przewracając stojący na bocznym stoliku kryształowy kielich z colą, wart osiemdziesiąt dolarów, który upadł na mahoniowy parkiet i rozbił się na tysiąc kawałeczków. Wszystkie dzieci zwróciły głowy w moją stronę. Klaun zdjął czarny kapelusz i patrzył na mnie, przerywając przedstawienie; zapadła taka cisza, że słyszeć by było upadającą szpilkę. Wyprostowałam się i wdepnęłam z kolei w kałużę coli. Poślizgnęłam się w niej jak na skórcie od banana, a przytrzy-

mując się krawędzi sofy, omal nie straciłam antycznej lampy. Jedna z mamus chwyciła ją, zapobiegając upadkowi.

Rodzice z drugiej strony salonu popatrzyli na mnie wzrokiem mówiącym: „Spokojnie, proszę pani”, w ten swój powściągliwy i elegancki sposób. Do miejsca katastrofy podbiegł labradoodle, który chciał zlizać colę. Złapałam go za obrożę, żeby nie pokaleczył sobie języka.

- Phillipie! - zawołałam w przestrzeń jak lunatyczka. On jednak zniknął. Nikt z obecnych się nie poruszył.

- Peter!

Mój nianiek przedarł się przez tłum jak Michael Jordan pędzący z piłką przez boisko i jednym susem przeskoczył puf ze skóry zebry, żeby złapać mnie za rękę.

- Jamie, ja zajmę się psem, a ty idź odebrać telefon.

Spojrzał mi głęboko w oczy, zaniepokojony, jakby to miała być ważna wiadomość, może o czyjejś śmierci. Okazało się, że jest jeszcze gorzej.

Podniosłam słuchawkę, z zamkniętymi oczami przycisnęłam ją do piersi i pomyślałam w duchu: „Boże, proszę, oszczędź mi tego”. Potem wciągnęłam powietrze w płuca i przyłożyłam słuchawkę do ucha.

- Tu Jamie Whitfield.

- Oglądasz to? - zapytał Erik.

- Co mam oglądać?

- Taśmę Theresy, leci o piątej na Facts News Network.

- Co znaczy „taśmę Theresy”? - Poczułam ściskanie w gardle.

- Sam jeszcze nie wiem - odparł Erik. - Wiem tylko jedno: w Facts News właśnie zapowiedzieli, że mają taśmę z nagraniem Theresy Boudreaux. Przysłana została anonimowo w kopercie z nadrukiem **Feil! Hyperkoblingsreferansen er ugyldig.** Ich prezenterzy aż mlaskają z uciechy za każdym razem, gdy potyka się jakaś stacja z „głównego nurtu mediów” czy „liberalnej elity medialnej”. Atakują nas przez dwadzieścia cztery godziny na dobę za nadanie wywiadu z Theresą, przedstawiając ją jako kłamliwe, mściwe, porzucone zero, które Hartley ledwie znał.

- Gdzie Charles? - zapytałam w panice.

- Jest tu ze mną. - Przez chwilę po drugiej stronie linii dał się słyszeć jakiś stłumiony dźwięk. - Tkwimy w tym oboje, Jamie, ty i ja, pamiętaj. Stanowimy zespół i musimy sobie razem jakoś z tym poradzić. Jestem z tobą. Nie pozwolę, żeby cię spalili na stosie. - Zaszło mi w ustach, język przykleił mi się do podniebienia. Gestem poprosiłam jedną ze służących, żeby przyniosła mi piwo imbirowe. Udała, że nie rozumie.

Otworzyłam szufladę pod telefonem, szukając jakiejś kartki i długopisu. Żadnego długopisu. Żadnych kartek. Tylko plastikowe przezroczyste pojemniki z dużymi przegródkami. Zajrzałam do jednej z nich, z napisem: „Przybory stołowe, przekąski” i wzięłam garść inkrustowanych masą perłową wykałaczek. I chociaż było to nienormalne, biorąc pod uwagę problemy, w jakie właśnie wdepnęłam, przypominałam sobie, że kiedyś te cholerne wykałaczki wywoływały u mnie okropne poczucie niższości. U nas w domu nie było nawet świeczek na tort urodzinowy.

Ktoś poklepał mnie po ramieniu.

- Wszystko w porządku? - Za mną stał Peter ze stosem mokrych lnianych serwetek koktajlowych. Zaczął strzepywać do kubła na śmieci kawałki szkła.

Pokręciłam przecząco głową. Zaszedł mnie więc od tyłu, żeby zza mojego ramienia podsłuchać, o czym rozmawiam przez telefon. Dotknął przy tym piersią moich pleców.

- Proszę, przełącz mnie na tryb głośnomówiący, Erik - powiedziałam stanowczo, starając się sprawiać wrażenie, że zaraz zapanuję nad sytuacją.

- Jesteśmy, Jamie - powiedział Charles do mikrofonu.

- Co ty o tym sądzisz? - Modliłam się, aby stwierdził, że to tylko głupia sztuczka, mająca nas zdenerwować.

Ale on powiedział co innego:

- Myślę, że zostaliśmy wrobieni. Oto, co sędzę. Włączył się Erik:

- Och, nie dajmy się zwariować. Ona nie może teraz odwołać tego, co powiedziała. Wystąpiła przed dwudziestoma

milionami widzów, w porze największej oglądalności, zaledwie czterdzieści godzin temu.

- To nie ma znaczenia - odparł Charles.

- Dlaczego nie, Charles? Dlaczego nie? Może to tylko...

- Bo nie, i już. - Charles urwał na chwilę. - Kroci się coś naprawdę paskudnego. Ludzie z [RightsMight.org](http://RightsMight.org) to mściwa, niebezpieczna banda. Poza tym piszą swoje błogi anonimowo, mogą więc odwalić każdy numer. I chociaż nikt nie zna ich tożsamości, są uwielbiani w republikańskich stanach.

- Co jest na tej taśmie? - zapytałam. Erik wyjaśnił:

- Wiemy tylko, że taśma była w kopercie z logo Rights-[Might.org](http://RightsMight.org) i że te dupki z Facts News Network od pół godziny zapowiadają jej emisję. Ma być nadana za siedem minut, punkt piąta. Wszystkie stacje zdążą zrobić z niej główny temat wieczornych wiadomości. - Urwał. - Masz w pobliżu telewizor, Jamie? A właściwie gdzie jesteś?

- Jestem... niedaleko stacji. Musiałam coś załatwić — odpowiedziałam, starając się, żeby brzmiało to profesjonalnie, choć trzęsłam się jak galareta. - Obejrzę program tutaj. Nie zdążyłabym wrócić do pracy. Muszę na chwilę się wyłączyć i poszukać telewizora.

- Chyba jakiś jest tu obok, w gabinecie męża Susannah -szepnął Peter. Czy już zupełnie zwariowałam, czy naprawdę odgarnął mi włosy i musnął ustami szyję?

Zaprowadził mnie do zielonej aksamitnej kanapy, wziął pilota i zaczął nerwowo przerzucać kanały.

- Facts News Network. Kanał 53, Peter. To kablówka! Pospiesz się! - Usiadłam na kanapie i przyłożyłam słuchawkę do ucha.

- Dobra, Erik, już jestem, oglądam.

Zwróciłam się do Petera, dając mu znak, że napiłabym się czegoś. Skinął głową i wybiegł z pokoju.

„Tu Bill O'Shaunessy z Facts News Network. My prezentujemy fakty, wy je oceniacie. Otrzymaliśmy właśnie taśmę wideo od Theresy Boudreaux, która przekazała ją nam na

wyłączność. Jeśli nie ukrywacie się w jakiejś jaskini z Osamą, wiecie zapewne, iż pani Boudreaux wystąpiła w programie stacji telewizyjnej NBS i w rozmowie z Joem Goodmanem powiedziała, że miała romans z reprezentantem mieszkańców Missisipi, działaczem patriotycznym, panem Hueyem Hartle-yem. Kongresman Hartley nie odniósł się do tych, jak to określił szef jego biura, «niedorzecznych pomówień» i zdaniem wielu osób - słusznie. Stacja NBS uznała jednak, że - w okresie wzmożonej walki z terroryzmem i toczącej się w Kongresie debaty budżetowej - interesowi publicznemu służy emisja wyznań tej kobiety, i zaprezentowała je w najlepszym czasie antenowym.

Dlaczego więc robimy to samo? Cóż, dobre pytanie. Mleko zostało rozlane, a okazało się, że Theresa ma jeszcze dodatkowe informacje, których naszym zdaniem nie można lekceważyć. Facts News przedstawią więc postscriptum do wywiadu NBS po przerwie na reklamę".

- Jamie, co twoim zdaniem ona knuje? Ty znasz ją najlepiej. - Teraz w głośniku rozległ się głos Billa Maguire'a. Poczulałam mdłości i zawroty głowy, ciśnienie podnosiło mi się z sekundy na sekundę.

- Nie mam pojęcia, Bill. Dlaczego nie wysłała tej taśmy nam? Powiedzieli „postscriptum”. Może Theresa szuka jeszcze większego rozgłosu? Chce przedstawić swoją historię w innej stacji? - Głos mi się załamał. - A może chce przeprosić Hartleya albo wyjaśnić, dlaczego czuła potrzebę, aby powiedzieć prawdę? - Peter, który usiadł obok mnie i podawał mi właśnie piwo imbirowe, pokiwał głową. Na pewno chodziło tylko o to.

- Nie sądzę, Jamie - znów włączył się Charles. - Wysłała taśmę naszym wrogom, a w każdym razie stacji, którą uważa za naszego wroga. Na kopercie było logo [RightIsMight.org](http://RightIsMight.org), a ci zapowiadali, że nas załatwią, i mam przeczucie, że za trzydzieści sekund nastąpi dzień sądu.

- Charles, dość tego! - wrzasnął Goodman. Zamknęłam oczy. Czy byłam w stanie to przewidzieć? Po-

wiedziałam sobie, że zrobiłam, co mogłam, biorąc pod uwagę informacje, jakimi dysponowałam. Działałam profesjonalnie. Podejmowałam właściwe, dojrzałe decyzje. I zamierzałam trzymać się tego. Charles ciągnął:

- Tego się właśnie obawiałem...

- Zamknij się, Charles, ty mały... - Maguire ugryzł się w język, ale po chwili kontynuował: - Nie wyjeżdżaj mi teraz z żadnym „a nie mówiłem?”. Wywiad został wyemitowany! Jeszcze tylko trzydzieści sekund. Cisza!

Wszyscy w milczeniu oglądaliśmy reklamówkę kasety z ćwiczeniami Tae Bo Billy'ego Blanksa. Potem rozległy się werble, a na ekranie niczym wąż przesunęła się czołówka „Doniesienia z ostatniej chwili. Wyłącznie dla Facts News Network”.

„Dobry wieczór, tu Bill O'Shaunessy z Facts News Network i sensacyjna wiadomość. Nowe, szokujące fakty w sprawie Theresy Boudreaux. Wyłącznie w Facts News. Theresa Boudreaux opowiada następną historię. I będzie ona znacznie bardziej kompromitująca dla kierownictwa NBS niż dla kongresmana Hartleya. Odtwórzmy taśmę”.

Objęłam dłońmi głowę, opierając słuchawkę na ramieniu. Nie mogłam na to patrzeć. Ale potem zerknęłam jednym okiem spośród palców. Peter siedział przy mnie, zakrywając rękami usta.

- Jasna cholera! Uch! - To był Erik. Usłyszałam, jak słój z żelkami rozbija się o podłogę.

Theresa wyglądała pięknie, spokojnie. I złowroźnie.

Stała na tle pospolitej tropikalnej scenerii, jak Osama czy al-Zawahiri na tle jakiejś jaskini w Afganistanie. Po lewej stronie miała palmy kołyszące się na wietrze, a w oddali za sobą lazurowe morze. Długie pasma kręconych jasnych włosów opadały jej na twarz, zwiewane bryzą, zakładała je więc za uszy. Popołudniowe słońce wydobywało zieleń jej oczu, tak że wyglądały jak przejrzysta toń. Mogła być w każdym miejscu na południu.

Opuściła wzrok, żeby się przygotować do wystąpienia. Potem powoli uniosła głowę i spojrzała prosto w kamerę. Z dumą zaczerpnęła powietrza i wypinając pierś, zaczęła:

„Przed paroma miesiącami powzięłam pewien plan. Razem z kimś, kogo będę nazywać bliskim przyjacielem”.

- To [RightIsMight.org](http://RightIsMight.org)! Wiedziałem! Wiedziałem to! - zawołał Charles przez głośnik.

- Zamknij się, Charles! - krzyknął na niego Bill Maguire.

„To miało być coś w rodzaju eksperymentu. Eksperymentu z «mediami głównego nurtu», jak je nazywamy z przyjaciółmi”...

- Niech to szlag trafi! - jęknął Goodman.

- Spokojnie - powiedział cicho Peter.

„Chcieliśmy sprawdzić, jak łatwo dostać się na antenę ogóln-

nokrajowej stacji telewizyjnej, jednej z tych adresowanych do liberałów. Znaleźliśmy więc skłonnego do współpracy producenta oraz gospodarza programu, którzy gotowi byli obalić każdego znaczącego polityka republikanów, jaki tylko wpadłby im w łapy" ...

Z oczu pociekły mi łzy i jak krople deszczu kapały na kolana. Pragnęłam znaleźć schronienie w ramionach Petera, ale nie wykonałam żadnego gestu. Musiałam sama sobie z tym poradzić, skulona na kanapie, ze słuchawką przyciśniętą kurczowo do ucha i brodą wspartą na ręce.

„Poza tym chcieliśmy się przekonać, jak daleko posuną się główne media, żeby skompromitować nastawionego patriotycznie republikańskiego lidera, praktycznie każdego wyznawcę konserwatywnych wartości, wartości, które dają Ameryce siłę. Pragnęliśmy się przekonać, czy zniżą się do tego, by wyemitować oskarżenie o zboczone techniki seksualne. Oni nie mieli skrupułów. Zrobili to. Wynajęli jakichś kiepskich ekspertów od dźwięku, kilka rachunków wzięli za dowody, a cały czas nazywali się dziennikarzami... Jak udowodniliśmy z przyjaciółmi, ci ludzie nadaliby na antenie wszystko, żeby tylko zaszkodzić prawicy w tym kraju”.

- Suka - powiedział Charles.

„Więc, proszę państwa, oświadczam oficjalnie, przysięgając na grób mojej drogiej matki, że nigdy nie miałam romansu z kongresmanem Hueyem Hartleyem. Nigdy nie uprawiałam z nim seksu analnego”...

Po kolejnej minucie tej dętej patriotycznej gadki ekran wygasł, a następnie rozjaśnił się, ukazując zadowolonego z siebie Williama O'Shaunessy'ego, który z ironicznym uśmieszkiem zaczął komentować treść kasety.

Ktoś tak walnął ręką o stół, że musiałam odsunąć słuchawkę od ucha.

Bill Maguire zwrócił się do zespołu:

- Jamie, Charles, Goodman, Erik. Przyjaciele, dostaliśmy po ryju od pieprzonej kuchty. Za trzydzieści minut chcę zobaczyć na biurku zarys oświadczenia dla prasy. Nie, za dwadzie-



ścia. Posłuchajcie mnie: idziemy na wojnę. Musimy skopać dupę jakiemuś blogerowi, który ma się za zbawcę ojczyzny. I jeśli pójdziemy na dno, zrobimy to, walcząc, z podniesioną głową. Do widzenia. - Zatrzasnął za sobą przeszklone drzwi gabinetu Erika.

Szlochałam po cichu, niezdolna wypowiedzieć słowa. W końcu usłyszałam głos w słuchawce:

- Jamie? Jesteś tam?

Jakoś udało mi się odpowiedzieć:

- Uhm.

Moje życie zmieniło się w surrealistyczny koszmar. Potem odezwał się Erik:

- Siadaj przed komputerem. Musimy wspólnymi siłami spreparować to oświadczenie. Potem wezmą się do niego prawnicy. - Zastanawiał się przez chwilę. - Jamie, będę musiał wymienić twoje nazwisko jako producenta. Potem Good-mana i moje, jako szefa produkcji. Charles nie będzie w to zamieszany. Pojechał na miejsce powęszyć, ale to nie jego materiał, nie on się nim zajmował.

- Nie zgadzam się, Erik! - zaprotestował Charles. - Tkwię w tym po uszy, bo to ja przecież doradzałem Jamie na ostatnim etapie.

- Właśnie, na ostatnim etapie. To nie twoja sprawa, tylko nasza. My troje wydaliśmy na świat tego potwora, ty nam tylko asystowałaś. Twoje nazwisko pominiemy w oświadczeniu. Musimy ratować, kogo się da. - Tym sposobem Charles nie został rzucony lwom na pożarcie.

- Spokojnie, Erik - powiedział Goodman. - Pracuję w tej stacji od dwudziestu pięciu lat. Nie pozwolę, żeby jedna wpadka zrujnowała ćwierć wieku solidnej pracy.

- Siadaj, Goodman. Ta wpadka zrujnuje ćwierć wieku solidnej pracy. Oswój się z tą myślą. Może pocieszy cię, że Jamie i ja też jesteśmy umoczeni; to złagodzi...

- No! - krzyknął Goodman zdenerwowanym, piskliwym głosem. - Ja spotkałem się z nią tylko dwa razy i...

- Nie wciskaj nam tu tego dziennikarskiego kitu, Good-

man. Niedawno byliśmy świadkami, jak przypisywałeś sobie wszystkie zasługi w związku z tym programem. Rzuciłam się na własny miecz.

- To ja weryfikowałam informacje - przypomniałam.

- Widzisz? Sama to powiedziała - podchwycił Goodman.

To kutas! Dziesięć lat lojalności wobec niego, kiedy urabiałam sobie ręce po łokcie, żeby prezentował się lepiej i sprawiał wrażenie bystrzejszego, niż był w rzeczywistości. Nie spodziewałam się tego. Nie po nim. Poczułam strużki potu na linii włosów. Ściągnęłam sweter.

- Przymknij się, Goodman. Tkwimy w tym gównie wszyscy - powiedział Erik. - Cała nasza trójka.

Włączył się Charles:

- Ja też sprawdzałem fakty, Erik. Naprawdę powinieneś nas czworo...

- Charles, dosyć tego! - Erik zaczął krzyczeć. - Po co masz tonąć razem z nami? W nadchodzących dniach rozpęta się piekło i nie zamierzam pociągnąć za sobą, żadnej osoby, której nie muszę pociągnąć.

Peter potarł mi kark. Chyba oparłam się o niego. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć, ani nawet jak się zachować. Zaczął więc wachlować mnie żółtą satynową poduszką.

Erik odezwał się znowu:

- Jamie, siedzę przed komputerem. Chcę, żebyśmy prześledzili wszystkie twoje uzgodnienia z tą przekłętą babą od samego początku...

Przełykałam raz po raz ślinę, żeby uspokoić żołądek. Peter przyłożył mi do czoła szklankę z piwem imbirowym i trzymał ręce na mojej szyi.

- Jak to się zaczęło? Czy zadzwonił jej prawnik, Leon Rosenberg, powiadamiając cię, że Theresa jest gotowa mówić, czy to ty pierwsza, z własnej inicjatywy, poleciałaś do Pearl, żeby ją do tego nakłonić? Bo zapomniałem. To on zaproponował nam wywiad, czy może ja wysłałem cię na rozmowy? -Urwał. - Jamie? Jesteś tam jeszcze?

- Ja... ja nie mogę, Erik...

- Jamie, pomóż mi, dziewczyno! Mamy siedemnaście minut, żeby dołożyć tej dziwce. Musisz sobie przypomnieć, to przecież nie takie trudne...

- Nie o to chodzi. - Byłam pewna, że zaraz zwymiotuję, bez dwóch zdań. - Ja jestem... ja... Przepraszam...

- Jamie!

Przycisnęłam do twarzy poduszkę z panterą i przelazłam przez stolik do kawy. Potknęłam się po drugiej jego stronie, odzyskałam jednak równowagę i jakimś cudem uniknęłam kolejnej kraksy na przyjęciu urodzinowym. Peter obiegł stolik i chwycił mnie za łokieć, ale go odepchnęłam. Życie zrobiło się wystarczające paskudne. Jeszcze tylko tego brakowało, żebym obrzygała Petera! Miałam ochotę umrzeć. Wiedziałam, że cała ta afera będzie sensacją medialną przyszłego tygodnia, że stacja zostanie odsądzona od czci i wiary, że dni Goodmana jako prezentera są policzone, że stracę pracę i opinię. Przez resztę mojego życia wszyscy będą wytykać mnie palcami, mówiąc: „To ta kobieta, która dała się nabrać tamtej kelnerce”...

Przy gabinecie Toma nie mogłam znaleźć łazienki i o mało nie wpadłam do szafy z jego papierami, gdy otworzyłam drzwi. Przycisnęłam mocniej poduszkę do twarzy.

- Pokoje dzieci są w dalszej części korytarza - odpowiedział Peter, ściskając mnie za ramię. - Musi tam być łazienka.

Odrąciłam znowu jego rękę, ale on nie odstępował mnie na krok. Pobiełam korytarzem, ocierając się o ściany, żeby utrzymać równowagę. Zajrzałam za kolejne drzwi. Bieliźniarka. Czułam już w ustach smak kanapki z pomidorami. Miałam wrażenie, że jeszcze kilka sekund i dopuszczę się strasznej kompromitacji na pięknym chodniku Susannah, w obecności wszystkich tych eleganckich kobiet z Grid, z ich wykałaczkami inkrustowanymi masą perłową.

Udało mi się dobiec do ostatnich drzwi na końcu holu. Gałka zacięła się w pół obrotu. Peter wysunął się wtedy przede mnie i przekreślił ją z całej siły. Pokój dziecięcy, wreszcie! Zabawkowe łóżeczko, telefon z Królikiem Piotrusiem, szafka

zastawiona srebrnymi filizankami. Rozejrzałam się w poszukiwaniu drzwi do łazienki. Spojrzenie w prawo. Nic. Spojrzenie w lewo. Coś. Coś strasznego.

Kobieta na podłodze, leżąca na plecach, z zadartą wokół bioder spódnicą i sterczącymi w górę pięknymi nogami, które tworzyły idealną literę V, zwieńczoną purpurowymi szpilkami ze skóry krokodyla; ramiona rozłożone szeroko. Między jej nogami tkwiła głowa mężczyzny, który dobierał się do swojej zdobyczy jak afrykański lew do świeżo upolowanej zebry. Jego tyłek, dzięki Bogu w spodniach z czarnego tenisu, wypięty był w moją stronę. Koszulę w żółte paski ten mężczyzna miał wyciągniętą ze spodni; obok leżała zmięta marynarka. Kobieta jęczała: „Jeszcze, jeszcze”. Nagle chwyciła mężczyznę za włosy, wypchnęła biodra ku górze i docisnęła jego głowę do siebie. Kilkakrotnie uderzyła prawą ręką o podłogę, krzycząc:

- Tak! Tak, Phillipie! Tak!

Phillipie? Mój Phillip? A czy to nie były ulubione pantofle Susannah?

Powiedzmy tylko, że Phillip nie był w domu zbyt mile widziany po tym występie. A ja tydzień później zostałam wylana z roboty.

W jednej chwili straciłam pracę, która stanowiła podstawę mojej samoświadomości. Po tym, jak zawiodła mnie zdolność oceny sytuacji, nie mogłam się pozbierać, straciłam całą energię i inwencję.

Erik usiłował mnie ratować, nas wszystkich zresztą, ale nasz statek szybko nabierał wody. Przez parę dni po emisji dziwnego oświadczenia Theresy trzymaliśmy się jeszcze, próbując znaleźć jakieś usprawiedliwienie, które przemówiłoby do opinii publicznej, a przede wszystkim do naszych kolegów. Jeszcze raz sprawdziliśmy Theresę: rachunki, które nam pokazała, nagrane rozmowy z rzekomym Hartleyem. Troje godnych zaufania specjalistów potwierdziło, że to był jego głos. Skąd mogliśmy wiedzieć, że tak dobrze spreparowano kasety?

Ona jednak kłamała jak z nut. Czy mogliśmy się tego domyślić? Nie chcieliśmy, żeby ludzie nam współczuli, litowali się nad nami; pragnęliśmy, żeby zrozumieli kontekst naszych decyzji. Pod koniec publiczność wiedziała tylko jedno - że reporterzy NBS dali się zrobić w konia, pani Boudreaux ich załatwiła. Udało jej się nabić w butelkę nawet cwane go Leona Rosenberga. A ponieważ NBS była najpotężniejszą stacją te-

lewizyjną, ludzie naśmiewali się z naszej nieudolności i tańczyli na naszym grobie. To było podłe.

Kiedy sępy zaczęły krążyć nad Billem Maguire'em, walczył dzielnie. Ratując własną skórę, oczywiście. *Semper fidelis*, cholera. Powiedział atakującym go mediom, że popełnił błąd, pomylił się, i okazując skruchę, próbował uzyskać łaskę. Przyznał się do grzechu, którego akurat nie popełnił; powiedział, że nie dopilnował produkcji, bo był zajęty nadzorem ogólnej oferty programowej i weryfikację wiarygodności The-resy powierzył innym. Tłumacząc się, że wielokrotnie zalecał nam sprawdzanie faktów i zbadanie jej przeszłości, oznajmił, że o niczym nie wiedział, i tym sposobem uratował posadę. Jego wersja przemówiła do publiczności, a przynajmniej do ludzi spoza świata mediów. W końcu był prezesem działu wiadomości, prezesi zaś nie zaprzatają sobie głowy szczegółami produkcji, no nie?

Jak miałam zachować się wobec tej zdrady? Usprawiedliwić ją? Spróbować zrozumieć? Tłumaczyć ją tym, że Maguire przebył daleką drogę z Gary w stanie Indiana, i że pozycja, którą z takim trudem sobie wywalczył, zwalnia go z obowiązku lojalności wobec kolegów? Miałam mu wybaczyć, bo był czarny i wychował się w biedzie? Nie obchodziło mnie, skąd pochodzi, czy jest czarny, czy biały. Okazał się tchórzem, który dał dyla, choć mówił, że nie zostawi mnie samej. Pieprzony Rambo umył ręce. Był informowany o wszystkich faktach i to on, były dowódca marines, podejmujący wszystkie decyzje, postanowił wyemitować program, a oglądając go, popijał wild turkey.

Kiedy minęła wściekłość, ogarnęło mnie poczucie winy i zaczęłam dostrzegać złożoność całej sprawy. Uświadomiłam sobie, że Maguire nie musiał iść z nami na dno, skoro uratować go mogła deklaracja rzekomej niewiedzy. Targana sprzecznymi uczuciami, widziałam coraz to nowe aspekty sytuacji. W końcu Bill Maguire zachował pracę, przyrzekając, że będzie pilniej nadzorował producentów i że powoła zespół, który zreorganizuje system weryfikacji materiałów.

A co z Goodmanem? Z człowiekiem, któremu służyłam przez dziesięć lat? Któremu pomagałam w pracy, wychodząc ze skóry, by wydawał się przystojniejszy i inteligentniejszy? Wyglądałam jego scenopisy, wyostrzałam pytania, pudrowałam mu błyszczące czoło, zaczesywałam sztywne włosy. On także usiłował uciec spod noża. Mówił wszystkim, że prezenterzy dużo podróżują i nie mogą wnikać w szczegóły każdego programu, który prowadzą, ani ponosić odpowiedzialności za całą robotę reporterską. Po to są producenci. To oni sprawdzają fakty.

W efekcie postrach wśród prezenterów Joe Goodman dostał po uszach, ale ocalał. Publicznie udzielono mu reprimendy i odsunięto go od *Newsnight*, otrzymał jednak propozycję poprowadzenia własnego programu, który byłby poświęcony aktualnym wydarzeniom. Na tym mu zresztą zależało; od dawna czynił starania, żeby odejść z *Newsnight* i stworzyć program autorski, zajmujący się „poważniejszymi zagadnieniami” w dłuższym, godzinnym czasie antenowym. Też mi kara.

Tak więc to producenci oberwali najbardziej. Erik, jak zapowiadał, stał po mojej stronie do żałosnego końca. Nie wiem jednak, czy miał inne wyjście. Oboje nas poproszono, żebyśmy złożyli wymówienie, bo przecież zawiedliśmy zaufanie publiczne. Chociaż działaliśmy w dobrej wierze. I nie mogliśmy się czegoś takiego spodziewać.

Tydzień po emisji wywiadu czekałam przed gabinetem Maguire'a. Od czasu ujawnienia przez Facts News intrygi Theresy Bill zastanawiał się ze swoim szefem, prezesem firmy macierzystej NBS, co ze mną zrobić. Jej zarząd, chcąc zachować twarz, domagał się głów; miał nadzieję, że z powodu wpadki stacji NBS, klejnotu w koronie, nie straci klienteli działów wydawniczych ani kabłówek.

Maguire przywitał się ze mną i od razu wszystko wiedziałam.

- Jamie, nie zamierzam bawić się z tobą w korowody, więc przejdźmy od razu do rzeczy. Spotkałem się z zarządem

firmy. Postanowiliśmy cię zwolnić, od zaraz. Oczywiście, wypowiedzenie będzie...

Usiadłam przed nim, nie będąc w stanie wypowiedzieć słowa. Ogarnęłam spojrzeniem pokój. Nie sprawiał wrażenia, że Maguire się pakuje. No tak. Pracę przeważnie tracą pionki, ważne figury zachowują posady. Wiedziałam o tym nie od dziś.

- Wypowiedzenie? Aż tak? Pracuję tu dziesięć lat i od razu w trzecim zdaniu słyszę o wypowiedzeniu?

- Jamie, nie stawiaj tej sprawy w świetle brzydszym, niż jest w rzeczywistości.

- Nic złego nie zrobiłam. Pracuję tu od zawsze, albo prawie, przez całą moją karierę zawodową. To nie... to nie fair. Skąd mogłam wiedzieć, że zostanę wrobiona przez grupę szaleńców pałających żądzą zemsty na stacji! Mierzyli w ciebie, a nie w taki mały trybik w maszynie jak ja.

Maguire wzruszył ramionami. Ciągnęłam:

- Sprawdziłam wszystko dziesięć razy. Nie było sposobu, żeby dało się przejrzeć tę babę.

- Zajmowałaś się produkcją programu, który nas pogrążył.

- Przecież wyrażałam wątpliwości. Ty, który podobno nie zostawiasz swoich ludzi na pastwę losu, mówiłeś wtedy, że przeszedłeś już niejedną kampanię, że wiesz lepiej, że odpowiedzialność w razie czego spada na ciebie.

- Nie masz prawa zwać winy na mnie. A odpowiedzialność rzeczywiście spadła na mnie!

- To dlaczego ja mam stracić pracę? To ty jesteś szefem działu wiadomości! To ty dałeś zielone światło programowi!

- Owszem.

- Dlaczego więc nie możesz uratować swoich ludzi? Czy nie tak postępują zawsze marines, czy nie o tym mówi zasada *Semper fidelis*? Czy nie nauczyłeś się niczego...

- Jamie, nie ma o czym mówić. Sprawa została zamknięta.

- Ale ja...



- To koniec.

Nic więcej nie byłam w stanie powiedzieć.

- Mogłem polecić z tobą, ale nie chcę kłaść głowy pod topór z powodu tego kawałka. Od początku mówiłem, że to twoje dziecko. - Pochylił się nad biurkiem. - Tak jak ci powiedziałem w gabinecie Erika, ostatecznie to ty jesteś producentem programu. I mylisz się w tych wszystkich kwestiach, o których przed chwilą mówiłaś. Bardzo się mylisz. Zgłaszałaś wątpliwości, ale nie nalegałaś, żebyśmy zdjęli wywiad, a to wielka różnica.

Umilkłam. Miał rację. I dziwna rzecz - w tej strasznej chwili, gdy wylewano mnie z roboty, pomyślałam o Peterze. Dlaczego go wtedy zbyłam? Dlaczego nie wysłuchałam jego opinii? Wszystko przez to, że nie chciałam zdradzić się z moimi uczuciami.

- Być może naciskaliśmy na ciebie, ale musisz pogodzić się z myślą, że pozwoliłaś nam na to, i uległaś. Powiedziałem ci, że jeśli przybiegniesz do mojego gabinetu, zdejmę wywiad z programu. Przez chwilę walczyłaś, ale niewystarczająco. Nie sprzeciwiłaś się, tylko zamachałaś rękami i wycofałaś się. A wzięłaś na cel jednego z najważniejszych facetów w sferach rządowych. Pora dorosnąć, nie ma co jęczeć. Nie zdradziłem cię, Jamie. Jesteś najlepszym producentem w moim zespole. Sama siebie zdradziłaś. Nie zaufałaś dostatecznie własnemu instynktowi. Uległaś starszym, bardziej doświadczonym. Tu popełniłaś błąd, i prawdę mówiąc, jak na ironię dlatego właśnie tracisz pracę.

Abby była zdruzgotana, kiedy wróciłam od kierownictwa.

- Co ja bez ciebie zrobię? - zawodziła.

- A co ja zrobię bez pracy?

- Znajdziesz inną, jesteś dobra w swoim fachu - powiedziała.

- Stałam się radioaktywna, Abby. Nikt mnie nie zatrudni. Zostałam wymieniona po nazwisku we wszystkich doniesieniach prasowych i telewizyjnych w kraju jako sprawczyni tej

klapy. Nawet gdyby ktoś chciał dać mi pracę, w prasie pojawi się informacja na ten temat i będzie smród.

- Nie, nieprawda! - zaprotestowała. Uniosłam brwi.

Abby ciągnęła:

- Dobra, może tak, może rzeczywiście jesteś teraz radioaktywna, ale to przejdzie, jak Czarnobyl.

- Abby, jak dotąd, nikt nie zamieszkał w promieniu trzydziestu kilometrów od Czarnobyla; ten teren będzie radioaktywny przez całe następne stulecie.

- Ojej!

- Tak... I ty o tym wiesz. poq

- No, dobrze, nie będziesz jak Czarnobyl, będziesz jak wypadek w reaktorze jądrowym, do którego w końcu nie doszło.

- Abby, ten wypadek się zdarzył.

Tego samego popołudnia zabrałam Dylana na spacer po parku, żeby mu opowiedzieć, co poszło nie tak w NBS. Nie bardzo rozumiał, co się stało, i ktoś musiał mu wytłumaczyć w prosty sposób, dlaczego mamusia straciła pracę. Theresa Boudreaux oszukała mnie, ale nie żeby zrobić krzywdę mnie osobiście, tylko zaszkodzić całej stacji telewizyjnej. Z ulgą przyjął informację, że to nie ja byłam celem jej intrygi. Po rozmowie poszliśmy do Belwederu, żeby podziwiać widok i poobserwować przyrodę. Usiadłam okrakiem na barierce najwyższego balkonu, trzy metry za moim synkiem, opierając się plecami o wieżę. Powiał wiatr i choć popołudniowe słońce nieco łagodziło dojmujący chłód, otuliłam się obszernym kożuszkim. Gdy cały mój świat przewrócił się do góry nogami, poczułam się lepiej w znanym miejscu.

- Te żółwie kręcą się i kręcą. Nie mogę ich policzyć.

- Liczysz je już od jakichś dziesięciu minut, Dylan.

Zanurzwszy rękę w kieszeni, pogładziłam palcami napis wygrawerowany na kopercie stopera, który dał mi Peter: „Pora na następny taniec”.

- Jest taki jeden żółw, który nie może wstać. Już mu się

prawie udaje, ale nie radzi sobie na kamieniach. Więc macha łapkami jak wariat, a potem poddaje się i znowu próbuje się odwrócić z innej strony.

- Zimno mi. Poprzyglądamy się przyrodzie kiedy indziej. Musimy iść, kochanie.

- On też. Dlaczego pozostałe żółwie nie mogą go popchnąć łebkami? Tylko patrzą, jak się męczy.

- Tak jak ty, Dylan.

- Ale ja chcę, żeby wstał. I pomógłbym mu. A one nic. Chciałbym tu jeszcze trochę zostać.

- Dobrze. Wiem, że to twoje ulubione miejsce. Nie ma pośpiechu.

- Czy ta pani pójdzie do więzienia? Czy za kłamstwa w telewizji idzie się do więzienia?

- Niestety nie. Przeniosła się na jakąś daleką wyspę i nikt nie wie, gdzie jest.

- To dziwne. I dziwne, że nie ma tu Petera.

- Na pewno chciałby być, kochanie.

- Co się wydarzyło na urodzinach Anthony'ego? Słońce wyszło zza chmur.

- Wtedy właśnie ta pani wystąpiła w telewizji; Mama i tata się pokłócili. Jak tam żółw sobie radzi?

- Chyba już mnie to nie ciekawi - odparł Dylan. Objął go ramieniem.

- Wracamy do domu?

- Chciałbym cię jeszcze o coś zapytać.

- Słucham.

- Czy ty i tata pokochacie się znowu?

- Mówiłam ci już, kotku. Zawsze będziemy się kochać, ale potrzebujemy trochę czasu. To bardzo trudny okres dla dzieci. Pamiętaj jednak, że to nie twoja wina.

- Wiem. Dlaczego wciąż wszyscy mi to mówią? Nigdy nie myślałem, że to moja wina.

- Nie wiem, kochanie. Dorośli miewają dziwne pomysły.

*Sześć tygodni później*

1 lutego. W dniu wystawy Ermitażu obudziłam się późno. Poprzedniego wieczoru nie mogłam zasnąć i to spotęgowało ból głowy, jaki witał mnie przez większość poranków od czasu upiornego popołudnia u Susannah. Naciągnawszy kołdrę na głowę i schowawszy twarz pod poduszką, usiłowałam zwalczyć ból. Bez powodzenia.

Zadzwoił telefon.

- Mam pomysł! Wręcz genialny. Oscar już do ciebie jedzie.
- Ingrid, przestań. Jeszcze śpię.
- Już nie. Jest dziewiąta. Wyskakuj z piżamy i ubieraj się. Pewnie w tej chwili już kładzie rękę na klamce.
- Ale po co, u licha, on tu przyjeżdża?!
- Żeby odmienić twoje życie. Czas wziąć się w garść. Mam dla ciebie małą robotę. Wszystko obmyśliłam. Nowe zajęcie. Bezrobocie ci nie służy.

Udało mi się wygrzebać z pościeli i usiąść.

- Ingrid, jesteś cudowną przyjaciółką. Ale...
- Powiedziałam Oscarowi, żeby nie zważając na ciebie, ruszył prosto do twojej szafy. Z aparatem. Bo inaczej wywalę go na zbity pysk.
- Co takiego?!
- Ma sfotografować twoje ciuchy. Dobrze robi zdjęcia. Potem w tym samym celu pojedzie do Bridgehampton.

- Ale ja tam nie mam żadnych ubrań.

- Tam też sfotografuje twoje ciuchy. - Nie słuchała mnie wcale. Wpadła w swój zwykły trans, podniecona, jakby odkryła kod do odpalania północnokoreańskiej bomby jądrowej. -Potem podskoczy do Kinko, żeby pofoliować zdjęcia i poukładać je w segregatorze według koloru strojów, pory roku, stopnia elegancji, okazji. Dzięki czemuś takiemu możesz być szykowna. Wiesz, gdzie co masz. Jesteś dobrze zorganizowana. Nie musisz niczego szukać. Możesz zestawiać stroje. Na zasadzie Geranimals. Oczywiście, twoja księga będzie wyglądała żałośnie, ale asystując Oscarowi, zrozumiesz, na czym polega cały pomysł. Dla mnie już zrobił taką księgę. Przyniesie ją ze sobą. Jest fantastyczna. Twoja będzie okropna, ale zobaczysz, jak się ją przygotowuje.

- Oszalałaś?

- Każdy chce mieć coś takiego, ale nie wie, jak się do tego zabrać. Tylko jedna osoba to potrafi, Oscar.

- Ale...

- Będiesz produkować takie księgi! Kierować zdjęciami, układać zawartość. Zostaniesz producentką i autorką! *Prestol*

Carolina wsadziła głowę przez drzwi.

- Przyjechał kierowca pani Harris.

Nie było sposobu, żeby powstrzymać Oscara. Zlecając mu to zadanie, Ingrid tak go nastraszyła, że pozwoliłam biedakowi zrobić, co do niego należało. Mieszkanki Grid próbowały teraz pokierować moją karierą. To było bardziej niż przygnębiające.

Przyzwyczaiłam się jednak do stanu przygnębienia. W obecności dzieci przywoływałam na twarz sztuczny uśmiech, żeby sprawiać wrażenie radosnej. Starłam się zachowywać pozory, zmuszałam się do spędzania czasu w gronie rodzinnym i jedzenia obiadów z Phillipem. W tamtych dniach usiłowałam jeszcze ratować moje małżeństwo ze względu na siebie samą, na nas, a zwłaszcza na dzieci.

Phillip, zesłany na kanapę w swoim gabinecie, próbował okazywać skruchę, ale daremnie. Przeważnie więc nocował u matki w pokoju gościnnym.

Dziesiątki razy byliśmy u psychoterapeutów, żeby przeanalizować powody jego postępowania. Phillip czuł, że oddaliśmy się od siebie, miał wrażenie, że już nic dla mnie nie znaczy, bo przestałam go kochać, a pragnął uwagi i miłości. Mogły to być przyczyny zdrady, przyznaję, ale choć terapia pomogła mi zobaczyć całą sytuację w innym świetle, nie wpłynęła na fakt, że czułam pustkę w sercu.

Jeśli chodzi o Petera, przynajmniej zaczekał do nowego roku.

Stało się to w kuchni, gdy dzieci poszły już do łóżek, w pierwszy piątek stycznia; Carolina wyjechała na weekend, a Phillip właśnie wchodził na pokład nocnego samolotu w San Francisco.

Wciąż miałam w pamięci naszą rozmowę przed szkołą. „Nie zamierzam cię tknąć, dopóki, po pierwsze, nie powiesz mi, że tego chcesz, a po drugie, dopóki będziesz z nim”. Pragnął mnie, chciał, żebyśmy byli razem. Ale ja nie byłam gotowa, żeby się w to rzucić. Nie mogłam przespać się z nim w hotelu Carlyle, a następnego dnia zachowywać się jak gdyby nigdy nic. On z kolei nie uznawał półśrodków. Co więc mieliśmy zrobić? Dojść do drugiej bazy i się zatrzymać? A co ważniejsze, fakt, że Phillip mnie zdradził, nie upoważniał mnie do postąpienia tak samo.

Zdrada, choć szokująca, nie od razu popchnęła mnie do przekroczenia granicy. Potrzebowałam kilku miesięcy, żeby się rozejrzeć, sprawdzić, jaki widok rozciąga się poza nią. A Peter, czując, że się waham, nie nalegał. Twierdził, że jest zajęty swoim programem komputerowym, ale ja wiedziałam, jak się sprawy mają. Najwyraźniej czekał na moją decyzję, nie bardzo wiedząc, dlaczego natychmiast po zdradzie ze strony męża nie odeszłam od niego. Ja jednak byłam jak sparaliżowana, i ze względu na dzieci próbowałam ocalić rodzinę. Zrobić dla niej wszystko. A poza tym, oczywiście, była ta śmieszna rzecz zwana strachem.

Mieszałam rumianek przy bufecie, gdy około dziewiątej, położywszy Dylana do łóżka, w kuchni pojawił się Peter.

- No! - powiedział, stając przede mną. - Gra skończona. - Wziął mnie za rękę. Tym razem żadnego podniecającego masażu. - Możesz przynajmniej na mnie spojrzeć? - zapytał.

- Nie wiem. - Ogarnęła mnie fala żalu.

- Gra się skończyła, i to w sposób, którego sobie nie wyobrażałem.

- Jak to?

- Nie mogę zostać. Zamknęłam oczy.

- Nie możesz tego zrobić.

- Masz rację, Jamie Whitfield, nie mogę. Dlatego odchodzę.

- Czego nie możesz zrobić?

- Prowadzić dalej tej gry. Tej zabawy w chowanego, gonitwy w gabinecie luster. Albo ty i ja robimy coś, albo nie. Ale ty nie możesz się zdecydować. Nie chcesz wykonać żadnego ruchu, jakbyś lubiła całe dni tkwić w dołku.

- Nie możesz być cierpliwy? Przechodzę piekło.

- Byłem cierpliwy. Ale w końcu muszę to powiedzieć: nie mogę tu zostać, czując do ciebie to, co czuję.

- Naprawdę?

- Dorośnij wreszcie, do cholery, co?! Oczywiście, że tak. Jesteś w jakimś dziwnym stanie otepienia. Próbowałem to przeczekać i służyć ci pomocą. Ale nie dam rady.

- Wiem.

- Nie mogę cię przytulić, być z tobą, wyrazić, co do ciebie czuję, gdy jesteś taka zamknięta w sobie, chłodna, dziwna, obca. I to z jakiego powodu? Z powodu jego? Tego oszusta? Na co ty czekasz?

- Po prostu trudno mi podjąć decyzję.

- Czego się boisz? Że możesz być szczęśliwa?

- Nie, to nie to. - Tak mi się przynajmniej wydawało.

- No to na co czekasz?

- Dzieci, Phillip... Nie mogę jeszcze nic postanowić.

- Wiesz co? - Peter wyglądał na urażonego, sfrustrowanego i zrezygnowanego. - W porządku. Rozumiem, ale nie zamierzam czekać, aż się zdecydujesz.

- Co chcesz zrobić?

- Już powiedziałem Dylanowi.

To mi się nie spodobało.

- Jak mogłeś?!

- Przyjął to dobrze. I tak ostatnio rzadziej przychodziłem. Nadal będę go zawoził na poniedziałkowe zajęcia Poszukiwaczy Przygód. Wytłumaczyłem mu, że mam dużo pracy, ale będę się z nim widywał w poniedziałki.

- I co on na to?

- Był zmęczony. To tylko dziecko. Żyje teraz nieźle. Przypomniałem mu, że poniedziałek będzie już za trzy dni. Ten fakt do niego przemówił.

- Ach tak...

- Więc będę wpadał po niego w poniedziałki, zawoził go, a potem zostawiał na dole przy odźwiernym, żeby już sam wrócił na górę.

- Chcesz powiedzieć, że tak jak po rozwodzie nie będziesz nawet wchodził do mieszkania?

- To twój wybór, moja droga. - Delikatnie położył mi rękę na karku, miękko pocałował mnie w usta i wyszedł.

Byłam zdruzgotana. Ale jego usta smakowały cudownie.

Tego lutowego wieczoru Phillip i ja, dzielnie udając szczęśliwe małżeństwo, wysiedliśmy z wynajętego samochodu i po schodach weszliśmy do muzeum Duponta. Nie miałam pelisy ani płaszcza z białego futra, więc otuliłam się białym kaszmirowym szalem, który przy temperaturze bliskiej zera grzał jak etamina. Phillip otoczył mnie ramieniem, żeby było mi ciepłej. Wsparłam się na nim, próbując się ogrzać. Gdy szliśmy po niekończących się marmurowych schodach, pomyślałam o ostatnim wieczorze i zaczęłam się zastanawiać, dlaczego postąpiłam, jak postąpiłam. Wszystko zaczęło się, gdy Phillip, pocałowawszy dzieci na dobranoc, przyszedł do łazienki.

- Jamie, jeśli wciąż chcesz pójść ze mną jutro na galę dobroczynną, tak jak planowaliśmy, chętnie będę ci towarzyszył.

Opłukałam twarz wodą i spojrzałam na niego.



- Nie wiem - odparłam neutralnym tonem. Nie czułam do niego szczególnej złości, może dlatego, że przez ostatnie dwa dni mało go widywałam.

- Hmm, liczyłam na bardziej konkretną odpowiedź. Wymierzyłam w jego stronę moką szczoteczkę do zębów.

- A czego się spodziewałeś?

- Wiem, że pewnie oczekuję zbyt wiele, ale pomyślałem, że skoro nastąpiło między nami zawieszenie broni, może pozwoliłabyś mi jutro po gali spać w naszym łóżku, po raz pierwszy od siedmiu tygodni.

Pastwienie się nad nim nie sprawiało mi już żadnej przyjemności. Patrzył teraz na mnie wyczekująco; nie prosił, nie błagał, tylko patrzył, jak to on. Zdradził mnie, owszem, ale wytłumaczył, dlaczego to zrobił, i przeprosił. Nie skamlał ani nie zebrał o przebaczenie, co doceniałam i szanowałam. Próbowałam mu wybaczyć, przyjąć przeprosiny, wszystko sobie poukładać.

- Jamie, co ty na to? Mogę po gali spać w naszym łóżku?

Doktor Rubinstein mówił, że seks by nam pomógł, pozwoliłby przewyciężyć urazę. Ale jak mogłam pójść do łóżka z Phillipem, gdy bez przerwy fantazjowałam na temat Petera?

- Jamie, nie będę cię prosił o to codziennie, nie prosiłem zresztą ani razu od czasu tego koszmaru. Odmawianie mi seksu to skuteczna broń w twoim arsenale, i ja to rozumiem. Ale moglibyśmy spróbować. Jesteś w komitecie organizacyjnym, ubierzesz się w piękną suknię, będziesz chciała mieć mężczyznę przy boku.

Nie odpowiedziałam.

- Poza tym, jeśli nie chcesz zrobić tego dla nas, zgódź się ze względu na Gracie. Jeśli to prawda, że będzie tam cały zarząd Pembroke, razem stawilibyśmy im czoło, ramię przy ramieniu. Z uśmiechem. - Rozciągnął sobie palcami usta.

Zaśmiałam się. Poczułam, że go krzywdzę. Tak bardzo się starał.

- Dobra, możemy iść razem. Ale nie jestem pewna co do tego łóżka.

Wtedy mnie uściskał.

Nie spodziewałam się tego; byłam jeszcze bardziej zaskoczona, gdy przywarł do mnie jak wielki brunatny niedźwiedź. Objął mnie mocno i nie puszczał. Staliśmy tak, niepewni, jak się zachować. Phillip zamknął oczy i pocałował mnie. Początkowo czule, potem z większą pasją. Po moim policzku stoczyła się łza. On ją scałował.

- Dajmy sobie szansę. Wiem, czego ci trzeba. Mówiłam sobie, że powinnam pozbyć się zahamowań, jak

dziewczyna z college'u, gdy ma się przespać z nieznajomym. Phillip zaprowadził mnie do łóżka. A ja usiadłam na brzegu, przesuważąc palcami po czole.

- Masz zapalniczki, Jamie?

- Są w szufladzie.

Phillip zaczął się rozgrzewać, wyglądało na to, że nie ma już odwrotu. Czy miałam mu teraz odmówić? Powiedzieć, że go nie chcę? Czy spróbować?

Zapalił dwie świece. Potem poszedł przygasić światła i zamknął drzwi na klucz.

- Mam wobec ciebie pewne plany. Zmusiłam się, żeby się położyć.

- Nadal cię kocham, Jamie. Jesteś uroczą kobietą. Phillip również wszedł do łóżka i zaczął całować mnie

w czoło, a potem w usta. Wygięłam w łuk plecy, próbując ułożyć się wygodnie. Uniósł moją koszulę nocną i położył mi głowę na brzuchu. Pomyślałam, że jestem w stanie to zrobić.

- Tylko ty się dla mnie liczysz.

Staralam się nastroić erotycznie, ale zamiast tego przyszło mi na myśl, aby zapytać go, czy do mojej byłej przyjaciółki zabierał się tak samo.

- Brakowało mi ciebie. Bardzo mnie podniecasz. Znowu zamknęłam oczy. To wymagało jednak ogromnej

koncentracji. Zaczęłam wodzić dłońmi po znajomych konturach jego pleców, ramion, szczupłych nóg, usiłując skupić się na ciele Phillipa, a nie na nim samym. I znowu poczułam się swojsko.

Kiedy skończyliśmy, powiedział:

- Nie zapominaj, jak może być nam dobrze.

Po twarzy popłynęły mi łzy. Phillip uśmiechnął się czule; sądził, że zakochałam się w nim od nowa. Ujął mnie za podbródek.

- Wszystko się ułoży. Odwróciłam głowę.

- Daj spokój, Jamie, nie możesz stawiać mi oporu dla zasady.

Czyżbym stawiała opór dla zasady? Może. Czułam jeszcze gniew? Czy Peter istniał dla mnie realnie? Spojrzałam w twarz mojego męża, zauważając małe zmarszczki wokół ust i piegi w pobliżu oczu. Coś jednak... było. Między nami. Zostałam z nim z jakiegoś innego powodu niż dzieci i wygody. A może to był tylko strach? Usłyszałam w głowie głos Petera: „Czego się boisz? Że możesz być szczęśliwa?”.

Phillip pstryknął palcami przed moją twarzą.

- Jamie, skończ z tym. Wybacz mi i bądźmy znowu razem.

- Phillipie... - Westchnęłam. - Nie jestem gotowa do podjęcia decyzji. I nie chodzi tylko o Susannah...

- Czy nie opiekuję się tobą i dziećmi? Wiele nas łączy, Jamie. Nie rezygnuj z tego.

- Nie rezygnuję, tylko muszę zdecydować, czego chcę. To różnica. Duża.

Leżeliśmy przez chwilę w milczeniu. Zaczęłam czuć się niespokojnie i klaustrofobicznie, jakbym sprowokowała go wbrew swojej woli.

Poderwałam się.

- Phillipie, to wszystko dzieje się za szybko. I tak nieoczekiwanie. Proszę, idź na noc do gabinetu. Albo do matki.

Ku mojemu zdziwieniu, wstał bez protestu. Wiedział, że posunął się dalej, niż przypuszczał. Był na tyle sprytny, by nie przeciągać struny.

Przesyłane na odległość całusy. Ramiona wymachujące w powietrzu. Kobiety obracające się w swoich białych sukniach jak pięcioletnie dziewczynki, które odgrywają księżniczki. Przesadne: „Wiiitam” i „Ależ ty pięćeknie wyglądasz!”. Phillip i ja staliśmy w foyer wielkiego muzeum o marmurowych sklepieniach, które wzmacniały głosy stojących pod nimi ludzi, odbijające się echem od łuków. W narożnikach stopni majestatycznych schodów leżał puszysty hollywoodzki śnieg, a brązowe balustrady były artystycznie oplecione gałązkami ostrokrzewu i świerku. Wielkie, wysadzone kamieniami jaja, repliki oryginalnych okazów Faberge, zwieszały się nieregularnie z sufitu na niewidocznych drutach. Kelnerzy w białych smokingach i rękawiczkach roznosili szampana na srebrnych tacach, i zaczęliśmy się rozglądać za ludźmi, których byśmy lubili, jednocześnie witając się skinieniem głowy z wieloma innymi, których znaleźliśmy z sąsiedztwa albo spod szkoły.

- Jest jedna z nich, tam. - Wskazała mnie młoda kobieta z fotografikiem Puncem Parishem u boku.

Stali jakieś sześć metrów od nas, obok pomalowanej na biało palmy, obwieszanej złotymi jajkami. Punch jednak był zajęty rozmową z parweniuszami, którzy kręcili się wokół niego jak hieny wokół żeru. Byli wśród nich bezwstydni wazeliniarze, którzy śmiali się z każdego jego słowa, walili go

w ramię, gdy wygłaszał jakąś kaśliwą uwagę, i mówili: „Och, Punch! Przestań! Tu już przesadziłeś!”. Były i wyluzowane dziewczyny, które udawały, że nie dbają o to, czy je fotografuje, ale chciały się upewnić, że je zauważył. „Cześć, Punch!” - wołały, przechodząc obok niego i machając ozdobionymi biżuterią drobnymi nadgarstkami, świadome, że i tak nie zdążyłby zrobić im zdjęcia. Chciały jednak, żeby zdobył się na wysiłek i odnalazł je później na sali. I wreszcie prawdziwe bywalczynie, desperacko pragnące zwrócić na siebie uwagę, krążące na jego orbicie z wystudiowaną nonszalancją, godną Oscara.

Kobieta w biżuterii od Verdury pociągnęła Puncha za koszulę.

- Tam, musimy tam iść. Ona ma na sobie jakieś ładne rzeczy. Pamiętasz? Jesteś moim klientem. Verdura.

Punch, zniecierpliwiony, usiłował lepiej mi się przyjrzeć. Udawałam, że tego nie widzę.

- Która to? - zapytał. - Dlaczego właśnie ona?

Jego towarzyszka dotknęła płatków uszu, na pewno tłumacząc mu, że mam na sobie kolczyki od Verdury za piętnaście tysięcy dolarów. Chciała, żeby sfotografował mnie w celach reklamowych.

- Ona może poczekać. Znajdziesz ją później. Kobieta podbiegła do mnie i przedstawiła się:

- Jennifer z public relations u Verdury. Zapomniałam, jak się pani nazywa, ale wiem, że wypożyczyliście pani kolczyki i chcemy zrobić kilka zdjęć. Punch! Chodź tutaj! Potrzebuję zdjęcia tej pani! Potem możemy ją stracić z oczu.

On jednak ją zignorował.

- A przy okazji... - zwróciła się znów do mnie. - Będziemy prosili o zwrot tych kolczyków zaraz po kolacji. Nasz człowiek czeka w pomieszczeniu za kuchnią.

- Wiem. Już mi o tym powiedziano...

- Znajdziemy panią. Jak pani godność? - Wyjęła notes. Początkowo podobał mi się pomysł wypożyczenia sukni i biżuterii; ułatwiało mi to sprawę, nie mówiąc już o tym, że

było bezpłatne. Teraz jednak, jako żywa reklama czyjegoś produktu, poczułam się wykorzystana, poniżona.

- Nazywam się Jamie Whitfield, a to mój mąż, Phillip.

- A tak, oczywiście. Mogliby państwo stanąć obok siebie, chowając drinki za plecami? Punch! Już ich ustawiłam! Proszę cię!

Punch skierował na nas aparat z odległości pięciu metrów, nawet nie patrząc przez wizjer. Dwa błyski flesza. Potem puścił oko i wrócił do rozmowy.

- Świetnie. - Jennifer zajrzała do notesu. - Jeszcze dwie osoby do odfajkowania. - Opuściła nas, nie mówiąc ani „dziękuję”, ani „do widzenia”.

- Tom! - Phillip chwycił za ramię jednego ze swoich wspólników w firmie prawniczej.

Tom Preston odwrócił się i patrząc na nas, powiedział coś szeptem do żony, a ona odmruknęła niechętnie. Najwyraźniej nie była zachwycona tym, że mąż musi zamienić kilka słów z kolegą z pracy, gdy mogła pogawędzić ze znajomymi kumoszkami. Podczas rozmowy obu panów rozglądała się wśród tłumu. Podobnie zresztą jak Tom. Wybawiłam więc oboje.

- Phillipie, przepraszam, ale musimy odnaleźć gospodarzy.

Żona Toma po raz pierwszy uśmiechnęła się promiennie.

- O tak, Tom, nie zatrzymujmy ich dłużej.

W sali było nieznośnie głośno, czułam się upokorzona z powodu kolczyków, zła na niewychowaną żonę Toma i miałam świadomość, że mój mąż jest sfrustrowany. Phillip bowiem nie miał kontroli nad sytuacją. Zapragnęłam, by Peter zrobił mi niespodziankę i zaciągnął mnie za jedno z dwumetrowych jaj.

- Niech to licho, Jamie! Kim są ci wszyscy ludzie?

- Nie wiem. Chyba znajomi Christiny.

- Przyrowadzasz mnie tu, a nikogo nie znasz?

- Znam, to są po prostu... - Przez moment poczułam irytację, że muszę się tłumaczyć.

- Nie będę stał tu jak idiota, chodźmy! - Chwycił mnie za

rękę i pociągnął przez salę, rozglądając się za znajomymi twarzami. Nagle za nami pojawiła się Christina, która uszczypnęła mnie w tyłek, aż podskoczyłam.

- Witaj, kochanie. Wyglądasz bardzo seksownie od tyłu. Nie wiem, jak twój mąż może utrzymać ręce z dala od ciebie.

Phillip zareagował:

- To prawie niemożliwe. Dzięki, że nas zaprosiłaś, Christino. - Otoczył mnie ramieniem i przyciągnął do siebie. Nikt nie wiedział o nim i Susannah. Ani o tym, że nasze małżeństwo się kończy.

- A, Jamie, tak mi przykro z powodu tego czasopisma. Nie mogę uwierzyć, że John Henry wyciął kogoś z moich gości ze zdjęcia na okładce - powiedziała Christina.

- Nic się nie stało. Naprawdę.

Christina, która wyglądała jak olśniewająca bywalczyni dawnych balów, miała na sobie szyfonową suknię Caroliny Herrery z odkrytymi plecami, przytrzymywaną kryształowymi koralikami wokół długiej szyi, z krótkim marszczonym trenem. Posłałam całusa jej bardzo bogatemu mężowi, Geor-ge'owi, najbardziej aseksualnej istocie, jaką kiedykolwiek znałam. Stał wyprostowany jak ołowiany żołnierz z małym brzuszkiem. Włosy miał zaczesane na brylantynę, co uwydatniało zakola na czole i rządęk przeszczepów.

- George, Christina, co za eleganckie towarzystwo! Miło nam, że zaprosiliście nas do swojego stolika.

- Och, Jamie, cała przyjemność po naszej stronie. - George pocałował mnie w rękę. - Nie mogę się doczekać, kiedy porozmawiam z tobą o wyborach.

Boże, dopomóż!

Starszy niski mężczyzna, który w białym fraku wyglądał jak pingwin, przeszedł przez salę, uderzając w gong i zapraszając gości na kolację. Ruszyliśmy więc okazałym holem w towarzystwie Pattenów i dwóch innych par, z którymi mieliśmy siedzieć przy stole. Panie, Leelee i Fenoula, nawet nie pamiętały, że poznałyśmy się podczas sesji zdjęciowej.

Sufit muzeum Duponta ozdobiony był białymi gałązkami brzozy, które tworzyły jakby baldachim. W atrium stało z pięćdziesiąt dziesięcioosobowych stołów, przykrytych krwistoczerwonymi obrusami. Na środku każdego z nich znajdowała się dekoracja w kształcie fontanny, z której spływały białe i czerwone róże. W kątach sali, w zagłębieniach marmurowych kolumn i na czarnej marmurowej posadzce tanecznej leżał sztuczny śnieg. Nasz stolik znajdował się tuż przy podium.

Christina od razu przedstawiła nas przewodniczącej komitetu organizacyjnego, Patsy Cabot, okrągłej kobiecie po sześćdziesiątce, o krótko ostrzyżonych włosach. Stała ona na czele zarządu szkoły Pembroke. Patsy wyciągnęła pulchną rękę i uśmiechnęła się powściągliwie do mnie i mojego męża. Była jeszcze jedną sensowną potomkinią emigrantów przybyłych do Ameryki na „Mayflower”, która uwielbiała Phillipa. Zauważyłam, że ma zwykłego timexa na skórzanym pasku -chyba jako jedyna kobieta na sali nie nosiła biżuteryjnego zegarka.

- Wspaniale cię zobaczyć, Patsy. - Phillip uścisnął jej rękę niczym skaut, tak jak nauczyła go matka. - Wykonujesz niezwykłą pracę na rzecz ważnej kulturalnej i historycznej sprawy.

- Dziękuję za uznanie, Phillipie. Staram się. Phillip ciągnął:

- Wreszcie, po siedemdziesięciu latach komunistycznych zaniedbań, Ermitaż wrócił do dawnej świetności. Wspaniale.

Patrząc na mojego męża, Patsy zatrzepotała powiekami, zaintrygowana, że ktoś zainteresował się celem tej gali, a nie tylko kreacjami przybyłych pań.

- Wiesz coś o Pałacu Zimowym?

- O tak.

Spojrzałam na Phillipa, jakby postradał zmysły.

- Naprawdę? Byłeś w Sankt Petersburgu? - spytała Patsy. Phillip zignorował pytanie i zaśmiał się arogancko.

- Patsy! W Pałacu Zimowym znajduje się największa ko-



lekcja jaj Faberge, w większości zakupionych przez Aleksandra Trzeciego i Mikołaja Drugiego dla żonek. Moje ulubione to oczywiście Lily of the Valley. To niesłychanie ważne, żeby chronić skarby kultury, jakimi są te arcydzieła. -Nigdy nie słyszałam, żeby Phillip kiedykolwiek wypowiadał się o konieczności zachowania zabytków kultury czy o jajach Faberge.

- Ja też uwielbiam Lily of Valley. Jest tu gdzieś jego model... - Wskazała róg sali.

- Wiem. Z miniaturowymi portretami Mikołaja Drugiego, wielkiej księżnej Olgi i Tatiany, dla carowej Aleksandry. -Dotknął ramienia Patsy.

- Dużo wiesz o tym jajku.

- Tyle co o własnych dzieciach. - Phillip opuścił wzrok, udając skromnego.

W taki sam sposób zjednywał sobie ławę przysięgłych, kolegów prawników i klientów. Stałam tam, patrząc, jak hipnotyzuje Patsy, i poczułam skurcz w sercu. Był bardzo skuteczny w takich sytuacjach.

- Naprawdę?

- Tak. Naprawdę.

Patsy zaczerpnęła powietrza.

- A widziałeś na własne oczy Coronation Egg?

- Tak. Niemal religijne przeżycie. To złote tło z promienistych gwiazd, orły carskie na każdym przecięciu linii i...

Dokończyła za niego:

- ...i miniaturowy powóz Mikołaja i Aleksandry w środku! Skąd tyle wiesz o...

- Nie ma niczego donioślejszego niż ratowanie dzieł sztuki - oświadczył. Uszczypnęłam go w biodro, a on poklepał mnie po ramieniu, dając mi do zrozumienia, żebym się uspokoiła i milczała. - Mój ojciec, Phillip Whitfield Drugi, po którym odziedziczyłam imię, miał wspaniałą kolekcję książek, które studiowaliśmy podczas letnich wakacji w Plymouth. Leżeliśmy pod wierzbą w hamakach i oglądaliśmy największe arcydzieła, sprawdzając, gdzie się znajdują. Znam każdą salę

Ermitażu, wiem, gdzie wisi *Madonna Litta* da Vinci, *Bakchus* Rubensa, *Trzy kobiety* Picassa. - Spojrzał jej głęboko w oczy, jakby posuwał ją do utraty zmysłów, co - jestem absolutnie pewna - nigdy jej się nie zdarzyło. - To moje ulubione dzieła i wszystkie są właśnie w Ermitażu, w twoim muzeum, Patsy. Bardzo pragnąłbym je mieć. - Oddychał ciężko, rozdymając nozdrza.

- A moje ulubione dzieło, które od wieku wisi w pierwszej sali na pierwszym piętrze, to *Danae* Tycjana - powiedziała Patsy, całkiem już oszołomiona.

- Nie licząc czterech lat podczas oblężenia Leningradu, kiedy ponad milion dzieł Ermitażu zostało wysłanych za Ural, w bezpieczne miejsce, z dala od nazistów.

- *Touche!* - jęknęła Patsy, jakby właśnie w nią wszedł. Moja córka znalazła się w Pembroke, zanim jeszcze złożyliśmy podanie o jej przyjęcie.

Kolacja okazała się mniejszym sukcesem. Po kilku słowach powitania, wygłoszonych przez prezesów zarządu muzeum Duponta i Ermitażu, miałam ochotę uciec. Straszliwie nudny mąż Christiny, George, chciał pierwszy raz w życiu porozmawiać o bieżących wydarzeniach z prawdziwą dziennikarką. Zadawał mi niedorzeczne, mętne, infantylne pytania w stylu: „Jak długo potrwa wojna w Iraku?” albo „Dlaczego twoim zdaniem Hilary budzi w społeczeństwie tak sprzeczne emocje?”.

Phillip siedział obok żony człowieka, którego nie cierpiał, Jacka Avinsa, tego od Hadlow Holdings. Alexandra Avins, z wielkimi jak reflektory brylantami w uszach, rozwodziła się nad tym, jak to architekt i wykonawca skakali sobie do gardeł podczas budowy ich nowego domu w Sun Valley. Phillip miał przy przystawkach kwaśną minę, co zapowiadało, że potem będzie już tylko gorzej. Podeszłam więc do niego i zaproponowałam, żebyśmy zatańczyli, byle tylko oderwać się od tych nudnych, lubiących sobie dogadzać, pretensjonalnych sąsiadów przy stole.

Phillip ujął mnie mocno i prowadził, pewnie w tańcu, gdy sunęliśmy obok innych par. Przez chwilę uległam urokowi jego silnego uścisku, wysokiej, zgrabnej postaci.

Orkiestra, złożona z dwudziestu muzyków w białych smokingach, zagrała *In the Mood*. Phillip okręcił mnie śmiało, dumny z siebie; zręczliwy nastrój zaczął mu przechodzić. Jakby specjalnie dla nas, orkiestra zaczęła potem grać piosenkę z naszego wesela *Fly Me to the Moon*. Najpierw więc kochałam się z mężem, a teraz tańczyliśmy do wzruszającej melodii pod gałązkami brzozy i tysiącem płonących świec. Phillip przyciągnął mnie do siebie.

- Dzięki, że wybawiłaś mnie od towarzystwa Alexandry Avins. Nie mogę patrzeć na tego aroganckiego dupka, jej męża.

Szepnęłam mu do ucha:

- Byłeś niesamowity w rozmowie z Patsy Cabot.

- Wiem. - Okręcił mnie.

- Skąd ty to...?

- Po prostu, jak w mowie końcowej, korzystałem z informacji, które przygotował mi współpracownik.

Może, może jednak mogłam znaleźć z nim jeszcze porozumienie.

- Wyglądasz wspaniale! Ta suknia, kolczyki... Tylko mnie nie podniecaj, jak zeszłego wieczoru. Działa na mnie już sama myśl o tym.

- Przywarł do mnie. Wcale nie żartował, mówiąc, że go podniecam. Usiłowałam sobie wmówić, że Peter nie kocha mnie tak jak mąż, że to tylko fantazje. Po raz pierwszy od siedmiu tygodni było mi dobrze z Phillipem i przypomniałam sobie, że seks zeszłego wieczoru też wyszedł nam nieźle. I - Boże! - mój mąż naprawdę świetnie tańczył. Dzieci pragnęły, żebyśmy byli razem; może mogłabym przymknąć oczy...

Phillip rozejrzał się po sali.

- Ależ tu forsiastych ludzi! Zaprośmy w najbliższym czasie George'a i Christinę na obiad. Z pewnością przyda ci się więcej atrakcji. - Pocałował mnie w czoło. Nie miałam och-

ty na obiady z Pattenami. - Przenieśmy się w tamtą stronę... Widzę klienta. - Poprowadził mnie bliżej brzegu parkietu i pomachał do mężczyzny siedzącego samotnie przy stole.

- Hej, Phillipie! - zawołał ten człowiek.

Phillip pochylił się i podał mu rękę, jednocześnie mocno przytrzymując mnie drugą.

- O to mi właśnie chodzi. Więcej potencjalnych klientów. Mniej dziennikarzy, więcej kulturalnej śmietanki towarzyskiej. - Znowu obrócił mnie w tańcu.

- Ci ludzie nie są kulturalni. Popisują się i są wulgarni. Płytcy i nudni.

- Nie zgadzam się. Myślę, że znowu się buntujesz. Zatrzymałam się.

- Nie buntuję się, Phillipie. A przyszłam tu tylko po to, żeby nasza córka dostała się do Pembroke.

-Czyżby?

- Tak. Nie lubię tych ludzi.

- Masz na sobie wypożyczoną suknię i biżuterię, dajesz się fotografować. Wszystko wskazuje na to, że świetnie się dostosowałaś.

- Żałuję tego.

- Wciąż to samo. Nie jesteś już w Kansas. Przestań wreszcie walczyć.

- Przytulił mnie mocniej. - Płyn z prądem.

- To nie ma nic wspólnego z tym, czy pochodzę z Nowego Jorku, czy nie. Po prostu nie mam ochoty nawiązywać z tymi ludźmi bliższych stosunków.

- Jeszcze raz ci przypominam, że dałaś się z nimi sfotografować, światowa damo.

Zesztywniałam. On jednak tego nie zauważył.

- Jeśli chcesz wiedzieć, wołałabym, żeby to zdjęcie w ogóle nie zostało opublikowane. Nie odpowiada mi rola pionka w czyjejś kampanii reklamowej...

- Czy nie widziałem cię na zdjęciu, pozującej w białej sukni, z najbardziej szykownymi przedstawicielkami nowojorskiej elity? Na tle jajek?

- To był wielki błąd.

- Ale wciągnęło cię to w pewnym momencie. Tylko nie chcesz się do tego przyznać. - Poklepał mnie po pupie. Myślał, że drażniąc się ze mną, przywraca między nami normalne relacje. Jego poufałość tylko mnie zdenerwowała. Nie urobił mnie jeszcze na tyle, żeby mógł porzucić skruszony ton.

- Już mnie to nie podnieca. Wierz mi.

- Dobra, wierzę. Cieszy mnie jednak, że jesteś miła dla tych ludzi. To korzystne dla nas jako pary, zwłaszcza teraz, gdy już wszystko między nami wraca do normy. Całkiem dobrze się bawię. Mimo Jacka Avinsa.

- Podczas kolacji nie wyglądałeś, jakbyś się dobrze bawił, dlatego właśnie tańczymy.

- Pal licha zabawę. Grunt, że ubiłem interes. Prawdopodobnie udało mi się przekonać sąsiada przy stoliku, żeby skorzystał z usług naszej firmy przy dużej transakcji. Być może zarobiłem dziś kupę forsy.

Po powrocie do domu Phillip zaczął się bawić swoimi eleganckimi spinkami do koszuli. Przepych wielkiej gali, który na jakiś czas podniecił mojego męża, teraz sprawił, że zepsuł mu się nastrój.

- Jack Avins to dupek. - Zdjął spodnie od smokingu i starannie powiesił je na wieszaku.

- Musisz zapomnieć już o tej transakcji.

- A jego żonie zalatywało z ust. Pomóż mi... Rozwiązałam mu muszkę jak przykładowa żona.

- Za to świetnie poradziłeś sobie z Patsy Cabot.

- Dzięki. - Miał jednak wybitnie skwaszoną minę.

- Przykro mi, że kolacja nie sprawiła ci przyjemności, Phillipie. Nie spodziewaliśmy się, że...

- Nie znoszę Jacka Avinsa.

- Już mówiłeś.

- Nie do wiary. Pracowaliśmy przy tej samej umowie i ten kretyń mógł potem kupić sobie samolot, a ja...

- Jack Avins stoi na czele dużej fundacji. Jego ojciec...

- A co ja dostałem? Zwykle honorarium. - Phillip pokręcił głową. - To niesprawiedliwe. To ja mu załatwiłem tę transakcję.

- Phillipie, przecież mamy mnóstwo...

- Wcale nie, Jamie.

- Ależ tak.

- Byłem najbiedniejszym facetem na tej gali. Płynę pod prąd. - Był wkurzony, że się z nim nie zgadzam. - Nie rozumiesz tego, prawda?

Rozumiałam aż za dobrze.

- Czy ty nic nie widzisz? - Zdjął skarpetki i zwinął je w kulkę, którą potrząsnął mi przed nosem. - Pracuję jak wół, a wciąż muszę się ograniczać. W każdej sytuacji. Nie mogę nawet...

- To nieprawda.

- Prawda. Nie chcę się ograniczać, tak jak nie muszą się ograniczać ci faceci przy naszym stoliku, jak zresztą i inni w sali. - Rozpiął gwałtownie koszulę i rzucił ją wściekle na wieszak w szafie.

- O czym ty mówisz? Mamy bardzo dużo...

- Powiem ci coś. Chcę mieć samolot. Żeby startował. - Rozłożył ręce i biegając w bokserkach, zataczał kółka, jakby leciał w chmurach. - I żeby pilot pytał mnie: „Dokąd lecimy, proszę pana?”. A ja bym odpowiadał: „Jeszcze nie wiem, powiem panu, gdy się namyślę”.

Podrapałam się po głowie. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Idź spać na kanapę, Phillipie. - Tylko tyle byłam w stanie powiedzieć.

- Mamo, dlaczego tatuś nie jedzie z nami do Aspen? - zapytała Gracie.

Jej fotelik wciśnięty był między dwie wielkie torby z moltonu. Sprzęt narciarski nie mieścił się w bagażniku, część leżała więc w trzecim rzędzie siedzeń, przewalając się aż do środkowego. Był piątek przed weekendem poprzedzającym Dzień Prezydentów 3, niedługo po wschodzie słońca; dzieci, Yvette i ja jechaliśmy suvem na lotnisko Kennedy'ego.

- Bo mama już go nie lubi - odpowiedział rzeczowo Dylan. - Dlatego tatuś śpi w gabinecie albo u babci.

- Dylan! - warknęłam. - Wiesz, że to nieprawda. Bardzo podziwiam waszego ojca. A on bardzo was kocha, niezależnie od tego, czy jesteśmy pokłóceni, czy nie. - Spojrzałam na niego złym okiem.

- Rozwiedliście się ze sobą? - zaszczebotała Gracie.

- Kochanie, to za wielkie słowo jak na taką małą dziewczynkę. Jedyne, co powinniście wiedzieć, to tyle, że tatuś i ja jesteśmy przyjaciółmi i zawsze będziemy waszymi rodzicami, zawsze będziemy was kochać. Żebyśmy mogli być jak najlepszymi rodzicami, musimy trochę od siebie odpocząć.

Dylan ciągnął nieustraszenie:

- Mama nie lubi już taty. Tak samo jak przestała lubić mamę Anthony'ego, panią Briarcliff.

Tu się akurat nie mylił. Ignorowałam Susannah, gdy spotykałyśmy się przed szkołą, udaremniając jej ewentualne żalose przeprasiny.

- Dylan, nie masz zielonego pojęcia, o czym mówisz. Przecież dużo na ten temat rozmawialiśmy. Jako rodzina musimy rozmawiać. Więc jeśli masz jeszcze jakieś pytania na temat tego, co się dzieje, odpowiem na wszystkie dziś wieczorem. Teraz nie jest właściwy moment.

- No to dlaczego nie odzywasz się do pani Briarcliff, skoro to twoja najlepsza przyjaciółka?

- Nigdy nią nie była. Kathryn jest moją najlepszą przyjaciółką.

- Przeproszę, dobrą przyjaciółką! - mruknął i zaczął wyglądać przez okno.

Dwie godziny później ciężki 737 uruchomił silniki i zaczął podskakiwać na płytach pasa startowego. Gdy nabierał prędkości, mocno trzymałam Gracie za rękę, opierając czoło o okienko z twardego tworzywa. Od czasu tamtego „incydentu” minęły dwa miesiące.

Kiedy samolot startował, na krótką chwilę przypomniały mi się prośby Phillipa, aby mógł z nami wybrać się do Aspen, ale wkrótce odleciały wraz z chmurami, które przesunęły się za oknem. Przed sześcioma miesiącami zamierzaliśmy razem jechać w tę podróż. Tymczasem wszystko się zmieniło. Gdyby to ode mnie zależało, wybrałabym bardziej dyskretne miejsce, nie tak popularne wśród mieszkańców Grid. Wmówiłam sobie jednak, że góry mają właściwości lecznicze. Podczas ostrego wznoszenia się żołądek podszedł mi do gardła. Gracie spojrzała na mnie i uśmiechnęła się sennie. Umieściłam zabawkowego króliczka w zagłębieniu jej szyi i położyłam sobie jej główkę na kolanach, a wtedy zasnęła. Ja też.

Gdy się obudziłam, lecieliśmy nad Rockies. Góry i niebo



wypełniały całe okno i świat wydawał się ogromny. Nie wiem, czy sprawiło to piękno górskich szczytów wynurzających się z chmur, czy nagle poczucie wolności, które wynikało z faktu, że zabieram dzieci w pierwszą podróż bez Phillipa. A może zwykła świadomość, że nie przeraża mnie myśl, iż już na stałe będą pod moją opieką. I ulga, że nie wlokę ze sobą czwartego dziecka w postaci marudzącego gogusia wzrostu metr osiemdziesiąt. W każdym razie, patrząc na rzekę Kolorado płynącą wśród gór, poczułam się szczęśliwa. Spokojna. Zdecydowana. Chciałam rozwodu. I nawet już coś na ten temat zaczęłam mówić. Poprzedniego wieczoru Ingrid wpadła na kieliszek wina i zauważyła, że mój mąż się nie pakuje. Kiedy wyjaśniałam, że Phillip nie będzie już z nami jeździł na wakacje, zrozumiała, co chcę powiedzieć. (Kochanie, mogę ci pożyczyć kasety wideo, które pomagają przejść przez ten okres" - zaproponowała). A on sam miał się dowiedzieć po naszym powrocie z długiego weekendu.

To z kolei znaczyło, że byłam gotowa także na rozmowę z Peterem. Gotowa powiedzieć mu to, na co czekał. Konsekwentnie trzymał się z daleka od czasu naszej ostatniej wymiany zdań w kuchni. Kiedy w poniedziałki spotykaliśmy się w holu, mówił, że nie ma czasu na rozmowę. Potem przestał się widywać z Dy łanem, bo miał jakąś pracę w Silicon Valley\*. Nie odpowiedział na dwa telefony. Zaczęłam się już niepokoić z powodu pięknej, szczupłej chłopczycy z baru w Red Hook. Założyłabym się, że na tym etapie już nie wyrzuciłby jej, gdyby naga przyszła do jego łóżka. Czyżbym go straciła? Gnębiła mnie niepewność. Gdzieś w głębi duszy wiedziałam jednak, że czeka na mój telefon i że ucieszy się z tego, co miałam do powiedzenia. Musiałam w to wierzyć. Zamknęłam oczy i zaczęłam sobie powtarzać: „On czeka. Wciąż czeka”.

Ktoś wyrwał mnie ze snu:

- Jamie? To ty? W klasie turystycznej? Co się stało? Otworzyłam oczy. Zobaczyłam przed sobą dwie nogi chu-

\*Słynna Dolina Krzemowa.

de jak wykałaczki. W kowbojskich butach z krokodyla. Do tego turkusowo-srebrny pasek za miliony dolarów i pasujące do niego kolczyki. Na dzinsach zamszowe ochraniacze z frędzlami. Kamizelka z szynszyli. I najgorsze ze wszystkiego - czarny kowbojski kapelusz. Christina Patten. Niech to szlag!

- Chcesz tu umrzeć czy co?

- Jakoś dajemy sobie radę. - Zerknęłam na jej ramię, rozglądając się za lassem.

- Strasznie tu dużo ludzi. I to w dresach z nylonu. O Boże! - Uklękła przy mnie i powiedziała szeptem. - Wszyscy wyglądają jak Joey Buttafuoco<sup>4</sup>. - Chciałam jej powiedzieć, że lepsze to niż strój w stylu Dale Evans<sup>5</sup>, ale zabrakło mi śmiałości.

Tacy mieszkańcy Grid jak Christina nadają nowe znaczenie wyrażeniu *fashion victim* - ofiara mody. Potrafią na przykład wejść na pokład samolotu do Aspen ubrani jak królowie Wschodniego Wybrzeża - w bojówkach i luksusowym jaskrawym kaszmirowym swetrze, a gdzieś nad równinami środkowego zachodu udają się z torbą do łazienki i wychodzą stamtąd jako kowboje i kowbojki. Muszą przedzierzgnąć się w nich już w chwili, gdy znajdują się nad terytorium Kolorado. Na wypadek gdyby skądś zjawił się Ralph Lauren i zaproponował im przejażdżkę na oklep na palomino.

Yvette posłała mi znaczące spojrzenie z fotela po drugiej stronie przejścia.

- Nie wiedziałam, że wybieracie się do Aspen. - Christina zlustrowała naszą gromadkę. - Phillipa nie ma z wami?

- Nie.

- No to jedźmy razem! Ale zabawa! Umówmy się w nie-

\* Joey Buttafuoco - aktor amerykański, znany przede wszystkim z tego, że uwikłany był w romans z nieletnią, która następnie próbowała zastrzelić jego żonę.

---

<sup>4</sup> Dale Evans - amerykańska pisarka, aktorka telewizyjna i piosenkarka, występująca zazwyczaj w stroju kowbojskim.  
373

dzielię na obiad, dzieci będą zachwycone. Macie w domu kucharza?

- Może cię to dziwi, ale nie. Chcemy pobyc w gronie rodzinnym, więc choć mi przykro, muszę odmówić.

- Jesteś pewna?

- Dziękuję ci, tak.

- Rozumiem. - Ogarnęła wzrokiem nędzny obszar klasy turystycznej.

- No dobrze. To może chociaż przyniosę ci mimozę?

- Chciałabym się trochę przespać, Christino.

Po dwugodzinnej przerwie w podróży i przesiadce w Denver około trzeciej po południu wylądowaliśmy w Aspen -piątka istot upapranych sokiem i pizzą, gramoląca się przejściem z torbami na kółkach, pełnymi plastikowych kubków, bloków do rysowania, flamastrów, przenośnych odtwarzaczy DVD, swetrów i kurtek. Yvette w obcisłym rdzawoczerwonym dresie, w którym jej potężna sylwetka wydawała się jeszcze większa, niosła na rękach Michaela, który przed dziesięcioma minutami brutalnie obudzony ze snu, teraz płakał. Ja, na końcu pochodu, pomagałam Gracie i Dylanowi kierować ich małymi wózkami na kółkach, zbierając za nimi flamastry oraz części ubrania. Moja niechlujna gromadka posuwała się wolno przejściem, jak na trekkingu jakąś patagońską granią.

Na płycie lotniska, na tle surowych, pokrytych śniegiem gór i błękitnego nieba, rysowała się cała flota prywatnych odrzutowców. Były ich dziesiątki, co świadczyło o wpływach i bogactwie elity zebranej w Aspen. A ponieważ był to długi weekend, przynajmniej jedna piąta owych lśniących stalowych potworów musiała należeć do mieszkańców nowojorskiej socjety. Samoloty stały obok siebie, skrzydło przy skrzydle, niczym szereg F-14 na lotniskowcu.

W pewnym momencie do małego terminalu podjechał olbrzymi odrzutowiec, większy niż pozostałe maszyny. Policzyłam, że miał dziewięć okien, a na ogonie widniał emblemat G-V. W kierunku kołującego samolotu natychmiast ruszył

czarny SUV marki Suburban i wielki Melex, ciągnący metalową przyczepę na bagaże. Przez głowę przemknęły mi zdjęcia z Aspen, zamieszczone w magazynie „People”. Jack Nicholson? David Beckham i jego elegancka małżonka? Otwarto drzwi i powoli wysunęły się schody. Ustawieni w rzędzie tragarze wyprostowali się i spojrzeli w kierunku kabiny, w oczekiwaniu na jakieś hollywoodzkie królewiątka.

Schody dotknęły płyty lotniska. Osłoniłam oczy przed oślepiającym popołudniowym górskim słońcem. W drzwiach odrzutowca pojawiła się pasażerka.

Susannah. Zastygła na stopniach. Na wprost mnie. Przedtem widywałyśmy się przy szkole, gdy przywoziłyśmy dzieci i odbierałyśmy je, ale każda z nas szła w swoją stronę. Wtedy napisała do mnie listeczek:

„Jamie. To nie miało z Tobą nic wspólnego. Czuję się podle. I trwało krótko. W ogóle nie powinno się było wydarzyć, ale już po wszystkim. Nikt się o tym nie dowie. Tak mi przykro. Susannah”.

Nie odpowiedziałam. Teraz więc nie miałam wyboru. Susannah szybko zeszła po schodach. Nie mogłam dopuścić, żeby biegła za mną - Yvette i dzieci! - po płycie lotniska. Musiałoby wtedy dojść do nieuniknionej konfrontacji.

Odsunęłam okulary przeciwsłoneczne na czoło i spojrzałam jej w oczy.

- Cześć, Susannah.

Zeszła z ostatniego stopnia na lśniący czarny asfalt i także zdjęła okulary.

- Jamie. - Zacisnęła usta. Taka elegantka, a nie miała do powiedzenia nic eleganckiego.

Przełamałam lody.

- Jesteś z całą rodziną?

- Oni przylecieli wczoraj. Ja miałam spotkanie zarządu. Ary?

- Jestem z dziećmi.

- Ach tak. Boże. - Zapadła niezręczna cisza.

- Jedna rzecz, Susannah. Kiedy mi mówiłaś, że mężowi

należy robić łaskę, nie wiedziałam, że masz na myśli także mężów przyjaciółek.

- To nie miało znaczyć...

- Mogłaś wspomnieć o tym, bo najwyraźniej czegoś nie rozumiałam.

- To się zdarzyło tylko raz.

- Czyżby? - Phillip powiedział mi podczas terapii, że dwa razy po południu spotkali się w Płaza Athénée.

- Nie mów Tomowi. Proszę. On nic nie wie.

- Jesteś pewna?

- Tak. To by go zdruzgotało.

- I twierdzisz, że to było tylko raz?

- No, dobra, może nie tylko raz. Ale to nie ma nic wspólnego z tobą.

- Jak to?

- Bo to nie było nic znaczącego, zwykły flirt. Tom ciężko pracuje...

Stale nie ma go w domu...

- Susannah, to ma ze mną wiele wspólnego. Byłaś moją przyjaciółką.

- Nie wiem, Jamie. On jest taki... a ty się nim nie interesowałaś...

- Jeśli chcesz powiedzieć, że jest atrakcyjny, to wiem o tym. Między innymi dlatego za niego wyszłam.

- Cóż, ja...

- Co ty? Przykro ci, że spałaś z moim mężem?

- Tak, oczywiście. Czuję się fatalnie. I jestem taka samotna. Ty musisz być załamana.

- Byłam załamana. Ale już nie jestem. Zbliżyła się do mnie o krok.

- Jamie. Bardzo mi przykro. Cofnęłam się.

- A mnie jest przykro ze względu na ciebie, Susannah. Wyglądała na zdumioną.

- Tak?

- Szczęśliwa osoba nie idzie do łóżka z mężem przyjaciółki.

## Antrakt II

Srebrny mercedes S600 sunął powoli boczną uliczką Red Hook, po czym zatrzymał się przy starym, pokrytym pyłem subaru combi. Przed kawiarnią na rogu, na białych plastikowych krzesłach siedzieli przy stoliku dwaj starsi Kubańczycy, ubrani w ciepłe zimowe płaszcze. Grali w domino. Przyjrzawszy się eleganckiemu samochodowi, który zupełnie nie pasował do tego miejsca, od razu zorientowali się, że nie należy on do handlarza narkotykami. Choć z powodu szybkiego rozwoju dzielnicy większość przestępców wyniosła się do pobliskich miasteczek, od czasu do czasu pojawiały się tu podejrzane typy. Starsi Kubańczycy nie mieli jednak wątpliwości, że tym wozem nie przyjechał nikt taki.

- *Quien es eso?* - zapytał jeden z nich. Drugi wzruszył ramionami.

Za kierownicą siedział wyprostowany szofer w meloniku. Ciemna szyba z tyłu odsunęła się i ozdobiona ciężkimi złotymi bransoletami ręka wskazała niecierpliwie numer 63.

- Oscar! To tu, przy tych kamienicach.

Mądry stary Kubańczyk zgasił cygaro i zachichotał. Pasażerka szybkim ruchem zdjęła kolczyki Verdury.

- Wsadź je do schowka na rękawiczki.

Z samochodu najpierw wysunął się pantofel z krokodylej skóry, potem bardzo zgrabne udo i wreszcie cała bardzo, bardzo bogata kobieta, która z niedowierzaniem lustrowała okolicę.

- Oscar! Uważaj na mnie! Uważaj na samochód! Jeśli pokaże się jakiś parszywy szczur i mnie ugryzie, natychmiast dzwoń na pogotowie w Ameksie i wezwij helikopter, żeby jak najszybciej zabrali mnie z tej dziury! Masz numer?

- Jest na desce rozdzielczej, jak zwykle, proszę pani.

- I naciśnij ten niebieski guzik z gwiazdką, tuż obok. Nie wiem, kogo się nim wzywa, ale naciskaj nawet i sto razy.

Oscar obiegnął samochód i uprzejmie ujął ją pod ramię, spoczywające na temblaku z szala Hermesa.

- I choćby piętnastu gliniarzy kazało ci odjechać, czekaj tu na mnie. Powiedz im, że się nie ruszysz. Nie daj się aresztować. Możesz pójść do więzienia później, ale nie waż się mnie tu zostawić. Jeśli wrócę, a ciebie nie będzie, na pewno napadnie mnie jakiś gangster i zabierze mi moje ulubione buty.

- Tu jest całkiem bezpiecznie, proszę pani - rzekł Oscar, odprowadzając kobietę do frontowych drzwi budynku z brązowego kamienia. - Ale oczywiście będę czekał. Nie ma powodu do niepokoju.

- Słucham? Nie ma powodu do niepokoju? Tu jest jak w *MadMaksie!* Bogata kobieta zadzwoniła pod piątkę, do Bailey'a.

- Tak?

- Czy to ty, Peter?

- Uhm.

- Tu Ingrid Harris.

- O Jezu!

- Słyszałam to.

- Ja... eee... jestem w tej chwili bardzo zajęty.

- Nic mnie to nie obchodzi. Muszę z tobą porozmawiać.

- Musisz?

- Tak! Nie. Właściwie byłam z wizytą u bliskiej przyjaciółki w tej uroczej okolicy i pomyślałam, że przy okazji wpadnę do ciebie. Posłuchaj, chodzi o zupełnie coś innego niż poprzednio. Nie o to, o czym myślisz. Tym razem będę trzymać łapy przy sobie.

Jeden z Kubańczyków trącił łokciem drugiego.

- Fajnie... dzięki. Byłoby miło.

- Obiecuję. Otwórz. Rozległ się brzęczyk.

Stukając obcasami, kobieta przebyła pięć odcinków stromych chwiejnych schodów. Po drodze podziękowała Bogu za trenera z Panamy, który kazał jej ćwiczyć na stepperze. Gdy zbliżała się do trzeciego piętra, szcęknięty trzy zasuwki i otworzyły się jakieś drzwi.

Na półpiętrze pojawił się porządnie ubrany czarny nastolatek w czapce narciarskiej i puchowej kamizelce, który zbiegał po dwa stopnie. Zobaczywszy ją, zatrzymał się.

Kobieta zastygła w bezruchu, z szeroko otwartymi oczami, i trzymając się kurczowo barierki, przywarła do ściany, odsuwając się od niego jak najdalej.

- Jak się pani miewa? - zapytał uprzejmie.

Usiłowała odpowiedzieć, ale nie mogła wydobyć głosu. Chłopak pokręcił głową i ruszył na dół.

Ingrid pokonała ostatnie dwa odcinki schodów szybciej niż Struś Pędziwiatr. Peter Bailey czekał już w otwartych drzwiach i wbiegając do jego mieszkania, omal go nie przewróciła. Za drzwiami, przy wieszaku z kurtkami narciarskimi i bluzami dresowymi, oparty o ścianę stał rower.

- Wszystko w porządku? Chcesz wody, zimny okład, może tlenu? Że też odważyłaś się tu przyjść...

Spojrzała przez ramię, żeby sprawdzić, czy na schodach nie czai się jakiś przerażający typ.

- Peter, przysięgam, że jeśli mnie tu ktoś zabije, zjawię się z zaświatów i będę cię straszyć do końca życia.

- Już straszysz - odparł.

Przybyła przeszła do niewielkiej kuchni z małym piecykiem, lodówką i suszarką, na której stały talerze pochodzące z różnych kompletów. W przedpokoju znajdował się dębowy stół i trzy różne krzesła. Wszystkie ściany salonu zastawione były półkami z książkami, gazetami i czasopismami, poupychanymi chaotycznie. Kobieta wdepnęła w płataninę kabli



komputerowych i telewizyjnych, ale w końcu dotarła do starej zielonej kanapy.

- Masz ręcznik czy coś takiego? - spytała.

- Po co?

- Żebym mogła na nim usiąść.

- Kanapa jest czysta, Ingrid.

- Widzę, jest tu nawet dość porządnie, ale boję się robactwa, pluskiew i tak dalej.

- I słusznie. Dziś rano znalazłem skorpiona pod poduszką.

Podał jej koc, który leżał na wielkim fotelu, i kobieta skwapliwie rozścieliła go pod swoją zgrabną pupą. Miała do załatwienia ważną sprawę.

- Nie przyszedł tu... no wiesz... żeby wracać do tego, co było między nami.

- Miło mi to słyszeć. - Usiadł na fotelu naprzeciwko niej. - I cóż to za nagląca sprawa?

Skrzyżowała palce pod udem, po czym powiedziała dramatycznie:

- Jestem tu tylko dlatego, że nie mogę patrzeć, jak on się męczy.

- Kto? Phillip?

- Nie! Myślisz, że ryzykowałabym życie, przychodząc w imieniu tego dupka?

- To o kogo chodzi? Jeszcze bardziej dramatycznie.

- O Dylana.

- Co z Dylanem? Jest w Aspen. Powinien się świetnie bawić. - Peter oberwał zeschnięty liść smętnie wyglądającej rośliny, która stała na stole, i dodał: - Przez kilka ostatnich tygodni nie mogłem jeździć z nim na zajęcia sportowe.

Ingrid, manipulatorka z urodzenia, nagle poczuła niepokój w związku z tym, co zamierzała zrobić. Przecież miała zamiar kłamać, szczególnie na temat Dylana. Ale Jamie była w rozsypce i Ingrid uznała, że jest jej coś winna.

- Nie musisz mi mówić. Jakby wpadł w katatonię.

- O Boże! Muszę do niego natychmiast zadzwonić. - Peter zerwał się z fotela i chwycił słuchawkę.

- Czeka! Mogę zaproponować coś lepszego?

- Obiecałaś! Nie ma tu zresztą bieliźniarki.

- Jezu! A Jamie mi mówiła, że bystry z ciebie facet. Nie chodzi o ciebie i o mnie. W żadnym razie. Choć było całkiem przyjemnie! - Prychnęła. - I tobie też się chyba podobało.

- Owszem, Ingrid. Dzięki. Wielkie dzięki. Ale co to ma wspólnego z Dylanem?

- Musisz pojechać do Aspen. Moim samolotem, z nami. Start za trzy godziny.

- Oszalałaś!

- Często mi to mówią.

- Nie mogę.

- Słyszałam, że śnieg jest super. I że lubisz jeździć na nartach.

- Mam robotę. Kończę program w tym tygodniu. I w przyszłym.

- Kochanie, najpierw musimy zająć się Dylanem. Ma złamane serce. A ona odchodzi od Phillipa na dobre, co też jest nie bez znaczenia.

Jeśli rozejrzeć się po klubie Caribou, najmodniejszym miejscu w Aspen, można zobaczyć tych samych ludzi co w Grid. Zna się co najmniej połowę z nich. Wszyscy wyglądają tak samo jak w domu. Tylko ubrani są cieplej. Łączą futra ze stylem kowbojskim. Dzięki botom na futrze upodobniają się do Wielkiej Stopy, noszą futrzane szaliki i nauszniki, obszyte futrem skórzane płaszcze; wszystko mają z futra. I nie są to norki. Coś znacznie droższego. Sobole albo szynszyle.

Otworzyłam wielkie mahoniowo-mosiężne drzwi i zesłam ciemnymi schodami do klubowego foyer. Kobieta, która wyglądała jak cheerleaderka Dallas Cowboys, odebrała ode mnie płaszcz. Przyjechałam do miasteczka na późną babską kolację z Kathryn. Chciałyśmy się pośmiać. Wypić butelkę dobrego wina. Potem zamierzałam zadzwonić do Petera i powiedzieć mu, co zdecydowałam.

Zlustrkowałam salę, szukając szopy kręconych włosów, choć wiedziałam, że Kathryn jeszcze nie ma. Zawsze się spóźniała. Zamówiłam drinka i kelnerka wskazała mi miejsce na skraju wielkiej sofy przykrytej kocami w indiańskie wzory, jak z Dzikiego Zachodu.

- Jesteś sama? - Przystojny brunet w kraciastej flanelowej koszuli przysunął się do mnie.

- Czekam na przyjaciółkę. Zjawi się lada chwila.

- Obie jesteście same?
- Umówiliśmy się na kolację tylko we dwie... I obie jesteśmy mężatkami.
- Nie przypominam sobie, żebym o to pytał.
- Gdzieś tu czeka na ciebie jakaś szczęściara i nie chciałabym, żebyś ją przeoczył.
- A nie mogę postawić ci drinka tylko dlatego, że jesteś ładna?
- Dzięki. To bardzo miło z twojej strony, ale nie. - Nie odrywał wzroku od moich ud w wysłużonych lewisach 501, w które wbiłam się po raz pierwszy od urodzenia dzieci.
- No to posiedzę obok i powdycham zapach twoich perfum.

W pewnym momencie, gdy przedefilowało przede mną kilka naprawdę znanych osób, ktoś mnie klepnął w ramię. Sądząc, że to Kathryn, wzięłam płaszcz z kanapy, by iść za nią.

Christina Patten. Znowu. Martwe pole w moim polu widzenia. Kubeł zimnej wody na łeb.

Cmok, cmok. Christina położyła rękę na moim kolanie.

- Tak się cieszę, że cię widzę. Umówimy się na dziewczynskie spotkanie? Przyjdziecie do nas na obiad? A jeśli to dla ciebie i dzieci za duża wyprawa, my możemy przyjechać do was. Jak sobie tylko życzysz.

Uśmiechnęłam się uprzejmie - a przynajmniej próbowałam - i zerknęłam przez ramię, żeby sprawdzić, czy Kathryn nie przybywa mi na pomoc.

Christina ciągnęła:

- Obie jesteśmy z dziećmi, a moje wieczorami chciałyby się z kimś pobawić. - Spojrzała na mnie swoimi wielkimi piwnymi oczami spaniela. - Dobrze? Co powiesz na jutro? Możemy spotkać się albo u mnie, albo u ciebie. Kto gotuje: twój kucharz czy mój? - Parsknęła śmiechem.

Aspen jest jedynym miejscem na całej planecie, gdzie kobieta, której mąż wyciąga półtora miliona dolarów rocznie, czuje się jak kloszard i nie ma co ze sobą zrobić.

- Christino, będę z tobą całkiem szczerą: muszę pobyć

trochę sama z dziećmi. Przepraszam. Po prostu podczas tej podróży nie jestem w nastroju do imprez towarzyskich.

Pochyliła się i położyła dłonie na moich kolanach. Na jej twarzy pojawił się ciepły uśmiech, który zobaczyłam u niej po raz pierwszy.

- Widziałam cię w parku.

- Słucham?

- Widziałam cię w parku.

Przypomniałam sobie Petera, jak idąc przede mną, chwycił mnie za rękę, gdy poślizgnęłam się na kamieniach w drodze do Belwederu.

- Ja...

- Wyglądałaś na szczęśliwą, Jamie.

- Ale...

- Uważasz, że jestem dziwadłem, i nie ty jedna, bo wszyscy tak o mnie myślą, ale chcę powiedzieć ci coś naprawdę ważnego.

- Tak?

- Rób w życiu tylko to, co daje ci szczęście. I nie sądź, że to dla kogokolwiek z nas jest łatwe. Bądź wierna sobie i temu, czego chcesz od życia. - Trąciła swoim kieliszkiem wina mój kieliszek i odeszła.

Nie ochłonęłam jeszcze po tym spotkaniu, gdy pięć minut później zjawiała się Kathryn i wybawiła mnie od towarzystwa przedsiębiorczego podrywacza z Seattle.

Gdy czekałyśmy na kelnerkę, która miała zaprowadzić nas do stolika, Kathryn rzekła:

- Jesteś zepsuta.

- O co ci chodzi?

- Spójrz na siebie! Wyglądasz na ostry towar.

- Spóźniłaś się. Powinnam ci urządzić piekło. Jakiś facet przystawiał się do mnie tak, że nie mogłam się od niego opędzić.

- Formalnie jesteś w separacji. Najwyraźniej widać po tobie, że jesteś do wzięcia.

- Daj mi spokój. Ubrałam się tak dla siebie, i dla nikogo innego.

- Jasne.

W jadalni wprost czuło się wibracje. Przystojni mężczyźni w różnym wieku, ubrani w ciemne golfy i zamszowe kurtki, śmiali się głośno, obejmując ramionami siedzące po obu ich stronach kobiety. Można było zobaczyć wśród nich zamożnych nowojorczyków, którzy wyglądali idiotycznie w wielkich kapeluszach. Wysokie blondynki z kręconymi po tek-sasku włosami, w kowbojskich butach, obcisłych dżinsach i popielatych kamizelkach z szynszyli za dwadzieścia tysięcy dolarów, wędrowały od stolika do stolika po całej restauracji. Wszyscy byli nagrzeni; seksualna energia, którą emanowali, zdawała się namacalna.

Do naszego stolika podszedł nieziemsko atrakcyjny kelner, mocno opalony, tylko wokół oczu miał białe ślady po goglach, przez co wyglądał jak miś panda. Podał nam karty dań i zapewnił, że osobiście dopilnuje, abyśmy miały jak najprzyjemniejszy wieczór.

- Może po prostu przelecisz tego faceta. Sam się oferował - podsunęła Kathryn.

- Nie. Nie sypiam z kelnerami.

- No to poczekaj z tym na Petera. Czy Phillip w ogóle coś zauważył?

- Ledwie pamięta, jak Peter ma na nazwisko. Wciąż nazywa go trenerem.

- A jak się ma sprawa z Phillipem? Dzwoniłaś już do tego prawnika?

- Na razie myślę o mediacji. Porozmawiam z nim poważnie, gdy wrócimy do domu. Może nawet w poniedziałek wieczorem.

- Słyszałam to już parę razy. Jesteś pewna?

- Tak. Nie będzie zaskoczony. Podobno spotyka się z jakąś dziewczyną. To tylko kwestia rozstrzygającej rozmowy.

Kathryn pogładziła swój kieliszek wina.

- Kiedy zabraknie ci odwagi, a tak będzie, przypomnij sobie, że Peter cię kocha. Mimo że nie dzwoni.

- Boję się, że już mu przeszło.

- Skądże! Po prostu rozgrywa to po swojemu.
- Nawet jeśli zadzwoni, nie wiem, jak to będzie między nim a mną, to znaczy między „nami”. - Kathryn gwałtownie pokręciła głową, gdy to mówiłam. - Nie chciałabym, aby pomyślał, że szukam dla moich dzieci zastępczego ojca albo...
- Dlaczego tak wszystko komplikujesz? Przestań. Nie możesz po prostu zaangażować się w to dla Petera? Dlaczego od razu wymyślasz jakąś patologiczną teorię o zastępstwie dla Phillipa? Podejdź do tego zwyczajnie. Peter to fantastyczny facet. Uwielbia twoje dzieci i ciebie. I kropka.
- Doskonale wiesz, że to nie jest proste, choć oczywiście lejesz miód na moje serce.
- Po powrocie od razu zabierz się do rzeczy. I zajmij się sprawami zawodowymi. Dobrze ci to robi.

Mówiła o projekcie, nad którym Erik i ja zaczęliśmy pracować w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Erik zadzwonił do mnie ni stąd, ni zowąd i zaprosił na lunch. Gdy zasiedliśmy przy stoliku, położył przede mną teczkę z propozycją filmu dokumentalnego prezentującego naszą wersję historii z Theresą, nie tę „pieprzoną podrasowaną, którą wysmażyli prawnicy NBS”, i dalszego śledztwa w sprawie blogerów, którzy nas wrobili.

Wiedziałam, że Kathryn ma rację, jeśli chodzi o mój powrót do pracy.

\* \* \*

Nasz domek znajdował się nad strumykiem kilka kilometrów od podnóża gór Aspen. Były w nim cztery sypialnie i mała alkowa nad garażem. W salonie stały jasnobrązowe segmentowe kanapy w kratę, z jego częścią jadalną łączyła się czysta funkcjonalna kuchnia, wyposażona w szafki z laminatu. Okno mojego pokoju z kominkiem wychodziło na strumień i rozciągający się za nim las sosnowy.

Kathryn podrzuciła mnie pod same drzwi tuż przed jedenastą. Czulałam przyjemny szmer w głowie. Gdy jej dżip się oddalił, oparłam się o barierkę na ganku i popatrzyłam na mi-

Hardy gwiazd, które błyszczały na niebie. W Nowym Jorku, z powodu świateł drapaczy chmur, nie można dostrzec żadnych konstelacji. Usiadłam na samotnym drewnianym fotelu i okryłam kolana szarym wełnianym pledem.

Pochyliwszy się, złożyłam dłonie i wsunęłam je między uda. Wewnętrzne szwy dżinsów otarły się o moje ciało i poczułam zmysłowe mrowienie, sięgające pachwiny. Byłam rozstrojona. Miałam ochotę zrobić sobie jakąś przyjemność, tak jak za dawnych czasów: zapalić trawkę - czego nie robiłam od lat - albo wypić kieliszek czerwonego wina, które rozgrzałoby mnie w tę zimną noc. Wciąż niespokojna, wstałam i oparta o barierkę, zaczęłam ustami wypuszczać obłoczki pary.

Wychyliłam się, żeby dojrzeć strumień, i zauważyłam czerwony blask bijący z okna salonu. Czyżby dom się palił? Nie. To musiał być ogień na kominku. Yvette jednak nie zapaliłaby w nim o tej porze. Wbiegłam do środka.

I zastałam jego. Stał za kanapą, a pomarańczowe płomienie rzucały na ściany ruchome efektowne cienie. Wyglądał jak postać z piekła. Zaśmiałam się.

- Co cię tak śmieszy? - zapytał szeptem.
- Zarys twojej postaci na tle ognia. Wyglądasz jak diabeł.
- Ty natomiast wyglądasz pięknie. Nie poruszyłam się. Nie byłam w stanie.
- Kiedy przyjechałeś? - Boże, cudownie było go zobaczyć!
- Wczorem. Nie pytaj jak, bo nie mogę ci powiedzieć. Yvette mnie wpuściła. Przyjechałem, żeby zobaczyć się z Dylanem, zanim pójdzie spać. Bardzo się o niego martwiłem.
- Dlaczegoż to?
- Bo tak się załamał. Jak przed moim przybyciem do was.
- Tak?
- No. Dlatego przyjechałem.
- I wydał ci się przybity?
- Szczerze mówiąc, nie bardzo.
- To o czym mówisz?



- Przyjechałem, bo mi powiedziano, że Dylan jest naprawdę w kiepskiej formie.

- Kto tak mówił?

- Tego też nie mogę zdradzić.

- To bzdury! Dylan czuje się dobrze. Nie był zachwycony, że wyjeżdżasz do Silicon Valley, ale zrozumiał to.

- Naprawdę? Ciekawe. - Wyglądał, jakby nagle nad jego głową zapaliło się światło.

- Co u ciebie, Peter? Dzięki, że odpowiadałeś na moje telefony.

- Najważniejsze, że tu jestem. I cieszę się z tego.

- Ja też.

Odwrócił się, wziął ze stolika do kawy dwa kieliszki i butelkę wina, otwartą już, ale jeszcze nienapoczętą. Stałam bez ruchu. O rany! Nie mogłam uwierzyć, że to dzieje się naprawdę.

Ujął mnie za rękę, uściśnił ją, jak wtedy w parku, i ruszył do mojej sypialni.

- Pić mi się chce... - Tylko tyle potrafiłam wydusić. I to nieswoim głosem.

Nalał wody do jednej ze szklanek i podał mi, opierając palec o moją dłoń trochę za długo. Pomyślałam, że umrę.

- Napij się. - Uśmiechnął się jak gdyby nigdy nic. Jakbym tylko musiała się odprężyć.

Pociągnęłam łyk wody, podczas gdy on podszedł w półmroku do kominka. Drogę oświetlał mu blask lampy z korytarza. Ułożył polana w stos, wetknął pomiędzy nie zwinięte gazety i wrzucił zapalnik. Stał tam, w białej koszulce i džinsach opinających jego ciało niczym aksamit, z ręką na biodrze, i patrzył, jak drewno się zajmuje. Był nieziemsko pociągający.

Podszedł do drzwi. Przez moment z rozczerwaniem pomyślałam, że zamierza wyjść, ale on tylko przekręcił klucz w zamku. Potem wrócił do mnie, uśmiechając się zabójczo. Opuściłam wzrok i czekałam. To on był reżyserem.

Pochylił się lekko, spojrział na mnie i ujął moją twarz w dłoń.

- Jesteś taka piękna, że aż boli - powiedział. Pocałował

mnie miękko. Otoczył mnie ramionami, żebym nie straciła równowagi, i wsuwając mi kolano między nogi, tanecznym krokiem Freda Astaire'a przysunął do brzegu łóżka. Zaczął całować mnie szaleńczo, pchając jednocześnie na łóżko i zmuszając, żebym usiadła. Nie mogłam uwierzyć, że tak bardzo go pragnę. Potem podniósł moje nogi i położył na pościeli, tak że znalazłam się obok niego. Kolanami objął moje udo. To jeszcze bardziej mnie podnieciło. Smakował cudownie, słodko jak miód. Całował mnie po ramieniu, przesunął palcem od mojego ucha, wzdłuż szyi aż po brzuch. Wsunął dłoń pod koszulkę i oparłszy głowę tuż nad moim ramieniem, zaczął zataczać palcem kręgi wokół pępka, muskając brzeg spodni. O mój Boże... Modliłam się w duchu, żeby Gracie nie zachciało się pić albo z powodu zmiany ciśnienia nie zaczęła jej boleć główka i żeby tu nie przyszła.

Głośno trzasnął ogień na kominku i rozżarzony węgielek uderzył o ekran.

- Wszystko w porządku? - zapytał Peter. Zamknęłam oczy.

- Trochę się boję. Ale w porządku. - Przesunęłam się nieco w stronę szafki przy łóżku, oddalając od niego.

- Chcesz mi uciec? - zapytał.

- Próbuję nie uciekać.

Uśmiechnął się, stuknął kieliszkiem o mój kieliszek i napił się wina. „Wszystko dobrze, Jamie”.

- Jak to się stało, że tu jesteś? - musiałam zapytać.

- Powiedzmy, że sprzyjały mi okoliczności. A pewien mały ptaszek doniósł mi o twojej separacji. Poza tym cierpliwość mi się wyczerpała.

- Musnął palcem mój nos. - I chciałem, żebyś poczuła się szczęśliwa. A jeśli chodzi o mnie, już dość się naczekałem.

- Od kiedy?

- Od pierwszego dnia w twoim gabinecie.

- Tak dawno?

- Uhm. Byłaś taka zabawna. I ładna. I dzielna, usiłując pogodzić pracę z opieką nad dziećmi i całą resztą.

- Już wtedy się zaczęło?  
- Tak. Od samego początku. Ale byłaś zbyt zajęta, by cokolwiek zauważyć.

- Nie chciałam nic zauważyć.

- Wiem o tym. Uwierz mi. To była męczarnia.

- Przykro mi. - Pocałowałam go w usta.

- I słusznie. - Ten facet nie zamierza czekać dłużej. Kropelka wina spłynęła z mojego podbródka na szyję.

Zlizął ją. Potem oparł głowę na łokciu i zaczął rozpinąć mi bluzkę.

Zapytał znowu:

- Wszystko w porządku?

- Uhm.

Uniósł moje ręce i zdjął bluzkę. Poczułam na skórze chłodne powietrze. Nigdy z nikim nie było mi tak dobrze. Nawet w college'u. Nie mogłam uwierzyć, że w wieku trzydziestu sześciu lat przeżywałam coś takiego. Chciałam go całego zjeść. Położył się na mnie, a następnie, usiadłszy okrakiem, zdjął koszulę. O mój Boże, ten jego tors!

Wyglądał na tak szczęśliwego, jakby naprawdę świetnie się bawił. Wreszcie.

- Nadal wszystko w porządku?

- Uhm.

- Więc...

- Tak?

- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić z niańkiem? Wybuchnęłam śmiechem.

- Oczywiście!

## Przykre przebudzenie

Było wpół do dziewiątej następnego rana, gdy obudziły mnie odgłosy mocowania się Petera i Dylana w salonie. Odwróciłam się i przypomniałam sobie, że Peter opuścił mój pokój zaledwie przed dwiema godzinami. Kochaliśmy się przez całą noc jak dwoje nastolatków, głodnych kradzionych chwil, aż do świtu, gdy Peter przeniósł się do małego studia nad garażem. Byłam zdumiona, że może utrzymać się na nogach. Moje ciało przypominało spaghetti. Łóżko wyglądało tak, jakby zaatakowało je stado dzikich psów. Uchyliłam drzwi, żeby posłuchać, co się dzieje.

- Tu, w górach, w których się wychowałem, dopiero ci dokopię na moim nowym snowboardzie, smarkaczu.

- To nie fair! Jeździłem na snowboardzie zeszłej wiosny tylko przez tydzień! - zawołał Dylan, śmiejąc się, lecz jednocześnie zawodząc.

- I jeśli dopisze nam szczęście, będziemy mieli niezły nar-nar pow-pow.

- Co znaczy „nar-nar pow-pow”? - zapytał Dylan. Peter pochylił się nad nim.

- Posłuchaj, Dylan. Jeśli chcesz jeździć ze mną na snowboardzie, musisz podłapać slang. „Nar-nar pow-pow” znaczy jazdę w superdzień. Na przykład, gdy w nocy napadały tony świeżego śniegu i masz wrażenie, jakbyś przez całą drogę

sunał po puchu. A kiedy uda ci się zrobić kilka świetnych zwrotów, mówię do ciebie: „Sick line, doktorze”.

- Co to znaczy „sick line”?
- Ładny zjazd w śniegu.
- Ale dlaczego „doktorze”?
- Nie wiem, tak mówią do siebie snowboardziści.
- O rany! Cool.
- A kiedy już skończymy, będziesz jeździł, skręcał i skakał tak jak ja.
- Tak myślisz?
- Ja to wiem.

Spędziliśmy więc całą sobotę na stoku i, o dziwo, Peter i ja, przy naszym zmęczeniu, nie wpadliśmy na żadne drzewo ani się nie zabiliśmy. Po południu podrzuciliśmy dzieci do szkoły narciarskiej i pojeździliśmy trochę sami. Całowaliśmy się na wyciągu z beztróskim zapamiętaniem; Peter obejmował mnie w pasie i jechał tuż za mną, wykrzykując instrukcje i śmiejąc się ze mnie, kiedy pierwszy raz niezgrabnie pokonałam muldę wielkości volkswagena. Było cudownie, zarówno z powodu ryzyka złamania nogi, jak i serca.

Wieczorem, gdy dzieci już zasnęły kamiennym snem, znowu kochaliśmy się szaleńczo. Śmialiśmy się. Oglądaliśmy telewizję. Jedliśmy ciastka i pili wino. Potem znowu się kochaliśmy, tak i siak, na wszelkie sposoby, aż do utraty sił.

Obudziło mnie walenie do drzwi frontowych. Wpół do ósmej w niedzielny rano. To musiała być jakaś pomyłka. Głośne, dudniące uderzenia dłonią w rękawicy. Przykryłam głowę poduszką, mając nadzieję, że natręt zrozumie swój błąd. Ale nie. Walenie nie ustawało, doszło do niego pukanie w okna przy drzwiach.

- Cholera! - Zwlokłam się z łóżka, narzuciłam szlafrok i ogarnęłam spojrzeniem kieliszki z resztkami wina, pustą butelkę oraz moje ubrania, porozrzucane po całej podłodze. Seks można było wyczuć na milę. Byłam niewyspana i wściekła na tego dupka, który najwyraźniej pomylił nasz domek z jakimś

innym. Zerknęłam przez jedno z witrażowych okienek wokół drzwi. O mój Boże! Phillip. Tu, w Aspen!

Pobiegłam z powrotem do pokoju, żeby ukryć w łazience drugi kieliszek od wina i sprawdzić, czy Peter zabrał swoje bokserki. Przerzuciłam pościel, ale nie byłam pewna, czy rzeczywiście gdzieś ich nie ma. Nałożyłam trochę kremu na ręce, żeby zamaskować woń seksu, którym pachniało całe moje ciało, dłonie, usta. Nie miałam czasu przemyć twarzy, więc wklepałam w policzki tonik. Po raz pierwszy w ciągu dziesięciu lat małżeństwa spałam z innym mężczyzną.

Ale zastanowiwszy się, stwierdziłam, że zdecydowanie nie żałuję tego, ani nie mam poczucia winy.

Wzięłam się więc w garść i otworzyłam drzwi.

- Cześć, Phillipie.

- Witaj, Jamie.

- Wejdz.

Lekko pocałował mnie w policzek i wszedł do przedpokoju, ciągnąc walizkę na kółkach. Rzucił płaszcz na kanapę. Wyglądał okropnie. Włosy sterczały mu na wszystkie strony jak Einsteinowi. Pachniał wnętrzem samolotu.

- Może masz ochotę na kawę? - spytałam.

- Wypiłem już cztery filiżanki. Nie spałem przez całą noc. Miałem poranny lot przez Houston. Przespałem się przez pięć godzin w Hiltonie przy lotnisku.

- Nie wzięłeś ze sobą sprzętu narciarskiego. Co się stało? Domyśliłam się, że przyjechał, aby mnie przebłagać. On jednak szybko wyjaśnił:

- Nie zjawiłem się tu ze względu na nas. To znaczy, nie po to, żeby coś latać i tak dalej. Mam kłopoty, Jamie.

Więc dlatego wyglądał jak uciekinier.

- Chodźmy do twojego pokoju. Musimy porozmawiać na osobności - dodał.

Zaczęłam zastanawiać się nad biegiem wydarzeń. Niewątpliwie było co trawić jak na tak wczesną porę dnia. Biedny Phillip najwyraźniej potrzebował czegoś do picia. Otworzy-

łam lodówkę i sięgnęłam po sok pomarańczowy z miąższem, ale po namyśle wyjęłam butelkę wody Evian. Potem szybko przeszliśmy do sypialni.

Wskazawszy mu fotel przy kominku, przykryłam łóżko kołdrą, modląc się, żeby nie wypadły z niej bokserki. Potem zamknęłam drzwi na klucz i przysunęłam sobie krzesło, ustawiając je naprzeciwko męża.

- Dobra. Opowiedz wszystko.

- Wszystkiego nie mogę. Nie chcę, żebyś za wiele wiedziała, dla twojego dobra.

Machnęłam rękami.

- Phillipie, czy to poważna sprawa, kryminalna, jak z Dennisem Kozłowskim<sup>6</sup>, czy drobniejsza - po prostu dostałeś po łapach, i już? Mówisz o utracie pracy i uprawnień adwokackich?

- To może być poważna sprawa, ale niekoniecznie.

- Dobra. - Wyprostowałam się. - Nie możesz powiedzieć, o co chodzi?

- Nie całkiem.

- Więc czego ode mnie oczekujesz? Po co przyjechałeś? Zaczerpnął powietrza i zmieszany opuścił wzrok.

- Musisz zapomnieć o kilku faktach.

- Jakich faktach?

- Pewnych faktach.

- Czyżby to wezwanie do sądu dla Laurie w sprawie naruszenia tajemnicy handlowej, które, jak mi mówiłeś, miało być rutynową sprawą, okazało się poważniejszym problemem?

Pokiwał głową.

- I ma to związek z tym, że przyłapałam ciebie i Alana w gabinecie?

Znowu kiwnął głową.

- I z tym, że zadzwoniłeś z pracy, prosząc, bym ukryła teczkę dotyczącą sprawy Ridgefield?

---

<sup>6</sup>Dennis Kozłowski - były szef Tyco Intercontinental, skazany za sprzeniewierzenie ponad czterystu milionów dolarów należących do firmy.

Kolejny raz skinął głową i dodał:

- Gdybyś została wezwana do sądu...

- Phillipie, jako twojej żonie przysługuje mi prawo do odmowy zeznań. Nie mogą powołać mnie przed sąd, dopóki będziemy małżeństwem. - Nagle zrozumiałam, do czego on zmierza. Gdybym rozwiodła się z nim z jakiegoś powodu, na przykład z powodu jego zdrady, mogłabym zostać wezwana na przesłuchanie. A gdybym go w dodatku nienawidziła, niewykluczone, że zaczęłabym śpiewać jak kanarek. Phillip bał się, że go wystawię. - Chcesz, żebym zapomniała o dokumentach, które były w tej teczce?

Pochylił się, patrząc na mnie złym wzrokiem.

- Czytałaś je przed odłożeniem? I ja się ku niemu pochyliłam.

- Nie zamierzam odpowiadać na to pytanie.

Rozległo się pukanie do drzwi, dość nieśmiałe. Poczulałam, że zaraz zwymiotuję. Wystawiłam nos na zewnątrz. Dzięki Bogu, to nie był Peter.

- Tak, Yvette?

- Gracie chciałyby przyjść do pani łóżka. Trzymała w ramionach rozespaną Gracie,

- Nie teraz, Yvette. - Wyciągnęłam rękę i pogłaskałam małą po policzku. - Mamusia jest zajęta. Przytul się do Yvette. - Zamknęłam drzwi.

Gracie zaczęła wyć jak syrena, a trzy minuty później przyłączył się do niej Michael. Płacz dzieci oznaczał, że Peter i Dylan opuszczą swój azyl nad garażem. Obawiałam się, że w tej okropnej chwili do mojego pokoju wejdzie Peter.

Przez następnych piętnaście minut omawialiśmy szczegóły. Wezwanie do sądu Phillipa i jego asystentki, kwestię adwokatów, jego pracy, oskarżeń, ewentualnych skutków. Mój mąż wydawał się czysty, jeśli chodzi o sprzedaż tajemnicy handlowej, ale teczka z dokumentami dotyczącymi Ridgefield mogła zmienić ten stan rzeczy. Musiałam podjąć pewne decyzje, i to szybko.

Phillip wstał i machnął otwartą dłońią, kiedy ponownie



odmówiłam rozmowy na temat zawartości teczki, którą miałam schować. Niechcący trącił dużą stojącą lampę, która z hukiem przewróciła się na podłogę. Usłyszałam ciężki tupot nóg w korytarzu. Jakby biegł atletycznie zbudowany nianiek. Rozległo się głośne pukanie do drzwi. Peter zawołał:

- Wszystko w porządku?!
- Tak! - odkrzyknęłam, nie wstając z krzesła.
- Czy mogę...?
- Nie!

Peter jednak napał na drzwi i cienkie deski zaczęły ustępować pod jego ciężarem. Myślał, że prowadzę z nim jakieś gierki.

- O co temu facetowi chodzi? - Phillip podszedł do drzwi i otworzył je. - Tak...?

- Bałem się, że Jamie coś sobie zrobiła.
- Nic jej nie jest. Zupełnie nic.

Musiałam coś powiedzieć. Nie chciałam dopuścić, żeby ten fantastyczny facet coś sobie pomyślał. Ale nie mogłam w tej chwili wyjść z nim z pokoju, choć niczego bardziej nie pragnęłam. Próbowałam mu więc wyjaśnić sytuację na tyle, na ile się dało.

- Peter! Jak widzisz, Phillip ma ważną sprawę, która nie może czekać. Wszystko w porządku. Uwierz mi. - Powiedzmy.

Peter zamknął drzwi.

Mój już prawie eksmaż i ja usiedliśmy znowu, oboje bardzo napięci.

- A teraz, Phillipie, musimy coś ustalić. Parę spraw. Oczy mu się rozszerzyły.

- W związku z twoim życiem seksualnym. - Próbowałam przybrać groźną minę.

Brak odpowiedzi.

- Podczas kilku ostatnich tygodni spotykałeś się z pewną młodą blondynką?

- Nie bardzo wiem, co to ma wspólnego z naszą rozmową.
- Jeszcze parę minut temu wydawało mi się, że mam cię w garści.

- Jestem innego zdania, ale ty możesz widzieć to, jak chcesz.  
- Zamierzam więc wykorzystać swoją przewagę, by uzyskać od ciebie kilka wyjaśnień.

Odchrząknął.

- I nie kłam. Nie wiesz przecież, czy nie zrobiłam kopii zawartości tej teczki, zanim ją...

Rzucił się w moją stronę i po raz pierwszy w życiu pomyślałam, że mężczyzna mnie uderzy. Bałam się, że tego nie wytrzymam. Nie dość, że musiałam poradzić sobie z rozpadem małżeństwa, to jeszcze z wezwaniem do sądu... i nocą z Peterem.

- Niech cię Bóg strzeże, Phillipie, jeśli mnie tkniesz chociaż palcem!

Usiadł z powrotem.

- No co ty!

- Wyglądałeś tak, jakbyś był do tego zdolny. - Do oczu napłynęły mi łzy.

- Skąd! Nigdy. Przecież wiesz o tym, Jamie. Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem.

- W porządku. Ochłońmy trochę. Jeśli uważasz, że ten związek ma jeszcze jakieś szanse na przyszłość, choćby jako partnerski układ rodziców tych trojga kochanych dzieci, lepiej bądź ze mną szczery.

Spojrzał na mnie; jad zniknął z jego wzroku, przynajmniej na jakiś czas. Zauważyłam, że Phillip poczuł się winny. Zmiękł.

- Postaram się - obiecał.

- Dobra. Kim jest ta kobieta, którą dwa tygodnie temu ugryzłeś w ucho u Caprizia?

- Skąd o tym wiesz?

- Wiem i już. Ludzie gadają.

Wzruszył ramionami.

- Przed dwoma miesiącami wykopałaś mnie z łóżka, a potem z mieszkania. Nie mówiłaś, że nie mogę spotykać się z innymi kobietami.

- Masz rację. Powiedziałam tylko, że nie będę już z tobą spała. Teraz muszę jednak wiedzieć, co się dzieje. I bardzo by mi pomogło, gdybym wiedziała, że jesteś ze mną szczery. -Miałam nadzieję, że zawrzemy pokój, próbowałam rozmawiać z nim racjonalnie i konstruktywnie.

Westchnął.

- Jest stażystką po prawie. Nazywa się Sarah Tobin. Może nie grzeszy bystrością, ale poświęca mi wiele uwagi i troski. Ty nie wykazywałaś specjalnej chęci, by spędzać ze mną czas.

- A Susannah wie o Sarah?

- Susannah rzuciła mnie jeszcze w grudniu, wiesz o tym. Chciała tylko trochę poplirtować. Kiedy sprawa stała się bardziej...

- Dla mnie to było coś znacznie więcej niż flirt. Te jej nogi sterczące w górę jak...

- To trwało tylko tydzień.

- A Plaża Athénée?

- Wszystko wydarzyło się w jednym tygodniu. Czułem się samotny w małżeństwie.

- Uhm - mruknełam sarkastycznie.

- Uhm? Wydaje ci się, że lepiej znasz motywy mojego postępowania niż ja?

- Owszem, tak.

- Naprawdę? - Teraz on zdobył się na sarkazm. - No to słucham. Bardzo jestem ciekaw.

- Dobra. Oto, co myślę, a przy okazji dodam, że to całkiem oczywiste. Sądzę, że pieprząc ją na jej terenie, miałeś wrażenie, że bierzesz w posiadanie te wszystkie jej bogactwa, dzieła sztuki, choćby na dziesięć minut. Pieprząc ją, czułeś się bogaty.

Cisza, a zaraz potem:

- Pudło.

- Phillipie, jeśli nie możesz być ze mną szczery, przynajmniej przyznaj się sam przed sobą. Powtarzam: pieprząc ją, czułeś się bogaty. Bogatszy niż my. Tak bogaty, jak byś pragnął. Bogaty jak ci, którzy mają własne samoloty.

- Nawet nie zamierzam tego komentować.
- W porządku.
- Pomyłka. To była zwykła pomyłka. Nie jestem złym facetem. A ty nie wyszłaś za mnie z szaleńczej miłości.

Słyszałam odgłosy dzieci bawiących się w sąsiednim pokoju.

- Wiem, że nie jesteś zły. Naprawdę.
- Na pewno?
- Tak, na pewno. Spróbował znowu:
- Czytałaś te papiery czy nie? Muszę to wiedzieć. Teraz ja proszę, żebyś była ze mną szczerą.

- Tego ci nie powiem.

Zaczął krążyć po pokoju i oddychać po swojemu jak stary madrycki byk.

- Cholera, Jamie! Możesz mnie nienawidzić za to, co zrobiłem. Zdaję sobie sprawę, że nie jestem łatwy w pożyciu. Ale ze względu na mnie i dzieci musisz mnie ochraniać.

- Zawartość teczki jest w skrytce depozytowej.
- Chyba żartujesz! - Uderzył się ręką w kolano i zaśmiał z przymusem. - Powiedz, Jamie, że żartujesz, do diabła!
- Wcale nie.
- Dlaczego zrobiłaś coś takiego? To bardzo nierozważne!
- Moim zdaniem całkiem rozsądne.
- Czytałaś te dokumenty czy nie?
- To nieistotne. - Co on sobie wyobrażał? Że jestem idiotką i nie zrobię tego?

Zatoczył jeszcze parę kółek po pokoju.

- Dobra. Czego chcesz?
- Chcę, żebyś znalazł sobie dziewczynę, której głównym celem w życiu byłoby zajęcie się tobą. Taką, która podziwiałaby twoje pochodzenie, twoje pasje, twój sukces finansowy i zawodowy.

Wyglądał na zmieszanego, ale jakby zaświtała mu nadzieja.

- To wszystko?

- Nie.
- Tak myślałem. - Usiadł znowu.
- Chcę wprowadzić pewne zmiany. Przenieść się do centrum.
- Zwariowałaś? Kto, na Boga, jeśli tylko ma jakieś pieniądze, chciałby zamieszkać wśród tych wszystkich ohydnych zakładów, w domach bez portierów...
- Phillipie, nie chcę mieszkać w tym getcie, jakim jest Park Avenue, w otoczeniu prowincjonalnych bogaczy i ich rodzin. I nie chcę, żeby mieszkały tam nasze dzieci.
- Jeśli to ma być atak na moje...
- To nie jest wymierzone przeciwko tobie. Tak naprawdę wcale nie chodzi o ciebie. Chodzi o mnie. O moje szczęście i pomyślność dzieci. Pragnę żyć w innym środowisku. Mniej snobistycznym.
- Na Manhattanie takiego nie znajdziesz. Ani na Brooklynie. Nie ma większych snobów od artystów z centrum, którym wydaje się, że są cool.
- Zamierzam przynajmniej spróbować. Dylan przez dwa lata dojeżdżałby na lekcje, a w siódmej klasie przeniósłby się do szkoły w centrum. A Gracie i tak chcemy zapisać do St. Anthony's Church. Przedtem wydawało się to wariackim pomysłem, ale teraz nabrało sensu.
- Świetnie. Planowałaś przeprowadzkę od jesieni, kiedy wysłaliśmy podanie, i nie raczyłaś mi o tym wspomnieć?
- St. Anthony's Church miało być wyjściem awaryjnym, gdyby nie przyjęto Gracie do Pembroke. W każdym razie chciałabym, żebyśmy sprzedali nasze mieszkanie i kupili dwa niniejsze: jedno dla ciebie, drugie dla mnie. Proszę, żebyś opłacał moje wydatki - w rozsądnym zakresie - dopóki zawodowo nie stanę znowu na nogi. Potem będziemy mogli ustalić procent, jaki wniosłabym ze swojej pensji do budżetu domowego. Tak jak kiedyś. Gdy wrócimy, przedstawię ci listę rachunków.
- Masz pojęcie, ile to będzie kosztować? Utrzymanie dwóch mieszkań?

- Mam, Phillipie. To ja kontroluję budżet i prowadzę dom, pamiętasz? Dzięki temu zdaję sobie sprawę, na co możemy sobie pozwolić. I nie chcę, żeby jacyś prawnicy wpięprzali się do tego. Chcę, żeby rozwód przeprowadził mediator, a nie żaden uzbrojony po zęby adwokat. - Mówiąc to, zadrżałam, ale zarazem, kiedy wypowiedziałam słowo „rozwód”, nagle nabrałam odwagi.

Phillip na wzmiankę o rozwodzie nawet nie mrugnął okiem. Nie wiem, czy to dlatego, że był prawnikiem, czy że oswoił się już z tą myślą. Ciągnęłam:

- To moja ostateczna i jedyna propozycja. Chcę mieć nowe mieszkanie. I pieniądze na dzieci. Chciałabym też, żebyś finansował moje wydatki, dopóki będzie trzeba. Chcę ustalić po przyjacielsku zasady opieki nad dziećmi, żebyś mógł widywać się z nimi, kiedy zechcesz. I żeby było jak najmniej napięć. Zapewnisz mi wszystko, o co proszę, w zamian za...

- W zamian za co?

- Za to, że schowam głęboko klucz do depozytu.

- Jamie, muszę wiedzieć, gdzie on jest.

- Nie ma mowy. Przysięgam na główki naszych pięknych dzieci, że wyjmę go z ukrycia dopiero wtedy, gdy złamiesz warunki umowy.

- Proooszę, Jamie. Powiedz mi, co wiesz.

- Phillipie, zależy mi na tobie. Chciałabym, żebyś znalazł sobie kogoś, kto by bardziej do ciebie pasował i dał ci szczęście. Żebyś często widywał się z dziećmi i pozostawał z ich matką w zdrowych stosunkach. Ale gdyby przyszło ci do głowy szykanować mnie finansowo, pamiętaj, że jestem w posiadaniu niebezpiecznych informacji.

- Przecież mnie nie zniszczysz. Nie zrobiłabyś tego.

- Nie wiem, co bym zrobiła, a czego nie zrobiłabym. Jesteś świadom, że mam pewne informacje. I że pieniądze nie znaczą dla mnie tyle, ile dla ciebie. Nawet w przybliżeniu. Więc jeśli mnie do tego popchniesz...

- W porządku, w porządku. Daj mi kilka dni na zastanowienie. Muszę to przemyśleć.

- Nie spiesz się, Phillipie. Ale pamiętaj, żadnych prawników.
- Mogę pobyć teraz trochę z dziećmi?
- Oczywiście. Mam zostać czy się usunąć?
- Możesz zostać. Na wypadek, gdybym potrzebował pomocy.
- Rozumiem.
- Wieczorem mam lot powrotny.
- W porządku.

Dziesięć lat przygotowywałam się do tej rozmowy i wreszcie miałam ją za sobą. Zanim mogłam przetrwać ją w pełni, musiałam porozmawiać z Peterem i uspokoić go.

- Tatusiu! - zawołała Gracie z salonu. - Umiem jeździć na nartach! Pokażę ci, dobrze?

Dołączył się Dylan:

- Pojeździsz z nami, tato? Pojeździsz?
- Dzieci, nie mogę. Nie przyjechałem tu z myślą o nartach.

Peter zniknął w swojej małej sypialni nad garażem. Co też mógł sobie myśleć? Poprzedniego wieczoru obiecałam mu, że definitywnie odejdę od Phillipa, a tu co? Kilka godzin później mój mąż staje w drzwiach, jakbyśmy byli szczęśliwą rodziną?

Gdy Dylan, zawiedziony, że ojciec nie pojeździ z nim na nartach, wpadł w czarną rozpacz, Phillip poczuł się okropnie. Spojrzał na mnie jak zawsze w czasach, gdy byliśmy jeszcze prawdziwym małżeństwem, prosząc: „Jamie, ratunku. Zrób coś”. Pomyślałam, że nasza wspólna opieka nad dziećmi podczas rozvodu będzie koszmarem. Ale nie ma wyjścia. Zaraz jednak twarz Phillipa się rozjaśniła.

- Peter! Peter! - zawołał ku schodom - Chodź tu, proszę! O rany. Co teraz Peter sobie pomyśli? Zszedł po schodach

w swoich rewelacyjnych biodrówkach, opiętych na jego idealnym, więcej niż idealnym tyłku.

- Tak...?

- Mogę cię o coś prosić?

- Kochanie, nie bardzo możemy prosić Petera o cokolwiek. Ma na głowie mnóstwo własnych spraw. Jest bardzo, bardzo, bardzo zajęty. Może ja albo Yvette możemy ci pomóc?

- Do licha, przecież jest w tym domu, prawda?! - wrzasnął Phillip, pewny, że ma władzę nad wszystkimi i wszystkim.

Przysięgłabym, że widziałam, jak rośnie wybrzuszenie w jego spodniach! „Niech ten młody człowiek zabiera się do roboty, dobrze mu to zrobi!”. Jak mogłam mu wyjaśnić, że Peter po prostu przyjechał z wizytą?

- Peter, chciałbym cię więc prosić o przysługę. Zadzwoń w któreś z tych miejsc, gdzie wypożyczają sprzęt narciarski: narty, buty, kijki i ubrania, rękawice. To wszystko, co sam masz. Chcę zobaczyć, jak jeżdżą dzieciaki. Wybierzesz się ze mną? Pani Whitfield miałaby trochę czasu dla siebie. A ja mogę coś z siebie dać, skoro już tu jestem. Zabierzemy Dy lana, a gdy będę musiał już jechać, zostanie z tobą.

- Kochanie... - zaczęłam, natychmiast tego żałując. Peter spojrzał na mnie badawczo. „Mówisz do tego faceta «kochanie»?”. - Phillipie, przestań wreszcie zachowywać się jak generał MacArthur. Proszę. Peter nie pojedzie z wami na narty.

- Mamo! - zawołał Dylan. - Daj spokój! Peter specjalnie przyleciał tu do nas z tak daleka. Musi z nami pojeździć.

- Zgadzam się z Dylanem. Masz rację, synu! Jeśli Dylan chce, żeby Peter pojechał z nami, dlaczego mamy go nie zabrać?! - Phillip zmierzwił Dylanowi włosy i poklepał Petera po plecach, jakby był jego starym dobrym kumplem.

- Zapowiada się świetna zabawa! - rzekł Peter i uszczypnął mnie w pupę, ruszając korytarzem.

Zanim się zorientowałam, siedziałam na czteroosobowym wyciągu krzeselkowym z Peterem, moim mężem i synem, myśląc: „Zaraz dostanę zawału serca”. Phillip, usadowiony



z brzegu, zachowywał się jak Fred MacMurray w *My Three Sons* - był cały radosny i do przodu. Taką właśnie postawę przybierają członkowie amerykańskiej białej elity pochodzenia anglosaskiego wobec przeciwności losu. Zbierają siły i cała naprzód, panowie! Dylan, zajmujący miejsce obok niego, promieniał radością. I wreszcie Peter - podniecony na samą myśl o tym, ile będę mu zawdzięczać. Podczas gdy Phillip z Dylaniem planowali zjazdy narciarskie, patrząc na mapę, szepnęłam Peterowi do ucha przy akompaniamencie skrzypienia wyciągu:

- Dobrze wiem, że mnie nienawidzisz. I że wybrałeś się z nami na narty ze względu na Dylana. Nie dla mnie. I domyślałam się, co knujesz - chcesz dać mi do wiwatu. Ale co powiesz na to? Oświadczyłam mu właśnie, że musimy się rozwieść.

Peter dyskretnie pogładził mnie po ramieniu. Już na szczycie przyklęknął przed Dylaniem.

- Pokaż tacie, czego się nauczyłeś. Przyrzekam, że będę patrzył, jak jedziesz, Dylan. Ale zostanę tylko chwilę, potem idę. Muszę się zobaczyć z przyjaciółmi.

I Dylan ruszył, żeby zaprezentować swoje nowe umiejętności. W ten sposób zostaliśmy sami, ja, Peter i Phillip; staliśmy ramię przy ramieniu, z nartami, na brzegu stoku, patrząc na Dylana, który stawał się coraz mniejszy. Phillip zapytał:

- Kochanie, chcesz, żebyśmy pojeździli we trójkę, czy wolisz, żeby Peter został?

Nie mogłam uwierzyć, że wciąż uważa Petera za swojego służącego.

- Peter wyjeżdża. Właśnie to powiedział - przypomniałam. - Może byś spędził trochę czasu z Dylaniem? Ja pojeżdżę sama.

- Będziesz mi potrzebna - odparł Phillip. - Na wypadek, gdybym musiał zejść ze stoku. Nie dam rady jeździć z Dylaniem przez cały dzień, bo jestem zmęczony.

- Możesz do mnie zadzwonić. Wracam do domku.

- On ma rację. - Peter z jakiegoś dziwnego powodu zgo-

dził się z Phillipem. Chyba próbował wyprowadzić mnie z równowagi. A może był urażony, że Phillip i ja zachowujemy się jak gdyby nigdy nic? - Pojeźdź z mężem i synem. Dylan jest jak króliczek Energizera; nie zechce wracać, dopóki będą działać wyciągi. Może wpadnę do was w poniedziałek przed wyjazdem. - Z nieprzeniknioną miną spojrzał na mnie znad okularów przeciwsłonecznych i odjechał.

- Wiesz co, Jamie? - rzekł Phillip. - Mówię to z niechęcią, ale lubię tego faceta. Ile mu płacimy?

O drugiej nad ranem naszej ostatniej nocy w Aspen Peter przeciągnął palcami po linii moich ust. Zadzwoił w sobotę około jedenastej wieczorem i powiedział, że jest po kolacji z przyjaciółmi i mógłby wpaść, skoro Phillip już wyjechał. Próbowałam go przeprosić za nagły przyjazd Phillipa, ale odparł po prostu:

- Możemy przejść do innego tematu?

Leżeliśmy w milczeniu. Peter powiódł opuszkami palców po mojej piersi, jak w fantazjach erotycznych, które snułam jeszcze parę miesięcy temu. Tylko że już się kochaliśmy i ta ulotna pieszczota była gestem poufałości, a nie krokiem w nieznaną.

Odezwał się:

- Wiesz, kiedy ci mówiłem, że to już najwyższa pora, byłem w błędzie.

- Nie powiedziałaś „najwyższa pora”, tylko że „się naczekałeś”.

- Wszystko jedno, nie jesteś jeszcze gotowa, Jamie.

- Co ty wiesz, żeby mi mówić, czy jestem gotowa, czy nie?

Tego się właśnie obawiałam. Że przyjazd Phillipa wszystko zepsuje. I tak się stało. Peter uważał teraz, że nie jestem gotowa. Poczulałam niepokój, bo w głębi ducha wiedziałam, że ma rację. Wyparłam to jednak z myśli. Byłam zakochana po uszy w tym niewiarygodnym facecie, więc łatwo poddałam

się nastrojowi chwili i zdobyłam się na odwagę. Pragnęłam tylko ulec szaleństwu, pod wpływem którego skopaliśmy pościel i omal nie spadliśmy z łóżka. W takich okolicznościach wolałam odsunąć od siebie rzeczywistość.

- Zostawmy to - poprosiłam. - Było nam razem wspaniale. Naprawdę bardzo żałuję, że zjawił się Phillip. Nie mógł wybrać gorszej pory. Ale wpadł w kłopoty. To nie ma ze mną nic wspólnego.

- Nie chodzi mi o przyjazd Phillipa. Ty jeszcze z nim nie zerwałaś. Od razu weszłaś w swoją rolę przy jego boku. Dziś wyraźnie zdałem sobie z tego sprawę.

- Pojechałam z nim na narty dla Dylana. Wiesz o tym. Co jeszcze mogę zrobić? Powiedziałam mu, że chcę rozwodu. To nie wystarczy?

- Musisz złapać oddech.

- Kto ci tak powiedział? Trwałam w tym pozbawionym miłości małżeństwie przez całe lata, próbując znaleźć dla niego uzasadnienie. Teraz skończyłam z tym i czuję się świetnie. Nie chcę dłużej czekać. Czekałam już wystarczająco długo.

- Zaufaj mi. Wiem, co mówię.

- Znowu stajesz się arogancki. Dlaczego chcesz decydować za mnie?

- Dlatego że zależy mi na tobie i zależy mi na nas. To oczywiste, że jeśli nie złapiesz oddechu, nigdy nam się nie uda.

Podobało mi się, że mówi o nas jako o pełnoprawnej parze, ale nie chciałam już niczego odkładać. Z drugiej jednak strony w głębi duszy wiedziałam, że nawet dziecko przyznałoby mu rację. Sama jednak nie byłam na to przygotowana.

- Jest coś jeszcze - dodał. - Mam zobowiązania. Moi sponsorzy się odezwali.

- Wiem. Twoi przyjaciele powiedzieli mi o tym na imprezie.

- Naprawdę? - Był zaskoczony. - Dlaczego nie powiedziałaś mi, że wiesz?

- Zdobycie funduszy stanowiło zbyt dobry powód, żebyś odszedł. A ja chciałam, żebyś został ze mną i z dziećmi.

- Z tego samego powodu i ja nie mogłem ci nic powiedzieć - odparł rzeczowo. - Bo wyniknęłaby kwestia mojego odejścia. Musiałbym kłamać. - Pocałował mnie. - Byłem w szachu. - Znowu mnie pocałował. I nagle zmienił temat: -Ten program to może być duża rzecz.

- Wspaniale.

- Więc w ciągu następnych kilku miesięcy będę zajęty udoskonalaniem go i sprawami handlowymi.

- Rozumiem.

Czy to miało znaczyć, że nie jest pewny? Czy to całe gadanie o złapaniu oddechu nie było wybiegiem, który miał mi uświadomić, że tak naprawdę nie jesteśmy dla siebie? Niemożliwe. Pochyliłam się nad łóżkiem i włożyłam biały bezrękawnik. Chciałam być ubrana, no, przynajmniej na wpół ubrana, podczas tej rozmowy. Rano mieliśmy wrócić do Nowego Jorku i wspomnienie naszych zarwanych nocy w Aspen mogło nie przetrwać próby czasu. Nagle poczułam w głowie zamęt, coś jak zakłócenia na ekranie telewizora. Potem umysł mi się rozjaśnił, przynajmniej na tyle, aby zrozumieć, że Peter ze mną nie pogrywa. Gdyby nie chciał, żebyśmy byli razem, powiedziałyby mi o tym wprost. Więc czyżbym naprawdę potrzebowała czasu? Czy byłam gotowa na to, by już jutro od czwartej po południu, gdy samolot wylądaje na lotnisku Kennedy'ego, włączyć Petera do mojego życia? A choćby powiedzieć Yvette i Carolinie, że od tej pory będzie spał w moim łóżku i nie trzeba mu prasować piżam?

- W porządku - powiedziała racjonalnie. - Musisz skupić się na swojej pracy.

- Nie tylko to. Poczułem się tu świetnie. Zamierzam jeszcze zostać parę dni ze starymi przyjaciółmi. I tak większość czasu będę spędzał w Kalifornii, dopóki za kilka miesięcy nie spłyną fundusze. Potem wrócę do domu.

Serce mi zamarło. Tą drogą na pewno nie pójdziemy.

- Dlaczego? Przynajmniej wróć z nami. Masz przecież bilet na samolot.

- Wy dwoje macie jeszcze do przebycia długą drogę. Mu-

sicie omówić szczegóły rozwodu, przygotować dzieci, znaleźć nowe mieszkania. I co również bardzo ważne, musisz znowu zacząć pracować. Potrzebujesz czasu i przestrzeni na to wszystko.

- Masz jakieś wątpliwości co do mnie i Phillipa?

- Żadnych, poza tym, że wciąż mówisz do niego „kochanie”. Ale to nie o niego chodzi, tylko o ciebie. Bo jeśli nie znajdziesz swojego miejsca w życiu, jeśli wciąż będziesz tkwić w zawieszaniu, wycofasz się ze wszystkiego. Masz pojęcie, jaka byłaś lodowata w Nowym Jorku?

- Nie byłam lodowata! Po prostu przeżyłam wstrząs.

- I chcesz mi wmówić, że jesteś gotowa zacząć od razu nowe życie? Na poważnie?

- Ja... tak sądzę.

- Widzisz? Twoje słowa mówią za ciebie. Nie możesz odpowiedzieć stanowczo, bo nie jesteś pewna. Wiem, że zależy ci na mnie. Wiem, że potrafimy się dogadać. Ja jednak muszę załatwić ten kontrakt, nad którym pracuję. Jak najszybciej. Skupić się tylko na tym. A ty w gruncie rzeczy, choć przykro ci to słyszeć, nawet dobrze nie wiesz, czego chcesz.

- Skończmy już z tym. Pomyśl o ostatnich dniach. Dobrze nam ze sobą. Naprawdę dobrze.

- Staram się zachować zdrowy rozsądek. - Był bardzo poważny. - Nie jesteś gotowa odejść ze mną. A ja z kolei nie jestem przygotowany na to, żeby cię stracić.

Krążyliśmy w kółko. Poczulałam się zmęczona. Zdrowy rozsądek był przecenianą wartością. Niezależność także. Przez ostatnie miesiące przeszłam piekło i jedyne, czego teraz pragnęłam, to kochać się bez przerwy z tym facetem. W końcu położyłam się płasko na łóżku i wbiłam wzrok w sufit, zastanawiając się, jak będą wyglądały miesiące bez Petera. Wszystko bowiem wskazywało na to, że go nie przekonam.

- Od kiedy jesteś taki rozsądny?

- Bywam rozsądny, kiedy chodzi o ważne sprawy - odparł.

- Ale Dylan...

- Będę z nim w kontakcie. Ty załatw wszystko z mężem. Zastanów się, czego chcesz. Było nam razem fantastycznie. I może za parę miesięcy, gdy już ułożysz sobie życie, znowu będzie fantastycznie. Ale muszę usunąć się na jakiś czas.

Dzieci, niezwykle spokojne i grzeczne, czekały, żeby Peter usmażył im swoje słynne naleśniki z jagodami, ich ulubione śniadanie. W domku zapanowała dziwna atmosfera. Wszystkie zabawki i gry zostały zabrane ze stolika do kawy w salonie i zapakowane: dziecięca wersja scrabble, boggle i chińskie warcaby. Magiczne flamastry i bloki rysunkowe, leżące w holu, znalazły się w oddzielnych plastikowych torebkach ułożonych obok plecaczków. Zajrzałam do torby z pieluchami Michaela, którą miałam zabrać do samolotu; było w niej wszystko, co potrzeba: chusteczki, książeczki obrazkowe o Bobie Budowniczym, kubki z zamykanym wieczkiem i ubranka na zmianę. Na werandzie przed drzwiami frontowymi ustawione już zostały trzy olbrzymie worki marynarskie z zasuniętymi suwakami. Gdy wracałam przez hol do kuchni, Peter wyszedł mi naprzeciw i podał szklanekę soku pomarańczowego.

- Twoje narty są przypięte do bagażnika na dachu samochodu - oznajmił.

Pokerowa mina, ani śladu emocji.

Dzieciaki zaczęły wrzeszczeć, kiedy Peter nie złapał podrzuconych naleśników na patelnię, tak że upadły na podłogę; wiedziałam, że zrobił to specjalnie. Przygotowując sobie musli, kręciłam się wokół niego. Nie uśmiechnął się, nie otarł o mnie ani nie pogładził mnie palcem po rękę, podając mi filiżankę kawy. Był skupiony na dzieciach, jakby nic się między nami nie zdarzyło.

Wszyscy w końcu zasiedliśmy przy stole: ja, dzieci, Peter i Yvette. Podczas śniadania Peter głośno klasnął w ręce.

- Słuchajcie wszyscy, chcę coś ogłosić - powiedział. Trójka dzieci spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

Yvette, która mimo woli w końcu go polubiła, również nadstawiła uszu.

- Mam ważną pracę do wykonania. Pamiętacie program, który wam pokazywałem? - Dzieci pokiwały głowami. - Ludzie, którzy zapłacili mi, żebym mógł nad nim pracować, chcą, żebym zrobił coś więcej, co by jeszcze bardziej pomogło dzieciom w szkołach.

W oczach Dylana pojawiły się łzy. Wcześniej niż maluchy zrozumiał, o co chodzi. Peter zauważył to, ale nie przerywał. Jakże to do niego niepodobne, pomyślałam.

- Muszę więc na jakiś czas wyjechać do Kalifornii - kontynuował.

Gracie również zaczęła rozumieć.

- Na jak długo? Na cały dzień?

- Cóż, potrwa to trochę dłużej, ale obiecuję, że zadzwonię do was, kiedy tylko się dowiem ile.

Yvette wciągnęła powietrze i przyłożyła dłoń do ust. Po policzkach Dylana stoczyły się łzy.

- Dlaczego Dylan płacze? - zapytała Gracie.

Teraz z kolei Peterowi do oczu napłynęły łzy i tego już nie mogłam wytrzymać. Odsunęłam krzesło i poszłam do kuchni. Oparta na wyprostowanych rękach, pochyliłam się nad zlewem i zamknęłam oczy. Czułam się pokonana.

Gdy wróciłam do holu, przypomniałam sobie pewną scenę z poprzedniej nocy, przeżyta w mojej sypialni na podłodze przed kominkiem. Leżałam, wyginając plecy, lekko zawstydzona z powodu intensywnej przyjemności, jaką czułam. W pewnej chwili zerknęłam na pierś Petera, unoszącą się i opadającą przed moimi oczami, i urzekł mnie płynny ruch jego ciała. Gdybym dalej snuła to wspomnienie, weszłabym chyba na ścianę.

Tymczasem żalobny nastrój panujący przy stole nie zmienił się. Tylko Michael jadł niczego nieświadomy. Yvette zgarniała z blatu okruszki, Gracie przeczesywała pulchnymi paluszkami włosy swojej Barbie, próbując je rozplątać. Zauważyłam, że układa usta w podkówkę, jak zawsze, gdy zbierało jej się na płacz. Nagle Peter wziął Dylana na ręce, czego nigdy nie robił, z powodu jego wzrostu i wagi, i przytulił do



siebie, siedząc na kanapie. Uściskał go mocno. Dylan, w pozycji embrionalnej, rozszlochał się jak małe dziecko. Peter zaczął go kołysać.

- No już, kolego. To nie potrwa wiecznie, tylko przez jakiś czas. Pamiętasz tę wieżę kontrolną, którą zbudowaliśmy? Zajęło to nam chyba ze cztery dni, a nie przypuszczałem, że potrafisz być aż tak cierpliwy. Do diabła, sam nie mogłem się doczekać, kiedy skończymy. Ale wtedy powiedziałeś mi, że cierpliwość to najważniejsza zaleta. Pamiętasz? Sam mówiłeś, że najważniejsza jest cierpliwość. A ta wieża była tak cholernie...

Dylan rozszlochał się na dobre. Nic go nie obchodziła żadna wieża z klocków lego. Pękało mu serce.

- Nie możesz tak po prostu wyjechać. To nie fair!
- Dylan, chłopie, nie opuszczam cię.
- Właśnie że tak. - Potem wykrzyknął między kolejnymi i szlochami:
- Najpierw tata, a teraz ty, wciąż to samo!
- Dylan, przestań. - Peter zwrócił jego twarz w swoją stronę, wciąż kołysząc go w ramionach. - Przestań. To nie tak. Tata wcale cię nie opuścił, kocha cię nad życie. A ja kocham cię tak samo.
- Nie będziesz mieszkać nawet w tym samym stanie. Teraz Gracie przydreptała do Petera i przytuliła się do niego.
- Ale przyjedziesz jeszcze kiedyś do nas?
- Tak. Oczywiście. Tylko nie od razu, maleńka.

Ona jednak również pociągnęła nosem i zapatrzyła się w dal, z kciukiem w buzi, nie bardzo wiedząc, dlaczego Dylan tak płacze, i nie mogąc zrozumieć, dlaczego Peter ma zniknąć z jej krótkiego życia.

Godzinę później Peter wsunął ostatnią torbę do samochodu. Położyłam klucz od domku na stole w holu, zatrzęsłam drzwi i ruszyłam do wozu. Peter wsiadł za kierownicę, ja zajęłam miejsce obok niego. Dzieci na tylnych siedzeniach milczały. Byłam zdenerwowana. Po głowie krążyły mi niepo-

kojące myśli. Zaczęło mi strzykać w uszach, gdy zjeżdżaliśmy krętą drogą w kierunku lokalnego lotniska.

Choć nie chciałam przyznać Peterowi racji, rzeczywiście nie potrafiłabym w tej chwili włączyć go do mojego życia. Samodzielność mogła mi tylko dobrze zrobić. Miał też słuszość co do mojej pracy: zaangażowanie się wraz z Erikiem w produkcję filmu dokumentalnego powinno mieć uzdrawiający efekt i dodać mi energii. Potrzebowałam pracy, żeby się na czymś skupić. I gdy tylko uzmysłowiłam sobie, że mam zajęcie, przestałam się denerwować.

Przeszliśmy w milczeniu przez kontrolę bagażu. Peter odprowadził nas do bramy, niosąc smutnego Dylana, który opierał głowę na jego ramieniu. Gdy znaleźliśmy się przy bramie, pożegnał się z dziećmi, a te ruszyły już dalej z Yvette, która omal nie udusiła Petera, po raz pierwszy tak serdecznie się z nim żegnając i przyciskając go do swoich ogromnych piersi. Potem poszła z dziećmi do samolotu.

Peter odciągnął mnie od pasażerów i całego zamieszania.

- Jesteś piękna. Silna i odporna. Jesteś najbardziej zmysłową, pociągającą istotą, z jaką kiedykolwiek byłem. Poradzisz sobie świetnie. Pokonasz wszystkie przeciwności, jakie napotykasz na swojej drodze; już prawie je pokonałaś. Jesteś bardziej pozbierana niż wtedy, gdy cię poznałem. Stałaś się mądrzejsza, bardziej świadoma.

Podszedł ze mną do szklanych drzwi. Wyjrzałam przez nie i zobaczyłam, że do samolotu wchodzi już ostatni pasażerowie. Peter z pasją pocałował mnie. Pragnęłam, żeby jego ciało stopiło się z moim. Odwalił cholerną robotę, żeby wyprowadzić nas na prostą.

Pracownica lotniska przez mikrofon wezwała spóźnionych na pokład samolotu.

Peter odchylił głowę.

- Wiesz, że wszystko będzie w porządku.

- Naprawdę?

- Tak.

Przytuliłam się do niego.

- Potrzebuję cię. Musisz być ze mną.  
- Uhm. **I** będę. - Ujął moją twarz w dłonie. - Tylko nie od razu.  
Wiem, że głupio mówić ci to teraz, bo powinienem był zrobić to zeszłej nocy, ale naprawdę cię kocham. Kocham cię. A teraz już idź.  
Potrzebowałam jeszcze minuty, żeby zebrać się na odwagę.  
- Muszę tylko wiedzieć, kiedy będziemy razem. Spojrzał na datownik na tarczy zegarka i zastanowił się przez moment.  
- Osiemnastego sierpnia. O dziewiątej w Belwederze.  
- Skąd ta data?  
- To pół roku od tej chwili. Tak chyba będzie w porządku. I wreszcie się odważyłam.  
- Spójrz na mnie. Ja też cię kocham. Powinnam była ci to powiedzieć w parku.  
Gdy drzwi bramy zamykały się za mną, zawołałam:  
- Będziesz tam?  
- Oczywiście, że tak.  
I był.